

PIERWSZA CZĘŚĆ BESTESLLEROWEJ SERII Z DAVIDEM HUNTEREM



SIMON  
BECKETT  
/ CHEMIA  
ŚMIERCI

PO TRZYDZIESTU SEKUNDACH PRZEJDZIE CIĘ DRESZCZ,  
A PO MINUCIE BĘDZIESZ TRZAŚĆ SIĘ ZE STRACHU

CZARNA OWCA

SIMON  
BECKETT  
CHEMIA  
ŚMIERCI

Przełożyła Berenika Janczarska

WYDAWNICTWO  
CZARNA OWCA

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)  
[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)  
[Rozdział 2](#)  
[Rozdział 3](#)  
[Rozdział 4](#)  
[Rozdział 5](#)  
[Rozdział 6](#)  
[Rozdział 7](#)  
[Rozdział 8](#)  
[Rozdział 9](#)  
[Rozdział 10](#)  
[Rozdział 11](#)  
[Rozdział 12](#)  
[Rozdział 13](#)  
[Rozdział 14](#)  
[Rozdział 15](#)  
[Rozdział 16](#)  
[Rozdział 17](#)  
[Rozdział 18](#)  
[Rozdział 19](#)  
[Rozdział 20](#)  
[Rozdział 21](#)  
[Rozdział 22](#)  
[Rozdział 23](#)  
[Rozdział 24](#)  
[Rozdział 25](#)  
[Rozdział 26](#)  
[Rozdział 27](#)  
[Rozdział 28](#)  
[Rozdział 29](#)  
[Rozdział 30](#)  
[Rozdział 31](#)  
[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Tytuł oryginału: *THE CHEMISTRY OF DEATH*

Redakcja: Anna Brzezińska

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Projekt okładki: Stephen Mulcahey/TW

Zdjęcia na okładce: © Rudmer Zwerver/Shutterstock.com, © Andrei Kuzmik/Shutterstock.com, © Aedka Studio/Shutterstock.com

Zdjęcie autora: © Willi Weber

Korekta: Beata Wójcik

Copyright © 2006 by Simon Beckett

Copyright © for the Polish translation by Berenika Janczarska, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-599-4

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl  
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl  
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Hilary

## Rozdział 1

**R**ozkład zaczyna się cztery minuty po śmierci. To, co dotąd było kokonem życia, teraz przechodzi ostatnią metamorfozę. Zaczyna trawić samo siebie. Komórki rozpuszczają się od środka. Tkanki zamieniają się w ciecz, potem w gaz. Martwe ciało staje się pożywką dla innych organizmów. Najpierw dla bakterii, potem dla owadów. Dla much. Z jaj złożonych przez muchy wylęgają się larwy. Wykarmione na odżywczej zupie, zaczynają migrować. Opuszczają ciało w sposób uporządkowany, jedna za drugą w monolitycznej procesji, która zawsze kieruje się na południe. Czasem na południowy wschód lub południowy zachód, jednak nigdy na północ. Nikt nie wie dlaczego.

Do tej pory białko zawarte w mięśniach zdążyło się rozłożyć, zamieniając się w stężony roztwór chemiczny. Trujący dla roślin, niszczy trawę, po której suną larwy, tworząc pępowinę śmierci rozścielającą się aż do miejsca, skąd wyszły. W sprzyjających warunkach – gdy jest, dajmy na to, sucho i gorąco – taki kołyszący się rytmicznie sznur tłustych żółtych czerwi może ciągnąć się metrami. Jest to widok ciekawy, a ludzie ciekawscy instynktownie tropią takie zjawiska aż do źródła. W taki właśnie sposób mali Yatesowie znaleźli to, co pozostało z Sally Palmer.

Neil i Sam natknęli się na szlak czerwi na skraju lasu Farnhama, w miejscu, gdzie zaczyna się bagno. Był dopiero drugi tydzień lipca, a zdawało się, że to dziwne lato trwa już całe wieki. Nieprzerwany upał wypłukał drzewa z kolorów i spiekł ziemię na kość. Chłopcy szli do Willow Hole, zarośniętej szuwarami sadzawki, która służyła za miejscowy basen. Mieli się spotkać z kolegami i spędzić niedzielne popołudnie na skakaniu do ciepłej zielonej wody z gałęzi rosnącego obok drzewa. Takie były plany.

Widzę, jak idą znudzeni i apatyczni, otepiali od upału i poirytowani sobą nawzajem. Jedenastoletni Neil, trzy lata starszy od brata, na przedzie, ostentacyjnie demonstrując swoje zniecierpliwienie. W ręku trzyma patyk, którym smaga łodygi i gałęzie. Sam drepcze z tyłu, co chwila pociągając nosem. Nie od przeziębienia, tylko od kataru siennego, który podrażnia mu też oczy. Pomógłby mu łagodny lek

antyhistaminowy, ale on jeszcze o tym nie wie. Zawsze latem pociąga nosem. Zawsze niczym cień starszego brata chodzi ze zwieszoną głową. Dlatego to on, a nie jego brat, zauważa wstęgę czerwii.

Najpierw przystaje, by się jej przyjrzeć, i dopiero potem woła Neila. Neil jest niechętny, ale widzi, że Sam coś znalazł. Udaje, że nie robi to na nim wrażenia, choć falująca wstęga larw intryguje go tak samo jak brata. Kucają nad robakami, odgarniając z podobnych twarzy ciemne włosy i marszcząc nosy od woni amoniaku. I chociaż żaden z nich nie będzie potrafił sobie przypomnieć, czyj to był pomysł, by sprawdzić, skąd przyszedł, myślę, że wpadł na to Neil. To przecież on zauważył larwy, a teraz znów miał okazję udowodnić swoją wyższość. Więc to Neil rusza pierwszy, kierując się ku pożółkłym kępom bagiennej trawy, skąd sunie oślizgły kondukt, a Sam za nim.

Czy wyczuli smród? Pewnie tak. Był na tyle silny, by przedostać się przez zatkałe zatoki Sama. Zapewne domyślali się, co go wydziela. Wychowani na wsi, dobrze znali cykl życia i śmierci. Muchy też musiały wzbudzić ich niepokój, senne brzęczenie przesycające upalne powietrze. Jednak wbrew oczekiwaniom nie znaleźli truchła owcy czy jelenia. Nagie zwłoki Sally Palmer, nie do rozpoznania w świetle słońca, całe poruszały się od falującej chmary robactwa buzującego pod skórą, wypływającego ustami i nosem, a także innymi, mniej oczywistymi, otworami ciała. Czerwie, które z nich wychodziły, tworzyły skupisko na ziemi, a potem odpełzały w szeregu. To chyba bez znaczenia, który z chłopców uciekł pierwszy, ale myślę, że był to Neil. Sam jak zawsze poszedł za przykładem starszego brata, starając się dotrzymać mu kroku w pędzie najpierw do domu, a potem na posterunek policji.

A potem do mnie.

Oprócz łagodnego leku na uspokojenie podałem Samowi dawkę antyhistaminy na katar sienny. Nie on jeden miał już wtedy zaczerwienione oczy. Neil też był wstrząśnięty tym, co odkryli, choć powoli odzyskiwał swój dziecięcy animusz. Więc to przede wszystkim on, a nie Sam, opowiedział mi, co się stało, zaczynając już przekuwać surowość tego doświadczenia w formę bardziej znośną, w opowieść, którą można przekazywać z ust do ust. I miał ją jeszcze opowiadać wielokrotnie, wiele lat po tragicznych wydarzeniach tego przedwcześnie dojrzałego lata, jako ten, którego odkrycie wszystko zapoczątkowało.

Ale to nieprawda. To zaczęło się i żyło wśród nas już wcześniej, tylko nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

## Rozdział 2

**P**rzyjechałem do Manham trzy lata wcześniej, późnym popołudniem wyjątkowo deszczowego marca. Gdy wysiadłem na stacji, zaledwie małym peronie na bezludziu, ukazał mi się zmyty deszczem krajobraz, pozbawiony zarówno konturów, jak i śladów ludzkiego życia. Stałem z walizką w ręku, chłonąc otaczający mnie pejzaż, prawie nie czując kropel deszczu skapujących mi za kołnierz. Wokół bagna i mokradła, płasko aż po horyzont, tylko gdzieniegdzie zagajnik nagich drzew.

Nigdy przedtem nie byłem w Broads, nigdy przedtem nie byłem nawet w Norfolk. Ogarnęło mnie dojmujące wrażenie obcości. Popatrzyłem na tę otwartą przestrzeń, zaczerpnąłem zimnego wilgotnego powietrza i poczułem – minimalną – ulgę. Wprawdzie Manham nie wyglądało zachęcająco, ale nie było Londynem, a to już plus.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie, nie zamówiłem też żadnego transportu ze stacji – nie wykazałem się aż tak wielką dalekowzrocznością. Sprzedałem samochód i całą resztę, nie zastanowiwszy się, jak dostanę się do miasteczka. Wtedy jeszcze nie myślałem z pełną jasnością. Choć pewnie gdybym w ogóle poświęcił temu chwilę namysłu, to z wielkowiejską arogancją założyłbym, że zastanę taksówkę, sklep, cokolwiek. Ale nie było ani postoju taksówek, ani budki telefonicznej. Pożałowałem, że pozbyłem się komórki. Podniosłem walizkę i ruszyłem w stronę szosy. Gdy do niej dotarłem, miałem tylko dwie możliwości: prawo lub lewo. Bez wahania skręciłem w lewo. Tak po prostu. Po mniej więcej stu metrach doszedłem do skrzyżowania z wypłowiłym drewnianym znakiem drogowym, przechylonym w dół, jakby wskazywał jakiś ważny punkt pod mokrą ziemią. Ale przynajmniej dowiedziałem się, że idę we właściwym kierunku.

Gdy w końcu doczłapałem do Manham, zaczynało już zmierzchać. Po drodze minęły mnie ze dwa samochody, ale żaden się nie zatrzymał. Oprócz nich pierwszymi oznakami życia było kilka gospodarstw rozrzuconych z rzadka daleko od drogi. Po chwili w półmroku ujrzałem przed sobą kościelną wieżę, jakby do połowy ugrzęzłą



w ziemi. Pojawił się też chodnik, wąski i śliski od deszczu, ale i tak lepszy od krzaczastego pobocza, którym szedłem od stacji. Za kolejnym zakrętem ukazało się miasteczko, dosłownie wyrastając spod ziemi.

Bynajmniej nie wyglądało jak z widokówki. Było za bardzo zabudowane, zbyt tasiemcowate jak na typową angielską prowincję. Na obrzeżach widniało pasmo przedwojennych kamienic, zaraz za nimi zaczynały się kamienne domy ze ścianami przetykanymi nieforemnymi bryłami krzemienia – im bliżej centrum, tym starsze, z każdym krokiem cofałem się w przeszłość. Glazurowane deszczem, wtulały się jeden w drugi, a ich martwe okna łypały na mnie z obojętną podejrzliwością.

Po chwili wzdłuż drogi wyrosły nieczynne sklepy, za którymi jeszcze więcej domów nikło w deszczowym mroku. Minąłem szkołę, pub i doszedłem do skwerku. Aż skrzył się od żonkili, ich rozkołysane deszczem żółte kielichy na tle tej całej burości oszałamiały kolorem. Nad trawą nagie gałęzie rozpinął gigantyczny kasztanowiec. Z tyłu, w otoczeniu porośniętych mchem wykoślawionych nagrobków, wznosił się normański kościół, ten sam, którego wieżę widziałem z szosy. Podobnie jak tamte stare domy, mury upstrzone miał krzemieniem, twardymi kamieniami wielkości pięści, które opierały się działaniu żywiołów. Jednak tynk, w którym je osadzono, nie był tak trwały i nosił ślady działania czasu, a okna i drzwi lekko się spaczyły, podążając za osuwającym się przez wieki gruntem.

Przystanąłem. Na końcu drogi, która biegła przede mną, widać było jeszcze więcej domów. Wyglądało na to, że to wszystko, co Manham ma do zaoferowania. W niektórych oknach paliły się światła, ale poza tym nie było śladów życia. Stałem w deszczu, nie bardzo wiedząc, w którą stronę się udać. Po chwili usłyszałem jakiś hałas i zobaczyłem dwóch ogrodników pracujących na cmentarzu. Nie zważając na deszcz i gasnące światło, grabili trawnik między starymi nagrobkami. Nie spojrzeli, gdy podszedłem.

– Wiedzą panowie, którędy do przychodni? – spytałem z twarzą ociekającą deszczem.

Mężczyźni przerwali pracę i podnieśli na mnie wzrok. Pomimo różnicy wieku byli do siebie podobni, jak dziadek i wnuczek. Na ich twarzach malowała się ta sama łagodna apatyczność, obaj wpatrywali się we mnie spokojnymi chabrowymi oczami. Starszy zrobił kilka kroków w stronę wąskiej alejki obrośniętej drzewami, biegnącej po drugiej stronie skwerku.

– Tędy. Prosto.

Jego akcent, trudno rozróżnialny zlepek samogłosek brzmiący obco dla moich miastowych uszu, był kolejnym dowodem na to, że nie jestem już w Londynie. Podziękowałem ogrodnikom, ale zdążyli powrócić do swoich zajęć. Ruszyłem alejką, krople skapujące z rozpostartych nad nią gałęzi potęgowały łoskot deszczu. Po chwili doszedłem do szerokiej bramy przed wąskim podjazdem. Na słupie wisiała tabliczka z napisem „Bank House”, a pod nią druga, mosiężna, z nazwiskiem „Dr H. Maitland”. Podjazd, wysadzany cisami, biegł łagodnie w górę między zadbanymi rabatkami, po czym opadał na dziedziniec imponującego georgiańskiego domiszcza. Otarłem zabłocone buty o wiekową żelazną klamrę zamocowaną przy drzwiach wejściowych, uniosłem ciężką kołatkę i głośno zastukałem. Miałem uderzyć jeszcze raz, ale drzwi się otworzyły. Wyjrzała z nich korpulentna kobieta w średnim wieku, z nienagannie ułożonymi włosami.

– Słucham? – spytała.

– Ja do doktora Maitlanda.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Przychodnia nieczynna. A pan doktor nie odbywa wizyt domowych.

– Nie, nie o to... Byłem umówiony. – Moje słowa nie wywołały żadnej reakcji. Zdałem sobie sprawę, jak muszę wyglądać po godzinnym spacerze w deszczu. – W sprawie pracy. David Hunter.

Twarz kobiety się rozpromieniła.

– Och, najmocniej przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy. Sądziłam... Proszę wejść. – Cofnęła się, by mnie wpuścić. – Boże jedyny, ależ pan przemókł. Z daleka pan idzie?

– Od stacji.

– Od stacji? Przecież to kilka kilometrów! – Już mi pomagała zdjąć płaszcz. –

Dlaczego pan do nas od razu nie zadzwonił? Wysłalibyśmy kogoś. – Nie odpowiedziałem. Prawda była taka, że nie przyszło mi to do głowy. – Proszę do salonu. Pali się w kominku. Nie, niech pan zostawi walizkę – powiedziała, odwiesiwszy mój płaszcz. Uśmiechnęła się. Dopiero teraz zauważyłem napięcie wymalowane na jej twarzy. To, co wcześniej wziąłem za oschłość, było po prostu zmęczeniem. – Nikt jej nie ukradnie.

Poprowadziła mnie do przestronnego, wyłożonego boazerią pokoju. Naprzeciw kominka, w którym żarzył się stos polan, stał zużyty skórzany chesterfield. Na podłodze leżał perski kobierzec, stary, lecz nadal piękny. Spoza niego wystawały

polakierowane deski podłogowe w kolorze ciemnej umbry. Pachniało sosną i dymem z drewna.

– Niech pan spocznie. Zawiadomię pana doktora. Może herbaty?

Był to kolejny znak, że nie jestem już w mieście. Tam zaproponowano by mi kawę. Podziękowałem, a gdy wyszła, wbiłem wzrok w ogień. Przemarżłem i teraz w jego ciepłe ogarnęła mnie senność. Za oknem zapadł już zmrok. Deszcz dudnił o szyby. Fotel był miękki i wygodny. Powieki same mi się zamykały. Nagle poczułem, że głowa mi opada, i w popłochu zerwałem się na równe nogi. W jednej chwili poczułem się całkiem wyczerpany, fizycznie i psychicznie. Jednak obawa przed zaśnięciem zwyciężyła.

Gdy kobieta wróciła, wciąż stałem przed kominkiem.

– Pan pozwoli za mną... Pan doktor jest w swoim gabinecie.

Poszedłem za nią korytarzem, deski skrzypiały przy każdym kroku. Lekko zapukała do ostatnich drzwi i nie czekając na odpowiedź, uchyliła je poufale. Uśmiechnęła się znowu, wpuszczając mnie do środka.

– Zaraz przyniosę herbaty – powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Mężczyzna siedział przy biurku. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nawet zza biurka wyglądał na wysokiego. Miał grubościstą twarz pooraną bruzdami i gęste włosy, kremowe raczej niż siwe. Kruczoczarne brwi nie pozwalały posądzać go o jakąkolwiek starczą słabość, a osadzone pod nimi oczy były czujne i świdrujące. Obrzucił mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Stropiłem się, uświadomiwszy sobie, że nie prezentuję się najlepiej.

– Dobry Boże, całkiem pan przemókł! – burknął szorstko, ale przyjaźnie.

– Przyszedłem ze stacji piechotę. Nie było taksówki.

Prychnął.

– Nasze piękne Manham jak zawsze gościnne. Trzeba było zawiadomić, że przyjedzie pan dzień wcześniej. Załatwiłbym podwózkę.

– Jak to dzień wcześniej? – powtórzyłem.

– No tak to. Spodziewałem się pana dopiero jutro.

Nagle uświadomiłem sobie, dlaczego sklepy były pozamykane. Była niedziela. Nie zdawałem sobie sprawy, jak zaburzone miałem poczucie czasu. Mężczyzna udawał, że nie zauważa, jak speszzyła mnie ta gafa.

– Nieważne. Jest pan, to jest. Będzie miał pan więcej czasu, by się zdomowić. Henry Maitland. Miło mi poznać.

Podał mi dłoń, nie wstając. Dopiero teraz zauważyłem, że siedzi na wózku inwalidzkim. Podeszedłem, by uścisnąć mu rękę, ale zdążył zauważyć moje wahanie. Uśmiechnął się cierpko.

– Teraz pan rozumie, skąd to ogłoszenie.

Znalazłem je w „Timesie”, w dziale „Praca”, krótka notka, łatwa do przeoczenia. Jednak z jakiegoś powodu to na niej zatrzymałem wzrok. Prowincjonalna przychodnia poszukuje lekarza rodzinnego, umowa na czas określony. Pół roku, z mieszkaniem. Lecz to lokalizacja najbardziej mnie przekonała. Nie żebym jakoś specjalnie marzył o pracy akurat w Norfolk, ale Norfolk leżało daleko od Londynu. Aplikowałem bez większej nadziei czy szczególnego zapału, więc gdy tydzień później otwierałem list, spodziewałem się uprzejmej odmowy. Zamiast tego zaproponowano mi posadę. Musiałem aż dwa razy go przeczytać, zanim to do mnie dotarło. W innych okolicznościach zastanawiałbym się, gdzie jest haczyk. Tylko że w innych okolicznościach w ogóle nie przyszłoby mi do głowy starać się o tę pracę.

Odpisałem, że przyjmuję propozycję.

Teraz patrzyłem na mojego nowego pracodawcę, ponieważ zastanawiając się, w co też się wpakowałem. Jakby czytając mi w myślach, plasnął dłońmi o uda.

– Wypadek samochodowy. – W jego głosie nie było krzty zażenowania czy biadolenia. – Być może za jakiś czas odzyskam częściową władzę w nogach, ale zanim to się stanie, sam tutaj sobie nie poradzę. Przez ostatni rok zatrudniałem miejscowych na zastępstwo, ale mam już tego dość. Co tydzień nowa gęba. Nikomu to nie służyło. Niebawem się pan zorientuje, że zmiany to w Manham rzecz niemile widziana. – Sięgnął po fajkę i tytoń leżące na biurku. – Nie będzie panu szkodzić?

– Nie, o ile nie szkodzi i panu.

Maitland parsknął śmiechem.

– Dobra odpowiedź. Ale nie jestem pańskim pacjentem, proszę o tym nie zapominać – przerwał na chwilę, zbliżając zapalnik do cybucha. – No więc... – podjął, wypuszczając dym. – Będzie to dla pana nie lada zmiana po pracy na uniwersytecie, czyż nie? Nasze Manham to nie Londyn. – Spojrzał na mnie znad cybucha. Czekałem, aż spyta o moje doświadczenie zawodowe. Nie spytał. – Jeśli naszły pana jakieś wątpliwości, to najlepiej wyrzucić je z siebie teraz.

– Nie naszły – odparłem.

Pokiwał głową z zadowoleniem.

– Świetnie. Na razie zatrzyma się pan tutaj. Janice pokaże panu pokój. Spotkamy

się na obiedzie, to omówimy resztę spraw i będzie pan mógł zacząć już jutro. Przychodnię otwieramy o dziewiątej.

– Mogę o coś spytać?

Uniósł wyczekująco brwi.

– Dlaczego zdecydował się pan na mnie?

Męczyło mnie to. Nie na tyle, bym nie przyjął tej pracy, ale jednak.

– Wydawał się pan odpowiednią osobą. Świetne kwalifikacje, doskonałe referencje, gotowość do podjęcia pracy w zapadłej dziurze, i to za marne grosze, które oferuję.

– Spodziewałem się rozmowy kwalifikacyjnej.

Zaciągnąwszy się dymem, zbył moją uwagę machnięciem fajki.

– Na rozmowy trzeba mieć czas. A ja potrzebowałem kogoś, kto może zacząć od razu. Poza tym ufam swojej intuicji.

Miał w sobie jakieś krzepiące poczucie pewności. Dopiero dużo później, nad szklaneczką whisky, gdy już nie było wątpliwości, że zostaję, wyznał mi ze śmiechem, że byłem jedynym kandydatem. Wtedy jednak taka oczywista ewentualność nie przyszła mi do głowy.

– Uprzedzałem pana, że nie mam dużego doświadczenia w medycynie rodzinnej. Skąd pewność, że sobie poradzę?

– A pan jak myśli? Że sobie poradzi?

Odpowiedziałem dopiero po chwili, po raz pierwszy zastanawiając się nad tym pytaniem. Przyjechałem tutaj bez większego namysłu. Chciałem tylko uciec od miejsca i od ludzi, wśród których przebywanie było zbyt bolesne. Znowu pomyślałem o tym, jak się prezentuję. O dzień za wcześniej, przemoknięty do cna. Nie miałem nawet na tyle rozumu, by schować się przed deszczem.

– Tak – odparłem.

– No i świetnie. – Ton miał oschły, ale pobrzmiwała w nim zawadiacka nuta. – Poza tym to tylko czasowa posada. I będę miał pana na oku. – Przycisnął guzik na biurku. Gdzieś w głębi domu odezwał się dzwonek. – Kolację jemy zwykle około ósmej, jeśli wyrobimy się z pacjentami. Niech pan odpocznie. Ma pan ze sobą bagaże czy dojadą później?

– Mam ze sobą. Zostawiłem u pana żony.

Wyglądał na zdziwionego, potem uśmiechnął się niezręcznie.

– Janice to moja gosposia – rzucił. – Jestem wdowcem.

Ciepło pokoju jakby spowijało mnie kokonem.

– To tak jak ja. – Pokiwałem głową.

Tak oto zostałem lekarzem rodzinnym w Manham. Z tej też przyczyny trzy lata później byłem jedną z pierwszych osób, które dowiedziały się o znalezisku w lesie Farnhama. Oczywiście nikt nie wiedział, kim była ofiara, nie na początku. Zważywszy na stan zwłok, chłopcy nie potrafili nawet stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Po powrocie do domu nie wiedzieli już, czy zwłoki były nagie, czy nie. W pewnym momencie Sam powiedział, że to coś miało skrzydła, po czym stropił się i zamilkł, a Neil tylko patrzył pustym wzrokiem. Cokolwiek widzieli, nie mieściło się w żadnych znanych im kategoriach, a teraz ich pamięć odmawiała współpracy. Zgadzała się tylko co do tego, że był to człowiek. Martwy człowiek. I choć ich opis morza czerwi sugerował, że denat lub denatka mieli rany, to dobrze wiedziałem, jak zmarli potrafią nas zwodzić. Nie było powodu, żeby domniemywać najgorsze.

Jeszcze nie wtedy.

Tym dziwniejsze było zachowanie ich matki. Linda Yates siedziała w swoim malutkim salonie, otaczając ramieniem najmłodszego syna, wtulonego w nią i bez większego zainteresowania wpatrującego się w jaskrawy ekran telewizora. Ich ojciec, rolnik, nie wrócił jeszcze z pracy. Zadzwoniła do mnie, gdy chłopcy przybiegli do domu, rozhisteryzowani, nie mogąc złapać tchu. Choć była niedziela po południu, w mieście tak małej i odizolowanej jak Manham nadal się pracowało.

Czekaliśmy na przyjazd policji. Najwyraźniej nie widzieli powodu do pośpiechu, ja jednak czułem się zobligowany pozostać. Podałem Samowi środek uspokajający, niewiele mocniejszy niż placebo, i niechętnie wysłuchałem tej samej historii z ust jego brata. Starłem się nie słuchać. Doskonale wiedziałem, co mogli tam zobaczyć.

Nic, o czym chciałbym sobie przypominać.

Okno w salonie było otwarte na oścież, lecz nie wpadał przez nie żaden podmuch wiatru. Na zewnątrz paliło oślepiające słońce.

– To Sally Palmer – oznajmiła niespodziewanie Linda Yates.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Sally Palmer mieszkała sama na małej farmie tuż za Manham. Atrakcyjna kobieta po trzydziestce, przeniosła się do Manham kilka lat przede mną, odziedziczywszy gospodarstwo po wuju. Nadal hodowała kilka kóz, a dzięki więzom krwi nie była traktowana jak całkiem obca; na pewno mniej niż ja, nawet teraz, po latach. To jednak, że była pisarką, rodziło dystans i sprawiało, że

większość sąsiadów odnosiła się do niej z mieszaniną podziwu i podejrzliwości.

Nie słyszałem, by mówiono o jej zaginięciu.

– Dlaczego pani tak twierdzi?

– Śniła mi się.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Spojrzałem na chłopców. Sam, już spokojniejszy, chyba nie słuchał, ale Neil wpatrywał się w matkę i wiedziałem, że cokolwiek zostanie tu powiedziane, rozniesie się po Manham, jak tylko wyjdę za próg. Moje milczenie uznała za wyraz sceptycyzmu.

– Stała na przystanku, cała we łzach. Spytałam, co się stało, ale nie odpowiedziała. Potem spojrzałam na drogę, a gdy wróciłam do niej wzrokiem, już jej nie było.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Takie rzeczy nie śnią się bez powodu – dodała. – A ta przyśniła się właśnie dlatego.

– Spokojnie, Lindo. Nie wiemy jeszcze kto to. To może być każdy.

Popatrzyła na mnie tak, jakby chciała powiedzieć, że się myślę, ale że nie zamierza się kłócić. Ulżyło mi, gdy rozległo się pukanie do drzwi, oznajmiające przyjazd policji.

Policjantów przyjechało dwóch i obaj byli doskonałym przykładem prowincjonalnej służby mundurowej. Starszy, o rumianej twarzy, co jakiś czas okraszał rozmowę jowialnym mrugnięciem oka, co było mało stosowne w tych okolicznościach.

– No więc co? Podobno znaleźliście zwłoki, dobrze słyszałem? – zagadnął wesoło, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie, wyrażające pobłażliwość człowieka dorosłego dla chłopięcej wyobraźni. Sam wciąż tulił się do matki, a Neil, zastraszonej obecnością władzy mundurowej we własnym domu, mamrotał coś pod nosem w odpowiedzi na pytania policjanta.

Nie trwało to długo. Starszy policjant zamknął notes.

– No dobra, trzeba się przejść i rzucić okiem. Który z was pokaże nam, gdzie to?

Sam jeszcze mocniej przywarł do matki. Neil się nie odezwał, ale twarz mu pobraźla. Opowiadać o tym to jedno. Ale wrócić tam to co innego. Ich matka popatrzyła na mnie z niepokojem w oczach.

– To chyba nie najlepszy pomysł – rzuciłem.

Kretyński, poprawiłem się w duchu. Wystarczająco dużo jednak miałem do czynienia z policją, by wiedzieć, że podejście dyplomatyczne sprawdza się lepiej niż

konfrontacyjne.

– Więc jak mamy je znaleźć, skoro żaden z nas nie zna tej okolicy? – spytał.

– W samochodzie mam mapę. Pokażę panom, którędy iść.

Policjant nie próbował ukryć niezadowolenia. Wyszliśmy na dwór, mrużąc oczy osłepieni nagłą jasnością. Chłopcy mieszkali w ostatnim z rzędu małych domków z kamienia. Samochody zaparkowaliśmy przy alejce. Otworzyłem mojego land rovera, wyjąłem mapę i rozłożyłem na masce. Słońce odbijało się od wysłużonej karoserii, parzącej z nagrzania.

– To jakieś trzy mile stąd. Będziecie musieli zostawić samochód i przejść przez bagno do lasu. Z tego, co mówili, zwłoki są gdzieś tutaj.

Wskazałem na mapę. Policjant chrząknął.

– Mam lepszy pomysł. Może sam pan nas zaprowadzi, skoro mały nie może. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Pan chyba zna okolicę.

Wyraz jego twarzy nie pozostawiał mi wyboru. Powiedziałem, żeby za mną jechali, i odpaliłem silnik. Czuć było rozgrzanym plastikiem. Opuściłem obie szyby do oporu i chwyciłem za kierownicę. Parzyła w dłonie. Gdy zorientowałem się, że ściskam ją tak mocno, że aż zbielały mi knykcie, użyłem całej siły woli, żeby się odprężyć.

Drogi były wąskie i kręte, ale nie jechaliśmy daleko. Zaparkowałem na poślózionej koleinami łacie spieczonej ziemi, ocierając drzwiami o poślótkły żywopłot. Radiowóz, kolebiąc się, zahamował tuż za mną. Policjanci wysiedli. Starszy podciągał spodnie w pasie, młodszy, z twarzą czerwoną od słońca i podrażnioną od golenia, trzymał się trochę z tyłu.

– Przez bagno biegnie ścieżka – powiedziałem. – Zaprowadzi was do lasu. To jakieś kilkaset metrów.

Starszy otarł pot z czoła. Pod pachami na białej koszuli odznaczały mu się ciemne mokre półkola. Roztaczał cierpką woń potu. Zmrużył oczy, spoglądając na widniejący w oddali las, i potrząsnął głową.

– Ech, takie historie w taki upał... Łaskawy pan pewnie nie raczy nas zaprowadzić tam, gdzie to niby jest? – spytał z nadzieją i kpina w głosie jednocześnie.

– Jak dojdziecie do lasu, to będę wiedział tyle co wy – odparłem. – Wypatrujcie larw.

Młodszy zaśmiał się, ale po chwili stropił pod groźnym spojrzeniem tego drugiego.

– Nie powinniście wezwać dochodzeniówki? – spytałem.



Prychnął.

– Podziękuj nam, że nie fatygowaliśmy ich na oględziny jeleniego truchła. Bo zwykle na to wychodzi.

– Chłopcy twierdzą co innego.

– No cóż, pozwoli pan, że sam to ocenię. – Dał znak młodszemu. – Idziemy, miejmy to już za sobą.

Patrzyłem, jak przeciskają się przez szczelinę w żywopłocie i kierują w stronę lasu. Nie prosił mnie, żebym na nich zaczekał. Bo i po co. Doprowadziłem ich najdalej, jak mogłem – reszta to ich robota.

Jednak nie ruszyłem się z miejsca. Wróciłem do samochodu i wyjąłem butelkę wody spod siedzenia. Była ciepła, ale zaschło mi w ustach. Założyłem okulary i oparłem się o zakurzony zielony spojler, patrząc w kierunku lasu. Sylwetki policjantów zdążyły się już rozpląnąć w otwartej przestrzeni bagna. Upał, przesycony brzęczeniem i cykaniem owadów, nadawał powietrzu przydymione, metaliczne zabarwienie. Obok przeleciała roztańczona para ważek. Wziąłem jeszcze jeden łyk wody i zerknąłem na zegarek. Wprawdzie nie miałem dziś dyżuru w przychodni, ale znalazłbym coś lepszego do roboty, niż stać przy drodze i czekać, co też tam znajdują. Pewnie mieli rację. Być może chłopcy widzieli tylko jakąś padlinę. Reszta to dzieło wyobraźni i przerażenia.

A jednak nadal nie ruszałem się z miejsca.

Chwilę później zobaczyłem, że idą w moją stronę. Białe koszule falowały na tle wypłowiałej trawy. Już z oddali dostrzegłem bladość na ich twarzach. Młodszy chyba nie wiedział, że ma na koszuli mokrą plamę wymiocin. Bez słowa podałem mu butelkę wody. Wziął ją z wdzięcznością.

Starszy unikał mojego wzroku.

– Cholera, brak zasięgu – burknął, idąc do radiowozu.

Starał się odzyskać wcześniejszą dezynwolturę, ale nie do końca mu się udawało.

– Więc jednak nie jeleni – odezwałem się.

Rzucił mi ponure spojrzenie.

– Chyba nie ma potrzeby zajmować panu więcej czasu.

Zaczekał, aż wsiądę do swojego samochodu, i dopiero wtedy zadzwonił. Gdy odjeżdżałem, nadal mówił przez radio. Młodszy stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, w rękę bezwładnie trzymając butelkę wody.

Postanowiłem wrócić do przychodni. Myśli furkotały mi w głowie, ale siłą woli

ustawiłem przesłonkę, trzymając je z dala jak muchy. Odganiałem je z wysiłkiem, ale natrętne nie przestawały wybrzękiwać swojej pieśni w mojej podświadomości. Dojechałem do szosy prowadzącej do Manham. Ręka powędrowała mi na kierunkowskaz, ale ją zatrzymałem. Odruchowo podjąłem decyzję, której konsekwencje miałem ponosić przez następne tygodnie, która miała odmienić moje życie. I nie tylko moje. Pojechałem przed siebie. Na farmę Sally Palmer.

## Rozdział 3

Farma była z jednej strony ogrodzona drzewami, a z pozostałych otoczona bagnem. Land rover podskakiwał na koleinach, wzbijając w powietrze tumany pyłu. Zaparkowałem na nierównym bruku, jedynej pozostałości po podwórzu, i wysiadłem. W słońcu połyskiwała wysoka stodoła z blachy falistej. Dom pomalowano na biało i choć farba wypłowiwała i łuszczyła się, to w słońcu nadal była oślepiająco jasna. Po obu stronach drzwi wejściowych wisiały zielone skrzynki na kwiaty, jedyne plamy koloru w tym wyblakłym pejzażu.

Zwykle gdy Sally była w domu, jeszcze zanim zdążyło się zapukać, na powitanie wybiegała Bess, jej rozszczekana border collie. Ale nie dzisiaj. Przez okna też nie było widać znaków życia, ale to nie musiało nic znaczyć. Podeszedłem do drzwi i zapukałem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie mam dobrego pretekstu do odwiedzin. Czekałem, wpatrywałem się w horyzont i zastanawiałem, co powiem, jeśli otworzy. Chyba mogłem po prostu powiedzieć prawdę, ale wtedy wyszedłbym na jakieś medium, jak, nie przymierzając, Linda Yates. Poza tym Sally mogłaby mnie źle zrozumieć, uznać, że powodem mojej wizyty jest coś więcej niż palący niepokój, którego nie potrafiłem wyjaśnić.

Choć nie łączyła nas z Sally zażyła znajomość, to trudno nazwać ją też czysto przygodną. W swoim czasie widywaliśmy się dość często. Nic w tym zresztą dziwnego – oboje byliśmy spoza tego świata, oboje przyjechaliśmy tu z Londynu, łączyła nas wielkowiejska przeszłość. Sally była w moim wieku, otwarta i towarzyska. No i atrakcyjna. Mile wspominałem te kilka wieczorów, gdy umówiliśmy się w pubie na drinka.

Do niczego więcej jednak nie doszło. Gdy wyczułem, że może chcieć czegoś więcej, wycofałem się. Z początku zareagowała zdziwieniem, ale ponieważ sprawy między nami nigdy tak naprawdę nie miały okazji się rozwinąć, nie pojawiło się rozgoryczenie czy zakłopotanie. Gdy na siebie potem wpadaliśmy, wciąż miło nam się gawędziło, ale na tym koniec.

Zadbałem o to.

Jeszcze raz zapukałem do drzwi. Pamiętam, że odczułem ulgę, gdy nie otworzyła. Najwyraźniej gdzieś poszła, co oznaczało, że nie będę musiał tłumaczyć się z mojej wizyty. Szczerze mówiąc, sam nie rozumiałem, co mnie do niej skłoniło. Nie byłem przesądny i w przeciwieństwie do Lindy Yates nie wierzyłem w przeczucia. Tylko że Linda nie mówiła o przeczuciu. Mówiła o śnie. A ja doskonale wiem, jak sugestywne potrafią być sny. Sugestywne i bałamutne.

Odwrociłem się od drzwi i starałem się przekierować myśli na inny tor. Nie ma jej i tyle, rzuciłem w duchu, zły na samego siebie. Co ja sobie wyobrażałem? To, że zginął jakiś autostopowicz czy ornitolog amator, nie znaczy, że wolno mi puszczać wodze fantazji.

Zatrzymałem się w połowie drogi do samochodu. Coś nie dawało mi spokoju, ale dopiero gdy zawróciłem, zorientowałem się co. Chodziło o skrzynki na kwiaty. Rośliny były suche i martwe. Sally nigdy by do tego nie dopuściła. Wróciłem pod drzwi. Ziemia w doniczkach była spieczona na kamień. Nie piła wody od wielu dni, a może jeszcze dłużej. Zapukałem i zawołałem Sally po imieniu. Gdy nie usłyszałem odpowiedzi, nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Możliwe, że mieszkając tutaj, Sally porzuciła ten zwyczaj. Z drugiej jednak strony była z miasta, jak ja, a stare nawyki trudno zmienić. Drzwi zablokowały się na stercie listów. Gdy je pchnąłem, koperty ześlizgnęły się miniaturową lawiną. Przeszedłem nad nimi i skierowałem się do kuchni. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem: wesołe cytrynowożółte ściany, masywne rustykalne meble i kilka elementów świadczących o tym, że Sally nie do końca wyzbyła się swojej wielkowiejskości – elektryczna wyciskarka do soku, ekspres do kawy ze stali nierdzewnej i duży dobrze zaopatrzonej stojak na wino.

Poza nagromadzeniem listów wszystko wydawało się w porządku. Jednak w domu unosiła się zatęchła woń, przepojona słodyczą gnijących owoców. Wydobywała się z glinianej miski stojącej na sosnowym kredensie. Rozkładająca się kompozycja martwej natury: kilka poczerniałych bananów, jabłek i pomarańczy pokrytych białym nalotem pleśni. Zwiędłe kwiaty, już nierozpoznawalne, zwisały bezwładnie z wazonu na stole. Szuflada przy zlewie była do połowy wysunięta, jakby Sally nie zdążyła jej domknąć. Odruchowo podszedłem, by ją wsunąć, jednak się powstrzymałem.

Może wyjechała na wakacje, powiedziałem w myślach. Albo nie miała czasu wyrzucić starych owoców i kwiatów. Jest mnóstwo możliwych wyjaśnień. Ale wtedy

już chyba znałem prawdę, jak Linda Yates.

Zastanawiałem się, czy nie sprawdzić pozostałych pomieszczeń, ale porzuciłem ten pomysł. Widocznie już postrzegałem jej dom jak potencjalne miejsce zbrodni i nie chciałem zadeptywać śladów. Wyszedłem na zewnątrz. Kozy Sally mieszkały w zagrodce na tyłach domu. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym się poważnie zaniepokoił. Były przeraźliwie wychudzone, kilka nadal stało na nogach, ale większość leżała na boku, nieprzytomna albo martwa. Wyjadły prawie całą trawę z zagrody, a gdy podszedłem do metalowego koryta, okazało się, że nie ma w nim wody. Obok walał się szlauch, z którego pewnie je napełniano. Przewiesiłem go przez krawędź koryta i poszedłem na przeciwległy kraniec do hydrantu. Chlusnęła woda i jedna czy dwie kozy przydreptały, żeby się napić.

Sprowadzę weterynarza, ale najpierw zadzwonię na policję, pomyślałem. Wyjąłem telefon, ale nie było zasięgu. Zasięg wokół Manham był jak sito, co sprawiało, że na komórkach nie można było polegać. Odszedłem dalej i pojawiło się kilka kresiek. Już miałem wybrać numer, gdy za zardzewiałym pługiem zauważyłem mały ciemny kształt. Podszedłem niechętnie, przeczuwając, co to może być.

W suchej trawie leżało ciało Bess, martwego owczarka Sally. Wydawała się malutka, futro miała zmierzwione i zakurzone. Odwróciłem się, odpędzając muchy, które opadły mnie, wyczuwszy świeższą pożywkę. Zdążyłem jednak dostrzec, że głowa psa była prawie całkiem odcięta.

Upał zdawał się przybierać na sile. Odruchowo poszedłem z powrotem do samochodu. Powstrzymałem ochotę, by wsiąść i odjechać. Zamiast tego znowu zadzwoniłem. Czekaając na odpowiedź policji, wpatrywałem się w odległą zieloną smugę lasu.

Nie po raz kolejny. Nie tutaj.

W telefonie odezwał się metaliczny głos. Odwróciłem się.

– Chciałbym zgłosić zaginięcie – powiedziałem.

Inspektor Mackenzie był krępy i zawadiackim mężczyzną, może z rok lub dwa starszym ode mnie. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to jego nienaturalnie szerokie bary. Dolna część ciała wydawała się zupełnie nieproporcjonalna – krótkie nogi zakończone absurdalnie rachitycznymi stopami. Wyglądały jak karykatura kulturysty, gdyby nie pękaty zarys brzucha i emanująca z jego osoby groźna aura zniecierpliwienia, która nakazywała brać go na poważnie. Czekałem przy

samochodzie, podczas gdy on i ubrany po cywilnemu sierżant poszli zerknąć na psa. Szli spacerowym krokiem, bez pośpiechu, niemal z obojętnością. To jednak, że zamiast mundurowych przyjechał tu główny inspektor wydziału śledczego, było znakiem, że traktują sprawę poważnie. Po chwili wrócił, a sierżant wszedł do domu sprawdzić pomieszczenia.

– Niech pan jeszcze raz opowie, dlaczego pan tu przyjechał.

Spowijała go woń płynu po goleniu i potu, z ledwie wyczuwalną nutą mięty. Przez rzednące rude włosy prześwitywała mu opalona na czerwono skóra głowy, ale jeśli czuł jakikolwiek dyskomfort, stojąc w pełnym słońcu, to nie dawał po sobie poznać.

– Byłem w pobliżu. Pomyślałem, że wstąpię.

– Z towarzyską wizytą, tak?

– Chciałem się upewnić, że wszystko u niej w porządku.

Nie chciałem mieszać w to Lindy Yates, o ile nie zostaną przyparty do muru. Jako jej lekarz uznałem, że mówi mi to w zaufaniu, a poza tym nie sądziłem, by policjant był zainteresowany tym, co się komu przyśniło. Podobnie zresztą jak ja sam. Tylko że, niezależnie od tego, co mieściło się w naszych kryteriach racjonalności, Sally zniknęła.

– Kiedy widział pan pannę Palmer po raz ostatni? – spytał Mackenzie.

Zastanowiłem się.

– Nie w ostatnich kilku tygodniach.

– Może odrobinę bardziej precyzyjnie?

– Jakieś dwa tygodnie temu w pubie. Na letnim grillu.

– Przyszła tam z panem?

– Nie, ale rozmawialiśmy.

Zdawkowo. Cześć, co u ciebie? W porządku, do zobaczenia. Dość banalne jak na ostatnie pożegnanie. Jeśli tym właśnie to było, zreflektowałem się. Choć wtedy nie miałem już wątpliwości.

– I teraz tak po prostu postanowił ją pan odwiedzić...

– Usłyszałem, że znaleziono zwłoki. Chciałem sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

– Skąd pan ma pewność, że to były zwłoki kobiety?

– Nie mam. Ale uznałem, że nie zaszkodzi, jeśli sprawdzę, czy u Sally wszystko dobrze.

– Jaka łączy was relacja?

– Chyba koleżeństwo.

– Bliskie?

– Raczej nie.

– Sypiacie ze sobą?

– Nie.

– A sypialiście?

Chciałem mu powiedzieć, żeby pilnował swoich spraw. Ale przecież to właśnie robił. W takich okoliczność prywatność to żaden argument, byłem tego świadom.

– Nie.

Patrzył na mnie bez słowa. Odwzajemniłem jego spojrzenie. Po chwili wyjął z kieszeni paczkę miętówek. Gdy nieśpiesznie wkładał cukierek do ust, zauważyłem na jego szyi pieprzyk o dziwnym kształcie. Schował miętówki, nie częstując mnie.

– Więc żadne romanse, czyste koleżeństwo, tak?

– Zналиśmy się, to wszystko.

– I mimo to czuł się pan w obowiązku przyjść i sprawdzić, czy wszystko u niej dobrze. Akurat pan.

– Mieszka tutaj sama. To odludzie, nawet jak na nasze standardy.

– Nie mógł pan do niej zadzwonić?

To mnie zafrapowało.

– Nie przyszło mi to do głowy.

– Ma komórkę? – Odparłem, że tak. – Zna pan numer?

Miałem go w pamięci telefonu. Odszukałem go, wiedząc, o co zaraz mnie spyta, i czując się głupio, że sam o tym nie pomyślałem.

– Zadzwonić? – spytałem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– No raczej.

Czekając na połączenie, czułem na sobie jego wzrok. Zastanawiałem się, co odpowiem, gdy Sally odbierze. Jednak tak naprawdę nie wierzyłem, że to zrobi.

Otworzyło się okno sypialni i wyjrzał przez nie sierżant.

– Proszę pana, w torebce dzwoni telefon.

Zza jego pleców dobiegał cichy sygnał, coś jak elektroniczne pluskanie. Zakończyłem połączenie. Dzwonienie ustało. Mackenzie skinął głową do sierżanta.

– To my. Pracuj dalej.

Sierżant się schował. Mackenzie potarł podbródek.

– To nic nie znaczy – skwitował.

Nie odpowiedziałem.

Westchnął.

– Rany, co za upał. – Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że w ogóle go odczuwa.

– Zejdźmy z tej patelni.

Stanęliśmy w cieniu domu.

– Zna pan kogoś z jej rodziny? – spytał. – Kogoś, kto mógłby wiedzieć, gdzie jest panna Palmer?

– Niestety. Odziedziczyła ten dom, ale o ile mi wiadomo, nie ma w okolicy żadnej rodziny.

– A znajomi? Nie licząc pana?

Mógł być w tym jakiś haczyk, ale trudno powiedzieć.

– Znała ludzi w Manham, ale nie wiem kogo konkretnie.

– Miała kochanka? – spytał, obserwując moją reakcję.

– Nie mam pojęcia. Przykro mi.

Odchrząknął, zerkając na zegarek.

– I co dalej? – spytałem. – Sprawdźcie, czy DNA ciała pasuje do próbki z domu?

Obrzucił mnie spojrzeniem.

– Widać, że zna się pan na rzeczy.

Czułem, jak twarz mi purpurowieje.

– Niespecjalnie.

Cieszyłem się, że nie drążył tematu.

– Nie wiemy jeszcze, czy to miejsce zbrodni. Mamy kobietę, która może zaginęła, a może nie. To wszystko. Póki co nic jej nie wiąże ze znalezionymi zwłokami.

– A pies?

– Może zaatakowało go jakieś zwierzę.

– Z tego, co widzę, rana na gardle wygląda na ciętą, a nie szarpaną. Zrobiło ją ostrze.

Znowu docenił mnie spojrzeniem, a ja zbeształem się w myślach za długi język. Teraz jestem lekarzem. Tylko lekarzem.

– Zobaczymy, co powiedzą koledzy z kryminalistyki – powiedział. – A nawet jeśli to jej zwłoki, to mogła popełnić samobójstwo.

– Sam pan w to nie wierzy.

Już miał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Nie, nie wierzę. Co nie znaczy, że mam wyciągać pochopne wnioski.



Drzwi domu się otworzyły i stanął w nich sierżant, potrząsając głową.

– Nic. Ale w korytarzu i salonie paliło się światło.

Mackenzie pokiwał głową, jakby się tego spodziewał.

– Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać – zwrócił się do mnie. – Wyślemy do pana człowieka, żeby spisał zeznania. Byłbym wdzięczny, gdyby z nikim pan o tym nie rozmawiał.

– Oczywiście.

Próbowałem stłumić irytację, że w ogóle o tym wspomniał. Odwrócił się, mówiąc coś do sierżanta. Ruszyłem w swoją stronę, ale po chwili się zawahałem.

– Jeszcze jedno – rzuciłem. Obrzucił mnie poirytowanym spojrzeniem. – Pieprzyk na pańskiej szyi. To pewnie nic, ale nie zaszkodzi przebadać.

Odszedłem, a oni odprowadzili mnie wzrokiem.

Pojechałem z powrotem do miasteczka, czując się jak otępiały. Droga biegła obok Manham Water, płytkiego jeziora, które rok za rokiem po trochu traciło swoją powierzchnię na rzecz zarastających je szuwarów. Taflę miało gładką jak lustro, naruszoną tylko przez stadko gęsi, które na niej wylądowało. Ani jezioro, ani dopływające do niego z bagien rzeczutki nie nadawały się do żeglugi, a w pobliżu Manham nie było żadnej rzeki, więc zapaleni żeglarze-turyści omijali te rejony, robiąc latem desant na pozostałą część Broads. Choć zaledwie kilka mil dzieliło Manham od sąsiednich miasteczek, zdawało się należeć do jakiejś innej części Norfolk, starszej i mniej gościnnej. Otoczone lasami, łągami i grzędzawiskami, zarówno przenośnie, jak i dosłownie było zamuloną dziurą. Nie licząc sporadycznie zaglądających tu ornitologów amatorów, Manham pozostawione było samo sobie i coraz bardziej pogrążało się w izolacji od świata jak stary dziwak.

Jak na ironię tego wieczoru skąpane w słońcu wyglądało niemal radośnie. Grządki kwietne przed kościołem i na skwerku były niczym kolorowe stemple, jaskrawe do bólu oczu. Starannie pielęgnowane przez starego George'a Masona i jego wnuka Toma – ogrodników, których poznałem tuż po przyjeździe – były dla mieszkańców Manham jednym z nielicznych powodów do dumy. Nawet stojący na skraju trawnika Pomnik Męczennicy został ustrojony girlandą kwiatów przez dzieci z tutejszej szkoły. Było to coroczne święto – dekorowanie starego kamienia młyńskiego, przy którym w XVI stuleciu sąsiedzi ponoć ukamienowali jakąś nieszczęsną kobietę. Według podania, po tym, jak wyleczyła niemowlę z paraliżu, oskarżono ją o czary. Henry

żartował, że tylko w Manham za dobre uczynki dostaje się czapę i że obaj powinniśmy wyciągnąć z tego lekcję.

Nie miałem ochoty wracać do domu, więc skręciłem do przychodni. Często tam bywałem, nawet wtedy, gdy nie miałem dyżuru. W domu zdarzało mi się czuć samotnie, a w przychodni miałem przynajmniej złudzenie pracy. Wszedłem tylnymi drzwiami prowadzącymi do wydzielonej poradni. Stara oranżeria, z powietrzem gęstym i wilgotnym od kwiatów, które Janice pielęgnowała z czułością, służyła teraz za recepcję i poczekalnię. Część pomieszczeń na parterze została zamieniona na prywatne kwatery Henry'ego. Ale te mieściły się w przeciwległej części domu, który był na tyle duży, by pomieścić nas wszystkich. Ja zająłem dawny gabinet Henry'ego. Gdy zamknąłem za sobą drzwi, poczułem kojący zapach starego drewna i pszczelego wosku. Choć od dnia przyjazdu korzystałem z tego pomieszczenia prawie codziennie, to ze starym obrazem olejnym przedstawiającym scenę myśliwską, sekretarzykiem z żaluzjowym zamknięciem i skórzanym fotelem wciąż stanowiło ono bardziej odzwierciedlenie osobowości jego poprzedniego właściciela niż mojej. Na półkach stały stare pisma i książki medyczne, a także inne, mniej typowe dla prowincjonalnego lekarza: dzieła Kanta i Nietzschego, cała półka poświęcona psychologii, która była konikiem Henry'ego. Moim jedynym wkładem w wystrój pokoju był monitor komputera szumiący cicho na biurku, innowacja, na którą po miesiącach pertraktacji Henry w końcu przystał.

Jego stan zdrowia nie poprawił się na tyle, by mógł wrócić do pracy na pełny etat. Tak jak jego wózek inwalidzki, tak samo moja czasowa umowa o pracę przekształciła się w długoterminową. Najpierw została przedłużona, potem, gdy Henry nabrał pewności, że nie będzie już w stanie pracować na własną rękę, zmieniona na umowę partnerską. Nawet samochód, którym jeździłem, należał kiedyś do niego. Był to stary zajęchany land rover defender z automatyczną skrzynią biegów, zakupiony po wypadku, w którym zginęła jego żona Diana, a z którego Henry wyszedł sparaliżowany. Zakup ten był wyrazem nadziei – bo jeszcze wtedy ją miał – że będzie kiedyś mógł prowadzić... i chodzić. Ale nigdy tak się nie stało. I nigdy tak się nie stanie, mówili mu lekarze.

„Konowały – oburzał się. – Dać takiemu biały kitel, a już mu się wydaje, że jest Bogiem”.

W końcu jednak musiał przyznać, że mieli rację. Tak właśnie przejąłem land rovera, a także – krok po kroku – większość jego pacjentów. Na początku dzieliliśmy

pracę mniej więcej po połowie, ale z czasem coraz więcej zostawało dla mnie. Co nie przeszkadzało mu w oczach większości mieszkańców Manham uchodzić za „tutejszego pana doktora”, ale dawno przestałem się tym przejmować. Jeśli chodzi o Manham, to wciąż byłem obcym i pewnie tak już zostanie.

Teraz, w popołudniowym upale, próbowałem wejść na kilka stron medycznych, ale nie mogłem się skupić. Wstałem, by otworzyć okna. Wiatrak na biurku się obracał, hałaśliwie mieląc nabrzmiałe powietrze, lecz ani trochę go nie ochładzając. Otworzenie okien też miało znaczenie wyłącznie psychologiczne. Wyjrzałem na zadbane ogród. Jak cała reszta przyrody był wypalony do cna; krzaki i trawa niemal na oczach usychały od żaru. Graniczył z jeziorem, oddzielonym jedynie niskim wałem chroniącym przed corocznymi zimowymi powodziami. Do małego molo przycumowana była stara łódź Henry’ego, niewielka żaglówka, ale Manham Water było za płytkie na cokolwiek innego. Bynajmniej nie była to cieśnina Solent i choć zdarzały się mielizny i trzciniowiska, przez które nie dawało się przepawić, to i tak obaj lubiliśmy po nim pływać.

Dzisiaj nie było szans na wciągnięcie żagla, jezioro całe zastygło w bezruchu. Z tej perspektywy od nieba oddzielała je tylko cienka linia odległego trzciniowiska. Wszędzie płasko i woda, pustka, która zależnie od nastroju mogła wywoływać ukojenie lub smutek.

Dziś wywołała to drugie.

– Tak mi się zdawało, że cię słyszałem.

Odwróciłem się, gdy Henry wjeżdżał do pokoju.

– Mam kilka spraw do załatwienia – powiedziałem, zbierając rozbiegane myśli.

– Gorąco jak w piecu – wymamrotał, zatrzymując się przed wiatrakiem.

Poza tym, że nie miał władzy w nogach, wyglądał na okaz zdrowia; kremowobiałe włosy okalające opaloną twarz i przenikliwe ciemne oczy.

– Podobno chłopcy Yatesów znaleźli zwłoki. Prawda to? Janice tylko o tym nadawała, gdy przyniosła obiad.

Zwykle w niedzielę Janice przynosiła na przykrytym półmisku to, co ugotowała dla siebie. Henry upierał się, że w niedzielę sam będzie sobie szykował posiłki, ale zauważyłem, że nigdy specjalnie się jej nie przeciwstawiał. Janice była dobrą kucharką i wydaje mi się, że jej uczucia wobec Henry’ego wykraczały poza troskliwość gosposi. Ponieważ nie miała męża, sądziłem, że jej krytykanctwo wobec zmarłej żony Henry’ego wynika przede wszystkim z zazdrości, choć nieraz robiła

aluzje do jakiegoś dawnego skandalu. Jasno dałem do zrozumienia, że mnie to w ogóle nie interesuje. Nawet jeśli małżeństwo Henry'ego nie było idyllą, jak je teraz przedstawiał, nie zamierzałem się zajmować plotkami.

Nie zdziwiłem się jednak, że Janice słyszała o trupie. Pewnie już połowa miasteczka o tym trajkotała.

– W lesie Farnhama – odparłem.

– Pewnie jakiś ptasiarz padł od upału przygnieciony swoim ciężkim plecakiem.

– Pewnie tak.

Na ton mojego głosu uniósł ciemne brwi.

– Więc co innego? Chyba nie chcesz powiedzieć, że to zabójstwo? No, no... trochę by się tu ożywiła atmosfera! – rzucił z uśmiechem, ale szybko spoważniał, gdy mu nie zawtórowałem. – Widzę, że żarty są tu nie na miejscu.

Opowiedziałem mu o wizycie w domu Sally Palmer, z nadzieją, że gdy ubiorę swoje domysły w słowa, nagle wydadzą się mało prawdopodobne. Tak się nie stało.

– Dobry Jezu... – westchnął ciężko Henry, gdy skończyłem. – I policja uważa, że to ona?

– Nie powiedzieli ani tak, ani nie. Chyba jeszcze nie mogą nic zdradzać.

– Co za paskudna historia.

– Może to nie ona.

– Oczywiście, że nie ona. – Henry przyznał mi rację, ale widziałem, że nie wierzy w to tak samo jak ja. – Nie wiem jak ty, ale napiłbym się czegoś mocniejszego

– Dzięki, ja na razie pasuję.

– Oszczędzasz siły na Baranka?

Czarny Baranek był jedynym pubem w Manham. Często tam zaglądałem, ale wiedziałem, że tego wieczoru rozmowy będą się toczyły wokół tematu, którego wolałem nie poruszać.

– Nie, dzisiaj chyba zostanę w domu – odpowiedziałem.

Mieszkałem w starym kamiennym domu na obrzeżach Manham. Kupiłem go, gdy stało się jasne, że zabawię tu dłużej niż pół roku. Henry przekonywał mnie, że mogę zostać u niego, że w Bank House jest miejsca pod dostatkiem. Sama piwnica zmieściłaby moją małą chałupkę. Chciałem jednak pójść na swoje, poczuć, że zapuszczam tu korzenie na stałe. I choć lubiłem nowe miejsce pracy, to nie chciałem w nim mieszkać. Były chwile, gdy potrzebowałem zamknąć za sobą drzwi i zniknąć, licząc, że przez najbliższe kilka godzin nikt nie będzie mnie niepokoił telefonami.

To była jedna z takich chwil. Gdy przejeżdżałem obok kościoła, kilka osób dreptało alejką na wieczorne nabożeństwo. Wielebny Scarsdale witał ich w drzwiach. Był to starszy ponury mężczyzna, za którym nie przepadałem. Urzędował tu jednak od wielu lat i miał paru lojalnych parafian. Pozdrowiłem gestem Judith Sutton, wdowę, która mieszkała ze swoim dorosłym synem Rupertem, tęgim olbrzymem, zawsze człapiącym dwa kroki za władczą matką. Rozmawiała z Lee i Marjory Goodchild, parą drętwych hipochondryków, stałych bywalców przychodni. W ich mniemaniu mój dyżur trwał dwadzieścia cztery godziny na dobę i już się przeraziłem, że zaraz mnie przydybią na improwizowaną konsultację.

Ale tego wieczoru ani oni, ani nikt inny nie próbował mnie nagabywać. Zaparkowałem na spękanej ziemi obok domu i wszedłem do środka. Wewnątrz było duszno. Otworzyłem okna najszerszej, jak się dało, i wyjąłem piwo z lodówki. Wprawdzie nie miałem ochoty iść do Baranka, ale potrzebowałem się napić. Uświadomiwszy sobie jak bardzo, odstawiłem piwo do lodówki i nalałem sobie dzinu z tonikiem.

Wkruszyłem do szklanki trochę lodu, dodałem plasterek cytryny i usiadłem przy małym drewnianym stole w ogrodzie za domem. Patrzyłem poprzez łąkę na las i choć widok nie był tak atrakcyjny jak ten roztaczający się z okien przychodni, to cieszył oko. Piłem powoli, a gdy skończyłem, zrobiłem sobie omlet i też zjadłem na zewnątrz. Upał z lekka ustępował. Niebo pociemniało i nieśmiało pojawiały się na nim pierwsze gwiazdy. Myślałem o tym, co dzieje się kilka kilometrów dalej. Cała aktywność skoncentrowała się tam pewnie na spokojnym dawniej skrawku ziemi, na którym mali Yatesowie natrafili na swoje znalezisko. Próbowałem wyobrazić sobie Sally Palmer bezpieczną i roześmianą, jakby to mogło mieć jakikolwiek wpływ na rzeczywistość. Jednak z jakiegoś powodu nie potrafiłem przywołać jej obrazu. Odsuwając w czasie chwilę, gdy będę musiał położyć się do łóżka i próbować zasnąć, siedziałem tam do czasu, aż ciemnogrnatowy aksamit nieba gęsto upstrzyły rozmigotane iskierki, cętki od dawna martwego światła.

Obudziłem się gwałtownie, mokry od potu i zadyszany. Rozejrzałem się wkoło, nie mając pojęcia, gdzie jestem. Po chwili oprzytomniałem. Stałem nagi, wychylony przez otwarte okno, którego dolna krawędź wpijała mi się w uda. Odsunąłem się chwiejnym krokiem i usiadłem na łóżku. W świetle księżyca biała zmięta pościel wydawała się niemal fosforyzująca. Czekałem, aż serce mi się uspokoi. Łzy powoli

wysychały mi na twarzy.

Znowu przyśnił mi się ten sen.

Zły sen.

Jak zawsze był tak sugestywny, że to świat po przebudzeniu zdawał się iluzją, a on – rzeczywistością. To było najbardziej okrutne. Bo w snach Kara i Alice, moja żona i sześciolatka córka, nadal żyły, widziałem je, rozmawiałem z nimi. Dotykałem ich. W snach mogłem wierzyć, że mamy jeszcze przyszłość, nie tylko przeszłość.

Bąłem się ich. Nie tak jak koszmarów, bo w ich treści nie było nic przerażającego. O nie, wręcz przeciwnie.

Bąłem się ich, bo zawsze następowało przebudzenie.

A wtedy rozpacz i strata były tak żywe jak wtedy, gdy to się stało. Nieraz ocknąłem się w innym miejscu, niż zasnąłem, moje lunatykujące ciało działało bezwolnie. Stojąc, jak teraz, przy otwartym oknie albo na szczycie stromych schodów, nie pamiętając, jak się tam dostałem ani jaki podświadomy impuls mną kierował.

Drąłem, choć nocne powietrze było lepkie i ciepłe. Z dali dochodziło szczekanie samotnego lisa. Po jakimś czasie położyłem się do łóżka, a potem długo gapilem w sufit, aż cienie spłwiałały i ciemność ustąpiła.

## Rozdział 4

**M**gła jeszcze płynęła nad bagnami, gdy młoda kobieta zamknęła za sobą drzwi i rozpoczęła poranny bieg. Lyn Metcalf była wysportowana, biegła lekko i sprężysto. Naciągnięty mięsień łydki już się goił, ale i tak na niego uważała, łagodnymi, miarowymi susami przemierzając wąską alejkę odchodzącą spod jej domu. W połowie drogi na dół skręciła na zarośniętą ścieżkę prowadzącą przez mokradło nad jezioro.

Żdźbła długiej trawy, jeszcze mokre i zimne od rosy, smagały jej nogi. Wzięła głęboki oddech, rozkoszując się porankiem. Nie przepadała za poniedziałkami, ale nie mogła sobie wyobrazić lepszego początku tygodnia. Była to jej ulubiona pora dnia, dopiero potem będzie musiała się martwić saldami na rachunkach rolników i drobnych przedsiębiorców, którzy na jej rady reagują pretensjami, dopiero potem dzień przybierze mniej optymistyczny kształt, dopiero potem zepsują go inni ludzie. Teraz wszystko było jeszcze świeże i wyraziste, zredukowane do rytmicznego uderzania stóp o ziemię i jednostajnego świstu oddechu.

Lyn uważała, że jest w dobrej kondycji fizycznej jak na swoje trzydzieści jeden lat. Była dumna, że potrafi narzucić sobie dyscyplinę, dzięki której utrzymuje formę i nadal dobrze się prezentuje w obcisłych spodenkach i krótkiej koszulce. Nie była jednak na tyle próżna, żeby się tym chełpić. Lubiła biegać, a to ułatwiało sprawę. Lubiła stawiać sobie wyzwania, docierać do swoich granic i iść o krok dalej. Jeśli istniał lepszy sposób na rozpoczęcie dnia, niż wsunąć buty do biegania i pokonać kilka kilometrów, zanim świat obudzi się do życia, to go nie znała.

No dobrze, nie licząc seksu. Ale ten ostatnio stracił swój czar. Nadal było dobrze; sam widok Marcusa zmywającego pod prysznicem pył tynku – woda spływająca po ciemnych włoskach na jego ciele upodabniała je do futerka wydry – nadal wywoływał u niej skurcz w podbrzuszu. Ale gdy poza przyjemnością był w tym inny cel, gasił radość u nich obojga. Zwłaszcza że nie został osiągnięty.

Jak dotąd.

Przeskoczyła przez głęboką koleinę, nie łamiąc rytmu. *Złamać rytm, przerwać cykl, zaburzyć regularność*, pomyślała gorzko. *Tego właśnie bym chciała*. Jeśli chodzi o cykle, jej organizm był wyregulowany jak szwajcarski zegarek. Co miesiąc niezawodnie, niemal co do dnia, zaczynało się znenawidzone krwawienie, oznaczające koniec kolejnego okresu i nowe rozczarowanie. Lekarze twierdzili, że wszystko z nią i Marcusem jest w najlepszym porządku. U niektórych par po prostu trwa to dłużej, nikt nie wie dlaczego. *Próbujcie dalej, mówili*. Więc próbowali, z początku z zapałem, śmiejąc się, że lekarz zalecił im to, do czego i tak nie trzeba ich namawiać. Recepta na seks, żartował Marcus. Jednak dowcipy stopniowo przestawały śmieszyć, zastępowane przez coś, co nie do końca można było nazwać desperacją, jeszcze nie wtedy. Lecz już formował się jej embrion – jeśli nie coś więcej – zaczynając rzucać cień na wszystko inne, podkopywać każdy aspekt ich związku.

Żadne z nich nie chciało tego przyznać. Ale tak właśnie było. Wiedziała, że Marcusowi trudno pogodzić się z tym, że to ona zarabia więcej w swoim małym biurze rachunkowym niż on na budowie. Jeszcze nie zaczęły się wzajemne oskarżenia, ale bała się, że są od nich tylko o krok. Miała świadomość, że jest tak samo zdolna do przypuszczenia ataku jak Marcus. Niby zapewniali się, że nie ma się czym martwić, że nie ma pośpiechu. Jednak starali się już od lat, a za cztery lata ona skończy trzydzieści pięć, czyli będzie w wieku, który zawsze postrzegała jako graniczny. Szybko zrobiła bilans. W sumie czterdzieści osiem cykli menstruacyjnych. Zatrważająco niewiele. Czterdzieści osiem potencjalnych rozczarowań. Tylko że w tym miesiącu było inaczej. W tym miesiącu rozczarowanie spóźniło się o trzy dni.

Szybko stłumiła przypływ nadziei. Było za wcześnie na radość. Nawet jeszcze nie powiedziała Marcusowi, że nie dostała miesiączki. Nie ma sensu budzić w nim próżnych oczekiwań. Poczekaj kilka dni i zrobi test. Na samą myśl poczuła jednak ucisk w trzewiach. *Biegnij, nie filozofuj*, zbeształa się w duchu.

Słońce wschodziło, rozjaśniając niebo. Ścieżka prowadziła wzdłuż wału przy jeziorze, przez trzcinowisko i dalej do lasu. Mgła kłębiła się nad wodą jak dym nad rozpalanym ogniskiem. Ciszę przerywały niewidzialne plaśnięcia skaczących ryb. Uwielbiała to. Kochała lato, kochała ten krajobraz. Urodziła się w Manham, ale potem wyjechała na uniwersytet, dużo podróżowała za granicę. Jednak zawsze wracała. To Boży zakątek, mawiał jej tata. Nie wierzyła w Boga, ale wiedziała, co ojciec miał na myśli.

Zbliżała się do ulubionej części trasy. Ścieżka rozwidlała się i odchodziła do lasu.



Lyn tam właśnie skręciła. Zwolniła, gdy konary drzew zamknęły się nad jej głową, spowijając ją cieniem. W mroku łatwo się było potknąć o korzeń. Tak właśnie naciągnęła sobie mięsień w nodze i musiała na dwa miesiące przerwać bieganie.

Nisko wiszące słońce zaczęło już przebijać się przez mrok, zamieniając baldachim liści w rozświetloną koronkę. Lasy były tu bardzo stare i dzikie, oplecione pnączami pnie drzew i bagniste, zdradliwe podłoże. Przecinała go sieć meandrujących ścieżek, nęcących śmiałków w gęstwinę. Podczas jednego z porannych biegów, niedługo po przeprowadzce, Lyn popełniła błąd i uległa tej pokusie. Minęło kilka godzin, zanim dzięki łutowi szczęścia znowu znalazła się na znanym terenie. Marcus był spanikowany – i wściekły – gdy w końcu zjawiała się w domu. Od tamtej pory trzymała się jednej ścieżki.

W połowie dziesięciokilometrowej trasy Lyn była mała polanka, a na jej środku stał kamienny blok. Może był pozostałością prastarego kamiennego kręgu, a może tylko słupkiem nieistniejącej już bramy. Porośnięty mchem i trawą skrywał w sobie sekrety przeszłości. Nikt nie znał jego historii. Służył jednak jako wygodny punkt orientacyjny i Lyn zawsze witała go pacnięciem dłoni, zanim ruszyła w drogę powrotną. Do polanki zostało najwyżej kilka minut. Oddychając głęboko, ale miarowo, Lyn pomyślała o śniadaniu, by zmotywować się do szybszego biegu.

Nie wiedziała, kiedy naszło ją to dziwne wrażenie. Jakby natężająca się czujność, podświadome żgnięcie, które w końcu uformowało się w świadomą myśl. Nagle las wydał się nienaturalnie cichy. Przytłaczający. W nieruchomym powietrzu stopy zbyt głośno uderzały o ziemię. Starła się zignorować to uczucie, ale nie chciało pierzchnąć. Potęgowało się. Zwalczyła pokusę, by się rozejrzeć. Co też, u licha, się z nią dzieje? Przecież przez ostatnie dwa lata pokonywała tę trasę prawie codziennie. Nigdy wcześniej nie odczuwała niepokoju.

Ale teraz owszem. Po karku przebiegł jej dreszcz, jakby ktoś ją obserwował. *Nie bądź głupia*, strofowała się w myślach. Jednak potrzeba obejrzenia się była coraz silniejsza. Lyn trzymała wzrok na ścieżce. Jedyna żywa istota, jaką do tej pory tu widziała, to jeleni. Tym razem to chyba jednak nie jeleni. *No właśnie: nie ma żadnego jelenia. Ani niczego innego. To tylko twoja wyobraźnia. Okres spóźnia ci się trzy dni i już rzuciło ci się na głowę.*

Myśl ta uspokoiła ją, ale tylko na chwilę. Zaryzykowała krótkie spojrzenie. Zdążyła jedynie zobaczyć ciemne gałęzie i krętą ścieżkę, gdy nagle uderzyła o coś stopą. O mały włos nie upadła, na szczęście udało się jej utrzymać równowagę. Serce

jej łomotało. *Wariatka!* Polanka była już tuż przed nią, nakrapiana światłem oaza w duszącej gęstwinie. Przyspieszyła, klepnęła dłonią szorstką powierzchnię kamienia i szybko zawróciła.

Nic. Tylko drzewa, mroczone i posepne.

*A myślałaś, że co? Leśne skrzaty?* Jednak nie zeszła z łączki. Nie było słyhać śpiewu ptaków, brzęczenia owadów. Las jakby wstrzymał oddech w pełnej zadumy ciszy. Nagle poczuła, że boi się ją przerwać, że nie chce opuszczać sanktuarium polanki i znowu poczuć nad sobą zasklepiające się drzewa. *No i co zrobisz? Przesiedzisz tu cały dzień?*

Nie zastanawiając się dłużej, jeszcze raz odbiła się od kamienia. Pięć minut i znów znajdzie się na otwartej przestrzeni. Łąka, woda, niebo. Widziała je oczami wyobraźni. Niepokój jej nie opuszczał, ale stał się mniej palący. Gęstwiną drzew rzedła, a słońce już się przebijało, oświetlając ścieżkę przed jej stopami. Zaczęła się uspokajać i właśnie wtedy dostrzegła coś na ziemi.

Zatrzymała się w odległości metra. Na środku ścieżki niczym ofiara na ołtarzu leżał rozpostarty martwy królik. Nie, nie królik. Zając, miękkie futerko sklezione miał krwią.

Nie było go tu wcześniej.

Lyn rozejrzała się w popłochu. Drzewa nie dały jednak odpowiedzi na pytanie, skąd mógł się tu wziąć. Obeszła go i zaczęła biec. Lis, pomyślała, gdy odzyskała rytm. Pewnie go wystraszyła. Jednak lis, nawet wystraszony, nie porzuciłby swej zdobyczy. A zając nie wyglądał, jakby ktoś go upuścił. Był starannie ułożony, jakby...

Ktoś zrobił to celowo.

*Nonsens.* Odepchnęła tę myśl i pobiegła dalej ścieżką. Po chwili była już poza lasem, na otwartej przestrzeni, a przed nią rozciągało się jezioro. Niepokój, który czuła jeszcze przed kilkoma minutami, słabł z każdym krokiem, aż w końcu zupełnie ustąpił. W słońcu wszystko to wydało się absurdalne. Wręcz żenujące.

Potem jej mąż Marcus przypomniał sobie, że gdy weszła do domu, w radiu podawali wiadomości. Wkładając chleb do tosterka i krojąc banana, powiedział jej, że kilka kilometrów dalej znaleziono trupa. Lyn musiało coś zaświtać w głowie, już wtedy, bo wspomniała mu o martwym zającu. Ale skwitowała to śmiechem, żartując z tego, że się go wystraszyła. Gdy chleb wyskoczył z tosterka, incydent zdążył odejść w niepamięć.

Kiedy wróciła spod prysznic, już o tym nie mówili.

## Rozdział 5

Mackenzie przyjechał, gdy byłem w połowie porannego dyżuru. Janice powiadomiła mnie o tym, przynosząc kartę kolejnego pacjenta. Nie potrafiła ukryć zaciekawienia.

– Przyszedł do pana jakiś policjant. Inspektor Mackenzie.

Z jakiegoś powodu wcale się nie zdziwiłem. Zerknąłem na kartę. Ann Benchley, osiemdziesięciolatka z artretyzmem. Nasza stała pacjentka.

– Ilu jeszcze czeka? – spytałem, chcąc zyskać na czasie.

– Jeszcze trzech.

– Przekaż mu, że zaraz przyjdę. I wpuść panią Benchley.

Janice wyglądała na zdziwioną, ale nie skomentowała. Wątpliwe, by ktokolwiek w Manham nie słyszał jeszcze o zwłokach. Na razie jednak nikt nie łączył tego z Sally Palmer. Zastanawiałem się jak długo.

Czekając, aż Janice wyjdzie, udawałem, że czytam kartę choroby. Wiedziałem, że Mackenzie nie pofatygowaliby się tutaj, gdyby to nie było coś ważnego, i wątpiłem, by którykolwiek z porannych pacjentów był pilnym przypadkiem.

Nie wiem, dlaczego kazałem mu czekać, chyba tylko po to, by opóźnić moment, kiedy usłyszę to, co ma mi do powiedzenia.

Starałem się o tym nie myśleć, przyjmując pacjentkę. Spojrzałem ze współczuciem na guzowate dłonie pani Benchley, wypisałem receptę, wydając przy tym pocieszające i zupełnie bezużyteczne pomruki, jakich ode mnie oczekiwała, i uśmiechnąłem się z roztertowaniem, gdy zadowolona pokuśtykała do wyjścia. Nie mogłem już tego dłużej odkładać.

– Przyślij go, Janice – powiedziałem.

– Nie wygląda na zadowolonego – ostrzegła mnie.

W rzeczy samej, zadowolony to on nie był. Ze złości aż poczerwieniał na twarzy, a szczęka chodziła mu nerwowo.

– Bardzo pan łaskawy, że zgodził się mnie przyjąć – rzucił z nieskrywanym

sarkazmem.

Miał ze sobą skórzaną teczkę. Bez pytania usiadł naprzeciw mnie i położył ją na kolanach.

– W czym mogę pomóc, panie inspektorze?

– Chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy.

– Wiecie już, czyje to zwłoki?

– Jeszcze nie.

Wyjął paczkę miętówek i wrzucił cukierka do ust. Czekałem. Wystarczająco dobrze znałem policjantów, by nie przejmować się ich zagrywkami.

– Nie sądziłem, że takie rzeczy jeszcze istnieją. Wie pan, lekarze rodzinni, wizyty domowe i te sprawy – rzucił, rozglądając się. Zatrzymał wzrok na półkach z książkami. – Dużo o psychologii. Interesuje się pan?

– To nie moje. Należą do drugiego lekarza.

– Aha. Więc ilu tu macie w sumie pacjentów?

Zastanawiałem się, do czego zmierza.

– Może z pięciuset, sześciuset.

– Aż tylu?

– Manham jest małe, ale rejon całkiem spory.

Pokiwał głową, jakbyśmy ucinali sobie zwykłą pogawędkę.

– Pewnie to nie to samo, co być lekarzem w wielkim mieście, co?

– Chyba tak.

– Brakuje panu Londynu?

Wiedziałem, o co mu chodzi. Nie zdziwiłem się. Tylko poczułem, jak na ramionach osiada mi ciężar.

– Może pan po prostu powie, czego ode mnie chce.

– Po naszej wczorajszej rozmowie trochę sobie poszperałem. Taka praca... – Wbił we mnie chłodny wzrok. – Ma pan imponujące CV. Nietypowe jak na prowincjonalnego lekarza. – Otworzył torbę i zaczął ostentacyjnie przebierać w papierach. – Skończył pan studia medyczne, potem doktorat z antropologii. Młody, ambitny naukowiec. Posada na Uniwersytecie Tennessee, a potem powrót do Anglii jako specjalista w zakresie antropologii sądowej. – Przekrzywił głowę. – Wie pan, za bardzo to nawet nie wiedziałem, co to ta antropologia sądowa, przez dwadzieścia lat byłem zwykłym policjantem. Oczywiście rozumiałem tę część od sądu. Ale antropologia? Zawsze myślałem, że zajmuje się jakimiś przedpotopowymi gnatami.

Coś jak archeologia. Ile to człowiek jeszcze nie wie o świecie...

– Nie chciałbym pana pośpieszać, ale pacjenci czekają.

– Nie zajmę panu więcej czasu, niż to konieczne. Buszując w internecie, znalazłem kilka pańskich artykułów. Ciekawe tytuły. – Podniósł kartkę. – „Chemia rozkładu ludzkich zwłok”. – Opuścił kartkę. – Brzmi bardzo specjalistycznie. Zadzwoiłem do znajomego w Londynie. Jest inspektorem w metropolitalnej. Tak się składa, że o panu słyszał. I tu największa niespodzianka: wygląda na to, że pracował pan jako konsultant dla policji przy kilku śledztwach. W sprawie zabójstw. W Anglii, Szkocji, nawet w Irlandii Północnej. Mój znajomy powiedział, że był pan jednym z nielicznych licencjonowanych antropologów sądowych w kraju. Pracował pan przy masowych grobach w Iraku, Bośni, Kongu. Jego zdaniem był pan ekspertem od ludzkich szczątków. Nie tylko je identyfikował, ale też określał, kiedy nastąpił zgon i z jakich przyczyn. Mówił, że uzupełniał pan robotę patologów.

– I co w związku z tym?

– To, że nie rozumiem, dlaczego nic pan o tym wczoraj nie wspomniał. Gdy dowiedział się, że znaleźliśmy ciało, gdy znalazł pan dowody, że to może być jakaś kobieta z Manham... Przecież miał pan świadomość, że chcemy jak najszybciej ustalić jej tożsamość. – Nie podnosił głosu, ale twarz coraz bardziej mu purpurowiała. – Mój znajomy z Londynu uznał, że to dość dziwne. Oto ja, starszy oficer śledczy w sprawie o zabójstwo, mam przed sobą jednego z najwybitniejszych antropologów sądowych w kraju, który udaje lekarza rodzinnego.

Zachowałem kamienną twarz, mimo że w końcu zaczął mówić o morderstwie.

– Jestem lekarzem rodzinnym – skwitowałem.

– Ale nie tylko, prawda? Więc po co te tajemnice?

– To, co robiłem w przeszłości, nie ma znaczenia. Teraz jestem tylko lekarzem.

Mackenzie wyglądał, jakby się zastanawiał, czy żartuję, czy mówię poważnie.

– Potem zadzwoniłem jeszcze w parę miejsc. Dowiedziałem się, że pracuje pan jako lekarz dopiero od trzech lat. Zwinął pan kramik antropologa sądowego i przyjechał tutaj po tym, jak żona i córka zginęły w wypadku samochodowym. Pijany kierowca z tego drugiego samochodu wyszedł z tego bez szwanku.

Zamarłem. Mackenzie wykazał na tyle taktu, by przybrać zakłopotany wyraz twarzy.

– Nie chciałbym jętrzyć dawnych ran. Gdyby był pan wczoraj ze mną szczery, być może nie musiałbym tego robić. Ale wychodzi na to, że potrzebujemy pańskiej

pomocy. – Wiem, że czekał, aż spytam, na czym ta pomoc miałaby polegać, ale nie zrobiłem tego. – Stan, w jakim są zwłoki, utrudnia ich identyfikację – podjął. – Wiemy, że to kobieta, ale to wszystko. Dopóki nie ustalimy jej tożsamości, będziemy w kropce. Nie możemy rozpocząć normalnego śledztwa, dopóki nie mamy pewności, kim jest ofiara.

– Powiedział pan, że nie macie pewności – odparłem jakby automatycznie. – A więc wiecie, tylko nie na pewno.

– Nadal nie znaleźliśmy Sally Palmer. – Właśnie tego się spodziewałem, mimo to byłem wstrząśnięty. – Kilka osób widziało ją na grillu w pubie, ale nie znaleźliśmy nikogo, kto spotkałby ją potem – kontynuował Mackenzie. – A to było prawie dwa tygodnie temu. Pobraliśmy próbki DNA z ciała i z domu, ale wyniki przyjdą dopiero za tydzień.

– A odciski palców?

– Bez szans. Nie wiemy, czy to z powodu postępującego rozkładu, czy zostały celowo usunięte.

– Zęby?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie dość ich zostało.

– Wyrwano je?

– Można tak powiedzieć. Być może zrobiono to celowo, żeby uniemożliwić identyfikację, ale nie wiemy tego jeszcze.

Potarłem oczy.

– Więc nie ma wątpliwości, że to morderstwo.

– O tak, najmniejszych – odparł ponuro. – Zwłoki są w takim stanie rozkładu, że nie możemy stwierdzić, czy została zgwałcona, ale zakładamy, że raczej tak. A potem zabita.

– W jaki sposób?

Nie odpowiedział, tylko wyjął z teczki dużą kopertę i rzucił ją na biurko. Wysunęły się krawędzie fotografii. Zanim zdałem sobie sprawę, co robię, już po nie sięgałem. W ostatnim momencie odsunąłem kopertę.

– Nie, dziękuję.

– Pomyślałem, że będzie pan chciał zobaczyć.

– Już mówiłem, że nie mogę pomóc.

– Nie może pan czy nie chce?

Potrząsnąłem głową.

– Przykro mi.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym gwałtownie wstał.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – rzucił chłodno.

– Zapomniał pan. – Podąłem mu kopertę.

– Proszę je zachować. Może jednak zechce pan zerknąć na nie później.

Wyszedł. Nadal trzymałem w dłoniach kopertę. Wystarczyło, bym wysunął zdjęcia. Zamiast tego otworzyłem szufladę i wrzuciłem ją do środka, a potem poprosiłem Janice, żeby przysłała następnego pacjenta.

Przez resztę poranka moje myśli wciąż krążyły wokół tej koperty. Podczas każdej rozmowy, każdego badania czułem, że przyciąga je jak magnes. Gdy ostatni pacjent zamknął za sobą drzwi, starałem się skupić na wypełnieniu karty choroby. Skończyłem, wyszedłem i wyjrzałem przez okno. Jeszcze dwie wizyty domowe i wolne popołudnie. Gdyby wiał choć słaby wietrzyk, mógłbym popływać żaglówką po jeziorze. Ale przy tej pogodzie woda stała w martwym bezruchu, który udzielił się i mnie, tu na lądzie.

O dziwo, nie robiło to na mnie wrażenia, gdy Mackenzie grzebał w mojej przeszłości. Czułem, jakby mówił o jakimś innym człowieku. W pewnym sensie tak właśnie było. To jakiś inny David Hunter studiował zagadkową chemię śmierci, oglądał skutki niezliczonych aktów przemocy, wypadków albo jednego i drugiego. Patrzył na czaszkę obnażoną ze skóry jak na najzwyklejszą rzecz pod słońcem, dumny, że ma wiedzę, z której istnienia mało kto zdaje sobie sprawę. To, co dzieje się z ludzkim ciałem, gdy opuszcza je życie, nie stanowiło dla mnie tajemnicy. Byłem obeznany ze wszystkimi postaciami rozkładu, mogłem rozrysować jego postęp w zależności od pogody, rodzaju gleby, pory roku. Nic przyjemnego, owszem, ale niezbędne. Z satysfakcją magika oznajmiałem kto, jak, kiedy. Nigdy nie zapomniałem, że to byli ludzie. Ale tak naprawdę rozumiałem to tylko w abstrakcyjnym sensie; poznawałem ich przecież dopiero po śmierci, nie za życia.

A potem zabrano mi dwie najukochańsze osoby. Żonę i córkę, zabite przez pijanego gnojka, który wyszedł z wypadku bez szwanku. Kara i Alice w jednej chwili z żywych, tryskających energią istot stały się martwą materią organiczną. A ja wiedziałem, wiedziałem z dokładnością niemal co do godziny, jaką fizyczną przemianę przejdą ich ciała. Nie znałem jednak odpowiedzi na jedno pytanie, które stało się moją obsesją i wobec którego cała moja wiedza była bezradna. Gdzie są?



Gdzie podziało się życie, które w nich tętniło? Jak to możliwe, że cała ta witalność, ten duch po prostu przestały istnieć?

Nie pojmowałem tego. I ta niewiedza była nie do zniesienia. Przyjaciele i koledzy z pracy okazywali mi zrozumienie i współczucie, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Najchętniej rzuciłbym się w wir pracy, gdyby nie to, że właśnie ona nieustannie przypominała mi o tym, co utraciłem, stawiała pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

Dlatego uciekłem. Odwróciłem się plecami do wszystkiego, co znałem, odświeżyłem dawno nabytą wiedzę medyczną i ukryłem się tutaj, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Chciałem dać sobie szansę, jeśli nie na życie, to na nową pracę. Taką, w której będę się zajmował żywymi, nie zmarłymi, poprzez którą będę próbował opóźnić tę nieuchronną przemianę, choć ani trochę nie przybliżyłem się do jej zrozumienia. I udawało mi się to.

Aż do teraz.

Podszedłem do biurka i otworzyłem szufladę. Wyjąłem zdjęcia i położyłem je spodem do góry. Tylko spojrzę i oddam Mackenziemu. Do niczego mnie to nie zobowiązuje, tłumaczyłem sobie. Odwróciłem je.

Nie przeczuwałem, że wywrą na mnie tak znajome wrażenie. Nie chodziło tylko o to, co przedstawiały – choć było to wystarczająco szokujące – ale o to, że patrząc na nie, czułem, jakbym cofał się w czasie. Nie zdając sobie z tego sprawy, zacząłem się im bacznie przyglądać.

Fotografii było sześć, zrobiono je pod różnym kątem i z różnej perspektywy. Pośpiesznie przejrzałem jedną po drugiej, po czym wróciłem do początku, by przyjrzeć im się bardziej szczegółowo. Ciało było nagie, leżało twarzą w dół, ręce wyciągnięte do przodu, jakby postać nurkowała w wysokiej trawie. Ze zdjęć nie dało się wywnioskować płci ofiary. Pociemniała rozluźniona skóra ześlizgiwała się jak źle dopasowany silikonowy kombinezon, ale nie to przyciągało wzrok. Sam miał rację. Mówił, że zwłoki miały skrzydła, i tak właśnie było. Po obu stronach kręgosłupa biegły dwa głębokie nacięcia.

Tkwiły w nich dwa białe łabędzie skrzydła upodabniające zwłoki do upadłego, rozkładającego się anioła.

W zestawieniu z gnijącą skórą tworzyły szokująco obsceniczną kompozycję. Patrzyłem na nie jeszcze przez chwilę, potem przeniósłem wzrok na same zwłoki.

Czerwie wysypywały się z ran jak ryż. Nie tylko z tych dwóch dużych na łopatkach, ale z wielu mniejszych rozcięć na plecach, rękach i nogach. Rozkład był daleko posunięty. Upał i wilgoć przyspieszyły ten proces, a zwierzęta i owady dołożyły swoje. Każdy z czynników miał własną historię do opowiedzenia, każdy pomagał ustalić, ile czasu minęło od zgonu.

Na ostatnich trzech fotografiach zwłoki leżały obrócone na plecy. Były na nich drobne rany, a twarz stanowiła bezkształtną masę rozłupanej w drzazgi kości. Poniżej z ziejącej rany na gardle białały chrząstki, twardsze i wolniej się rozkładające niż okrywająca je tkanka miękka. Pomyślałem o Bess, owczarku Sally. Jej też poderżnięto gardło. Jeszcze raz przejrzałem zdjęcia. Gdy przyłapałem się na tym, że szukam na nich czegokolwiek rozpoznawalnego, odłożyłem je. Rozległo się pukanie do drzwi.

Wjechał Henry.

- Janice mówiła mi o wizycie policji. Miejscowi znowu zaniedbują inwentarz?
- Chodziło o wczoraj.
- Aha – zreflektował się. – Jakiś problem?
- Raczej nie.

Co nie do końca było prawdą. Czułem się niezręcznie, nie mówiąc Henry’emu wszystkiego, ale nigdy nie zwierzałem mu się ze swojej przeszłości. Wiedział, że byłem antropologiem, ale jest to dziedzina na tyle szeroka, że może skrywać różne rodzaje grzeszków. Nie mówiłem mu, że pracowałem przy śledztwach. Nie było to coś, o czym miałem ochotę rozprawić. Przebiegł wzrokiem po fotografiach leżących na biurku. Stał za daleko, by dostrzec szczegóły, lecz i tak poczułem się jak przyłapany na gorącym uczynku. Schowałem zdjęcia z powrotem do koperty. Uniósł brwi pytająco.

- Porozmawiamy o tym później, dobrze? – powiedziałem.
- Oczywiście. Nie miałem zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy.
- Nie chodzi o to. Tylko... muszę teraz przemyśleć parę kwestii.
- Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby coś cię gnębiło.
- Nie, wszystko w porządku.

Pokiwał głową, ale nadal patrzył na mnie z zatroskaniem.

- Może pozeglujemy jakoś niebawem? Odrobina ruchu dobrze nam zrobi.

Choć potrzebował pomocy przy wsiadaniu do łodzi, to kiedy już znalazł się na pokładzie, bez problemu wiosłował i nawigował żaglem.

– Jasne. Ale dopiero za kilka dni.

Widziałem, że ma ochotę podrażnić temat, ale się powstrzymuje. Odjechał do drzwi.

– No nic, jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Gdy wyszedł, oparłem się o plecy fotela i zamknąłem oczy. Nie chciałem tego wszystkiego. Ale czy ktokolwiek tego chciał? Ofiara na pewno najmniej. Pomyślałem o zdjęciach i zdałem sobie sprawę, że podobnie jak ona nie mam wyboru.

Razem z kopertą Mackenzie zostawił swoją wizytówkę, jednak nie mogłem się do niego dodzwonić ani na komórkę, ani do biura. Nagrałem wiadomość i się rozłączyłem. Powiedzieć, że podjąwszy w końcu decyzję, poczułem się lepiej, to przesada, ale jakby spadła ze mnie część ciężaru.

Miałem jeszcze poranne wizyty do odbycia. Tylko dwie, żadnych poważnych przypadków: dziecko ze świnką i przykuty do łóżka staruszek, odmawiający przyjmowania pokarmów. Skończyłem w porze lunchu. W drodze powrotnej, gdy zastanawiałem się, czy udać się do domu, czy do pubu, zadzwonił telefon.

Nerwowo chwyciłem za aparat, ale okazało się, że to tylko Janice. Chciała mi przekazać, że dzwonili ze szkoły. Martwią się o Sama Yatesa i proszą, bym go obejrzał. Zgodziłem się. Ucieszyłem się, że mam coś sensownego do zrobienia w oczekiwaniu na telefon od Mackenziego.

Widok policjantów na ulicach Manham był otrzeźwiającym przypomnieniem tego, co się wydarzyło. Ich służbowe mundury kontrastowały z wesołą lekkością rabatek na dziedzińcu kościoła i skwerku. W powietrzu unosiła się aura milczącego podekscytowania. Szkoła wydawała się oazą normalności. Starsze dzieci miały prawie dziesięć kilometrów do najbliższej szkoły średniej, ale dla młodszych zachowała się w Manham podstawówka. Mieściła się w budynku starego kościoła, z podwórzem radośnie połyskującym w słońcu feerią barw. Był ostatni tydzień semestru przed długą przerwą wakacyjną, co podkreślało temperaturę zwykłego amoku przerwy obiadowej. Mała dziewczynka odbiła się od moich nóg, robiąc unik przed goniącą ją koleżanką. Chichocząc, obie pobiegły dalej, tak pochłonięte zabawą, że ledwo mnie zauważyły.

Idąc do gabinetu dyrektora, poczułem znajomy ucisk w trzewiach. Betty, sekretarka, posłała mi radosny uśmiech, gdy zapukałem w uchylone drzwi.

– Dzień dobry, pan do Sama?

Była to drobna kobieta o serdecznej twarzy, która całe życie spędziła w Manham. Nigdy nie wyszła za mąż, mieszkała ze swoim bratem, a dzieci ze szkoły traktowała

jak rodzinę.

– Jak on się trzyma? – spytałem.

Skrzywiła się.

– Jest trochę zdenerwowany. Czeka w gabinecie lekarskim. Drzwi obok.

Gabinet lekarski to określenie nieco na wyrost dla pokoiku z umywalką, kozetką i apteczką. Sam ze spuszczoną głową siedział na kozetce, dyndając nogami. Wyglądał mizernie, jakby zaraz miał się rozpłakać. Siedząca obok młoda kobieta mówiła coś do niego uspokajającym głosem i pokazywała mu książkę. Gdy wszedłem, przerwała z ulgą.

– Dzień dobry, David Hunter, jestem lekarzem – przywitałem się i uśmiechnąłem do chłopca. – Jak się masz, Sam?

– Jest trochę zmęczony – odpowiedziała za niego kobieta. – Chyba coś złego przyśniło mu się w nocy, prawda, Sam?

Zwracała się do niego spokojnym, rzeczowym tonem, bez cienia protekcjonalności. Była chyba jego nauczycielką, ale nie miała tutejszego akcentu i nigdy wcześniej jej nie widziałem. Sam spuścił głowę jeszcze niżej. Ukucnąłem, by spojrzeć mu w oczy.

– Tak było, Sam? Co to za sen? – Po obejrzeniu zdjęć sam mogłem sobie na to odpowiedzieć. Chłopiec nie podnosił głowy i milczał. – No dobrze, pokaż no mi się.

Nie spodziewałem się, by coś mu dolegało fizycznie. Miał lekką gorączkę, ale poza tym był w dobrej formie. Zmierziłem mu włosy i wstałem.

– Zdrów jak ryba. Poczekasz chwilę, a ja porozmawiam z twoją nauczycielką?

– Nie! – odparował w panice.

Kobieta posłała mu ciepły uśmiech.

– Będziemy za drzwiami. Zostawię je uchylone i zaraz do ciebie wrócę, dobrze?

Dała mu książkę. Wziął ją po chwili z ponurą miną. Poszedłem za nią korytarzem. Zgodnie z obietnicą zostawiła otwarte drzwi, ale stanęła na tyle daleko, by nie było nas słychać.

– Przepraszam, że musiał pan się fatygować, ale nie wiedziałam, co robić – powiedziała cicho. – Dostał okropnej hysterii. To do niego zupełnie niepodobne.

Znowu pomyślałem o zdjęciach.

– Słyszała pani, co się wczoraj stało, prawda?

Skrzywiła się.

– Wszyscy słyszeli. W tym właśnie kłopot. Dzieci go wypytywały. To go przerosło.

– Wezwała pani jego rodziców?

– Próbowałam. Nie mogę się z nimi skontaktować pod żadnym z numerów. – Przepraszając wzruszyła ramionami. – Dlatego pomyślałam o panu. Naprawdę się o niego niepokoję.

Widać było, że mówi szczerze. Wyglądała na jakieś dwadzieścia parę, może trzydzieści lat. Jej krótkie blond włosy wydawały się naturalne, ale były o kilka odcieni jaśniejsze od ciemnych brwi, zmarszczonych z niepokojem. Na twarzy miała siateczkę jasnych piegów i delikatną opaleniznę.

– Przeżył wielki szok. Pewnie będzie potrzebował trochę czasu, żeby sobie z tym poradzić – powiedziałem.

– Biedne dziecko. Akurat teraz, gdy idą wakacje. – Zerknęła na otwarte drzwi. – Myśli pan, że będzie potrzebował pomocy psychologa?

Sam się nad tym zastanawiałem. Jeśli nie poprawi mu się za dzień lub dwa, będzie to chyba wskazane. Ale sam kiedyś przeżywałem coś podobnego i wiem, że czasami rozgrzebywanie ran tylko potęguje krwawienie. Być może nie było to nowoczesne podejście do sprawy, ale wolałbym, by chłopak spróbował sam sobie z tym poradzić.

– Zobaczymy, jak się będzie czuł. Może pod koniec tygodnia będzie już biegał jak fryga.

– Miejmy nadzieję.

– Teraz najlepiej zabrać go do domu – powiedziałem. – Dzwoniła pani do szkoły jego brata? Może wiedzą, jak skontaktować się z ich rodzicami.

– Nie, nie pomyśleliśmy o tym.

Wyglądała, jakby sobie to wyrzucała.

– Ktoś będzie mógł się nim zająć do czasu, gdy go odbiorą?

– Ja z nim zostanę. Ktoś zastąpi mnie na lekcji. – Otworzyła szeroko oczy. – Och, przepraszam, nie zdążyłam powiedzieć! Jestem jego nauczycielką!

– Domyśliłem się – odparłem z uśmiechem.

– Rany, w ogóle się nie przedstawiłam, prawda? – Rumieniec tylko podkreślił jej piegi. – Jenny. Jenny Hammond.

Podąła mi dłoń, na wpół odruchowo. Rękę miała ciepłą i suchą. Słyszałem, że na początku roku przyjęli nową nauczycielkę, ale nigdy wcześniej jej nie widziałem. A przynajmniej nie przypominałem sobie tego.

– Zdaje się, że raz czy dwa widziałam pana w Baranku – powiedziała.

– To więcej niż prawdopodobne. Jeśli chodzi o życie nocne, to mamy tu niewielki

wybór.

Uśmiechnęła się.

– Zauważyłam. Ale właśnie dlatego człowiek sprowadza się do takiego miejsca jak to, prawda? Z dala od wszystkiego. – Coś na mojej twarzy musiało zwrócić jej uwagę.

– Przepraszam, nie mówi pan jak ktoś stąd, więc pomyślałam...

– Nie szkodzi, nie jestem tutejszy.

Uspokoila się, ale tylko trochę.

– No nic, muszę wracać do Sama.

Wszedłem do gabinetu razem z nią, żeby pożegnać się z chłopcem i upewnić, że nie potrzebuje środka uspokajającego. Postanowiłem, że odwiedzę go jeszcze wieczorem w domu, powiem jego matce, by przez kilka dni nie posyłała go do szkoły, do czasu, aż pamięć tego, co widział, nie okrzepnie w nim na tyle, by nie jątrzyły jej docinki kolegów. Byłem już w samochodzie, gdy zadzwonił telefon. Tym razem był to Mackenzie.

– Nagrał się pan – zaczął bez ogródek.

Zacząłem mówić w pośpiechu, chcąc jak najszybciej wyrzucić z siebie te słowa.

– Pomogę wam zidentyfikować ciało. Ale nic więcej. Nie zamierzam się dalej w tym babrać, dobrze?

– Jak pan sobie życzy. – W jego głosie trudno się było doszukać wylewnej wdzięczności, ale i moja propozycja nie była wyjątkowo szczodra. – To jak pan chce to rozegrać?

– Muszę obejrzeć miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.

– Zabrali je już do kostnicy, ale możemy się tam spotkać za godzinę...

– Nie, nie chcę oglądać samych zwłok. Tylko miejsce, w którym leżały.

Wyczuwałem jego irytację.

– Ale po co?

Zaschło mi w ustach.

– Żeby pozbierać sobie liście.

Nad bagnem leniwie frunęła czapla, ślizgając się przez chłodne powietrze. Była tak duża, że aż dziw, że utrzymywała się w locie, prawdziwy olbrzym w porównaniu z mniejszym ptactwem wodnym, na które rzucała cień. Zmieniła kąt nachylenia skrzydeł, zwróciła się w stronę jeziora i wylądowała, dwukrotnie uderzywszy skrzydłami. Arogancko potrząsając głową, dostojnie przeszła przez płyciznę, po czym znieruchomiła w skamieniały pomnik na nogach cienkich jak trzcina.

Niechętnie odwróciłem głowę, słysząc, że zbliża się Mackenzie.

– Proszę – powiedział, podając mi zalakowaną plastikową torebkę. – Niech pan to włoży.

Wyjąłem biały papierowy kombinezon i wciągnąłem go przez buty, uważając, by nie rozerwać cienkiego materiału. Ledwo go zapiąłem, a już zacząłem się pocić. Ogarnęło mnie niepokojąco znajome wrażenie nieprzyjemnej wilgoci.

Jakbym cofnął się w czasie.

Odkąd zobaczyłem Mackenziego na tym samym odcinku drogi, gdzie dzień wcześniej przyprowadziłem policjantów, doznawałem niemijającego déjà vu. Teraz po jej obu stronach stały radiowozy i duże przyczepy mieszczące mobilne centrum koordynacyjne. Gdy już miałem na sobie kombinezon i papierowe buty, w milczeniu ruszyliśmy ścieżką biegnącą przez mokradła, którą teraz opasano równoległymi wstęgami taśmy policyjnej. Wiedziałem, że Mackenzie chce spytać, co zamierzam, i wiedziałem, że zdradzenie się przede mną z tą ciekawością poczytałby za oznakę słabości. Ale ja wcale nie miałem ochoty na idiotyczne próby sił, po prostu odwlekałem moment, w którym będę musiał zmierzyć się z tym, po co tu przyszedłem.

Porośnięte trawą miejsce, w którym znaleziono zwłoki, odgrodzono jeszcze większą ilością taśmy. W środku roilo się od śledczych, anonimowych

i nierozróżnialnych w białych kombinezonach. Znów poczułem ukłucie niechcianych wspomnień.

– Gdzie, do pioruna, jest maść mentolowa? – rzucił Mackenzie, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Jakaś kobieta podała mu słoiczek. Rozsmarował odrobinę maści pod nosem, a potem zaproponował ją mnie.

– Zabrali zwłoki, a nadal czuć.

Kiedyś byłem tak przyzwyczajony do woni nieodłącznych od mojej pracy, że nie robiły na mnie wrażenia. Ale to było dawno. Nałożyłem maść nad górną wargą i wsunąłem dłonie w ciasne gumowe rękawiczki.

– Jest też maseczka, jeśli pan sobie życzy – dodał Mackenzie.

Odruchowo potrząsnąłem głową. Nie lubiłem maseczek i zakładałem je tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

– No to zapraszam.

Schylił się i przeszedł pod taśmą. Ja za nim. Policjanci przeczesywali trawę. Kilka małych chorągiewek zatkniętych w ziemię wskazywało miejsca, gdzie znaleziono ewentualne dowody. Wiedziałem, że większość z nich okaże się bez znaczenia – papierki od cukierków, niedopałki, kawałki zwierzęcych kości, niemające nic wspólnego z tym, czego szukali. Ale na tym etapie nie mieli jeszcze pojęcia, co jest ważne, a co nie. Wszystko zapakują w torebki i zabiorą do laboratorium.

Kilka osób spojrzało na nas z zaciekawieniem. Mnie jednak interesował tylko skrawek ziemi pośrodku, z trawą poczerniałą, jakby wyżartą przez ogień. Ale to nie słońce ją wypaliło. I doszło coś jeszcze: silny fetor, przedzierający się nawet przez osłonną warstewkę mentolu, nie do pomylenia z niczym innym. Mackenzie wrzucił do ust miętówkę i schował paczkę, nie częstując mnie.

– Przedstawiam wam doktora Huntera – powiedział do policjantów, rozgryzając cukierka. – Antropolog sądowy. Pomoże nam zidentyfikować zwłoki.

– No to będzie się musiał postarać – rzucił jeden z nich. – Bo ich tu nie ma.

Rozległ się śmiech. Na tym polegała ich praca i nie znosili, gdy ktoś z zewnątrz wchodził im w paradę. Zwłaszcza cywil. Już wcześniej spotkałem się z taką postawą.

– Doktor Hunter dołączył do nas na prośbę głównego inspektora Ryana. Liczę, że w razie potrzeby będziecie mu służyć pomocą.

W głosie Mackenziego pobrzmiwała szorstkość i po nagle sposepniałych twarzach domyśliłem się, że nie zostało to dobrze przyjęte. Było mi wszystko jedno.



Kucałem nad skrawkiem martwej trawy.

Zachowała nieostry kształt ciała, które na niej leżało, kontur zgnilizny. Na ziemi wiło się jeszcze kilka czerwi, a białe skrzydła ścieliły się na poczerniałych zgniecionych źdźbłach niczym połacie śniegu. Przyjrzałem się bliżej jednemu z nich.

– To na pewno łabędzie?

– Raczej tak – odparł jeden ze śledczych. – Wysłaliśmy je do ornitologa, żeby się upewnić.

– A próbki ziemi?

– Są już w laboratorium.

Sprawdzając zawartość żelaza w glebie, można określić, jaką ilość krwi wchłonęła. Jeśli ofierze poderżnięto gardło w tym samym miejscu, gdzie ją znaleziono, poziom żelaza będzie wysoki, jeśli zaś okaże się niski, oznacza to, że ranę zadano po śmierci albo denata zabito gdzie indziej, a tutaj tylko porzucono zwłoki.

– A robaki? – spytałem.

– Myśli pan, że pierwszy raz to robimy?

– Nie. Po prostu chcę się dowiedzieć, na czym stoimy.

Demonstracyjnie westchnął.

– Pobraliśmy próbki robaków.

– I co?

– Zdaje się, że to czerwie.

Kilka osób parsknęło śmiechem. Spojrzałem na Mackenziego.

– A co z poczwarkami?

– A co ma być?

– Jakiego były koloru? Jasne? Ciemne? Były puste pancerzyki?

W odpowiedzi tylko wywrócił oczami. Tym razem nie było chichotów.

– A żuki? Dużo było na ciele?

Wbił we mnie wzrok, jakby miał do czynienia z szaleńcem.

– To jest śledztwo w sprawie o morderstwo, a nie lekcja biologii!

Widać było, że jest ze starej szkoły. Ci bardziej postępowi chętnie uczą się nowych technik i są otwarci na wszelką wiedzę, jaka może okazać się pomocna. Ale i tam zawsze znajdzie się kilku, którzy pozostaną oporni na wszystko, co nie pasuje do ich utartych schematów. Spotykałem takich co jakiś czas. Najwyraźniej tutaj też miałem z nimi do czynienia.

– Każdy owad ma własny cykl rozwojowy. Tutaj mamy w większości larwy

muchy plujki. Niebieskiej i zielonej. Jeśli na zwłokach są otwarte rany, samice przylatują niemal natychmiast. Za dnia w ciągu godziny składają jaja.

Pogrzebałem w ziemi i wyjąłem nieruchomą larwę. Pokazałem mu na wyciągniętej dłoni.

– Za chwilę będzie się przepoczwarzać. Z wiekiem ciemniej. Ta ma jakieś siedem lub osiem dni. Nie widać panczyków, co znaczy, że poczwarki jeszcze się nie wylęgły. Pełny cykl rozwojowy muchy plujki trwa dwa tygodnie, co by oznaczało, że zwłoki były tu krócej. – Rzuciłem robaka z powrotem na ziemię. Pozostali policjanci przerwali pracę i słuchali. – No więc w tym wypadku na podstawie wyglądu owadów można stwierdzić, że od śmierci upłynął tydzień, do dwóch. Zakładam, że wiecie, co to? – spytałem, wskazując na ślady żółtawej substancji widoczne na źdźbłach.

– Produkt rozkładu – rzucił chłodno jeden z policjantów.

– Zgadza się. To woskotłuszcz. Wosk trupi, jak go dawniej nazywano. Najprościej mówiąc, jest to mydło powstałe z kwasów tłuszczowych w procesie rozkładu białka mięśni. Ziemia nabiera wtedy odczynu zasadowego, a trawa obumiera. Ten tutaj kruszy się i sypie. Co znaczy, że rozkład postępował dość szybko, bo jeśli zachodziłby powoli, wosk byłby miększy. A więc wszystko jest tak, jak można oczekiwać w przypadku zwłok leżących na dworze, w upale, noszących wiele ran, przez które dostają się bakterie. Mimo to wosku nie ma jeszcze dużo, co tylko potwierdza, że od śmierci upłynęło mniej niż dwa tygodnie.

Zapadła cisza.

– Ile mniej? – odezwał się w końcu Mackenzie.

– Na razie nie da się powiedzieć. – Spojrzałem na gnijące rośliny i wzruszyłem ramionami. – Obstawiałbym, że dziewięć, dziesięć dni, nawet przy szybkim tempie rozkładu. Gdyby minęło dużo więcej, to w tej temperaturze mielibyśmy już szkielet – odparłem.

Przeczesałem wzrokiem martwą trawę, licząc, że dojrzę to, co miałem nadzieję znaleźć.

– W jakim kierunku zorientowane było ciało? – spytałem jednego z techników.

– W jakim kierunku co?

– Z której strony leżała głowa.

Ponuro wskazał palcem.

Przywołałem w pamięci zdjęcia: ofiara miała ręce wyciągnięte do góry. Przeszedłem kilka kroków dalej. Na kawałku wyschniętej trawy nie natrafiłem na to,

czego szukałem, więc przeniosłem się jeszcze dalej, starannie rozdzielając źdźbła, by zobaczyć, co jest u ich podstawy.

Zacynałem już wąpić, że to znajde, sądząc, że stało się łupem jakiegoś padlinożercy, lecz nagle... niespodzianka.

– Poproszę torebkę.

Zaczekałem, aż mi ją podano, potem sięgnąłem w trawę i ostrożnie podniosłem brązowy zasuszony strzępek. Schowałem go do torebki i zamknąłem ją.

– Co to? – spytał Mackenzie, wychylając szyję, by spojrzeć.

– Jakiś tydzień po śmierci skóra zaczyna się obluźowywać. Dlatego jest taka pomarszczona, jakby źle dopasowana. Zwłaszcza na rękach. W końcu całkiem się ześlizguje, jak rękawiczka. Łatwo ją przeoczyć lub wziąć za liście. – Podniosłem przezroczystą torebkę z fragmentem przypominającej pergamin tkanki. – Mówił pan, że potrzebuje odcisków palców.

Mackenzie gwałtownie odwrócił głowę.

– Żartuje pan!

– Ani trochę. Nie wiem, czy to pochodzi z prawej czy z lewej dłoni, ale drugi fragment też powinien tu być, chyba że coś go zjadło. Poszukajcie.

Technik prychnął.

– A jak niby mamy z tego zdjąć odciski? – zapytał. – Przecież to jakiś susz!

– Spokojnie, to całkiem proste – odparłem, zaczynając mieć z tego frajdę. – Jak z zupką chińską, wystarczy dodać wody.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

– Trzeba namoczyć na noc. Gdy nasiąknie wodą, da się naciągnąć na dłoń jak rękawiczka. Odciski powinny być na tyle wyraźne, by można je porównać. – Podałem mu torebkę. – Powierzyłbym to zadanie komuś o drobnych dłoniach. I proszę nie zapominać o gumowych rękawiczkach!

Zostawiłem go ze wzrokiem wbitym w torebkę i przeszedłem pod taśmą. Chyba zaczęli się przekonywać do moich „nowinek”. Z ulgą ściągnąłem kombinezon i buty ochronne. Mackenzie podszedł, gdy je pakowałem. Kręcił głową.

– Całe życie się człowiek uczy. Gdzie pan się tego dowiedział?

– W Stanach. Kilka lat pracowałem na wydziale antropologii sądowej w Tennessee. Na Farmie Trupów, jak ją nazywają. To jedyne miejsce na świecie, gdzie na ludzkich zwłokach bada się procesy rozkładu. Ile czasu trwa w różnych warunkach, jakie czynniki na niego wpływają. Uczą tam FBI, jak się obchodzić ze

szczątkami ludzkimi. – Skinąłem głową w stronę szefa ekipy, który nerwowo wykrzykiwał polecenia. – Przydałby się im ktoś taki.

– Mała szansa. – Mackenzie walczył ze swoim kombinezonem. – Nienawidzę tego dziadostwa – wymamrotał, otrzepując się. – Więc myśli pan, że zgon nastąpił dziesięć dni temu?

Zdjąłem rękawiczki. Woń lateksu i spoczonej skóry przywołała więcej wspomnień, niżbym sobie życzył.

– Dziesięć, może dziewięć. Ale to nie znaczy, że zwłoki leżały tutaj cały czas. Może je tu przyniesiono. Ale to pewnie ustalą pańscy technicy.

– Mógłby ich pan wspomóc.

– Przykro mi, ale umawialiśmy się, że pomogę wam zidentyfikować zwłoki, i to wszystko. Jutro powinniście mieć jako takie rozeznanie, kim była ofiara.

Albo kim nie była, dodałem w duchu. Mackenzie najwyraźniej czytał mi w myślach.

– Wszczęliśmy dochodzenie, żeby znaleźć Sally Palmer – oznajmił. – Żadna z przesłuchanych przez nas osób nie widziała jej od czasu grilla. Dzień potem panna Palmer miała odebrać zamówienie w sklepie spożywczym i nigdy się po nie nie zjawiała. Miała też w zwyczaju dzwonić co rano do kiosku po gazety. Namiętna czytelniczka „Guardiana”, jak się okazuje. Ale te też przestała odbierać.

Narastało we mnie jakieś mroczne, nieprzyjemne uczucie.

– Nikt tego nie zgłosił aż do teraz?

– Wychodzi na to, że nie. Chyba nikt za nią nie tęsknił. Wszyscy myśleli, że gdzieś wyjechała albo że jest zajęta pisaniem. Kioskarz powiedział, że nie traktowano jej jak tutejszej. Tak to już jest w zamkniętych społecznościach, prawda?

Nie potrafiłem nic odpowiedzieć. Ja też nie zauważyłem jej nieobecności.

– To wcale nie oznacza, że to ona. Grill był prawie dwa tygodnie temu. Kobieta, którą znaleźliście, zabito później. A co z komórką Sally?

– A co ma być?

– Gdy do niej zadzwoniłem, nadal działała. Gdyby Sally zaginęła dwa tygodnie temu, bateria już by padła.

– Niekoniecznie. To nowy model, bateria potrafi dotrzymać do czterystu godzin. Czyli prawie szesnaście dni. Jeśli leży sobie w jej torbie nieużywana, może jeszcze działać.

– Mimo wszystko to może być ktoś inny – upierałem się, choć sam w to nie

wierzyłem.

– Możliwe. – Jego ton sugerował, że jest jeszcze coś, czym nie chce się ze mną podzielić. – Ale kimkolwiek ona jest, musimy się dowiedzieć, kto ją zabił.

Co do tego nie było wątpliwości.

– Myślicie, że to ktoś stąd? Z Manham?

– Nic jeszcze nie myślimy. Ofiara mogła być autostopowiczką; zabójca mógł tu przyjechać i porzucić zwłoki. Za wcześnie, by coś jednoznacznie stwierdzić. – Wziął głęboki oddech. – Niech pan posłucha...

– Odpowiedź brzmi: nie.

– Nawet pan nie wie, o co chciałem spytać.

– Owszem, wiem. O pomoc przy jeszcze jednej rzeczy. A potem przy jeszcze jednej i jeszcze jednej. – Odmownie pokręciłem głową. – Już się tym nie zajmuję. Są w tym kraju od tego specjaliści.

– Nieliczni. A pan był najlepszy.

– Już nie jestem. I zrobiłem, co mogłem.

Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem.

– Czyżby?

Odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie, bym sam wrócił do samochodu. Odjechałem, ale tylko na tyle daleko, by zniknąć z zasięgu wzroku. Nie mogłem zapanować nad drzeniem dłoni, więc zatrzymałem się na drodze. Nie mogłem złapać oddechu. Oparłem głowę o kierownicę, starając się nie łykać powietrza, bo hiperwentylacja tylko pogorszyłaby sprawę.

W końcu atak paniki minął. Przepełniona koszula przyklejała mi się do skóry, ale nie ruszyłem, dopóki nie usłyszałem trąbienia za plecami. Gdy spojrzałem, kierowca gniewnie zamachał, bym usunął się z drogi. Podniosłem rękę w przeproszającym geście i odjechałem.

Gdy dotarłem do Manham, byłem już spokojniejszy. Nie czułem głodu, ale wiedziałem, że powinienem coś przekąsić. Zatrzymałem się przed sklepem, jedynym w okolicy, który mógłby uchodzić za supermarket. Chciałem kupić kanapkę, zabrać ją do domu i przed wieczornym dyżurem odpocząć z godzinę lub dwie, by uporządkować myśli. Mijając aptekę, nieomal zderzyłem się z wychodzącą z niej kobietą. Była to jedna z pacjentek Henry'ego, z grona tych lojalnych, które wołały czekać, byleby dostać się do niego. Przyjąłem ją raz, gdy Henry miał wolne, ale nie pamiętałem, jak się nazywa.

Lyn, przypomniałem sobie w końcu. Lyn Metcalf.

– Ojej, przepraszam – powiedziała, przyciskając do piersi paczuszkę.

– Nic się nie stało. Jak się pani miewa?

Posłała mi promienny uśmiech.

– Doskonale, dziękuję.

Pamiętam, że gdy oddalała się ulicą, pomyślałem, jak to miło zobaczyć kogoś, kto ma szczęście wymalowane na twarzy. A potem nie wracałem już do niej myślami.

Lyn dotarła na wał biegnący przez trzciniowisko później niż zwykle, ale poranek był jeszcze bardziej mglisty niż poprzedniego dnia. Nad światem zalegała mleczna smuga, wijąca się wokół mętnych kształtów, nierozpoznawalnych dla wzroku. Przerzednie dopiero później, a koło południa dzień będzie już jednym z najgorętszych w roku. Ale teraz było chłodno i wilgotno, a wizja słońca i gorąca zdawała się odległa.

Lyn czuła się zeszywniała i poirytowana. W nocy do późna oglądali z Marcusem film i teraz jej ciało zgłaszało protest. Z wielkim trudem zwlokła się z łóżka, gderając coś do męża, który tylko odburknął i zamknął się pod prysznicem. Teraz, na dworze, mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. *Wybiegaj to. Poczujesz się lepiej*, rzuciła w duchu. Skrzywiła się. *Aha, jasne*.

Aby odwrócić uwagę od wysiłku fizycznego, pomyślała o paczusce, którą ukryła w szufladzie komody, pod biustonoszami i majtkami, licząc, że tam Marcus na pewno jej nie znajdzie. Jej bielizna interesowała go tylko wtedy, gdy Lyn prezentowała ją na sobie.

Wchodząc do apteki, nie zamierzała kupować testu ciążowego. Lecz gdy zobaczyła go na półce, pod wpływem impulsu wrzuciła jeden do koszyka, razem z opakowaniem tamponów. Cały czas miała jednak wątpliwości. W miejscu takim jak Manham trudno jest utrzymać cokolwiek w tajemnicy, a taki zakup mógł oznaczać, że jeszcze tego samego wieczoru cała wieś będzie posyłać jej porozumiewawcze spojrzenia.

Ale w sklepie nie było żywego ducha, a przy kasie stała tylko znudzona dziewczyna. Była tu nowa, obojętna na wszystkich powyżej osiemnastego roku życia i mało prawdopodobne, by w ogóle zwróciła uwagę na to, co Lyn kupuje, a co dopiero uznała to za powód do plotek. Z wypiekami na twarzy Lyn podeszła do kontuaru i zaczęła nerwowo szukać w torebce pieniędzy, a nastolatka apatycznie nabiła test ciążowy na kasę.

Wychodząc w pośpiechu i ciesząc się jak dziecko, Lyn wpadła prosto na lekarza.

Tego młodszego, nie doktora Henry'ego. Tylko doktora Huntera. Cichy mężczyzna, ale całkiem przystojny. Swoim przyjazdem wzbudził nie lada poruszenie wśród młodszych kobiet, choć sprawiał wrażenie, jakby było mu to obojętne. Rany, ależ wstyd. Pewnie sobie pomyślał, że jest stuknięta, bo szczerzy się do niego jak idiotka. Albo jeszcze gorzej, uzna, że na niego leci. Na myśl o tym znowu zachciało jej się śmiać.

Bieg zaczynał objawiać swoje dobroczynne działanie. Jej ciało w końcu się rozluźniało, krew krążyła, a przykurcze i bóle mięśni ustępowały. Las był tuż przed nią, lecz gdy na niego spojrzała, jakieś mroczne skojarzenie obudziło się w jej podświadomości. Z początku, rozkojarzona wspomnieniem incydentu w aptece, nie mogła go przyszpilić. Ale w końcu się ukonkretniło. Przypomniała sobie martwego zająca, którego poprzedniego dnia znalazła na ścieżce. Jakoś całkiem wypadło jej to z głowy. I to wrażenie, że ktoś w lesie ją obserwował.

Nagle odechciało jej się tam biec, zwłaszcza we mgle. *Bzdura*, pomyślała, starając się tym nie przejmować. Mimo to dobiegając do krawędzi lasu, odruchowo zwolniła. Gdy zdała sobie z tego sprawę, cmoknęła z irytacją i znowu przyspieszyła. Dopiero przed samą linią drzew przypomniała sobie, że znaleziono zwłoki kobiety. Ale to daleko stąd, przekonywała się w myślach. A poza tym morderca musiałby być masochistą, żeby przychodzić tu tak wcześnie rano, skwitowała z przekąsem. Po chwili otoczyła ją gęstwina drzew.

Odczuła ulgę, gdy złe przecucia z poprzedniego dnia się nie zmaterializowały. Las był znowu tylko lasem. Ścieżka była pusta, martwy zając stał się już pewnie ogniwem łańcucha pokarmowego. Tak to już jest w przyrodzie. Zerknęła na stoper na nadgarstku, była minutę czy dwie do tyłu w stosunku do swojego zwykłego czasu, i widząc w dali polankę, przyspieszyła. Ciemny kształt stojącego kamienia majaczył już we mgle. Już prawie do niego dobiegła, gdy zauważyła, że coś się nie zgadza. Światło i cień przybrały wyraziste kontury i nagle stanęła jak wryta.

Do kamienia przywiązano martwego ptaka. Kaczkę krzyżówkę, szyję i łapki omotano jej drutem. Ochłonawszy, Lyn rozejrzała się w popłochu. Nic, co zwracałoby uwagę. Tylko drzewa. I martwa kaczka. Otarła pot z czoła i jeszcze raz na nią spojrzała. W miejscu, gdzie drut wrzynał się w ciało, pióra pociemniały od krwi. Nie wiedząc, czy powinna ją odwiązać czy nie, nachyliła się, by się jej lepiej przyjrzeć.

Ptak otworzył oczy.

Lyn krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Kaczka zaczęła się miotać, przez co jeszcze



bardziej się raniła, dziko uderzając skrzydłami i szarpiąc główką drut ściskający jej szyję. Jednak Lyn nie mogła się zmusić, by do niej podejść. Umysł w końcu zaczął funkcjonować i uzmysłowiła sobie związek między kaczką a zającem położonym na ścieżce, jakby specjalnie po to, by go zobaczyła. Nagle uświadomiła sobie coś jeszcze ważniejszego.

Skoro ptak wciąż żyje, to znaczy, że nie wisi tu długo. Ktoś zrobił to niedawno.

Ktoś, kto wiedział, że ona go znajdzie.

Jeszcze sobie wmawiała, że to tylko wyobraźnia, ale pędziła już ścieżką w stronę domu, smagana przez gałęzie. Bynajmniej nie dbała już o rytm. W głowie słyszała tylko jedno: *uciekaj, uciekaj, uciekaj!* Nie obchodziło ją, czy zachowuje się jak wariatka, czy nie, pragnęła tylko wydostać się z lasu na otwartą przestrzeń. Jeszcze tylko jeden skręt ścieżki... Biegła, coraz bardziej zadyszana, przemykała wzrokiem po drzewach, spodziewając się, że w każdej chwili ktoś się zza nich wyłoni. Ale nikogo nie było widać. Na ostatnim zakręcie wydała z siebie ni to jęk, ni to szloch. *Już niedaleko*, pomyślała z ulgą, gdy nagle zaczepiła o coś stopą.

Zabrakło czasu na reakcję. Upadła na brzuch, w niemym krzyku wytracając całe powietrze z płuc. Zaszokowana, nie mogła oddychać, nie mogła się ruszyć. W końcu udało jej się wziąć oddech, potem następny. Poczowała w gardle zatechły smak ładu. Odwróciła głowę, by zobaczyć, o co się potknęła. Z początku nic z tego nie rozumiała. Nogę miała dziwacznie wyprostowaną, a stopę skręconą pod absurdalnym kątem. Oplatała ją cienka żyłka wędkarska. Nie, nie żyłka.

Drut.

Zrozumiała za późno. Próbując wstać, poczuła na sobie czyjś cień. Coś naciskało na jej twarz, dusiło. Chciała oddalić głowę od słodkawego chemicznego zapachu, rozpaczliwie machała rękami i wierzgała. Na nic. Opadała z sił, jej opór słabł. Poranek się oddalał, światło pochłaniała czerń. *Nie!* W ostatnim odruchu próbowała się jeszcze przeciwstawić pochłaniającej ją ciemności, ale w końcu zapadła się w nią jak kamyczek ciśnięty w studnię.

Czy zanim odeszła świadomość, pojawiło się jeszcze niedowierzanie? Możliwe, ale pewnie tylko na chwilę. Ułamek sekundy lub jeszcze mniej.

W Manham dzień zaczął się jak zwykle. Być może wyczuwało się pewne zaaferowanie, niezdrowe podniecenie z powodu przedłużającej się obecności policji i zagadkowej tożsamości martwej kobiety. Wreszcie na ich oczach rozgrywała się

prawdziwa opera mydlana, melodramat, w którym występowali oni sami, mieszkańcy Manham. Owszem, ktoś nie żyje, ale dla większości ludzi była to tragedia odległa, przez co jakby mniej tragiczna. Zakładano, że zginął ktoś spoza Manham. Gdyby to był ktoś stąd, to przecież dawno by to zauważono. Czy nie dostrzeżono by braku swojaka, a sprawcy nie rozpoznano? Oczywiście, że tak, a więc raczej był to ktoś z zewnątrz, jakaś zagubiona dusza z dużego miasta, która wsiadła do niewłaściwego samochodu i tu wylądowała. Postrzegano to zatem niemal jak urozmaicenie, rozrywkę, w której można było się rozsmakowywać bez poczucia zaszokowania i smutku.

Nawet tego, że policja pytała o Sally Palmer, nie poczytano za powód do niepokoju. Wszyscy wiedzieli, że jest pisarką i że często podróżuje do Londynu. Mieszkała tu zbyt krótko, by ludzie mogli połączyć jej nieobecność ze znaleziskiem na bagnach. Tak więc Manham nie było w stanie potraktować sprawy poważnie, uznać, że nie jest tylko obserwatorem, lecz odgrywa rolę pierwszoplanową.

Tak przynajmniej wyglądało to aż do wieczora.

Dla mnie sytuacja zmieniła się o jedenastej rano wraz z telefonem Mackenziego. Kiepsko spałem i poszedłem do przychodni wcześniej, aby strząsnąć z siebie pozostałości kolejnej nocy spędzonej z duchami. Gdy Janice odebrała telefon i przekazała mi, kto dzwoni, poczułem ukłucie w trzewiach.

– Przełącz go.

Wydawało mi się, że czekam na połączenie całą wieczność, a mimo to nie dość długo.

– Zidentyfikowaliśmy odciski palców – wypalił Mackenzie bez wstępów. – To Sally Palmer.

– Jest pan pewien?

Głupie pytanie, zachnąłem się w duchu.

– Nie mamy wątpliwości. Pasują do tych pobranych w domu. Poza tym jej odciski są w bazie. W latach studenckich zatrzymano ją podczas jakiejś demonstracji. – Nie wydawała się typem buntowniczką, z drugiej jednak strony nie znałem jej dobrze. I już nie poznam. Mackenzie jeszcze nie skończył. – Teraz, gdy już ustaliliśmy tożsamość ofiary, możemy ruszyć ze śledztwem. Pomyślałem, że może zaciekawi pana to, że nadal nie znaleźliśmy nikogo, kto widziałby ją po tym grillu. – Zawiesił głos, jakby dając mi czas, bym pojął wagę tych słów.

Dopiero po dłuższej chwili udało mi się zebrać myśli.

– Chodzi o to, że nie zgadzają się wam kalkulacje, tak? – powiedziałem.

– No, nie zgadzają. Wygląda na to, że zginęła dwa tygodnie temu. A nie żyje dopiero od dziewięciu czy dziesięciu dni, tak? W takim razie co działo się z nią przez pozostały czas?

– To były tylko szacunki – odparłem. – Mogłem się pomylić. Co mówi patolog?

– Jeszcze bada sprawę – rzucił cierpko. – Ale póki co nie stwierdził nic, co kazałoby myśleć inaczej.

Nie dziwiło mnie to. Miałem kiedyś do czynienia ze zwłokami, które morderca przez kilka tygodni trzymał w zamrażarce, zazwyczaj jednak fizyczny proces rozkładu przebiega przewidywalnie co do dnia. Może się różnić zależnie od otoczenia, zostać spowolniony albo przyspieszony wskutek temperatury lub wilgotności. Ale gdy uwzględnisz te czynniki, reszta przebiega zgodnie z wyliczeniami. A to, co widziałem na mokradłach poprzedniego dnia – na poziomie emocjonalnym wciąż nie potrafiłem połączyć tego z kobietą, którą znałem – nie podlegało dyskusji. Teraz pozostawało tylko dopuścić to do świadomości.

Na tym polu niewielu patologów czuło się swobodnie. Dziedziny antropologii sądowej i patologii pokrywały się w pewnym zakresie, ale wobec zaawansowanej dekompozycji ciała większość patologów rozkładała ręce. Ich specjalnością było ustalenie przyczyn zgonu, a to stawało się nieporównanie trudniejsze, gdy nastąpił biologiczny rozpad tkanek. Wtedy do pracy przystępowałem ja.

Tak było kiedyś, ale nie teraz – upomniałem się w duchu.

– Jest pan tam jeszcze? – spytał Mackenzie.

– Tak.

– To świetnie, bo mamy mały kłopot. Musimy jakoś wyjaśnić, co działo się z denatką przez te dodatkowe dni.

– Może zaszyła się gdzieś, żeby pisać. Albo wyjechała. Wezwano ją pilnie i nie zdążyła nikomu o tym powiedzieć.

– A od razu po powrocie dała się zabić, nie pokazawszy się nikomu w Manham na oczy?

– To całkiem możliwe – upierałem się. – Mogła natknąć się na włamywacza.

– Mogła – przyznał Mackenzie. – Tak czy siak, musimy to wyjaśnić.

– Nie widzę, jak miałbym w tym pomóc.

– A pies?

– Pies? – powtórzyłem, ale już wiedziałem, do czego zmierza.

– Rósądek kazałby zakładać, że ten, kto zabił Sally Palmer, zabił też jej psa. Pytanie więc brzmi, kiedy zginął pies.

Byłem zdumiony błyskotliwością Mackenziego, ale też zirytowany, że sam na to nie wpadłem. Oczywiście, robiłem wszystko, żeby o tym nie myśleć. Ale dawniej nie trzeba mi było takich rzeczy podpowiadać.

– Jeśli psa zabito mniej więcej w tym samym czasie – kontynuował Mackenzie – to wersja z włamywaczem staje się bardziej prawdopodobna. Panna Palmer albo cały czas tu była i coś tam sobie pisała, albo skądś tam wróciła, pies przeszkodził włamywaczowi, włamywacz zabił ich oboje, a potem porzucił ciało na bagnach. Albo coś w ten deseń. Ale jeśli psa zabito wcześniej, to inna historia. Bo to by oznaczało, że morderca nie zabił jej od razu. Więził ją przez kilka dni, a gdy mu się znudziło, poderznął jej gardło. – Mackenzie zawiesił głos, by pozwolić słowom wybrzmieć w całej ich doniosłości. – Tak więc moim zdaniem jest to coś, czego powinniśmy się dowiedzieć, nie sądzi pan, panie doktorze?

Dom Sally Palmer zmienił się, od kiedy widziałem go ostatnim razem. Wtedy był pusty i cichy, teraz podejmował nieproszonych gości o ponurych twarzach. Na podwórku stały radiowozy, wszędzie roiło się od techników w białych kombinezonach. Ten harmider tylko potęgował wrażenie opuszczenia, przekształcając miejsce, będące kiedyś domem, w żalosną łupinę niedawno minionego życia, którą można oddzielić, wypatroszyć i przestudiować.

Idąc z Mackenzie przez podwórko, nie wyczuwałem obecności Sally.

– Weterynarz przyszedł po kozy – oznajmił Mackenzie. – Połowa już zdechła, kilka musiał uśpić, ale jego zdaniem i tak dziw, że w ogóle jakieś przeżyły. Dzień lub dwa dłużej, a padłyby wszystkie. Kozy to twarde zawodniczki. Jego zdaniem musiały nie jeść i nie pić od kilku tygodni, żeby znaleźć się w takim stanie.

Teren na tyłach domu, gdzie znalazłem psa, odgrodzono taśmą, ale poza tym wszystko wyglądało jak wtedy. Nikt nie śpieszył się, by zabrać truchło; technicy albo już z nim skończyli, albo uznali, że są pilniejsze zadania. Przykucnąłem obok psa. Mackenzie został z tyłu i wrzucił do ust miętówkę. Owczarek był znacznie mniejszy, niż go zapamiętałem – był to raczej efekt postępującego rozkładu, który niemal na moich oczach trawił jego szczątki, niż figiel spleatany przez moją pamięć.

Sierść sprawiała łudzące wrażenie masy, ale pod spodem były tylko kości, ścięgna i chrząstki widoczne przez ziejącą ranę na gardle. Tkanki miękkiej nie było prawie już

wcale. Patykiem pogrzebałem w ziemi, spojrzałem w puste oczodoły i wstałem.

– No i? – spytał Mackenzie.

– Trudno powiedzieć. Trzeba uwzględnić zmniejszoną masę ciała. Sierść też ma wpływ na tempo rozkładu. Jeśli chodzi o zwierzęta, to miałem do czynienia tylko ze świniami, a te nie mają sierści, tylko grubą skórę. Wydaje mi się, że sierść utrudnia owadom składanie jaj, wyjąwszy otwarte rany. Tak więc pewnie proces gnicia zachodził wolniej. – Mówiłem bardziej do siebie niż do niego, w pośpiechu przeczesując odmęty pamięci, przesiewając wiedzę, która od dawna leżała odłogiem. – Ta tkanka miękka, która była odsłonięta, przyciągnęła zwierzęta. Widzi pan tutaj, wokół oczodołów? Kość została nadgryziona. Ślady są za małe jak na lisa, więc to pewnie gryzonie albo ptaki. Musiało to się stać dość wcześnie, bo zwierzęta nie tykałyby nadgniętego. Ale to z kolei oznacza ubytek tkanki miękkiej, a więc mniej pola do opisu dla owadów. No i ziemia jest tu bardziej sucha niż na bagnach, gdzie znaleźliście tę kobietę. – Nie potrafiłem wypowiedzieć imienia Sally. – Dlatego ciało jest takie wysuszone. W tym upale, przy braku wilgotności, zwłoki się mumifikują. Proces rozkładu przebiega inaczej.

– Czyli nie wie pan, kiedy pies zdechł? – podsumował Mackenzie.

– Niczego nie wiem. Mówię tylko, że jest tu dużo różnych zmiennych. Mogę powiedzieć, co mi się wydaje, ale to tylko wstępne szacunki. Po szybkich oględzinach nie można się spodziewać żadnych ustaleń.

– Ale...?

– No cóż, nie widać pustych pancerzyków, ale niektóre larwy wyglądają na gotowe do przepoczwarczenia. Są ciemniejsze niż te przy zwłokach, a więc starsze. – Wskazałem otwartą ranę na gardle zwierzęcia. Na trawie obok poruszało się kilka błyszczących czarnych pancerzy. – Jest też kilka żuków. Niewiele, ale żuki przychodzą później. Muchy i czerwie to pierwszy desant, jeśli można tak powiedzieć. W miarę postępowania rozkładu szala się przechyla. Mniej czerwi, więcej żuków.

Mackenzie zmarszczył czoło.

– Przy zwłokach były jakieś żuki?

– Nie zauważyłem. Ale żuki nie są tak niezawodnym probierzem jak czerwie. Poza tym, jak już mówiłem, trzeba też uwzględnić inne czynniki.

– Nie wymagam przecież, żeby składał pan oświadczenie pod przysięgą. Chcę mieć tylko jakiegokolwiek pojęcie, od kiedy ta cholerna psina nie żyje.

– Na oko... – zerknąłem na ten strzęp futra i kości – od dwunastu do czternastu

dni.

Mackenzie przygryzł wargę i skrzywił się.

– Więc zabito ją, zanim zabito kobietę.

– Na to wygląda. W porównaniu z tym, co widziałem wczoraj, rozkład jest posunięty o jakieś cztery dni do przodu. Minus jedna doba na poczet tego, że leży na zewnątrz. Czyli wciąż zostają trzy dni. Ale jak mówię, na tym etapie to zgaduj-zgadula.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu.

– Myśli pan, że może się pan mylić?

Zawahałem się. Oczekiwał ode mnie rady, a nie fałszywej skromności.

– Nie.

Westchnął.

– Cholera.

Zadzwoiła jego komórka. Wyjął ją zza paska i odszedł kilka kroków, by odebrać. Zostałem przy Bess i raz jeszcze na nią spojrzałem, by upewnić się, że niczego nie przeoczyłem. Niczego. Nachyliłem się, by przyjrzeć się gardłu. Chrzątki wytrzymują dłużej niż tkanki miękkie, ale zwierzęta też się do nich dobrały i nadgryzły krawędzie. Mimo to nadal było oczywiste, że ranę zadano szybkim cięciem, a nie wyszarpano. Wyjąłem z kieszeni latarkę diagnostyczną i upomniawszy się w myślach, by ją zdezynfekować, zanim obejrzę kolejnemu pacjentowi migdałki, oświetliłem ranę. Ciągnęła się aż do kręgów szyjnych. Przesunąłem smugę światła po bladej linii wyżłobionej na kości. Nie zrobiło tego zwierzę. Ostrze weszło tak głęboko, że przecięło kręgosłup.

Co oznacza, że nóż był duży. I ostry.

– Zobaczył pan tam coś jeszcze?

Byłem tak pochłonięty oględzinami, że nie zauważyłem, że Mackenzie już wrócił. Powiedziałem mu, co znalazłem.

– Jeśli rowek na kości jest wystarczająco wyraźny, będzie można stwierdzić, czy ostrze było ząbkowane, czy nie. Tak czy inaczej, do takiego cięcia trzeba dużo siły. Szukajcie potężnego faceta.

Mackenzie przytaknął skinieniem głowy, ale myślami był gdzie indziej.

– Muszę iść. Niech pan tu zostanie, ile będzie trzeba. Powiem ekipie, żeby panu nie przeszkadzano.

– Nie ma potrzeby. Już skończyłem.

– Nie zmieni pan zdania?

– Powiedziałem wam tyle, ile mogłem.

– Gdyby pan chciał, mógłby powiedzieć więcej.

Próbował mną manipulować i zaczynało to budzić moją irytację.

– Już to przerabialiśmy. Zrobiłem to, o co pan prosił.

Mackenzie rozważał coś w myślach. Zmrużył oczy.

– Sytuacja uległa zmianie – oznajmił, najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję. – Mamy kolejne zaginięcie. Kobieta. Być może znał ją pan. Lyn Metcalf.

Na dźwięk tego imienia przebiegły mnie ciarki. Poprzedniego wieczoru spotkałem ją pod apteką. Wyglądała na taką szczęśliwą.

– Rano poszła pobiegać i nie wróciła – kontynuował Mackenzie, nie dając mi chwili wytchnienia. – Może to fałszywy alarm, ale na razie się na to nie zanosz. Jeśli to ten sam sprawca, to będziemy mieć niezłą kabałę. Bo albo Lyn Metcalf jest już martwa, albo gdzieś ją więzi. A wiemy już, co spotkało Sally Palmer, i nie życzę tego nikomu.

Już miałem zapytać, po co mi to wszystko mówi, ale i tak znałem odpowiedź. Z jednej strony naciskał, bym z nim współpracował, z drugiej po prostu robił swoją policyjną robotę. To, że zgłosiłem zaginięcie Sally, ustawiało mnie daleko na liście potencjalnych podejrzanych, ale skoro teraz pojawiła się druga ofiara, to znowu wszystko będzie pod znakiem zapytania. Policja nie mogła nikogo wykluczać.

Nawet mnie.

Mackenzie obserwował moją reakcję. Nie potrafiłem odgadnąć, co sobie myślał.

– Będziemy w kontakcie. Oczywiście nie muszę pana prosić, by zachował pan wszystko dla siebie, prawda? W końcu tajemnice to pańska specjalność.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł – jego cień wędrował za nim po trawie niczym czarny pies skaczący mu po piętach.

Jeśli Mackenzie na poważnie upominał mnie, bym nie rozpowiadał o zaginięciu Lyn Metcalf, to było to zupełnie zbędne. Manham było zbyt małe, by coś takiego dało się utrzymać w tajemnicy. Zanim zdążyłem wrócić z farmy, w miasteczku już huczało. Wiadomość rozniosła się mniej więcej w tym samym czasie, co wieść, że zamordowaną była Sally Palmer – podwójny cios, zbyt trudny do zniesienia. W ciągu zaledwie kilku godzin nastrój mieszkańców z gorączkowego podekscytowania przeszedł w szok. Większość miała nadzieję, że oba te wydarzenia okażą się

niepowiązane, a domniemana druga „ofiara” lada moment objawi się cała i zdrowa.

Ale nadziei ubywało z każdą godziną.

Gdy Lyn nie wróciła z porannego joggingu, jej mąż Marcus wyszedł jej poszukać. Przyznał później, że na początku nie był jakoś szczególnie zaniepokojony. Ponieważ nie ujawniono jeszcze tożsamości ofiary, sądził, że żona postanowiła pobiec inną trasą i się zgubiła, co zdarzało się już wcześniej. Poirytowany wołał żonę, idąc ścieżką w stronę jeziora. Przecież wiedziała, że czeka go ciężki dzień, a teraz, przez tą jej głupią fiksację na punkcie porannego joggingu, spóźni się do pracy.

Mijając trzcinowisko i wchodząc w las, był jeszcze dość spokojny. Na widok martwej kaczki przywiązanej do kamienia zareagował złością – co za bezsensowne okrucieństwo! Całe życie przeżył na wsi i nie miał dla zwierząt szczególnych sentymentów, ale niczym nieuzasadniony sadyzm uważał za rzecz obrzydliwą. Jak tylko pomyślał o tym w ten sposób, przebiegł go pierwszy dreszcz. Próbował sobie wmówić, że martwy ptak na pewno nie ma nic wspólnego z tym, że żona się spóźnia. Ale gdy lęk już się pojawił, nie dało się od niego uwolnić.

Narastał, karmiony echem daremnych nawoływań odbijającym się od drzew. Wychodząc z lasu, Marcus musiał już wyteżać całą wolę, by zachować spokój. Śpiesząc w stronę jeziora, powtarzał sobie, że żona pewnie już czeka na niego w domu. Właśnie wtedy dostrzegł coś, co rozwiało jego nadzieje jak pył.

Pod korzeniem drzewa leżał stoper Lyn.

Podniósł go. Pasek był zerwany, a cyferblat popękany. Strach przerodził się w panikę. Marcus rozglądał się wszędzie w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu po żonie. Nic. A przynajmniej nic, co potrafiłby z nią powiązać. Zauważył gruby drewniany pał wbity w ziemię, ale nie przyszło mu do głowy, do czego mógłby służyć. Dopiero kilka godzin później technicy policyjni potwierdzą, że to pozostałości po siódmach, i upłynie jeszcze kilka kolejnych, zanim znajdą na ścieżce ślady krwi jego żony.

Ale sama Lyn przepadnie jak kamień w wodę.



**P**rawie całe Manham przyszło, by wziąć udział w poszukiwaniach. W innym czasie, w innych okolicznościach, być może pomyślano by, że Lyn Metcalf odeszła dobrowolnie. Owszem, Lyn i Marcus sprawiali wrażenie szczęśliwej pary, ale przecież w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. Teraz jednak, gdy zamordowano kobietę, jej zniknięcie natychmiast nabrało o wiele bardziej złowieszczonego charakteru. Policja przeczesywała las i trasę, którą biegała Lyn, i prawie każdy, kto był na chodzie, chciał pomóc w poszukiwaniach.

Wieczór był piękny. Słońce powoli schodziło po nieboskłonie, jaskółki nurkowały i zataczały kręgi, aura była niemal świąteczna, przesycona rzadkim poczuciem zjednoczenia i wspólnego celu. Jednak nie dało się zapomnieć, po co się tutaj zebrali. A razem z tą świadomością objawiała się jeszcze inna przykra prawda.

Zrobił to ktoś z Manham.

Nie dało się dłużej obwiniać kogoś z zewnątrz. Już nie. Nikt nie wierzył, że to wypadek, a to, że obie kobiety pochodziły z tej samej miejscowości, na pewno nie było przypadkiem. Gdyby zabójca Sally Palmer był spoza Manham, to niemożliwe, by dokonawszy zbrodni, postanowił pozostać w okolicy albo wrócił tu, by popełnić kolejną. A to oznaczało jedno: ten, kto zaszlachtował pierwszą kobietę i zastawił druciane sidła na drugą, był jednym z nich. Mógł oczywiście pochodzić z któregoś z okolicznych wsi, ale wtedy rodziło się pytanie, dlaczego oba ataki miały miejsce akurat w Manham. Ta druga możliwość była bardziej prawdopodobna i bardziej zatrważająca: nie tylko bowiem znaleźmy obie ofiary, ale i bydlaka, który im to zrobił.

Świadomość ta dopiero się zakorzeniała, gdy ludzie wyruszali na poszukiwania Lyn Metcalf. I choć nie zdążyła jeszcze rozkwitnąć, to wypuszczała już pędy. Przejawiała się w lekkim dystansie, z jakim się do siebie odnoszono. Wszyscy słyszeli te historie, w których morderca brał udział w poszukiwaniach. Ostentacyjnie wyrażał oburzenie i współczucie, nawet wylewał krokodyle łzy, choć krew ofiary ledwo zdążyła zaschnąć mu na rękach, a jej ostatnie krzyki i błagania jeszcze odbijały się

echem w jego ropicającym sercu. Wprawdzie społeczność Manham wykazała solidarność, wspólnie przeczesując trawę i zaglądając pod krzaki, lecz podejrzliwość już zaczęła ją podkopywać od środka.

Dołączyłem do poszukiwań, jak tylko skończyłem wieczorny dyżur. Mobilne centrum koordynacyjne mieściło się w przyczepie zaparkowanej na drodze w pobliżu miejsca, w którym Marcus Metcalf znalazł stoper żony. Było to na obrzeżach miasteczka. Rząd zaparkowanych samochodów ciągnął się wzdłuż żywopłotów na jakieś pół kilometra. Niektórzy przyszli tu z własnej inicjatywy, większość jednak przyciągnęło ogólne poruszenie. Było też kilku dziennikarzy, ale tylko z prasy lokalnej. Krajowa jeszcze nie podłapała tej historii albo uznała, że to, że jedną kobietę zamordowano, a drugą porwano, nie zasługuje na uwagę. Niebawem się to zmieni, ale na tę chwilę Manham nadal mogło samo zajmować się swoimi sprawami, zachowując względną anonimowość.

Aby lepiej koordynować poszukiwania, policja rozstawiła stół. Było to przede wszystkim działanie mające na celu poprawę wizerunku: dać ludziom poczucie, że robią coś ważnego, i nie pozwolić, by ochotnicy przeszkadzali profesjonalnym ekipom. Okolica była na tyle dzika, że i tak nie dałoby się jej spenetrować w całości. Wchłonęłaby natrętów jak gąbka, nie zdradzając im swoich sekretów.

Marcus Metcalf stał z grupką mężczyzn nieco na uboczu. Był potężnie zbudowany, miał zwalistą posturę pracownika fizycznego. Jego okolona szopą blond włosów twarz, zwykle pogodna i radosna, teraz wyglądała na wymizerowaną, a w połączeniu z bladeścią pokrywająca ją opalenizna nabrała żółtawego odcienia. Był tam także pastor Scarsdale, który w końcu odnalazł sytuację odpowiednią do powagi swego oblicza. Zastanawiałem się, czy nie podejść, by... złożyć co? Wyrazy współczucia? Kondolencje? Jednak nieadekwatność wszystkiego, co można w takiej sytuacji powiedzieć, i wspomnienie, jak niewiele dla mnie samego znaczyły niezręczne pocieszenia nieznajomych, powstrzymały mnie przed tym krokiem. Zamiast tego postanowiłem zostawić go pod opieką duszpasterza i skierowałem się prosto do stołu po instrukcje.

Nie wiedziałem, że pożałuję tej decyzji.

Spędziłem kilka zupełnie bezproduktywnych godzin, człapiąc po podmokłej łące jako część grupy, w której skład wchodził też Rupert Sutton, najwyraźniej zadowolony, że wyrwał się spod oka apodyktycznej matki. Ze względu na swoją masywną posturę z trudem dotrzymywał nam kroku, mimo to nie poddawał się

i ciężko dysząc, maszerował z nami po nierównym terenie, starając się omijać bardziej grząskie łąty ziemi. Raz poślizgnął się i upadł na kolana. Gdy podszedłem, by mu pomóc, uderzyła mnie bijąca od niego ostra, zwierzęca woń potu.

– Cholercia – wysapał, poczerwieniawszy ze wstydu na widok swoich ubłoconych rąk. Głos miał zdumiewająco wysoki, niemal dziewczęcy. – Cholercia – powtarzał, mrugając nerwowo.

Poza tym niewiele osób się odzywało. Gdy zapadł zmrok i dalsze poszukiwania stały się bezsensowne, zawróciliśmy. Nastrój był tak posepny jak spowity mrokiem otaczający nas krajobraz. Wiedziałem, że wielu z ochotników w drodze powrotnej wstąpi do Baranka, nie tyle będąc spragnionymi alkoholu, co towarzystwa. Zamierzałem pojechać prosto do domu, ale tak samo jak inni nie chciałem zostać sam. Zatrzymałem się więc przed pubem i wszedłem do środka.

Jeśli nie liczyć kościoła, pub Pod Czarnym Barankiem był najstarszym budynkiem w Manham, jednym z niewielu, które zachowały tradycyjny, kryty strzechą dach. W innej części Broads zostałyby podretuszowane do tandetnej elegancji, ale ponieważ bywali tu tylko miejscowi, nie poczyniono starań, by zatrzymać jego postępujące niszczenie. Trzcina na dachu powoli gniła, a tynk na niepomalowanych ścianach był popękany i pokryty plamami.

Jednak dziś wieczorem interes kręcił się świetnie, choć atmosfera bynajmniej nie była zabawowa. Przywitano mnie ponurymi skinieniami głowy, a niemrawe rozmowy prowadzono półgłosem. Przy barze właściciel tylko spojrzał na mnie pytająco. Nie widział na jedno oko, a zasnuwające je mleczne bielmo jeszcze bardziej upodabniało go do starego labradora.

– Piwo, Jack.

– Był pan na poszukiwaniach? – spytał, stawiając przede mną kufel.

Gdy potaknąłem ruchem głowy, gestem dał znak, że nie chce pieniędzy.

– Na koszt firmy.

Ledwo zdążyłem zamoczyć usta, gdy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

– Tak myślałem, że dziś wpadniesz.

Podniosłem wzrok na gigantycznego jegomościa, który wyrósł jak spod ziemi.

– Cześć, Ben.

Ben Anders mierzył sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i co najmniej połowę tego miał w pasie. Pracował jako strażnik w rezerwacie Hickling Broad i całe życie mieszkał w Manham. Rzadko się widywaliśmy, ale go lubiłem. Miło spędzało

się czas w jego towarzystwie, zarówno rozmawiając, jak i milcząc. Miał sympatyczny, niemal rozmarzony uśmiech, osadzony na twarzy, która wyglądała, jakby ją zmięto i tylko częściowo rozprostowano. Jego oczy na tle opalanej skóry wydawały się wyjątkowo jasne i zielone.

Zwykle tliła się w nich zawadiacka iskra, ale dzisiaj były przygasłe. Oparł łokieć na kontuarze.

– Kiepska sprawa.

– Bardzo kiepska.

– Widziałem Lyn kilka dni temu. Cała w skowronkach. I jeszcze Sally Palmer. To jakby piorun trafił dwa razy w to samo drzewo.

– Wiem.

– Mam nadzieję, że zaszyła się gdzieś i tyle. Ale widoki nie są dobre, prawda?

– Niezbyt.

– Boże, biedny Marcus. Wolę nie myśleć, przez co biedaczysko teraz przechodzi. – Zniżył głos. – Ludzie gadają, że Sally Palmer była zmasakrowana. Jeśli ten sam facet dorwał Lyn... Boże, skrzyłbym zwyrodnialcowi kark.

Wbiłem wzrok w szklankę. Z ulgą stwierdziłem, że nikt nie wie, że pomagałem policji, mimo to poczułem się nieswojo, jakby zatajenie tego czyniło ze mnie kłamcę.

Ben z wolna pokręcił głową.

– Myślisz, że jest dla niej jakaś nadzieja?

– Nie wiem.

Była to najuczciwsza odpowiedź, jakiej mogłem udzielić. Pamiętałem, co mówił Mackenzie. Jeśli miał rację, to Sally została zamordowana mniej więcej trzy dni po zniknięciu. Żaden ze mnie profiler kryminalny, ale wiedziałem, że seryjni mordercy mają swoje schematy. A to oznaczało, że jeśli to ten sam człowiek, to jest szansa, że Lyn jeszcze żyje.

*Jeszcze żyje.* Boże, czy to możliwe? A jeśli to prawda, to ile czasu jej zostało? Powtarzałem sobie, że zrobiłem co w mojej mocy, tyle ile ode mnie oczekiwała policja. Ale marne to było pocieszenie.

Poczułem na sobie wzrok Bena.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– Pytałem, czy wszystko w porządku. Wyglądasz na skołowanego.

– Mam za sobą ciężki dzień.

– To tak jak my wszyscy.

Spojrzał w kierunku wejścia i mina mu zrzedła.

– I gdy myślisz, że gorzej już być nie może...

Odwrociłem się. Ciemna sylwetka wielebnego Scarsdale'a rysująca się na tle drzwi przesłoniła światło. Rozmowy przycichły, gdy z kamienną twarzą podszedł do baru.

– No, chyba nie będzie nas teraz zwoływał na modły – burknął Ben.

Scarsdale odchrząknął.

– Panowie. – Z dezaprobatą przebiegł wzrokiem po nielicznych kobietach siedzących w pubie, ale nie poprawił się. – Pomyślałem, że chcielibyście wiedzieć, że jutro wieczorem odbędzie się nabożeństwo w intencji Lyn Metcalf i Sally Palmer. –

Mówił beznamiętnym, donośnym barytonem. – Jestem pewien, że wszyscy – przebiegł wzrokiem po sali – wszyscy będziecie jutro obecni, by uczcić pamięć zmarłych i pomodlić się o żywych. – Przerwał i sztywno pochylił głowę. – Dziękuję.

Idąc do drzwi, zatrzymał się przy mnie. Nawet latem spowijała go woń stęchlizny. Czarna wełniana marynarka przyprószona była warstewką łupieżu, a wokół niego dawało się wyczuć nutę naftaliny.

– Liczę, że pana także jutro zobaczę.

– O ile pozwolą mi pacjenci.

– Jestem pewien, że nie będą na tyle samolubni, by nie pozwolić panu spełnić swojego obowiązku.

Nie byłem pewien, co ma na myśli. Obdarował mnie bladym uśmiechem.

– A poza tym większość z nich będzie pewnie w kościele. W społecznościach takich jak ta tragedie tylko zacieśniają więzy między ludźmi. Pan pochodzi z miasta i pewnie wydaje mu się to dziwne. Ale my wiemy, jak się w takiej sytuacji zachować.

Raz jeszcze drętwo skinął głową i wyszedł.

– Słuchaj, ludu, bo oto przemówił prawdziwy chrześcijanin – skwitował Ben i uniósł pustą szklankę, która prawie zniknęła w jego potężnej dłoni. – Damy radę jeszcze jedno?

Odmówiłem. Pojawienie się pastora nie poprawiło mi humoru. Dopijałem swoje piwo i już szykowałem się do wyjścia, gdy usłyszałem za sobą głos.

– Doktor Hunter? – Należał do młodej nauczycielki, z którą dzień wcześniej rozmawiałem w szkole. Na widok mojej miny uśmiech na jej twarzy zamarł. – Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

– Nie szkodzi. To znaczy, wcale pani nie przeszkadza.

– Jestem nauczycielką Sama. Poznaliśmy się wczoraj, pamięta pan? – powiedziała

niepewnie.

Mam słabą pamięć do imion, ale jej przypomniałem sobie natychmiast. Jenny. Jenny Hammond.

– Oczywiście. Jak mały?

– Chyba dobrze. Nie było go dzisiaj w szkole. Ale gdy matka przyszła po niego wczoraj po południu, był już w lepszej formie. Chciałam do niego zajrzeć, ale coś mi wypadło.

– Na pewno nic mu nie jest. To nie będzie duży problem, jeśli zostanie kilka dni w domu, prawda?

– Ależ nie, żaden. Pomyślałam, że... wie pan, tylko się przywitam, to wszystko.

Wyglądała na zmieszaną. Założyłem, że podeszła, by zapytać o coś w związku z Samem. Teraz z radością skonstatowałem, że może po prostu chciała być miła.

– Przyszła pani z innymi nauczycielami? – spytałem.

– Nie, sama. Byłam na poszukiwaniach, a potem... no cóż, moja współlokatorka wyszła, a mi zrobiło się jakoś nieswojo na myśl, że przesiedzę ten wieczór sama w czterech ścianach, rozumie pan?

Rozumiałem. Na chwilę zapadła cisza.

– Napije się pani? – spytałem w tym samym momencie, w którym ona powiedziała: „W takim razie do zobaczenia”.

Zaśmialiśmy się, lekko skonsternowani.

– Co pani przynieść?

– Nie, naprawdę dziękuję.

– Właśnie miałem sobie coś zamówić – rzuciłem i dopiero potem zauważyłem, że szklankę mam do połowy pełną. Miałem nadzieję, że tego nie zauważy.

– Skoro tak, to butelkę becka. Wielkie dzięki.

Gdy podszedłem do baru, Ben właśnie dostał swoje piwo.

– Widzę, że zmieniłeś zdanie. Czekał, postawię ci.

Zanurkował dłonią do kieszeni.

– Nie, dzięki. To dla koleżanki.

Zerknął ponad moimi plecami i uśmiechnął się zawadiacko.

– A... rozumiem. Do zobaczenia.

Skinąłem głową, czując, jak płonie mi twarz. Zanim mnie obsłużono, zdążyłem dopić resztę piwa. Zamówiłem sobie jeszcze jedno i zaniósłem piwo dla Jenny.

– Na zdrowie. – Uniosła butelkę i upiła łyk. – Wiem, że właściciel tego nie lubi, ale

ze szklanki nie smakuje tak samo.

– I jest mniej do zmywania, więc w sumie wyświadcza mu pani przysługę.

– Zapamiętam to sobie, w razie gdyby znów mi przygadał. – Nagle spoważniała. – Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. To straszne, prawda? Dwie kobiety, obie stąd? Myślałam, że w miejscach takich jak to jest bezpiecznie.

– Dlatego pani tutaj przyjechała?

Nie chciałem, by zabrzmiało to tak nachalnie, jak zabrzmiało. Wbiła wzrok w butelkę, którą trzymała w ręku.

– Powiedzmy, że miałam dość miasta.

– Którego konkretnie?

– Norwich. – Zaczęła obdzierać naklejkę. Nagle jakby zdała sobie z tego sprawę i przestała. Twarz jej się rozpogodziła. – No dobrze, a jak to jest z panem? Już ustaliliśmy, że pan też nie jest stąd.

– Jestem z Londynu.

– Więc dlaczego przyjechał pan do Manham? Chodziło o ten blask neonów i szalone życie nocne?

– Można tak to ująć. – Widziałem, że nie jest usatysfakcjonowana moją odpowiedzią. – Chyba potrzebowałem zmiany, podobnie jak pani.

– No tak, jeśli chodzi o to, to chyba mi się udało. – Uśmiechnęła się. – I nawet całkiem mi się spodobało. Przyzwyczajam się do mieszkania na odludziu. Wie pan, cisza, spokój i te sprawy. Nie ma tłumów, nie ma samochodów.

– Ani kina.

– Ani barów.

– Sklepów też nie.

Uśmiechnęliśmy się do siebie serdecznie.

– Więc jak długo pan tu już mieszka? – spytała.

– Trzy lata.

– I po jakim czasie pana zaakceptowano?

– Cały czas nad tym pracuję. Jeszcze z dziesięć lat, a awansuję na stałego bywalca.

W oczach tych bardziej postępowych, ma się rozumieć.

– Niech pan mnie nie straszy. Jestem tu dopiero pół roku.

– A więc turystka.

Parsknęła śmiechem, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, na progu zrobiło się jakies zamieszanie.

– Jest tu doktor? – rozległ się głos.

Przepchałem się do drzwi, przez które na wpół wniesiono, na wpół wprowadzono jakiegoś mężczyznę. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Scott Brenner. Brennerowie mieszkali w rozpadającym się domu tuż za Manham. Nogawkę i but miał przesiąknięte krwią.

– Posadźcie go, delikatnie – powiedziałem. – Co się stało?

– Wdepnął w sidła. Byliśmy w drodze do przychodni, ale zobaczyliśmy pański samochód.

Mówił jego brat Carl. Brennerowie tworzyli wieloosobowy klan, teoretycznie gospodarze rolni, w praktyce – kłusownicy. Carl, żyłasty zaczepny typ, był najstarszym z synalków. Gdy zsuwałem przemoczone krwią dżinsy z nogi Scotta, pomyślałem zgryźliwie, że trafiło nie na tego brata, co powinno. W końcu dobrałem się do rany.

– Macie samochód? – spytałem.

– No, raczej nie przyszliśmy tu na piechotę, co nie?

– To dobrze, bo musi jechać do szpitala.

Carl zaklął.

– Nie może pan go po prostu pozszywać?

– Mogę założyć tymczasowy opatrunek, ale to wszystko. Potrzebuje chirurga.

– Obetną mi stopę? – wysapał Scott.

– Nie, ale na jakiś czas będziesz musiał przyhamować z bieganiem.

Jednak sytuacja nie wyglądała tak optymistycznie, jak ją przedstawiłem. Rozważałem, czy nie zabrać go do przychodni, ale po jego twarzy widziałem, że jest wymęczony.

– W samochodzie na tylnym siedzeniu pod kocem mam apteczkę. Mógłby ją ktoś przynieść?

– Ja pójdę – rzucił Ben.

Dałem mu kluczyki. Gdy wyszedł, poprosiłem o wodę i czyste ręczniki i zacząłem zmywać krew wokół rany.

– Jakie to były sidła?

– Druciana pętla – odparł Carl. – Zaciska się na nodze. Tnie aż do kości.

W tym przypadku tak właśnie było.

– Gdzie to się wydarzyło?

– Po drugiej stronie mokradeł. – Scott odwrócił oczy, by nie patrzeć na to, co robię.



– Obok starego młyna...

– Szukaliśmy Lyn – wtrącił się Carl, zerkając na brata.

Wątpiłem, by to była prawda. Wiedziałem, o którym miejscu mówią. Jak większość młynów w Broads ten za Manham był po prostu napędzaną siłą wiatru pompą do osuszania bagien. Nieczynny od kilkudziesięciu lat, był już tylko wypatroszoną skorupą. Teren ten był odludny nawet jak na tutejsze standardy, idealny dla amatorów kłusownictwa, chcących skryć się przed oczami ciekawskich. Wziąwszy pod uwagę reputację Brennerów, uznałem, że to raczej to niż poczucie obowiązku wobec wspólnoty wygoniło ich o tej porze z domu. Wycierając krew z rany, zastanawiałem się, czy mieli aż takiego pecha, że wpadli w sidła, które sami wcześniej rozstawili.

– To nie były nasze – wypalił Scott, jakby czytając mi w myślach.

– Scott! – warknął jego brat.

– Nie nasze! Ukryto je w trawie na ścieżce. Za duże na królika czy jelenia.

Zapadło milczenie. Choć policja jeszcze tego nie potwierdziła, wszyscy słyszeli, że w lesie, gdzie zaginęła Lyn, znaleziono resztki potykacza.

Ben wrócił z apteczką. Oczyszczyłem i opatrzyłem ranę najlepiej, jak potrafiłem.

– Niech trzyma nogę w górze i najszybciej, jak się da, jedźcie na izbę przyjęć – powiedziałem do Carla.

Szarpnął brata do pionu i na wpół podtrzymując, na wpół wlokąc, wyprowadził go z pubu. Umyłem ręce i wróciłem do Jenny, która czekała z moim piwem.

– Nic mu nie będzie? – spytała.

– Zależy, w jakim stanie jest ścięgno. W najlepszym razie będzie tylko lekko utykał.

Pokręciła głową.

– Boże, co za dzień!

Podszedł Ben i podał mi kluczyki od samochodu.

– Przydadzą ci się.

– Dzięki.

– Jak myślisz? Ma to jakiś związek z tym, co spotkało Lyn?

– Nie wiem.

Ale tak jak wszyscy miałem złe przeczucie.

– Dlaczego miałby być tu związek? – spytała Jenny.

Ben nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Zdałem sobie sprawę, że nie mieli

okazji się poznać.

– Ben, to Jenny. Pracuje w szkole – powiedziałem.

Uznał to za zachętę do kontynuowania tematu.

– Bo to za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności. Nie żebym współczuł Brennerom, tej bandzie kłusujących sukcin... – urwał, zerkając na Jenny. – Cóż, Bóg mi świadkiem, że bardzo bym chciał, żeby to był tylko przypadek.

– Nic nie rozumiem.

Ben spojrzał na mnie wyczekująco, ale nie zamierzałem tego dopowiadać.

– Bo jeśli nim nie jest, to znaczy, że zrobił to ktoś stąd. Z Manham.

– Przecież nie ma co do tego pewności – zaprotestowała Jenny.

Jego twarz sugerowała coś przeciwnego, ale był zbyt uprzejmy, by się spierać.

– No cóż, zobaczymy. A teraz chyba już się pożegnaj.

Dopił i ruszył do wyjścia, ale po chwili zatrzymał się i zwrócił do Jenny:

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale czy przyjechała pani samochodem?

– Nie, a skąd to pytanie?

– W tych okolicznościach samotny spacer do domu to chyba nie najlepszy pomysł.

Posłał mi porozumiewawcze spojrzenie i wyszedł. Jenny uśmiechnęła się niepewnie.

– Myśli pan, że jest aż tak źle?

– Mam nadzieję, że nie. Ale zdaje się, że Ben ma rację.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie do wiary. Jeszcze dwa dni temu mieszkaliśmy w najspokojniejszym miejscu na ziemi!

Dwa dni temu Sally Palmer była już martwa, a bydlak, który ją zabił, już pewnie zasadził się na Lyn Metcalf. Ale nie powiedziałem tego na głos.

– Jest tu ktoś, kto wraca w pani stronę? – spytałem.

– Nie bardzo. Ale dam sobie radę. Potrafię o siebie zadbać.

W to nie wątpiłem. Ale pod płaszczykiem pewności siebie dostrzegałem nerwowość.

– Podwiozę panią – rzuciłem.

Po powrocie do domu usiadłem przy stoliku w ogrodzie. Noc była ciepła, całkiem bezwietrzna. Odchyliłem głowę i spojrzałem w gwiazdy. Zbliżała się pełnia, księżyc miał kształt asymetrycznego białego dysku otoczonego poświatą. Starłem się

podziwiać jego cętkowany zarys, ale to mrok lasu po drugiej stronie łąki przyciągnął mój wzrok. Zwykle lubiłem ten widok, nawet nocą. Teraz jednak nieprzenikniony gąszcz drzew napawał mnie niepokojem.

Wszedłem do domu, nalałem sobie szklaneczkę whisky i wróciłem na zewnątrz. Było już po północy i wiedziałem, że muszę wstać wcześniej rano, lecz każda wymówka była dobra, byleby oddalić moment położenia się do łóżka. Poza tym wreszcie miałem zbyt dużo do myślenia, by czuć zmęczenie. Odprowadziłem Jenny do małego domku, który wynajmowała do spółki z koleżanką. Uznaliśmy, że nie ma sensu uruchamiać samochodu. Była ciepła jasna noc, a Jenny mieszkała niecały kilometr od pubu.

Po drodze opowiadała mi o swojej pracy i o dzieciach w szkole. Tylko raz wspomniała o dawnym życiu w Norwich. Potraktowała temat zdawkowo, a niezręczną ciszę, jaka zapadła, zasypała lawiną słów. Udałem, że tego nie zauważyłem. Cokolwiek chciała przemilczeć, nie było moją sprawą. Gdy szliśmy wąską alejką w stronę jej domu, nagle rozległo się poszczekiwanie lisa. Jenny chwyciła mnie za ramię.

– Przepraszam – powiedziała i odskoczyła jak oparzona. Zaśmiała się z zażenowaniem. – Wypadałoby już się przyzwyczaić do tutejszych odgłosów, prawda?

Po tym zdarzeniu zrobiło się między nami jakoś niezręcznie. Zatrzymała się przed bramą swojego domu.

– Dzięki.

– Drobiazg.

Uśmiechnęła się jeszcze i zniknęła za bramą. Zaczekałem, aż zazgrzytał w zamku klucz, i zawróciłem. Przez całą drogę powrotną czułem na nagim przedramieniu ciężar jej dłoni.

Nadal go czuję. Popijałem drinka, nie mogąc sobie darować, że na przypadkowy dotyk młodej kobiety zareagowałem jak dzikus. Nic dziwnego, że potem zamilkła.

Dopiłem whisky i wszedłem do środka. Podświadomie coś jeszcze mnie dręczyło, dokuczliwe poczucie, że czegoś nie zrobiłem. W końcu sobie przypomniałem. Scott Brenner. Nie miałem pewności, że brat pozwoli mu opowiedzieć policji o incydencie z siłkami. Może to bez znaczenia, ale Mackenzie powinien o tym wiedzieć. Znalazłem jego wizytówkę i wybrałem numer. Była prawie pierwsza, ale uznałem, że najwyżej zostawię wiadomość.

Odebrał natychmiast.

– Słucham?

– Z tej strony David Hunter – powiedziałem. – Przepraszam, wiem, że jest późno. Chciałem się tylko upewnić, że kontaktowałem się z panem Scott Brenner.

Poprzez ciszę wyczuwałem jego poirytowanie i zmęczenie.

– Jaki Scott?

Opowiedziałem mu, co się stało. Gdy się znowu odezwał, w jego głosie nie było już znużenia.

– Gdzie to się stało?

– Przy starym młynie, jakieś półtora kilometra na południe od Manham. Myśli pan, że to może mieć jakiś związek?

Dopiero po chwili rozpoznałem ten dźwięk – chrzęst wąsów, gdy pocierał sobie twarz.

– Ech, do diaska. I tak będziemy musieli jutro podać to do wiadomości – powiedział. – Dzisiaj podczas akcji poraniło się dwóch moich policjantów. Jeden wpadł w druciane siła, a drugi wdepnął w dziurę, w którą wbito zaostrzony palik – mówił ze złością. – Wychodzi na to, że ten, co porwał Lyn Metcalf, wiedział, że będziemy go szukać.

Tej nocy przejście ze snu do jawy nie wywołało szoku. Po prostu obudziłem się z otwartymi oczami, wpatrując w smugę księżycowego światła wpadającą przez okno. Ten jeden raz ocknąłem się przynajmniej we własnym łóżku, swoje nocne łazęgostwo uskuteczniając tylko we śnie. Ale jego wspomnienie było wciąż tak żywe, jakbym właśnie przeszedł z jednego pokoju do drugiego.

Sen zawsze miał tę samą scenografię. Dom, którego nigdy nie widziałem na jawie, nieistniejące miejsce, w którym mimo to czułem się jak u siebie. Były tam Kara i Alice. Pełne życia, prawdziwe. Rozmawialiśmy o tym, jak mi minął dzień, o niczym w szczególności, tak jak wtedy, gdy jeszcze żyły.

A potem się budziłem, musząc zmierzyć się z bezlitosną prawdą: Kara i Alice nie żyją.

Znowu pomyślałem o tym, co mówiła Linda Yates. *Takie rzeczy nie śnią się bez powodu.* Ciekawe, jak zinterpretowałyby mój sen. Mogłem sobie wyobrazić, co powiedziałby psychiatra albo psycholog amator, jak Henry. Tylko że moje sny nie poddawały się żadnym szablonowym racjonalizacjom. Miały własną logikę i prawdę

niesprowadzalną do zwykłych sennych majaków. I choć z trudem przyznawałem to nawet sam przed sobą, gdzieś w środku nie chciałem wierzyć, że są tylko tym.

Gdybym jednak w to uwierzył, zrobiłbym pierwszy krok na drodze, którą bałem się obrać. Był przecież tylko jeden sposób, by znów znaleźć się tam, gdzie moja rodzina, i byłby to wyraz rozpacz, a nie miłości.

Jeszcze bardziej przerażało mnie jednak to, że czasami było mi wszystko jedno.

Nazajutrz rano kolejne dwie osoby poraniły się, wpadając w sidła. Były to niepowiązane incydenty, oba miały miejsce w znacznej odległości od pułapek, które spowodowały okaleczenia poprzedniej nocy. Wiedziałem o tym, bo w przychodni brakowało etatowej pielęgniarki, więc opatrywałem obu pacjentów. Pierwszym była policjantka, która nadziała się łydką na wystające ostrze ukrytego w dołku palika. Tak jak w przypadku Scotta Brennera, zrobiłem co w mojej mocy, a potem odesłałem ją do szpitala. Drugi pacjent, Dan Marsden, miał powierzchowną ranę, druciana pętla tylko częściowo przecięła mu but z twardej skóry.

– Gdybym tylko dorwał drania, który to tam zostawił – wycedził przez zaciśnięte zęby, gdy opatrywałem mu ranę.

– Była dobrze ukryta?

– Nie do wypatrzenia. A jaka wielka! Bóg raczy wiedzieć, na co ją zastawili.

Nic nie odpowiedziałem. Ale pomyślałem, że najprawdopodobniej w sidła wpadło dokładnie to, co miało wpaść.

Podobnie sądził Mackenzie. Zarządził tymczasowe zawieszenie poszukiwań Lyn i przed centrum koordynacyjnym zorganizował prowizoryczny punkt opatrunkowy. Wydał także ostrzeżenie, żeby trzymać się z dala od okolicznych lasów i łąk. Rezultat był do przewidzenia. O ile wcześniej dominowała atmosfera szoku i odrętwienia, to wiadomość, że tereny wokół Manham nie są już bezpieczne, przyniosła pierwszy dreszcz prawdziwego strachu.

Oczywiście znaleźli się tacy, którzy nie dowierzali albo upierali się, że nikt ich nie odstraszy od chodzenia po ziemi, której każdą piędź znają od maleńkości. Głosy te jednak zamilkły, gdy jeden z najgłośniejszych kontestatorów, zaprawiony popołudniowymi drinkami w Baranku, wdepnął w zamaskowaną trawą dziurę i złamał sobie nogę w kostce. Jego wrzaski zadziały skuteczniej niż jakiegokolwiek policyjne ostrzeżenia.

Gdy policja ściągała posiłki, a prasa krajowa w końcu się ocknęła i przeprowadziła

desant armii reporterów z mikrofonami i kamerami, w Manham zaczynała panować atmosfera oblężonej twierdzy.

– Jak dotąd, znaleźliśmy dwa rodzaje sideł – powiedział mi Mackenzie. – Te druciane to w zasadzie zwykłe wnyki, które potrafiłyby zrobić pierwszy lepszy kłusownik. Tylko że tak duże, że zmieści się w nich stopa dorosłego człowieka. Paliki są jeszcze gorsze. Może to jakiś były żołnierz albo jeden z tych maniaków surwiwalu. Albo zwykły szajbus z chorą wyobraźnią.

– Powiedział pan „jak dotąd”?

– Ten, kto je zastawił, wie, co robi. Wszystko przemyślał. Być może ma dla nas więcej niespodzianek w zanadrzu.

– Nie osiągnął już swojego celu? Przerwaliście poszukiwania, a chyba o to mu chodziło.

– Być może. Ale nie wolno nam ryzykować. Te, które znaleźliśmy, tylko haratały nogi. Ale jak będziemy dalej na oślep lazić po lesie, to następnym razem ktoś zginie.

Zamilkł, zatrzymując się na skrzyżowaniu, i zaczął niecierpliwie bębnić palcami o kierownicę w oczekiwaniu, aż samochód przed nami ruszy. Wyjrzałem przez okno. W ciszy znowu ogarnął mnie niepokój.

Zadzwoiłem do Mackenziego skoro świt, żeby mu powiedzieć, że zbadam szczątki Sally Palmer, jeśli nadal sobie tego życzy. Jak tylko się obudziłem, poczułem, że tak właśnie muszę zrobić, jakbym podjął tę decyzję we śnie. I w pewnym sensie chyba tak było.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, na ile moja pomoc będzie przydatna. W najlepszym razie – zakładając, że przypomnę sobie dawną wiedzę – mógłbym dokładniej określić czas, jaki upłynął od zgonu. Nie miałem jednak złudzeń, że to pomoże Lyn. Ale nie mogłem już dłużej siedzieć beczynn timer i patrzeć.

Co nie znaczy, że byłem z tego zadowolony.

Mackenzie nie sprawiał wrażenia szczególnie zdziwionego czy wzruszonego, gdy mu to oznajmiłem. Rzucił tylko, że da znać swojemu przełożonemu i oddzwoni. Rozłączyłem się z poczuciem zawieszenia w próżni, zastanawiając się, czy przypadkiem nie oceniłem źle sytuacji.

Ale oddzwonił w ciągu pół godziny z zapytaniem, czy mógłbym zacząć jeszcze tego samego popołudnia. Z ustami suchymi jak wiór odparłem, że tak.

– Zwłoki są u patologa. Wpadnę o pierwszej i zawiozę tam pana – oznajmił.

– Sam mogę przyjechać.

– I tak wracam na posterunek. Poza tym chciałem z panem omówić kilka rzeczy. Ciekawe jakich, westchnąłem w duchu.

Poszedłem do Henry’ego poprosić, by zastąpił mnie wieczorem w przychodni.

– Oczywiście. Coś się stało?

Spojrzał na mnie wyczekująco. Nie wyjaśniłem mu jeszcze powodów wizyty Mackenziego. Źle się z tym czułem, ale musiałbym opowiedzieć mu więcej, niż byłem gotów. Wiedziałem jednak, że nie mogę tego odkładać bez końca. Przynajmniej tyle byłem mu winien.

– Daj mi czas do końca tygodnia – powiedziałem. Do tej pory powinienem uporać się z tym, co miałem do zrobienia, no i nie będę miał pacjentów na głowie. – Wtedy ci wszystko opowiem.

Zlustrował mnie wzrokiem.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko... to skomplikowane.

– Tak to już w życiu bywa. Tydzień temu nikt nie podejrzewał, że będą się tu snuć tabuny dziennikarzy, a policjanci wezmą wszystkich na spytki. Strach pomyśleć, jak to się wszystko skończy. – Uśmiechnął się na siłę. – No dobra. Wpadnij w niedzielę na obiad. Naszła mnie ochota, żeby coś upichcić i mam niezłe bordeaux. Nareszcie będzie okazja je otworzyć. Łatwiej rozmawiać z pełnym brzuchem.

Zgodziłem się, wdzięczny, że zyskałem kilka dni.

Gdy dojechaliliśmy z Mackenzie do ronda, ulicą ciągnął sznur samochodów. W aucie unosiła się woń mentolowego odświeżacza powietrza i płynu po goleniu. Było czysto, jakby właśnie wyjechał z myjni. Na szosach i ulicach panował hałas i zamieszanie. Wydawało się to zarazem swojskie i obce. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem w mieście, i ze zdumieniem stwierdziłem, że to pierwszy raz, odkąd przyjechałem do Manham w tamto deszczowe popołudnie. Targały mną sprzeczne emocje: z jednej strony żal, że tam nie zostałem, z drugiej zdziwienie, że na tak długo odgrodziłem się od świata.

Życie toczyło się swoim trybem.

Patrzyłem na grupkę uczniów dokazujących przed szkolną bramą i nauczyciela, który próbował ich przywołać do porządku. Przechodnie mijali ich w pośpiechu, każdy skupiony na swoich sprawach. Każdy zaaferowany własnym życiem, niezależnym od mojego. Ani niczyjego innego.

– Drut w siódmach był taki sam jak ten, na którym przewróciła się Lyn Metcalf. –



Mackenzie przywołał mnie do rzeczywistości. – I ten, którym przywiązano kaczkę. Nie wiem, czy był z tej samej partii, ale chyba można tak założyć.

– A sama kaczką? Co pan o niej myśli?

– Jeszcze nie wiem. Może chciał ją przestraszyć. A może to jakiś komunikat z jego strony. Albo jego autograf, znak rozpoznawczy.

– Jak skrzydła przy zwłokach Sally Palmer?

– Niewykluczone. A właśnie, odezwał się ornitolog. To łabędź niemy. Często spotykany w okolicy. Zwłaszcza o tej porze roku.

– Myśli pan, że jest jakiś związek między łabędzimi skrzydłami a kaczką?

– Nie wydaje mi się, że to przypadek, jeśli o to pan pyta. Może ma coś do ptaków.

– Mackenzie wyprzedził wolno jadącą furgonetkę. – Psychologowie starają się nam naświetlić jego sposób myślenia. Pracują nad tym. I wszyscy inni specjaliści, bo może to element jakiegoś pogańskiego albo satanistycznego rytuału. Czy innego kretynizmu.

– Pan tak nie sądzi?

Nie odpowiedział od razu, najwyraźniej zastanawiając się, ile może mi zdradzić.

– Nie, nie sądzę – odezwał się w końcu. – Wszyscy się strasznie przejęli tymi skrzydłami przy Sally Palmer. Kombinowali, że morderca posługuje się religijnymi czy klasycznymi symbolami, anioły i te sprawy, wie pan. Teraz nie jestem już taki pewien. Gdyby kaczką została złożona w ofierze, okaleczona, to może tak. Ale przywiązana drutem? Nie... Wydaje mi się, że facet po prostu lubi zadawać ból. Popisywać się.

– Jak z sidłami?

– Dokładnie. Jasne, to nas spowalnia. Nie możemy skoncentrować się na poszukiwaniach, bo musimy się martwić tym, co nam po sobie zostawił. Ale po co zadaje sobie tyle trudu? Każdy, kto byłby na tyle ogarnięty, by to wszystko zorganizować, umiałby po prostu zatrzeć ślady. A on zostawia nam ptaka, sidła, w które wpadła jego ofiara, i całą resztę. Albo się nie przejmuje tym, co znajdziemy, albo... nie wiem...

– Zaznacza swoje terytorium?

– Coś w tym rodzaju. Pokazuje, że on tu rządzi. Nawet nie musi się wysilać. Po prostu w strategicznych miejscach zastawia kilka pułapek, a potem patrzy i ma ubaw.

Milczałem przez chwilę, rozważając słowa Mackenziego.

– A jeśli to coś więcej?

– W jakim sensie?

– Z lasu i bagien zrobił strefę zamkniętą. Ludzie boją się wyjść na spacer, żeby nie wdepnąć w sidła.

Mackenzie zmarszczył czoło.

– No i?

– Więc może nie chodzi tylko o to, że lubi zadawać ból. Może lubi też siać strach.

W zamyśleniu patrzył w przednią szybę, całą upstrzoną martwymi owadami.

– Możliwe – przemówił w końcu. – Zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie pan był wczoraj między szóstą a siódmą rano?

Zaskoczyła mnie ta nagle zmiana tonu.

– O szóstej pewnie byłem pod prysznicem. Potem zjadłem śniadanie i pojechałem do przychodni.

– O której?

– Może za kwadrans siódma.

– Wcześniej.

– Niezbyt dobrze spałem.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Henry. Po przyjeździe wypiliśmy razem kawę. Czarną, bez cukru, jeśli to też pana interesuje.

– To rutynowe pytania, panie doktorze. Brał pan przecież udział w śledztwach i wie, jak to wygląda.

– Niech pan się zatrzyma.

– Co takiego?

– Proszę się zatrzymać.

Już chciał zaprotestować, ale włączył kierunkowskaz i zatrzymał się na poboczu.

– Jestem tutaj jako podejrzany czy po to, by pomóc?

– Proszę pana, pytamy wszystkich...

– Po to pierwsze czy po to drugie?

– No dobrze, przepraszam, może nie powinienem tak z tym wyskakiwać. Ale musimy zadać pewne pytania.

– Jeśli sądzą, że mam z tym cokolwiek wspólnego, to nie wolno mi tu teraz być. Myśli pan, że to dla mnie przyjemność? Jeśli o mnie chodzi, dużo bym dał, by nigdy więcej w życiu nie widzieć już trupa. Więc skoro mi nie ufacie, to najlepiej będzie, jak wysiądę.

Mackenzie westchnął.

– Niech pan posłucha, nie sędzę, że ma pan z tym coś wspólnego. Gdyby było inaczej, proszę mi wierzyć, że nie korzystalibyśmy z pana pomocy. Ale pytamy o to samo wszystkich z Manham. Pomyślałem, że odbębniemy to teraz i będzie z głowy.

Nadal nie podobał mi się sposób, w jaki zaskoczył mnie tym pytaniem. Chciał sprawdzić, jak zareaguję. Zastanawiałem się, czy cała ta rozmowa też była testem. Jednak czy mi się to podobało, czy nie, na tym polegała jego praca. Powściągliwie pokiwałem głową.

– Już możemy jechać dalej? – spytał.

Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Chyba tak.

Ruszył.

– Ile to może potrwać? Pańskie badanie – spytał po chwili, przerywając ciszę.

– Trudno powiedzieć. Zależy od stanu, w jakim są zwłoki. Patolog coś już stwierdził?

– Niewiele. Nie wiemy, czy doszło do gwałtu, ale skoro była naga, to jest to dość prawdopodobne. Na ciele jest wiele drobnych ran ciętych, ale są powierzchowne. Patolog nie wie nawet na pewno, czy umarła od rany na gardle, czy od obrażeń czaszki. Myśli pan, że powie nam coś więcej?

– Jeszcze nie wiem.

Widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni, więc miałem już pewne pojęcie, ale nie chciałem nic mówić, dopóki nie będę pewien. Mackenzie zerknął na mnie z ukosa.

– Pewnie zaraz pożałuję tego pytania, ale co konkretnie będzie pan robił?

Ze wszystkich sił starałem się o tym nie myśleć. Ale odpowiedź wypłynęła ze mnie automatycznie.

– Będę musiał zrobić rentgen zwłok, o ile jeszcze go nie zrobiono. Potem pobiorę próbki tkanki miękkiej, by ustalić IP?

– I... co?

– Interwał pośmiertny. Na podstawie zmian biochemicznych w ciele można określić, jak dawno nastąpił zgon. Rozkład aminokwasów, kwasów tłuszczowych, białka. Potem trzeba będzie usunąć pozostałości tkanki miękkiej i dokonać oględzin szkieletu. Zobaczyć, jakich doznał urazów i czym je zadano. Tego rodzaju rzeczy.

Mackenzie miał zdegustowaną minę.

– Jak pan to robi?

– No cóż, jeśli zostało niewiele tkanki miękkiej, wystarczy skalpel lub szczypce. Albo na kilka godzin zanurzyć zwłoki w kąpieli chemicznej.

Mackenzie skrzywił się.

– Teraz rozumiem, dlaczego postanowił pan zostać lekarzem rodzinnym. – Po jego minie widać było, że przypomniał sobie, że miałem też inne powody. – Przepraszam – rzucił.

– Nic się nie stało.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Zauważyłem, że Mackenzie drapie się po szyi.

– Pokazywał pan już to komuś?

– Co niby?

– Pieprzyk. Drapie się pan.

Natychmiast opuścił rękę.

– Swędzi trochę. – Skręcił na parking. – Jesteśmy na miejscu.

Poszedłem za nim do szpitala. Zjechaliśmy windą do piwnicy. Kostnica mieściła się na końcu długiego korytarza. Charakterystyczna woń uderzyła mnie, gdy tylko wszedłem do środka, wystarczył jeden oddech, by płuca zasnuła warstewka słodko-kwaśnego chemicznego roztworu. Wnętrze stanowiło kompozycję bieli, stali nierdzewnej i szkła. Na nasz widok młoda Azjatka wstała od biurka.

– Dzień dobry, Marina – rzucił Mackenzie. – Doktor Hunter, Marina Patel. Pomoże panu we wszystkim.

Kobieta uśmiechnęła się, gdy wymieniliśmy uścisk dłoni. Próbowałem się tam odnaleźć, na nowo przyzwyczać do otoczenia, które zdawało się obce i znajome zarazem. Mackenzie spojrzał na zegarek.

– Dobra. Muszę jechać na posterunek. Niech pan zadzwoni, jak skończycie, to odwiozę pana do domu.

Gdy wyszedł, młoda kobieta spojrzała na mnie wyczekująco.

– Więc... jest pani patologiem? – spytałem, chcąc zyskać na czasie.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Jeszcze nie. Stażystką. Ale mam takie plany.

Skinąłem głową. Żadne z nas nie ruszyło się z miejsca.

– Chce pan zobaczyć zwłoki? – spytała w końcu.

Nie, nie chciałem.

– Proszę.

Dała mi fartuch i poprowadziła przez ciężkie drzwi wahadłowe. W środku było zimno. Ciało leżało na stole ze stali nierdzewnej, osobliwie kontrastując z jej monotonną metalową powierzchnią. Marina włączyła jasne światła sufitowe, które wyeksponowały zwłoki w całej ich marności. Spojrzałem na to, co kiedyś było Sally Palmer. Ale w tym, co leżało przede mną, nie rozpoznałem dawnej Sally. Poczułem chwilową ulgę, którą szybko zastąpił naukowy dystans.

– No dobrze. Zaczynamy.

Kobieta była leciwa. Twarz miała zniszczoną i dziobatą, jej rysy utraciły dawną wyrazistość. Z pochyloną głową wyglądała, jak gdyby dźwigała na ramionach ciężar całego świata. W jej rezygnacji było jednak coś szlachetnego, jakby zgoda na los, którego przecież nie wybierała.

Podczas nabożeństwa przyglądałem się figurze nieznanej świętej. Nie wiem, co konkretnie mi się w niej spodobało. Ustawiona na kamiennym obelisku, ordynarnie ciosana, nawet moje niewyrobite oko drażniła brakiem proporcji. Jednak było w niej coś – może łagodzące działanie upływu czasu, może coś bardziej ulotnego – co przykuwało moją uwagę. Przetrwiała stulecia, widziała niezliczone spektakle radości i nieszczęść rozgrywające się pod jej stopami. I nadal tu będzie, milcząca i czujna, jeszcze długo po tym, jak pamięć o nas wszystkich się zatrze. Przypominała, że wszystko, to dobre i to złe, przemija.

Teraz akurat myśl ta wydawała się pocieszająca. Nawet w ten ciepły wieczór w starym kościele panował chłód i unosiła się woń stęchlizny. Przez witrażowe okno wpadało niebieskie i fioletoworóżowe światło, stare szkło w ołowianych profilach było chropawe i wypaczone. W głównej nawie posadzka z płyt kamiennych była wyslizgana i poprzecinana starymi płytami nagrobnymi. Na tej najbliższej widniał relief czaszki, pod którą jakiś średniowieczny kamieniarz wyrył gorzkie przesłanie:

*Kim ty jesteś, tym ja byłem,  
kim ja jestem, tym ty będziesz.*

Drgnąłem na twardej drewnianej ławce, gdy rozległ się deklamacyjny baryton Scarsdale'a, odbijając się echem od kamiennych ścian. Tak jak można było przewidzieć, to, co miało być nabożeństwem modlitewnym, stało się dla wielebnego pretekstem do epatowania uwięzionych tu słuchaczy własną wizją pobożności.

– Wszystkich nas, którzy zgromadziliśmy się tu, by pomodlić się za duszę Sally

Palmer i o wybawienie Lyn Metcalf, z pewnością dręczy jedno pytanie. Dlaczego? Dlaczego to się stało? Czy to wyrok Boży, że tak brutalnie odebrano nam te dwie kobiety? Jeśli tak, to za co? Dla kogo? – Chwyciwszy obiema dłońmi wysłużony pulpit, groźnym wzrokiem powiódł po parafianach. – Sąd może odbyć się nad każdym z nas, nie znamy dnia ni godziny. Nie nam to kwestionować. Nie nam buntować się, że jest niesprawiedliwy. Bóg jest pełen miłosierdzia, ale nie mamy prawa oczekiwać, że nam je okaże. Miłosierdzie zaś Jego objawia się na sposoby dla nas niepojęte. Nie wolno nam go odrzucać tylko dlatego, że go nie rozumiemy – Scarsdale zawiesił głos, by wziąć oddech.

Rozległo się kilka cichych trzasków lamp błyskowych. Wielebny wpuścił do kościoła reporterów, co jeszcze bardziej odrealniło całą tę sytuację. Niepokazna jak dotąd trzódka parafian rozrosła się dziś do takich rozmiarów, że ledwo mieściła się w środku. Gdy przyjechałem, wszystkie ławki były już zajęte i musiałem się przepychać, by zająć wolne miejsce z tyłu.

Zapomniałem o nabożeństwie i przypomniał mi o nim dopiero tłum przed kościołem. Na polecenie Mackenziego odwiózł mnie mrukliwy sierżant w cywilu, który najwyraźniej nie był zachwycony przydzieloną mu rolą taksówkarza. Gdy zadzwoniłem, by powiedzieć, że skończyłem na dzisiaj, Mackenzie miał wyłączony telefon. Zostawiłem wiadomość i oddzwonił niemal natychmiast.

– Jak poszło?

– Wysłałem próbki na chromatografię gazową. Gdy wrócę, będę mógł podać dokładniejszy interwał pośmiertny – powiedziałem. – Jutro zajmę się szkieletem. To pomoże nam określić, jakiego użyto narzędzia.

– Czyli w sumie nic jeszcze nie wiadomo? – W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie.

– Tylko to, co przekazała mi Marina. Zdaniem patologa przyczyną śmierci były obrażenia głowy, a nie podcięte gardło.

– A pan uważa inaczej?

– Nie twierdzę, że nie mogły być śmiertelne. Ale gdy podrzynano jej gardło, Sally nadal żyła.

– Jest pan pewien?

– Zwłoki przedwcześnie wyschły. Nawet w takim upale byłoby to możliwe dopiero po utracie dużej ilości krwi. A nie traci się jej tyle już po śmierci, nawet gdy podetnie się gardło.

– Próbkę gleby z miejsca, w którym znaleziono włókno, miały niską zawartość żelaza – zauważył Mackenzie.

Oznaczało to, że niewiele krwi wsiąknęło w ziemię. Przy ilości, jaka trysnęłaby z przeciętej żyły szyjnej, zawartość żelaza byłaby o wiele wyższa.

– Więc zabito ją gdzie indziej.

– A co z obrażeniami głowy?

– Albo nie były śmiertelne, albo zadano je po śmierci.

Mackenzie milczał przez chwilę, ale domyślałem się, co mu chodzi po głowie. Cokolwiek spotkało Sally, groziło teraz Lyn. O ile już nie była martwa, to była to tylko kwestia czasu.

Chyba że zdarzy się cud.

Scarsdale zbliżał się do końca swojej perory.

– Niektórzy z was być może wciąż zadają sobie pytanie, cóż takiego uczyniły te nieszczęsne kobiety, by sobie na to zasłużyć? – Rozłożył ręce. – Być może nic. Być może nowoczesny światopogląd jest słuszny: może nic nie ma absolutnej przyczyny, może za naszym wszechświatem nie stoi żaden rozum.

Dla spotęgowania dramatyzmu zawiesił głos. Zastanawiałem się, czy celowo pozował przed kamerami.

– A może nie potrafimy jej dostrzec, bo arogancja przesłoniła nam oczy – kontynuował. – Wielu z was nie było w tych murach od lat. Byliście zbyt zajęci, by znaleźć czas dla Boga. Nie mogę powiedzieć, że znałem nasze siostry, Sally Palmer czy Lyn Metcalf. Trajektorie ich życia i życia tego kościoła rzadko się przecinały. Nie mam wątpliwości, że obie są tragicznymi ofiarami. Lecz ofiarami czego, należałoby spytać?

Pochylił się teraz do przodu i wysunął głowę.

– Wszyscy winniśmy wejrzeć w swoje serce. Powiedział nasz Zbawiciel: „A co człowiek sieje, to i żąć będzie”. Dziś nastał czas zbierania plonów. Owoców nie tylko duchowej atrofii naszego społeczeństwa, ale i przymykania na nią oczu. Zło nie przestanie istnieć tylko dlatego, że postanawiamy je ignorować. Gdzie więc skierować wzrok, szukając winnego? – Podniósł kościsty palec i powiódł nim po zebranych. –

Na nas samych. To my sami pozwoliliśmy, by swobodnie pełzał między nami Wąż. Nikt inny. A teraz módlmy się do Boga o siłę, by wyrzucić go z naszego życia!

Zapadła trudna do zniesienia cisza. Ludzie próbowali jakoś przetrwać te słowa, lecz Scarsdale nie dał im takiej możliwości. Wysunął podbródek i przymknął powieki,

flesze rzucały ruchome cienie na jego twarz.

– Pomódlmy się.

Po nabożeństwie przed kościołem nie było zwyczajowych rozmów towarzyskich. Przy skwerku stał radiowóz. Jego biała zwalista bryła wyglądała onieśmielająco, wręcz niestosownie. Pomimo starań prasy i telewizji niewiele osób zgodziło się udzielić wywiadu. Wszystko było jeszcze zbyt świeże, zbyt osobiste. Czym innym jest oglądać reportaż o odległych tragediach, a czym innym samemu stać się jego bohaterem.

Tak więc gorączkowe pytania dziennikarzy spotkały się z taktownym i nic niewyjaśniającym milczeniem. Z jednym lub dwoma wyjątkami Manham odwróciło się plecami do świata zewnętrznego. O dziwo, to Scarsdale był jednym z niewielu, którzy zgodzili się na udzielenie wywiadu. Nie był człowiekiem żadnym rozgłosu, ale najwyraźniej poczuł, że ten jeden raz wolno mu jeść z diabłem z jednej miski. Sądząc po tonie jego kazania, uznał, że to, co się stało, jest uwierzytelnieniem jego powołania. W jego płonących żółcią oczach był to dowód, że miał rację, i nie zamierzał wypuścić tej okazji ze swoich sękatych rąk.

Patrzyliśmy z Henrym, jak peroruje na dziedzińcu kościoła przed żądnymi rewelacji dziennikarzami. Podekscytowana dzieciarnia, chcąc znaleźć się w kadrze, wdrapała się na Pomnik Męczennicy, tratując zwiędłe kwiaty, których jeszcze nie zdjęto. Głos Scarsdale'a niósł się aż na skwerek, na którym staliśmy razem z Henrym. Gdy po mszy wyszedłem z kościoła, Henry czekał tam pod kasztanowcem. Przywitał mnie krzywym uśmiechem.

– Nie udało ci się wbić do środka? – spytałem.

– Nawet nie próbowałem. Chciałem uczcić pamięć zmarłej, a nie czapkować Scarsdale'owi. Albo słuchać, jak wylewa swój jad. O nie, nie, po moim trupie. Co to było tym razem? Kara boska za nasze grzechy? Sami sobie na to zasłużyliśmy?

– Coś w tym rodzaju – przyznałem.

Henry prychnął.

– Tylko tego nam brakowało. Zbiorowej paranoi.

Stojąc za Scarsdale'em, który prowadził tę swoją zorganizowaną na poczekaniu konferencję prasową, zauważyłem, że poczet jego gorliwych parafian zasilili nowi wierni. Do Lee i Marjory Goodchildów, Judith Sutton z synem Rupertem i im podobnych dołączyli mniej regularni bywalcy Domu Bożego – niemy chór



potakiwaczy, kiwający głowami, gdy pastor podniósł głos, by wyklarować swoje racje przed kamerami. Henry wzdrygnął się z odrazą.

– Tylko spójrz na niego. Jest w swoim żywiole. To ma być duszpasterz? Dla niego liczy się tylko to, by powiedzieć: „A nie mówiłem”.

– A jednak ma rację.

Henry obrzucił mnie niedowierzającym spojrzeniem.

– Nie mów mi, że się nawróciłeś.

– Nie dzięki Scarsdale’owi. Ale ten, kto to zrobił, jest stąd. Zna okolicę. Zna nas wszystkich.

– W takim razie możemy liczyć tylko na zmiłowanie Boże, bo jeśli Scarsdale postawi na swoim, to zanim zdążymy cokolwiek zrobić, rozpęta się piekło.

– Co masz na myśli?

– Widziałeś *Czarownicę z Salem* Millera? Tę sztukę o polowaniu na wiedźmy?

– Tylko w telewizji.

– No cóż, to dobranocka w porównaniu z tym, co będzie się działo w Manham, jeśli dalej będzie sobie tak poczynął.

Sądziłem, że żartuje, ale zmierzył mnie poważnym spojrzeniem.

– Lepiej się nie wychylaj, Davidzie. I bez tego mąciwody Scarsdale’a zaraz zaczniesz wskazywanie palcem i obrzucanie błotem. Trzymaj się od tego z daleka.

– Nie mówisz poważnie?

– Nie? Mieszkam tu dłużej niż ty. Wiem, jacy tu sami dobrzy przyjaciele i sąsiedzi. Już ostrzą noże.

– Przesadzasz.

– Tak myślisz?

Patrzył na Scarsdale’a, który wracał teraz do kościoła, powiedziawszy, co miał do powiedzenia. Co natrętniejsi dziennikarze ruszyli za nim. Rupert Sutton wyszedł z rozpostartymi ramionami i barykadą swego zwałistego ciała, której żaden z nich nie miał ochoty forsować, odciął im drogę. Henry posłał mi znaczące spojrzenie.

– Takie rzeczy wydobywają z ludzi najgorsze instynkty. Manham to ciemny grajdół. A w ciemnych grajdółach rodzą się ciemniaki. Może patrzę na to zbyt pesymistycznie. Ale na twoim miejscu miałbym się na baczności.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, by upewnić się, że dotarły do mnie jego słowa, potem zerknął ponad moim ramieniem.

– Dzień dobry. Pana znajomy? – usłyszałem głos za plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że uśmiecha się do mnie młoda kobieta. Ciemnowłosa, przy kości, widywałem ją czasami, ale nie wiedziałem, jak się nazywa. Dopiero gdy przesunęła się lekko w bok, zauważyłem, że jest z Jenny, która bynajmniej nie wyglądała na szczęśliwą. Kobieta podeszła bliżej, ignorując spojrzenie, jakie posłała jej Jenny.

– Cześć. Jestem Tina.

– Miło mi – odparłem, zachodząc w głowę, o co chodzi.

Jenny uśmiechnęła się niewyraźnie. Wyglądała na zagubioną.

– Witaj, Tino – powiedział Henry. – Jak mama?

– Lepiej, dziękuję. Opuchlizna już prawie zeszła. – Zwróciła się do mnie z błyskiem w oku. – Dziękuję, że odprowadził pan wczoraj Jenny. Mieszkamy razem. Dobrze wiedzieć, że są jeszcze na świecie przyzwoici ludzie.

– Drobiazg.

– Powinien pan kiedyś wpaść. Na drinka albo kolację. – Zerknąłem na Jenny. Twarz jej spurpurowiała. Czuję, że moja też czerwienieje. – To... może w piątek wieczorem?

– Tina, jestem pewna, że pan doktor ma... – zaczęła Jenny, ale koleżanka nie dawała za wygraną.

– Ma pan wtedy wolne, prawda? Możemy też się umówić na inny dzień.

– Tak, ale...

– No to świetnie! W takim razie do zobaczenia o ósmej.

Nie przestając się uśmiechać, wzięła Jenny pod ramię i odeszła. Patrzyłem za nimi jak osłupiały.

– Co to za historia? – spytał Henry.

– Nie mam pojęcia.

Wyglądał na rozbawionego.

– Naprawdę nie wiem, o co chodzi.

– No nic, może zdradzisz mi co nieco na naszym niedzielnym obiedzie. – Spojrzał na mnie, spoważniawszy. – Pamiętaj, co ci mówiłem. Uważaj, z kim się spoufalasz. I miej oczy dookoła głowy.

Mówiąc to, chwycił za poręcz kół wózka i odjechał.

**W** zacienionym pokoju rozbrzmiewała muzyka, fałszywe nuty tańczyły wokół przedmiotów zwisających z niskiego sufitu. Niczym kontrapunkt zygzakowatą linią toczyła się kropla czarnego płynu, wreszcie, zawłaszczona przez grawitację, nabrała rozpędu. Spadając, uformowała doskonałą kulę, lecz po chwili jej krucha symetria rozłukła się o ziemię.

Lyn patrzyła w milczeniu, jak po ramieniu spływa jej krew, ścieka z palców i rozpryskuje się na posadzce. Utworzyła małą, lecz powiększającą się kałużę, która na krawędziach zaczynała już krzepnąć. Ból promieniujący z rozcięcia na ramieniu zlał się z bólem wszystkich innych okaleczeń, zamieniając jej ciało w jedną pulsującą ranę. Krew rysowała na jej ciele abstrakcyjny deseń, makabryczny ornament.

Lyn zachwiała się na nogach, gdy pozbawiona harmonii muzyka przycichła. Z ulgą oparła się o chropowatą kamienną ścianę, czując, jak na kostce zaciska jej się lina. Opuszki palców miała poharatane, po tym, jak przez wiele godzin leżąc w ciemnościach, próbowała ją rozwiązać. Węzeł jednak nie poluzował się ani o milimetr.

Początkowe niedowierzanie i poczucie zdrady zastąpiła prawie całkowita rezygnacja. Wiedziała, że w tym ciemnym pokoju nie będzie dla niej litości. Nie robiła sobie nadziei na zmiłowanie. Mimo to musiała próbować. Osłaniając oczy przed wymierzonym w nią snopem ostrego światła, szukała wzrokiem swojego oprawcy, który siedział gdzieś w cieniu i ją obserwował.

– Proszę... – Z trudem rozpoznała swój głos, który przypominał suchy charkot. – Błagam, dlaczego mi to robisz?

Odpowiedziała jej tylko cisza, przerywana jego oddechem. W powietrzu wisiał papierosowy dym. Dał się słyszeć jakiś szelest, trudny do zlokalizowania odgłos ruchu.

Znowu popłynęła muzyka.

**W**czwartek w Manham powiało chłodem. Nie w fizycznym znaczeniu – pogoda była sucha i upalna jak wcześniej. Czy to na skutek kazania wielebnego Scarsdale’a, czy w efekcie nieuniknionej reakcji na wydarzenia ostatnich dni, przez noc aura w miasteczku uległa wyraźnej zmianie. Skoro nie dało się już obarczać odpowiedzialnością za te okrucieństwa kogoś z zewnątrz, mieszkańcy zmuszeni byli wziąć pod lupę jeden drugiego. Do Manham wkradła się podejrzliwość, zaatakowała niczym wirus, z początku niewykrywalny, ale już nieświadomie przenoszony przez pierwsze ofiary.

Jak w przypadku każdej innej zarazy, jedni byli mniej odporni niż inni.

Nie byłem tego świadomy, gdy wczesnym wieczorem wróciłem z laboratorium. Henry zgodził się jeszcze raz mnie zastąpić. Powiedziałem, że znajdę zastępcę, ale zbył moją propozycję machnięciem ręki.

– Nie musisz się spieszyć. Trochę pracy dobrze mi zrobi – powiedział.

Jechałem z opuszczonymi szybami. Z dala od najruchliwszych dróg powietrze pachniało trawami, łaskocząca słodycz mieszała się z lekko siarkową wonią schnącego błota na trzcinowisku. Była to miła odmiana po chemicznym smrodzie odczynników, który zalegał mi w gardle i nozdrzach. Większość dnia spędziłem przy szczątkach Sally. Wciąż raz na jakiś czas czułem osobliwy dysonans, próbując uzgodnić wspomnienie pełnej życia, ekstrawertycznej kobiety, jaką znałem, z widokiem sterty kości pozbawionych ostatnich powłok ciała. Ale nie chciałem się nad tym rozwodzić.

Na szczęście miałem co robić i nie mogłem sobie pozwolić na rozpamiętywanie.

W odróżnieniu od skóry i ciała kość zachowuje ślady wszystkich uszkodzeń. W przypadku Sally Palmer niektóre z nich były ledwie zadrapaniami, z których nie dało się niczego wywnioskować. Jednak w trzech miejscach ostrze wniknęło na tyle głęboko, że zostawiło po sobie wyraźną rysę. Tam, gdzie przecięto jej plecy, by włożyć skrzydła, płaska kość obu łopatek miała podobne szramy. Bruzdy długości

około piętnastu centymetrów, wyżłobione jednym przeciągłym cięciem. Były płytsze z obu końców, a pośrodku głębsze, co oznaczało, że nóż przesuwiał się po łopatkę łukiem, a nie wbił pionowo. Rany cięte, nie kłute.

Za pomocą miniaturowej piły elektrycznej ostrożnie rozciąłem wzdłuż jedną z bruzd. Marina z zaciekawieniem przyglądała się z oddali, jak badam odsłoniętą powierzchnię kości. Przywołałem ją gestem.

– Widzi pani, jak gładkie są krawędzie? – spytałem. – To znaczy, że nóż nie był ząbkowany. Zmarszczyła brwi.

– Skąd pan to wie?

– Bo ząbkowane ostrze zostawia deseń. Tak jak piła tarczowa na drewnie.

– Więc nie był to nóż do chleba czy do steka.

– Nie. Ale był ostry. Widzi pani, jak regularne i wyraziste są te cięcia? I dość głębokie. Pośrodku na jakieś cztery, pięć milimetrów.

– Czy to znaczy, że był duży?

– Na to wygląda. Może duży nóż kuchenny albo rzeźniczy, ale raczej obstawiałbym jakiś rodzaj noża myśliwskiego. Tego rodzaju noże są zwykle cięższe i mniej giętkie. Temu, kto go użył, nie zadrżała ręka. Cięcie jest też dość szerokie. Noże do mięsa są dużo cieńsze.

Użycie noża myśliwskiego wiązało się także z oczywistą znajomością lasu przez zabójcę, ale tego głośno nie powiedziałem. Zrobiłem zdjęcia obu łopatek i spisałem ich wymiary, po czym zająłem się trzecim kręgiem szyjnym. Ta część kości miała największe uszkodzenia, powstałe, gdy Sally podcięto gardło. Rana była innego rodzaju, o kształcie zbliżonym do trójkąta. Kłuta, nie cięta. Zabójca najpierw wbił ostrze w gardło, a potem przeciągnął je po tchawicy i tętnicy szyjnej.

– Jest praworęczny – powiedziałem.

Marina obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Po lewej stronie wgłębienie w kręgu jest głębokie, potem stopniowo łagodnieje ku prawej. Więc to w tę stronę prowadził nóż. – Wskazałem punkt na własnym gardle i przesunąłem palcem w poprzek. – Od lewej do prawej. Co sugerowałoby, że jest praworęczny.

– Nie mógł tego zrobić z backhandu?

– Wtedy przypominałoby bardziej szramę, jak na łopatkach.

– A stojąc z tyłu? Wie pan, żeby nie ubrudzić się krwią.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Bez różnicy. Może stał za nią, ale nawet wtedy zdołałby sięgnąć ręką, wbić ostrze i przeciągnąć je po szyi. Od lewej do prawej, jak ktoś praworęczny. W przeciwnym razie raczej pchałby nóż, niż ciągnął go. Byłoby to dość niewygodne i na kości zostałby inny ślad.

Milczała przez chwilę, jakby coś rozważając. W końcu potaknęła ruchem głowy.

– Niebawale.

*Wcale nie, pomyślałem. Jak się człowiek dość napatrzy, to takie wnioski przychodzą same.*

– Dlaczego mówi pan „on”? – spytała nagle Marina.

– Jak to?

– Gdy mowa o mordercy, zawsze mówi pan o nim, jakby był mężczyzną. Ale nie ma świadków, a ciało jest na takim etapie rozkładu, że nie można stwierdzić, czy została zgwałcona. Dlatego się zastanawiałam, skąd pan to wie. – Wzruszyła ramionami, stropiwszy się nieco. – To tylko nawyk czy policja do czegoś doszła?

Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej, ale Marina miała rację. Odruchowo założyłem, że zabójca jest mężczyzną.

Wszystko do tej pory na to wskazywało – tężyzna fizyczna, ofiary płci żeńskiej. Ale zdziwiłem się, że przyjąłem to za pewnik. Uśmiechnąłem się.

– Siła nawyku. Zwykle tak jest. Ale nie, nie mam takiej pewności.

Spojrzała na kości, które tak skrupulatnie badaliśmy.

– Też mi się wydaje, że to mężczyzna. Miejmy nadzieję, że złapią tego bydlaka.

Zastanawiając się nad jej słowami, nieomal przeoczyłem ostatni szczegół. Obejrzałem kręgi pod jasnym światłem i pod mikroskopem i już miałem się wyprostować, gdy ją dostrzegłem. Czarną drobinę w najgłębszym punkcie bruzdy wyżłobionej nożem, wyglądającą jak zgnilizna. Ale na pewno nie była to zgnilizna. Ostrożnie ją wydłubałem.

– Co to? – spytała Marina.

– Nie mam pojęcia.

Czułem falę ekscytacji. Cokolwiek to było, dostało się tam na koniuszku noża mordercy. Może to nic.

A może coś.

Wysłałem swoje znalezisko do laboratorium na spektroskopię, której nie potrafiłem przeprowadzić sam, i zacząłem robić gipsowe odlewy śladów noża na kościach. Jeśli kiedykolwiek znajdzie się narzędzie, które je pozostawiło, będzie można je

zidentyfikować, przykładając do formy – jak pantofelek Kopciuszka.

Już prawie skończyłem. Teraz pozostało tylko czekać na wyniki z laboratorium, nie tylko analizy substancji, którą znalazłem, ale i wszystkich innych badań z poprzedniego dnia. Na ich podstawie określi się dokładnie interwał pośmiertny, a wtedy moja rola się skończy. Rola, jaką odgrywam w śmierci Sally, o wiele bardziej intymna niż nasza zażyłość za jej życia. Będę mógł wrócić do swoich spraw, znowu schować się pod kloszem.

Wizja ta nie przyniosła mi takiej ulgi, jak się spodziewałem. Może dlatego, że już wtedy wiedziałem, że to nie będzie takie proste.

Ledwo co umyłem i wytarłem ręce, gdy rozległo się walenie do stalowych drzwi. Marina poszła otworzyć. Wróciła w towarzystwie młodego policjanta. Zerknąłem na tekturowe pudełko, które trzymał w rękach, i poczułem ucisk w dołku.

– To od nadinspektora Mackenziego.

Rozejrzał się za wolnym miejscem, gdzie mógłby je postawić. Wiedząc, co jest w środku, wskazałem pusty stalowy stół.

– Inspektor prosi, żeby pan to przebadał. Mówi, że pan wie, o co chodzi – powiedział policjant.

Pudełko nie wyglądało na ciężkie, a mimo to mężczyzna był cały czerwony i zziębnięty z wysiłku. A może tylko próbował wstrzymać oddech. Woń była już wyczuwalna. Wyszedł w pośpiechu, gdy zacząłem je otwierać. W środku w plastikowej torbie leżał pies Sally. Założyłem, że Mackenzie chce, żebym przebadał zwierzę, tak samo jak zrobiłem to z jego właścicielką. Jeśli – co wydawało się prawdopodobne – zabito je w momencie porwania, określenie czasu zgonu owczarka powie nam, kiedy porwano właścicielkę. I jak długo ją więziono. Nie należało zakładać, że morderca zrobi to samo z Lyn, ale mielibyśmy jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, ile zostało jej czasu.

Pomysł był dobry. Niestety, bez szans na zrealizowanie. Chemia rozkładu psa jest inna niż u ludzi i testy porównawcze nic by tu nie wniosły. Mogłem co najwyżej obejrzeć nacięcia na jego kręgosłupie. W najlepszym razie okaże się, że ten sam nóż przeciął gardło zwierzęcia. Choć nie wpłynie to w żaden znaczący sposób na tok śledztwa, to i tak trzeba to sprawdzić.

Uśmiechnąłem się smutno do Mariny.

– Wygląda na to, że jeszcze trochę nam się tu zejdzie.

Ostatecznie jednak poszło nam szybciej, niż się spodziewałem. Pies był dużo

mniejszy, co ułatwiło sprawę. Zrobiłem niezbędne zdjęcia rentgenowskie i włożyłem truchło do kąpielni chemicznej. Jutro, gdy tu przyjadę, zostanie z niego tylko szkielet. Myśl o tym, że szczątki Sally i jej psa leżą w tym samym pomieszczeniu, poruszyła we mnie czułą strunę, ale nie byłem pewien, czy była to krzepiąca, czy żałosna nuta.

Nisko zawieszone słońce przecinało lustro Manham Water i z krętej drogi prowadzącej do miasteczka jezioro wyglądało, jakby stało w płomieniach. Mrużąc oczy, zsunąłem z czoła ciemne okulary. Na chwilę oprawki zasłoniły mi widok, ale potem zobaczyłem, że skrajem drogi idzie ku mnie jakaś postać. Zdziwiłem się, że jest tak blisko, ale ponieważ od tyłu oświetlało ją oślepiające słońce, dopiero mijając ją, rozpoznałem kto to. Zatrzymałem się i cofnąłem.

– Podwieźć panią?

Linda Yates rozejrzała się po pustej drodze i dopiero po chwili odpowiedziała.

– Nie będzie panu po drodze.

– Nie szkodzi. To raptem kilka minut. Niech pani wsiada.

Nachyliłem się i otworzyłem drzwi. Wciąż się wahała.

– Nie będę musiał nadkładać dużo drogi. Poza tym i tak chciałem zajrzeć do Sama.

To ją przekonało. Wsiadła. Pamiętam, że usiadła jak najbliżej drzwi, ale wtedy nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

– Jak on się miewa? – spytałem.

– Lepiej.

– Wrócił do szkoły?

Wzruszyła ramionami.

– To już chyba bez sensu. Jutro kończą.

Miała rację. Straciłem poczucie czasu i zapomniałem, że zbliża się koniec roku szkolnego i początek wakacji.

– A jak Neil?

Po raz pierwszy na jej twarzy zamajaczył uśmiech. Gorzki.

– W porządku. Jest jak ojciec.

Wolałem nie wnikać w ich sprawy rodzinne, które kryły się za tą aluzją.

– Wraca pani z pracy? – spytałem.

Wiedziałem, że dorywczo sprzątała w kilku sklepach w miasteczku.

– Potrzebowaliśmy kilku rzeczy z supermarketu. – Jakby na dowód podniosła plastikową siatkę, którą miała w ręku.

– Nie za późno na zakupy?



Obrzuciła mnie spojrzeniem. Nie uległo wątpliwości, że jest zdenerwowana.

– Ktoś musi je zrobić.

– A... – Szukałem w pamięci imienia jej męża. – A Gary nie mógł pani podwieźć?

Wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie było takiej możliwości.

– Nie wiem, czy samotny spacer do domu to teraz najlepszy pomysł.

Znowu to samo nerwowe spojrzenie. Jakby jeszcze mocniej przyłgnęła do drzwi.

– Wszystko dobrze? – spytałem, choć sam sobie na to pytanie potrafiłem odpowiedzieć. – Wygląda pani na niespokojną.

– Po prostu... chciałabym już być w domu i tyle.

Zaciskała dłonie na krawędzi drzwi, jakby gotowa przez nie wyskoczyć.

– Lindo, co się dzieje?

– Nic – odparowała.

Dopiero teraz, poniewczasie, zaczynałem rozumieć, o co chodzi.

Bała się. Mnie się bała.

– Jeśli chce pani, żebym się zatrzymał, bo woli dalej pójść piechotą, to proszę powiedzieć – zaproponowałem ostrożnie.

To, jak na mnie spojrzała, nie pozostawiało wątpliwości. Cofnąłem się pamięcią, uświadamiając sobie, jak niechętnie wsiadała do samochodu. Przecież mnie znała, na litość boską! Od samego początku byłem jej lekarzem rodzinnym, leczyłem Sama ze świnki i ospy, Neilowi nastawiałem złamaną rękę. Ledwie kilka dni temu byłem w jej kuchni, gdy chłopcy dokonali swojego makabrycznego odkrycia, od którego zaczął się cały ten koszmar. O co, u licha, chodzi?

Po chwili potrząsnęła głową.

– Nie, wszystko w porządku.

Trochę się uspokoiła, ale nie do końca.

– Nie mam pretensji, że traktuje mnie pani z nieufnością. Chciałem tylko pomóc.

– I pomógł pan. Chodzi o to, że...

– Proszę mówić.

– Nic takiego. Głupie gadanie.

Do tej pory jej zachowanie kładłem na karb ogólnego niepokoju, zbiorowej podejrzliwości, jaka zrodziła się w miasteczku w reakcji na ostatnie wydarzenia. Teraz jednak dotarło do mnie, że chodzi o coś więcej, i poważnie się zaniepokoiłem.

– Jakie gadanie?

– Ludzie mówią... Że był pan aresztowany. – Nie wiedziałem, czego się

spodziewać, ale to spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. – Przepraszam – powiedziała, jakbym to ją miał za to winić. – To tylko głupia plotka.

– Skąd w ogóle taki pomysł? – spytałem w osłupieniu.

Zaczęła nerwowo pocierać ręce, nie bała się już mnie, ale tego, co miała mi zaraz powiedzieć.

– Nie przyjmował pan w przychodni. Ludzie mówią, że była u pana policja i że pojechał pan gdzieś z tym ich szefem.

Nagle wszystko się wyjaśniło. W obliczu braku konkretnych informacji lukę poznawczą wypełniła plotka, a godząc się pomóc Mackenzemu, sam wystawiłem się na ostrzał słów. Było to tak absurdalne, że mógłbym to zbyć śmiechem. Gdyby nie to, że to kiepski dowcip.

Zorientowałem się, że zaraz będę mijać dom Lindy. Zatrzymałem się, nadal zbyt oniemiały, by cokolwiek powiedzieć.

– Przepraszam – powtórzyła. – Myślałam tylko... – Nie skończyła.

Próbowałem znaleźć jakąś odpowiedź, która nie wymagałaby ode mnie wyświechtania całej mojej przeszłości przed oczami mieszkańców Manham.

– Pomagam policji. Współpracuję z nimi. Byłem kiedyś... specjalistą od tych spraw. Zanim tu przyjechałem. – Słuchała, ale nie byłem przekonany, że coś z tego rozumie. Przynajmniej nie sprawiała już wrażenia, jakby chciała wyskoczyć z mojego samochodu. – Chcieli, żebym im doradził – kontynuowałem. – Dlatego nie było mnie w przychodni.

Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym dodać. Linda po chwili odwróciła wzrok.

– Tutaj już tak jest. W Manham.

Wyglądała na zmęczoną. Otworzyła drzwi.

– Naprawdę chciałbym zobaczyć Sama – powiedziałem.

Skinęła głową. Nadal wstrząśnięty, poszedłem za nią ścieżką. Wieczór był jasny i gdy weszliśmy do środka, wydawało się, że wnętrze domu wypełnia zmętniały półmrok. W salonie grał telewizor, kakofonia dźwięków i obrazów. Przed telewizorem mąż i najmłodszy syn: mężczyzna rozwalony w fotelu, chłopiec brzuchem na podłodze przed odbiornikiem. Gdy weszliśmy, obaj się odwrócili. Gary Yates milczącym spojrzeniem zażądał od żony wyjaśnień.

– Pan doktor mnie podwiózł – powiedziała, odstawiając torbę z zakupami i poruszając się z nienaturalnym pośpiechem. – Chciał sprawdzić, jak się czuje Sam.

Yates chyba nie bardzo wiedział, jak zareagować. Był to żylasty mężczyzna

z wychudzoną twarzą, niewiele po trzydziestce, typ zawadiaki. Podniósł się powoli, z wahaniem rozkładając ręce. Uznał jednak, że nie poda mi dłoni, i wcisnął je w kieszenie.

– Nie wiedziałem, że planuje pan wizytę – powiedział.

– Nie planowałem. Ale w związku z tym, co się ostatnio dzieje, nie mogłem pozwolić, by Linda wracała do domu sama.

Poczerwieniał i odwrócił wzrok. *Spasuj*, upomniałem się w myślach. Wiedziałem, że jeśli zranię jego dumę, to po moim wyjściu tylko odbije sobie na żonie.

Uśmiechnąłem się do Sama, który obserwował nas z poziomu podłogi. Samo to, że siedział w domu w tak piękny letni wieczór oznaczało, że nie wrócił jeszcze do normy, ale wyglądał o niebo lepiej niż ostatnim razem. Gdy spytałem, co będzie robił w wakacje, nawet uśmiechnął się przelotnie i na chwilę ożywił.

– Chyba całkiem dobrze sobie radzi – powiedziałem w kuchni do Lindy. – Teraz, gdy minął już pierwszy szok, pewnie szybko stanie na nogi.

Linda przytaknęła z roztargnieniem. Wciąż była dziwnie skrępowana.

– Jeśli chodzi o to, co mówiłam... – zaczęła.

– Zapomnijmy o tym. Dobrze, że mi pani powiedziała.

Nie przyszło mi do głowy, że ludzie mogą tak to odebrać. A chyba powinno. Nie dalej jak wczoraj Henry upominał mnie, bym był ostrożny. Uznałem, że przesadza, ale najwyraźniej znał Manham lepiej ode mnie. Męczyło mnie to nie dlatego, że źle oceniłem sytuację, ale dlatego, że społeczność, której czułem się częścią, z taką łatwością posądziła mnie o najgorsze.

A powinienem był wiedzieć, że rzeczywistość zawsze potrafi nas niemile zaskoczyć. Obejrzałem się przez ramię, aby upewnić się, że drzwi do salonu są zamknięte. Przez cały czas, od kiedy zaprosiłem ją do samochodu, chciałem zadać jej jedno pytanie.

– Wtedy w niedzielę, po tym, jak Neil i Sam znaleźli zwłoki – zacząłem – powiedziała pani, że to Sally Palmer. Przyśniła się pani.

Linda stała przy zlewie i zmywała kubki.

– To chyba przypadek.

– Wtedy twierdziła pani coś innego.

– Byłam zdenerwowana. Plotłam coś trzy po trzy.

– Nie usiłuję pani w nic wmanewrować. Tylko...

– Tylko co...?

Sam już nie byłem pewien, czego staram się dowieść. Ale brnąłem w to dalej.

– Zastanawiałem się tylko, czy miała pani jeszcze podobne sny. Na przykład o Lyn Metcalf.

Przerwała zmywanie.

– Nie sądziłam, że ktoś taki jak pan przejmie się takimi rzeczami.

– Zaciekawilo mnie to, po prostu.

Spojrzała na mnie badawczo. Przenikliwie. Poczulem się niezręcznie. Potem gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie – rzuciła. Dodała coś jeszcze tak cicho, że ledwo usłyszałem. Już miałem dopytać, ale otworzyły się drzwi i stanął w nich Gary, obrzucając nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Myślałem, że pan już wyszedł.

– Właśnie wychodzę – odparłem.

Podszedł do lodówki i otworzył jej pordzewiałe drzwi.

Wisiał na nich przekrzywiony magnes z rysunkiem uśmiechniętego krokodyla i z dopingującym napisem: „Zacznij dzień z uśmiechem”. Gary wyjął i otworzył puszkę piwa. Nie zważając na mnie, pociągnął łyk, a odstawiając ją, wydał z siebie stłumione beknięcie.

– Do widzenia – powiedziałem do Lindy.

Nerwowo pokiwała głową.

Gary patrzył przez okno, jak wracam do samochodu. Po drodze do Manham myślałem o tym, co powiedziała. Zaprzeczyła, że przyśniła jej się Lyn, ale potem dodała coś jeszcze. Dwa słowa, tak ciche, że prawie niesłyszalne.

*Jeszcze nie.*

Choć plotki na temat mojej osoby były absurdalne, nie mogłem sobie pozwolić na ich ignorowanie. Uznałem, że lepiej od razu się z nimi skonfrontować, niż pozwolić im żyć własnym życiem. Mimo to, kierując się do Baranka, nadal czułem dziwny lęk. Girlandy kwiatów na Pomniku Męczennicy zwiędły już i uschły. Miałem nadzieję, że nie jest to zły omen. Przy skwerku stała furgonetka policyjna, a przed nią siedziało dwóch znudzonych policjantów, wygrzewających się w wieczornym słońcu. Spojrzeli na mnie obojętnie, gdy ich mijalem. Zaparkowałem przed pubem, wziąłem głęboki oddech i pchnąłem drzwi.

Tuż po wejściu pomyślałem, że Linda Yates przesadziła. Ludzie spojrzeli w moją

stronę i przywitani mnie jak zwykle, skinieniem głowy i pozdrowieniami. Może mniej serdecznie niż zazwyczaj, ale w tych okolicznościach to nic dziwnego. Jeszcze przez jakiś czas nie ma się co spodziewać żartów i śmiechów.

Podszedłem do baru i zamówiłem piwo. Ben Anders siedział w kącie i rozmawiał przez komórkę. Przywitał mnie podniesioną dłonią i wrócił do rozmowy. Jack jak zwykle bez pośpiechu nalał mi piwo, kontemplacyjnym wzrokiem wpatrując się w złoty płyn spieniający się w szklance. Henry zagalopował się z tymi swoimi ostrzeżeniami, pomyślałem z ulgą. Ludzie przecież mnie znają.

Nagle z drugiego końca baru rozległo się chrząknięcie.

– Było się w rozjazdach, co?

Carl Brenner. Gdy zwróciłem się w jego stronę, na sali zaległa cisza. Może jednak Henry miał rację.

– Słyszałem, że ostatnio gdzieś pan przepadł. – Brenner nie dawał za wygraną.

Patrzył zjadliwie spod półprzymkniętych powiek. Widać było, że jest wstawiony.

– Nie na długo.

– Doprawdy?

– Miałem kilka spraw do załatwienia.

Choć chciałem ukrócić plotki na swój temat, to nie miałem ochoty dać mu się zmanipulować. Ani dostarczyć pytlom pretekstu do kłapania dziobem.

– A mnie ptaszek ćwierkał co innego. – Oczy miał pozołkłe od wściekłości, która najwyraźniej szukała ujścia. – Podobno był pan na policji.

Zapadła grobowa cisza.

– Zgadza się.

– A czego od pana chcieli?

– Rady.

– Rady? – Nie próbował ukryć niedowierzania. – A w jakiej to sprawie?

– Niech sam pan ich zapyta.

– A ja wolę zapytać pana. I co pan na to?

Jego złość w końcu znalazła obiekt, na którym mogła się zogniskować. Odwróciłem wzrok i rozejrzałem się po sali. Niektórzy wbili spojrzenie w swoje szklanki. Reszta patrzyła na mnie. Jeszcze bez potępienia, ale wyczekująco.

– Jeśli ktoś z was ma coś do powiedzenia, to niech powie – powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem. Patrzyłem im prosto w oczy, aż jeden po drugim poodwracali twarze.

– Skoro nikt się nie zgłasza, to ja chętnie zabiorę głos. – Carl Brenner wstał ze stołka. Energicznie chwycił za szklankę, wychylił i z impetem odstawił.

– Byłeś...

– Na twoim miejscu bym się pohamował.

Nagle obok mnie zjawił się Ben Anders. Jego obecność podziałała na mnie krzepiąco, nie tylko ze względu na jego masywną posturę, ale i dlatego że poczułem, że mam kogoś po swojej stronie.

– Nie mieszaj się w to – rzucił Brenner.

– W to... czyli w co? Nie chcę tylko, żebyś chlapanął coś ozorem, a jutro żałował.

– Niczego nie będę żałował.

– To świetnie. Jak tam Scott?

Pytanie to odebrało Brennerowi nieco animuszu.

– Że co?

– Twój brat. Co z jego nogą? Tą, którą pan doktor wczoraj opatrzył?

Brenner wzdrygnął się, wciąż nasrożony, ale już zbity z tropu.

– W porządku.

– Całe szczęście, że nasz pan doktor nie liczy sobie za pracę po godzinach – powiedział Ben przyjaznym tonem i przebiegł wzrokiem po sali. – Zdaje się, że większości z nas wyświadczył kiedyś podobną przysługę. – Pozwolił słowom wybrzmieć, potem klasnął w dłonie i wrócił do baru. – Jack, w wolnej chwili nalej mi jeszcze jedno.

Jakby ktoś nagle otworzył okno i wpuścił powiew świeżego powietrza. Atmosfera się oczyściła, ludzie wrócili do swoich rozmów, niektórzy z poczuciem winy malującym się na twarzy. Czulem, jak po karku spływa mi strużka potu, i to nie z powodu duchoty panującej w pozbawionym przewiewu barze.

– Napijesz się whisky? – spytał Ben. – Mam wrażenie, że dobrze ci zrobi.

– Nie, dzięki. Ale postawię ci kolejkę.

– Nie trzeba.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Daj spokój. Należało tym draniom przypomnieć to i owo. – Zerknął na Brennera, który ponuro wpatrywał się w pustą szklankę. – A temu skurczybykowi trzeba dać nauczkę. Jestem prawie pewien, że plądruje ptasie gniazda w rezerwacie. Zagrożone gatunki. Normalnie, gdy wyklują się z jaj, to jesteśmy już spokojni, ale teraz tracimy też dorosłe ptaki. Błotniaki, nawet bąki. Nie złapałem go jeszcze za rękę, ale jednego

razu... – Uśmiechnął się, gdy Jack postawił przed nim piwo. – Dobry z ciebie człowiek. – Upił potężny łyk i westchnął z uznaniem. – No, to co tam robiłeś? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Nie martw się. Jestem tylko ciekawy. Ale nie da się ukryć, że coś cię wywabило z naszego Manham.

Zawahałem się, ale byłem mu winien jakieś wyjaśnienie. Opowiedziałem mu z grubsza, nie wchodząc w zbędne szczegóły.

– Jezu drogi – skwitował.

– Teraz rozumiesz, dlaczego o tym nie mówię. A raczej nie mówiłem – dodałem.

– Jesteś pewien, że nie lepiej po prostu powiedzieć wszystkim? Postawić sprawę jasno?

– Nie wydaje mi się.

– Mogę szepnąć słówko tu i tam, jeśli chcesz. O tym, czym się zajmowałeś.

Miałoby to pewien sens. Jednak było wbrew moim zasadom. Nie miałem zwyczaju mówić o pracy, a wiadomo, że ze starymi nawykami ciężko walczyć. Może po prostu przemawiał przeze mnie upór, ale sądziłem, że umarli mają prawo do prywatności tak samo jak żywi. Zdradzając, co tam robiłem, tylko rozbuchałbym chorobliwą ciekawość. Doskonale wiedziałem, co Manham pomyśli o nieortodoksyjnych praktykach swojego doktora. Zdawałem sobie sprawę, że w oczach niektórych mieszkańców moje dwie profesje będą nie do pogodzenia.

– Nie, dzięki – odparłem.

– Jak wolisz. Ale i tak będą gadać.

Choć byłem tego świadomy, to wciąż czułem ucisk w trzewiach. Ben wzruszył ramionami.

– Boją się. Wiedzą, że morderca mieszka wśród nich, ale i tak wolą myśleć, że to ktoś obcy.

– Ja nie jestem obcy. Mieszkam tu od trzech lat.

Jak tylko to wypowiedziałem, zdałem sobie sprawę, jak nieprawdziwie zabrzmiało. To, że żyję i pracuję w Manham, nie znaczy, że tu przynależę. Właśnie mi to przypomniano.

– Nieważne. Mógłbyś tu mieszkać i przez trzydzieści, a i tak będziesz z miasta. Jak przyjdzie co do czego, ludzie spojrzą na ciebie i pomyślą „obcy”.

– W takim razie nie ma znaczenia, co im powiem, prawda? Ale nie wierzę, że wszyscy są tak wrogo nastawieni.

– Nie, nie wszyscy. Ale wystarczy, że znajdzie się kilku. – Miał poważny wyraz

twarży. – Miejmy nadzieję, że niedługo złapią tego bydlaka.

Nie zostałem potem długo. Piwo miało kwaśny i zjełczały posmak, choć wiedziałem, że było świeże jak zwykle. Na myśl o tym, co się stało, ogarniało mnie odrętwienie, coś jak ćmienie, które pojawia się tuż przed atakiem bólu z zadanej rany. Wolałem być w domu, gdy w końcu mu się poddam.

W drodze powrotnej z pubu zobaczyłem Scarsdale'a – akurat wychodził z kościoła. Może mi się przywidziało, ale wydawał się wyższy i poruszał się bardziej sprężysto niż wcześniej. On jeden rósł w siłę po wydarzeniach ostatnich dni. Wystarczy strach i niedola, by celebrans zmienił się w celebrytę, pomyślałem i od razu się zawstydzilem. Robił tylko to, co do niego należało, tak samo jak ja. Nie powinienem pozwalać, by antypatia, jaką do niego żywię, wpływała na moje osądy. Bóg mi świadkiem, że dość już uprzedzeń jak na jeden wieczór.

Poczucie winy kazało mi podnieść rękę w geście pozdrowienia, gdy go mijałem. Spojrzał prosto na mnie i przez chwilę wydawało mi się, że nie raczy go odwzajemnić, ale potem oszczędnie skinął głową.

Odniosłem nieodparte wrażenie, że czytał mi w myślach.



**P**rzed weekendem dziennikarze zaczęli opuszczać miasteczko. Wobec braku jakiegokolwiek rozwoju akcji Manham traciło efemeryczne zainteresowanie mediów. Jeśli coś się zmieni, wróć. Do tego czasu Sally Palmer i Lyn Metcalf będą zajmować coraz mniej czasu antenowego i miejsca w rubrykach gazet, aż ich imiona całkiem się zatrą w powszechnej świadomości.

Jednak gdy o poranku jechałem do laboratorium, nie myślałem o słabnącej obecności mediów ani – wstyd się przyznać – o obu ofiarach. Chwilowo na plan dalszy zeszło także zaszokowanie faktem, że całe miasteczko traktuje mnie podejrzliwie. O nie, martwiło mnie coś dużo bardziej trywialnego.

Dzisiejsza kolacja u Jenny Hammond.

Powtarzałem sobie, że to nic nadzwyczajnego. Że Jenny, a raczej jej koleżanka Tina, po prostu chciała być miłą. W Londynie zaproszenie na kolację było czymś w rodzaju grzecznościowej waluty, którą rozdaje się i przyjmuje bez głębszego namysłu. Ta sytuacja niczym się od tamtej nie różni, przekonywałem się w duchu.

Bezskutecznie.

Manham to nie Londyn. Moje życie towarzyskie zostało zredukowane do rozmów z pacjentami i kilku piw w pubie. Zresztą o czym mielibyśmy rozmawiać? Miasteczko żyło teraz tylko jednym tematem, a ten nie nadawał się do miłej pogawędki przy kotlecie. Tym bardziej jeśli dotarły do nich plotki na mój temat. Żałowałem, że nie byłem na tyle przytomny, by od razu odmówić. Zastanawiałem się nawet, czy do nich nie zadzwonić, przeprosić i jakoś się wykręcić.

Ale mimo że na myśl o umówionej kolacji reagowałem podenerwowaniem, to nie wykonałem tego telefonu. Co samo w sobie było jeszcze bardziej denerwujące. Bo gdzieś w środku wiedziałem – i byłem z tego powodu na siebie zły – skąd bierze się to napięcie. Chodziło o to, że znowu zobaczę Jenny. Poruszyło to we mnie osad skomplikowanych emocji, których wolałbym nie tykać. Jedną z nich było poczucie winy.

Czułem się, jakbym przygotowywał się do zdrady.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to absurdalne. Po pierwsze, był to tylko wspólny posiłek, a po drugie, odkąd cztery lata temu pewnego popołudnia jakiś pijany biznesmen stracił kontrolę nad swoim bmw, wiedziałem aż nazbyt dobrze, że nie ma już tej, którą mógłbym zdradzić.

Ale nie robiło to różnicy.

Gdy zaparkowałem przed laboratorium i wsiadłem do windy, wciąż byłem rozkojarzony. Pchnąwszy stalowe drzwi do kostnicy, wszedłem do środka, starając się pozbierać myśli. Marina już tam była. Drzwi jeszcze się kołysały, gdy oznajmiła:

– Mamy już wyniki.

Mackenzie zmarszczył brwi na widok raportu, który mu wręczyłem.

– Jest pan pewien?

– Raczej tak. Testy potwierdzają, że zwłoki Sally Palmer znaleziono około dziewięciu dni po jej śmierci.

Byliśmy w małym gabinecie w laboratorium. Zaproponowałem wcześniej, że prześlę wyniki mejlem, ale Mackenzie nalegał, że zjawi się osobiście.

– Jak są dokładne? – spytał.

– Analiza aminokwasów pozwala określić czas zgonu z dokładnością do dwunastu godzin w obie strony. To najprecyzyjniejsze z badań. Nie jestem w stanie podać dokładnej godziny, ale Sally Palmer zamordowano między dwunastą w południe w piątek a dwunastą w południe w sobotę.

– Nie da się tego jeszcze bardziej zawęzić?

O mały włos bym mu odpysknął, ale się powstrzymałem. Cały dzień spędziłem na obliczeniach interwału pośmiertnego. Było to skomplikowane zadanie, ponieważ zwłoki przez kilka dni leżały na dworze, w związku z czym trzeba było uwzględnić średnią temperaturę i inne czynniki atmosferyczne. Największa tajemnica życia zredukowana do banalnego matematycznego wzoru.

– Przykro mi. Ale wzięwszy pod uwagę wszystkie czynniki, czerwie i tak dalej, obstawiałbym, że jakoś w połowie.

– Powiedzmy więc, że w piątek o północy. A ostatni raz widziano ją trzy dni wcześniej na grillu. – Mackenzie zmarszczył brwi, wiedząc, co to oznacza. – I nie ma możliwości, by określić podobny przedział dla psa?

– Procesy chemiczne w ciele psa przebiegają inaczej niż u człowieka. Mogę

przeprowadzić analizę, ale nic nam to nie powie.

– Cholera – wymamrotał. – Ale myśli pan, że zabito go wcześniej?

Wzruszyłem ramionami. Mogłem się tylko opierać na tym, w jakim stanie było psie truchło, i na żerujących na nim owadach, a to mało naukowe przesłanki.

– Raczej tak, ale – jak mówiłem – nie można tych samych reguł stosować do zwierząt. Powiedziałbym, że przynajmniej dwa lub trzy dni wcześniej.

Mackenzie skubał wargę. Wiedziałem, o czym myśli. Dziś mijał trzeci dzień od zniknięcia Lyn. Nawet jeśli zabójca w swej grze trzymał się tego samego schematu co wcześniej i gdzieś więził ofiarę, to gra dobiegała końca. Jakikolwiek chory scenariusz realizował, niedługo miał nastąpić jego punkt kulminacyjny – o ile już to się nie stało.

Chyba że ją znajdą.

– Mamy też wyniki analizy substancji z bruzd na kręgach szyjnych Sally Palmer – powiedziałem Mackenzemu. Odczytałem własną kopię raportu. – To węglowodór. Dość złożony, w osiemdziesięciu procentach składa się z węgla, w dziesięciu z wodoru, z niewielkim dodatkiem siarki, tlenu, azotu i kilku innych metali w śladowych ilościach.

– Czyli co?

– Bitumen. Zwykła masa asfaltowa, jaką sprzedają w każdym sklepie budowlanym.

– To mi dopiero trop.

Coś mi zaświtało z tyłu głowy, jakby wypowiedziane słowa posłały iskrę między synapsami. Próbowałem to przyszpilić, ale pozostawało nieuchwytnie.

– Coś jeszcze? – spytał Mackenzie i niedoszła myśl ulotniła się ostatecznie.

– W zasadzie nie. Muszę jeszcze przebadac ślady noża na kręgosłupie psa. Przy odrobinie szczęścia potwierdzi się, że zabito go tym samym narzędziem. I jeśli chodzi o moją robotę, to będzie na tyle.

Mackenzie wyglądał na ukontentowanego, choć widać było, że miał nadzieję na smakowitszy kąsek.

– A jak tam wasze ustalenia? Macie coś nowego? – spytałem.

Sposępniał i to wystarczyło mi za odpowiedź.

– Badamy kilka tropów – odparł chłodno. Nie skomentowałem. Po chwili westchnął. – Nie mamy żadnego podejrzanego, żadnego świadka ani motywu. A więc nie, nie mamy nic nowego. Przesłuchania sąsiadów, bliskich i dalszych, nic nie wniosły. Wznowiliśmy poszukiwania, ale przez te pułapki idą wolno. Nie damy rady

przeczesać takiego terenu. Połowa to zasrane bagno, a potem Bóg wie ile hektarów cholernego lasu i rowów. – Pokręcił głową, znowu ulegając frustracji. – Jeśli postanowił porządnie ukryć jej zwłoki, możemy jej nigdy nie znaleźć.

– A więc myśli pan, że Lyn już nie żyje.

Posłał mi znużone spojrzenie.

– To chyba nie pierwsze śledztwo, przy którym pan pracuje. Jak często znajdujemy je żywe?

– Zdarza się.

– Owszem, zdarza – przyznał. – Wygrana na loterii też się zdarza. Raz na milion. Szczerze mówiąc, raczej obstawiałbym to drugie niż to, że Lyn Metcalf przeżyje. Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie wie. Śledczy nie znaleźli żadnych użytecznych dowodów ani tam, gdzie ją porwano, ani tam, gdzie znaleziono zwłoki Sally Palmer. W rejestrze przestępców seksualnych i w rejestrze karnym też nic. Jedyne, co wiemy, to że sprawca jest dość silny i wie co nieco o lesie i polowaniu.

– To mi dopiero trop.

Mackenzie zaśmiał się gorzko.

– No właśnie. W takim, dajmy na to, Milton Keynes nie byłby całkiem beużyteczny, ale tu na wsi polowanie to część życia. Ludzie nawet nie zwracają na to uwagi. Tutaj, kimkolwiek jest, udaje mu się pozostać niewidzialnym.

– A profil psychologiczny?

– Z tym też jest problem. Mamy za mało przesłanek. To, co psychologowie są w stanie powiedzieć, jest na tyle ogólne, że beużyteczne. Wiemy, że jest amatorem świeżego powietrza, wysportowanym i dość inteligentnym, ale na tyle nieostrożnym lub też nonszalanckim, by pozostawić zwłoki Sally Palmer w miejscu, w którym łatwo je znaleźć. Tak samo można opisać połowę mężczyzn w Manham. A jeśli wliczyć okoliczne wioski, to mamy jakichś dwustu do trzystu podejrzanych.

Mackenzie wyglądał na zgnębionego. Nie mogłem go obwiniać. Nie byłem ekspertem, ale z doświadczenia wiedziałem, że większość seryjnych morderców namierzono albo przez przypadek, albo dlatego że popełnili jakiś rażący błąd. Są jak kameleony, na pierwszy rzut oka wyglądają jak typowi przedstawiciele społeczeństwa i doskonale wtapiają się w otoczenie. Gdy w końcu zostają zdemaskowani, pierwszą reakcją przyjaciół i sąsiadów jest niedowierzanie. Ci dopiero z perspektywy czasu dostrzegają nierówny, kolczasty kontur ich sylwetki odcinający się od tła. Niezależnie od tego, jakich okrucieństw te kreatury się dopuściły, zawsze najbardziej szokuje to,

że dotąd wydawały się zupełnie normalnymi ludźmi.

Jak ty i ja.

Mackenzie drapał pieprzyk na szyi. Przestał, gdy zorientował się, że patrzę.

– Wypłynęła jedna rzecz, która może okazać się ważna – powiedział z udawaną bezceremonialnością w głosie. – Jedna z osób, które rozmawiały z Sally Palmer na grillu, powiedziała, że Sally była zdenerwowana, bo ktoś zostawił jej na progu zdechłego gronostaja. Uznała, że to jakiś makabryczny dowcip.

Pomyślałem o łabędzich skrzydłach i kaczce przywiązanej do kamienia.

– Myśli pan, że podrzucił go tam zabójca?

Wzruszył ramionami.

– Może tylko dzieciaki. Ale niewykluczone, że to jakiś rodzaj oznaczenia czy ostrzeżenia. Jakby zgłaszał do swojej ofiary roszczenie. Wiemy już, że ptaki to jego znak firmowy. Dlaczego miałyby nie wykorzystywać innych zwierząt?

– A Lyn Metcalf? Znalazła coś podobnego?

– Dzień przed zniknięciem wspominała mężowi, że widziała w lesie martwego zająca. Ale równie dobrze mógł go zabić lis albo pies. Teraz już tego nie sprawdzimy.

Mackenzie miał rację, ale nadal wydawało mi się to dziwne. Zbiegi okoliczności zdarzają się podczas popełniania morderstw tak samo często jak w innych dziedzinach życia. Zważywszy jednak na dotychczasowe zachowanie mordercy, można było podejrzewać, że jest na tyle pewny siebie, by z wyprzedzeniem oznaczać swoje ofiary.

– Więc nie uważa pan, że jest w tym coś więcej? – spytałem.

– Tego nie powiedziałem – odburknął. – Ale na tym etapie niewiele możemy zrobić. Sprawdzamy już osoby karane za znęcanie się nad zwierzętami. Ktoś tam przypomniał sobie, że jakieś dziesięć, piętnaście lat temu zabijano tu koty, ale nikogo nie złapano i... co?

Zacząłem kręcić głową.

– Sam pan powiedział, że tu jest inaczej niż w dużym mieście. Że ludzie mają inne podejście do sprawy. Nie twierdzą, że umyślnie dręczą naszych braci mniejszych, ale chyba nie darzą ich też szczególnymi sentymentami.

– Co znaczy, że nikt nie zwróciłby uwagi na kilka martwych zwierząt – skonstatował.

– Gdyby ktoś spalił psa na miejskim skwerku, pewnie wywołałoby to jakąś reakcję. Ale jesteśmy na wsi. Zwierzęta giną tu cały czas.

Widać było, że powoli przyznaje mi w duchu rację.

– Niech mi pan da znać, jak znajdzie coś à propos tego psa – powiedział i wstał. – W razie czego jestem pod komórką.

– Chwileczkę, jest jeszcze jedna sprawa, o której powinien pan wiedzieć.

Opowiedziałem mu o krążącej po Manham plotce na temat mojego aresztowania.

– Boże drogi – westchnął, gdy skończyłem. – Będzie miał pan z tego powodu problemy?

– Nie wiem, mam nadzieję, że nie. Ale ludzie robią się niespokojni. Widzą pana w przychodni i dopowiadają sobie resztę. Wolałbym nie musieć się tłumaczyć.

– Rozumiem.

Nie wyglądał jednak na zbyt przejętego. Czy zdziwionego. Gdy poszedł, przeszło mi przez myśl, że spodziewał się czegoś podobnego, że byłoby mu nawet na rękę, gdybym został kimś w rodzaju kozła ofiarnego. Powiedziałem sobie, że to absurdalne, lecz wciąż miałem to z tyłu głowy, gdy wróciłem, żeby zbadać szkielet psa.

Pracowałem z mechaniczną bezmyślnością, preparując i fotografując ślady nacięć w miejscach, gdzie ostrze naruszyło kręgosłup szyjny. Były to rutynowe czynności, potrzebne tylko do skrupulatnej dokumentacji i niedające perspektyw na odkrycie czegoś istotnego. Umieszczając kość pod mikroskopem, z góry wiedziałem, czego się spodziewać. Wciąż ją oglądałem, gdy Marina wróciła z kubkiem kawy.

– Coś ciekawego? – spytała.

Odsunąłem się, robiąc dla niej miejsce.

– Niech pani sama spojrzy.

Nachyliła się nad mikroskopem i ustawiła ostrość. Gdy się wyprostowała, wyglądała na zdziwioną.

– Nie rozumiem.

– Czego?

– Bruzda jest poszarpana, nie tak gładka jak tamta. Nóż pozostawił w kości jakby pofałdowanie. Mówił pan, że tylko ząbkowane ostrze zostawia taki deseń.

– Bo tak jest.

– Ale to się nie składa w całość. Nacięcie na kręgosłupie kobiety było gładkie. Dlaczego to jest inne?

– Odpowiedź jest prosta – odparłem. – Zrobiono je innym nożem.

Mięso było jeszcze surowe. Kropelki tłuszczu zraszały je jak pot, potem ściekały przez kratkę i z sykiem roztrzaskiwały się o rozżarzone węgielki, wysyłając w powietrze leniwe strużki dymu, które rozplýwały się w duszącej niebieskawej mgiele.

Tina zmarszczyła brwi, nakłuwając widelcem jeden z niedopieczonych burgerów leżących na grillu.

- Mówiłam ci, że nie jest dość gorący.
- Daj im jeszcze chwilę – odparła Jenny.
- Jak będziemy czekać za długo, wszystko się wypali. Musi się bardziej rozgrzać.
- Niczym już ich nie polewaj.
- Dlaczego? Przy takim tempie spędzimy tu całą noc.
- Trudno. Ten zajzajer to trucizna.
- Dajże spokój, umieram z głodu!

Siedzieliśmy w ogrodzie na tyłach maleńkiego domku, który we dwie wynajmowały. W zasadzie było to zaledwie podwórko, zaniedbany skrawek trawy, po obu stronach ogrodzony wybiegiem dla koni. Było jednak zacisznie – wychodziły tu tylko okna sypialni sąsiedniego domu – i roztaczał się niczym niezmacony widok na jezioro znajdujące się zaledwie sto metrów dalej.

Tina jeszcze raz dźgnęła burgery i zwróciła się do mnie:

– A pana lekarskim zdaniem jak będzie lepiej? Zatruc się toksynami czy umrzeć z głodu?

– Sugeruję kompromis – zaproponowałem. – Zdjąć na chwilę burgery i w tym czasie wylać podpałkę, żeby mięso nie przesiąkło jej zapachem.

– Boże, jak ja uwielbiam zaradnych mężczyzn – powiedziała Tina, przez szmatkę zdejmując ruszt znad węgla.

Upiłem łyk piwa z butelki, bardziej po to, żeby zająć czymś ręce, niż dlatego, że miałem ochotę. Zaoferowana przeze mnie pomoc została odrzucona, co zważywszy na

moje umiejętności kulinarne, pewnie było niewielką stratą. Nie miałem co ze sobą zrobić i to tylko uwidoczniło moją nerwowość. Jenny sprawiała wrażenie równie skrępowanej jak ja, przesadnie długo układając pieczywo i sałatki na białym piknikowym stoliku. Biały żakiet na opalonym ciele i dżinsowe szorty podkreślały jej szczupłą figurę. Poza powitalnym „cześć” prawie nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Tak naprawdę, gdyby nie Tina, pewnie trwalibyśmy w głuchej ciszy.

Na szczęście Tina była typem osoby, która skrzętnie zagospodarowuje każdą sekundę milczenia. Mówiła prawie nieustannie, wyrzucając z siebie świergotliwy monolog przeplatany skierowanymi do mnie zaleceniami, bym nie stał beczynnie, tylko pomógł przygotować dressing do sałatki, przyniósł ręcznik kuchenny w miejsce serwetek, których nie było, i otworzył jeszcze jedno piwo.

Było oczywiste, że tego wieczoru do naszej trójki nikt nie dołączy. Wahałem się między poczuciem ulgi, że nie będę musiał kontaktować się z nikim więcej, a żalem, że nie będę mógł wmieszać się w tłum.

Tina szczerze poląła grill płynem do podpałki.

– Cholera! – pisnęła, odskakując do tyłu, gdy węgielki stanęły w płomieniach.

– A nie mówiłam, żebyś już nie dodawała! – zaśmiała się Jenny.

– Nie moja wina, że tak chlusnęło!

Grill stał w siwym dymie.

– No cóż, chyba już się rozgrzał – skwitowałem.

Buchnął na nas taki żar, że aż musieliśmy się cofnąć. Tina szturchnęła mnie w ramię.

– Chyba zasłużyłam na jakieś piwko. Przyniósłby pan?

– Może najpierw zabierzmy jedzenie – zasugerowałem.

Dym spowił stół piknikowy, na którym stały sałatki.

– O mamma mia! – Tina zanurkowała w chmurę oparów, by uratować potrawy.

– Łatwiej będzie, jak przesuniemy całość – powiedziałem i pociągnąłem stół.

– Pomóż mu, Jen, mam zajęte ręce – rzuciła Tina, unosząc miskę makaronu, którą trzymała w dłoniach.

Jenny posłała jej krzywe spojrzenie, ale bez słowa chwyciła za drugą krawędź stołu. Wspólnie na wpół przeciągnęliśmy, na wpół przenieśliśmy go poza zasięg dymu. Gdy go postawiliśmy, nóżki po jej stronie się złożyły, stół się przechylił i wszystkie naczynia i szklanki zsunęły.

– Uwaga! – wrzasnęła Tina.



Dopadłem do niego i zdołałem wyprostować, zanim cokolwiek spadło.

– Trzymam, może pani puścić – powiedziałem.

Gdy jednak go puściła, zachwiał się, więc znowu go złapała.

– Myślałam, że go naprawiłaś – rzuciła, gdy podbiegła Tina.

– Naprawiłam! Wsunęłam kawałek papieru tam, gdzie był luz.

– Papieru? Trzeba było go porządnie dokręcić śrubokrętem!

– Jak tysiąc innych rzeczy w naszym obejściu.

– Tina – jęknęła Jenny, czerwieniąc się i powstrzymując śmiech.

– Uważaj, znowu się chwieje! – zawołała Tina, gdy stolik po raz kolejny zachybotał.

– Nie stój tak, tylko leć po śrubokręt!

Tina pobiegła do domu, z impetem trącając zasłonkę ze szklanych paciorków zawieszoną w drzwiach. Zostaliśmy sami ze stolikiem, uśmiechając się do siebie lekko speszeni. Lody zostały jednak przełamane.

– Na pewno jest pan zachwycony, że tu przyszedł – odezwała się Jenny.

– To moje pierwsze garden party od bardzo dawna.

– Nie wszędzie byłoby tak z fasonem jak u nas.

– To na pewno.

Spojrzała w dół.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Ale... ma pan mokre spodnie.

Zerknąłem i zobaczyłem, że z przewróconej butelki wyciekało piwo prosto na moje krocze. Odsunąłem się, ale udało się osiągnąć tylko tyle, że płyn spłynął mi po nogach.

– Boże, nie wierzę – powiedziała Jenny i oboje parsknęliśmy niepohamowanym śmiechem. Śmiałyśmy się jeszcze, gdy Tina wróciła ze śrubokrętem.

– Co się stało? – spytała, widząc mokrą plamę na moich spodniach. – Może... przyjdę później?

Gdy w końcu naprawiliśmy stół, dostałem parę luźnych szortów. Należały do byłego chłopaka Tiny.

– Może je pan zatrzymać – rzuciła ponuro. – Nie będzie się o nie upominał.

Patrząc na ich papuzi wzór, wcale się nie dziwiłem. W obecnej sytuacji były mimo wszystko lepsze od moich mokrych dżinsów, więc je włożyłem. Gdy wróciłem do ogrodu, Tina i Jenny zachichotały.

– Niezłe ma pan nogi – skwitowała Tina, co zaowocowało kolejnym wybuchem

śmiechu.

Burgery już skwierczały. Zjedliśmy je z sałatką i chlebem, popijając winem, które przyniosłem. Gdy chciałem nalać Jenny drugą kolejkę, zawahała się.

– Odrobinę.

Tina uniosła brwi.

– Jesteś pewna?

Jenny skinęła głową.

– Nic mi nie jest, naprawdę. – Widząc mój pytający wzrok, skrzywiła się. – Mam cukrzycę, więc muszę uważać, co piję i jem.

– Pierwszego czy drugiego typu? – spytałem.

– Rany, zapominam, że jest pan lekarzem. Pierwszego. – Czyli tak, jak myślałem. To najczęstszy rodzaj cukrzycy w jej grupie wiekowej. – Ale nie jest tak źle. Przyjmuję niskie dawki insuliny. Gdy tu przyjechałam, poprosiłam doktora Maitlanda, żeby mi ją przepisał – dodała przepraszającym tonem.

Najwyraźniej wstydziła się, że poszła do „tutejszego” lekarza, a nie do mnie. Niepotrzebnie się przejmowała. Zdążyłem do tego przywyknąć. Tina wzdrygnęła się ostentacyjnie.

– Chybabym zemdląła, gdybym musiała kłuć się igłą jak Jenny. I to codziennie.

– Nie przesadzaj, to nie takie straszne – zaprotestowała Jenny. – To nawet nie jest prawdziwa igła, tylko taki jakby długopis. Lepiej zmieńmy już temat. Pan doktor będzie się teraz krępował dolać sobie wina.

– Uchowaj Boże! – zawołała Tina. – Kto mi wtedy dotrzyma kroku?

I tak zostawałem w tyle, choć Jenny dolewała mi częściej, niż sobie życzyłem. Nazajutrz była sobota, a ja miałem za sobą ciężki tydzień. Nie mówiąc o tym, że doskonale się bawiłem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze. Ostatni raz tak mile spędzałem czas...

Bardzo dawno temu.

Po posiłku nastroje jednak nieco nam opadły. Zmierzchało już. W gasnącym świetle wieczoru Jenny wpatrywała się w jezioro. Twarz jej spochmurniała. Wiedziałem, co chce powiedzieć, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Ciągle zapominam o tym, co się stało. Mam przez to coś w rodzaju... poczucia winy.

Tina westchnęła.

– Chciała odwołać dzisiejsze spotkanie. Jej zdaniem urządzenie grilla w takich

okolicznościach jest niestosowne.

– Wydawało mi się, że to trochę brak szacunku – zwróciła się do mnie Jenny.

– Ale dlaczego? – skontrowała Tina. – Chcesz powiedzieć, że ludzie nie będą oglądać telewizji albo nie pójdą do pubu na piwo? Owszem, to wszystko jest okropne i przerażające, ale czy to, że będziemy się biczować, komukolwiek pomoże?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, ale wiem też, jacy są tutejsi ludzie. Jeśli będą chcieli kogoś zlinczować, to i tak to zrobią, niezależnie od tego, czy jest winny, czy nie. – Zamilkła na chwilę. –

No dobra, może źle to ujęłam, ale taka jest prawda. – Posłała mi znaczące spojrzenie. – Pan się już o tym przekonał, prawda?

Uświadomiłem sobie, że one też słyszały plotki na mój temat.

– Tina – powiedziała Jenny upominającym tonem.

– Nie ma sensu udawać, że tego nie słyszałyśmy. To oczywiste, że policja chciała rozmawiać z miejscowym lekarzem, ale wystarczy, że ktoś dwuznacznie uniesie brew i nagle wszyscy wydają na ciebie wyrok. To tylko kolejny przykład, jak ciasne umysły mają tutejsi ludzie.

– I jak długie języki – wypaliła Jenny.

Po raz pierwszy miałem okazję widzieć jej gwałtowny temperament.

Tina wzruszyła ramionami.

– Lepiej wyłożyć karty na stół. Roi się tu od pytlów. Wierzcie mi. To ja się tutaj wychowywałam, nie wy.

– Wygląda na to, że nie przepada pani za Manham – powiedziałem, chcąc zmienić temat.

Posłała mi wąły uśmiech.

– Jakbym miała okazję, czmychnęłabym stąd w trymiga. Nie pojmuję, dlaczego tacy ludzie jak wy przyjeżdżają tu z własnego wyboru.

Zapadła cisza. Jenny wstała. Była dziwnie blada.

– Zrobię kawy.

Weszła do domu z takim impetem, że paciorkowa zasłona gwałtownie się zakołysała.

– No to ładnie... – skwitowała Tina i uśmiechnęła się przeproszająco. – Właśnie... jak słusznie zauważyła, mamy długie języki. Zwłaszcza jak sobie popijemy – dodała, odstawiając szklanę z winem.

Z początku sądziłem, że to ja jestem winny tej niezręcznej sytuacji, ale teraz

zrozumiałem, że reakcja Jenny nie miała nic wspólnego z moją osobą.

– Wszystko z nią w porządku?

– Wkurzyła się na swoją pozbawioną taktu współlokatorkę i tyle. – Tina spojrzała w stronę domu, jakby rozważając, czy za nią nie pójść. – Niech pan posłucha... Nie powinnam tego mówić, ale lepiej, żeby pan wiedział... jakiś rok temu Jenny miała bardzo bolesne przeżycia. Dlatego tutaj wylądowała. Żeby od nich uciec.

– Jakiego rodzaju bolesne przeżycia?

Tina pokręciła głową.

– Jak będzie chciała, sama panu opowie. Pewnie nie powinnam była o tym w ogóle wspominać. Chciałam tylko... Uznałam, że powinien pan wiedzieć... Jenny pana lubi, no i... rany, tylko pogarszam sprawę. Zapomnijmy, że cokolwiek mówiłam, dobrze? Pomówmy o czymś innym.

– Dobrze.

Zbity z tropu przez to, co właśnie usłyszałem, palnąłem pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Więc jakie to plotki krążą na mój temat?

Skrzywiła się.

– Sama się o to prosiłam, prawda? Nic takiego, głupia gadanina. Chodzi o to, że przesłuchiwała pana policja i że... że jest pan podejrzanym. – Posłała mi promienny uśmiech, który w zamyśle miał być pewnie zawadiacki, ale efekt nie sprostał zamierzeniom. – A nie jest pan, prawda?

– O ile mi wiadomo, nie.

To jej wystarczyło.

– To właśnie miałam na myśli, mówiąc o tej cholernej dziurze. Ludzie będą wieszać na tobie psy, nawet gdy wszystko idzie jak po maśle. A co dopiero gdy zdarzy się coś takiego... – Machnęła ręką. – I znowu zaczynam. Lepiej pójde pomóc jej z tą kawą.

– Mogę się do czegoś przydać?

– Nie, dam sobie radę. Przyślę Jenny, żeby się panu nie nudziło.

Weszła do domu, a ja siedziałem w wieczornej ciszy, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. „Jenny pana lubi”. Co to znaczy? A raczej co to znaczy dla mnie? Przekonywałem się w duchu, że to tylko nadmiar wina, że nie ma sensu się tym przejmować.

Skąd więc to nagłe zdenerwowanie?

Wstałem i podszedłem do niskiego kamiennego murku na końcu ogrodu. Było już po zachodzie słońca i łąki tonęły w ciemnościach. Znad jeziora dotarł leciutki powiew wiatru, niosący smutne pohukiwanie sowy.

Usłyszałem jakiś hałas za plecami. Przyszła Jenny, z dwoma kubkami kawy w rękach. Ruszyłem w jej stronę i po chwili stanąłem w kałuży światła wpadającego przez otwarte drzwi. Gdy wyłoniłem się z cienia, Jenny drgnęła, wylewając sobie kawę na rękę.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

– Nic się nie stało. Po prostu pana nie zauważyłam.

Odstawiła kubki i podmuchała na dłonie. Podałem jej ręcznik kuchenny.

– W porządku?

– Jakoś przeżyję.

Wytarła rękę.

– Gdzie Tina?

– Trzeźwieje. – Podniosła kubki. – Nie spytałam, czy pije pan kawę z cukrem albo mlekiem.

– Zwykłą czarną, bez niczego.

Uśmiechnęła się.

– Więc zgadłam. – Podała mi kubek i zrobiła kilka kroków w stronę murku. – Podziwia pan widok?

– Tyle, na ile się da.

– Jest piękny, jeśli ktoś lubi łąki i wodę.

– A pani lubi?

Staliśmy obok siebie, patrząc w stronę jeziora.

– Tak, bardzo. Gdy byłam mała, tata zabierał mnie na żagle.

– Nadal pani żegluje?

– Od lat już nie. Ale nadal lubię wodę. Czasami nachodzi mnie ochota, żeby wypożyczyć żaglówkę. Małą. Wiem, że jezioro jest za płytkie na coś większego. Ale trochę szkoda nie skorzystać z okazji, gdy mieszka się tuż nad wodą.

– Mam żaglówkę, ale nie wiem, czyby się sprawdziła – powiedziałem odruchowo.

Z przejściem odwróciła się w moją stronę. W świetle księżycy dostrzegłem, że się uśmiecha. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak blisko siebie stoimy. Na tyle blisko, bym czuł ciepło jej nagiej skóry.

– Naprawdę?

- Co prawda nie jest moja, należy do Henry’ego. Ale wolno mi z niej korzystać.
- Jest pan pewien? Niech pan nie myśli, że robiłam jakieś aluzje.
- Absolutnie. Poza tym dobrze mi zrobi trochę ruchu.

Sam byłem zdziwiony, że to powiedziałem. *Co ty wyprawiasz?* Spojrzałem w stronę jeziora, ciesząc się, że mogę skryć twarz w ciemnościach.

- To może w tę niedzielę? – spytałem, nie dowierzając, że to mój własny głos.
- Wspaniale! O której?

Przypomniałem sobie, że umówiłem się na obiad z Henrym.

- Po południu? Przyjadę po panią o trzeciej, dobrze?
- Trzecia brzmi świetnie.

Mimo że na nią nie patrzyłem, wyczuwałem, że się uśmiecha. Z nienaturalnym zapalem zacząłem pić kawę, prawie nie zauważając, że parzy mi usta. Nie mogłem uwierzyć, co przed chwilą zrobiłem. *Najwyraźniej nie tylko Tina potrzebuje przetrzeźwieć*, pomyślałem.

Niedługo potem się pożegnałem, podając jakąś wymówkę. Tina zdążyła jeszcze wyjść z domu i z promiennym uśmiechem oświadczyć, że szorty mogę oddać później. Podziękowałem, ale włożyłem z powrotem swoje mokre dżinsy. Moja reputacja w miasteczku była już wystarczająco nadszarpnięta, bym pogarszał sprawę, paradując w upiornie pstrokatych szortach surfingowych.

Byłem jeszcze niedaleko ich domu, gdy usłyszałem sygnał przychodzącej wiadomości. Zawsze nosiłem przy sobie komórkę, żeby w razie pilnej potrzeby być pod telefonem, ale dziś wieczorem zostawiłem ją w kieszeni mokrych dżinsów i przez ponad dwie godziny byłem poza zasięgiem. Gdy to sobie uświadomiłem, w końcu na chwilę oderwałem myśli od Jenny. Z poczuciem winy wybrałem numer poczty głosowej, mając nadzieję, że to nic pilnego.

Jednak wiadomości nie zostawił żaden z moich pacjentów. Tylko Mackenzie.

Znaleźli zwłoki.

Reflektory przecinały okolicę smugami upiornie jasnego światła. Otaczające drzewa zmieniły się w surrealistyczny krajobraz jasności i cienia. Pośrodku krzątał się zespół techników. Za pomocą nylonowego sznurka prostokąt ziemi podzielono na małe kwadraty. Przy terkocie generatora policjanci skrupulatnie usuwali ziemię, by odkryć to, co pod sobą skrywała.

Mackenzie stał nieopodal i obserwował, przegryzając miętówkę. Wyglądał na skonanego, reflektory wysały cały kolor z jego twarzy i uwydatniły worki pod oczami.

– Dziś po południu znaleźliśmy grób. Jest płytki, między sześćdziesiąt a dziewięćdziesiąt centymetrów. Z początku sądziliśmy, że to fałszywy alarm, borsuk albo inne zwierzę. Aż natrafiliśmy na rękę.

Grób był w lesie, jakieś dwie mile od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Sally. Gdy tuż po północy dotarłem na miejsce, technicy zdążyli już usunąć prawie całą wierzchnią warstwę ziemi. Patrzyłem na policjantkę, która przesiewała ziemię przez sito. Na chwilę przestała, by obejrzieć znalezisko, ale zaraz je odrzuciła i wróciła do pracy.

– Jak go znaleźliście? – spytałem Mackenziego.

– Pies tropiący.

Pokiwałem głową. Specjalnie szkolone psy wykorzystuje się nie tylko do szukania narkotyków czy substancji wybuchowych. Znalezienie grobu zwykle nie jest proste, a im większy obszar do przeszukania, tym trudniej. Jeśli ciało spoczywa w ziemi od dłuższego czasu, może się pojawić wgłębienie, ponieważ wzruszony grunt osiada, używa się też sond stożkowych, by sprawdzić, czy są różnice w oporze ziemi. Słyszałem nawet o pewnym kryminologu ze Stanów, który osiągał niezłe rezultaty, posługując się w tym celu zagiętym drutem.

Jeśli chodzi o poszukiwanie zakopanych zwłok, psy były jednak najskuteczniejsze. Ich wrażliwe powonienie wyczuwa woń gazów uwalnianych podczas rozkładu nawet

kilka metrów pod ziemią, a dobre psy policyjne potrafią znaleźć szczątki nawet sprzed stu lat.

Technicy za pomocą łopatek i pędzelków z niemal archeologiczną precyzją zdrapywali ziemię z częściowo odsłoniętych zwłok. Stosuje się te same techniki, niezależnie od tego, czy grób ma kilka tygodni, czy kilkaset lat. W obu przypadkach celem jest odsłonięcie szczątków przy najmniejszej możliwej ingerencji, tak by nie uszkodzić ewentualnych materiałów dowodowych.

W tym przypadku najcenniejszą informację już pozyskano. Nie brałem w tym czynnego udziału, ale stałem na tyle blisko, by widzieć, co trzeba.

Mackenzie obrzucił mnie spojrzeniem.

– I co pan o tym myśli?

– Tylko to, co pan już pewnie wie.

– Niech pan mimo wszystko powie.

– To nie Lyn Metcalf – odparłem.

Skwitował to niewyraźnym burknięciem.

– No i?

– Grób nie jest świeży. Ten, kto w nim leży, trafił tu na długo przed jej zaginięciem. Nie ma już tkanki miękkiej, nie ma zapachu. Aż dziw, że pies go znalazł.

– Przekażę mu pańskie wyrazy uznania – rzucił oschle. – Więc jak długo może tu leżeć?

Spojrzałem na płytki dół. Szkielet należał do dorosłego człowieka, ułożonego na boku. Był już prawie całkiem odsłonięty, kości nie odróżniały się kolorem od ziemi, tu i ówdzie przyklejone miał skrawki podkoszulka i dżinsów.

– Bez przeprowadzenia testów mogę tylko z grubsza zawęzić przedział czasu. Na tej głębokości rozkład postępuje dużo wolniej niż na powierzchni. Więc aby doszedł do tego etapu potrzeba minimum roku, może piętnastu miesięcy... Ale obstawiałbym, że zwłoki są tutaj jeszcze dłużej. Około pięciu lat.

– Skąd pan to wie?

– Dżinsy i podkoszulek. Są z bawełny, a bawełna gnije do pięciu lat. Nie rozłożyły się jeszcze do końca, ale niewiele im zostało.

– Coś jeszcze?

– Mogę spojrzeć z bliska?

– Bardzo proszę.

Była to inna ekipa śledczych niż ta, którą poznałem na miejscu znalezienia zwłok



Sally. Zerknęli na mnie, gdy przykucnąłem na skraju dołu, ale nie przerwali pracy i nie skomentowali. Było już późno i mieli przed sobą długą noc.

– Są ślady jakichś obrażeń? – spytałem jednego z nich.

– Widać dość poważny uraz czaszki, ale dopiero zaczęliśmy ją odkrywać.

Wskazał górną część czaszki, nadal częściowo pokrytą ziemią. Widniały na niej pęknięcia, biegnące od znacznego wgłębienia w kości.

– Raczej tępe narzędzie niż kula czy ostrze – powiedziałem, oglądając kość. – A pan jak sądzi?

Przytaknął skinieniem głowy. W odróżnieniu od swoich kolegów po fachu, których miałem przyjemność poznać na poprzednim miejscu zbrodni, nie był poirytowany, że się wtrącam.

– Na to wygląda. Ale nie będę wiedział na pewno, dopóki nie sprawdzimy, czy w czaszce nie grzechocze kula.

Obrażenia na czaszce spowodowane kulą lub ostrym narzędziem, jak nóż, wyglądają inaczej niż te zadane tępym przedmiotem. Zwykle nie było trudno dostrzec różnicy, a jak na razie wszystko wskazywało, że to tutaj – przypominające wgniecioną skorupkę jaja – jest tego drugiego rodzaju. Ale mimo to pochwalałem jego ostrożność.

– Myśli pan, że przyczyną śmierci był uraz głowy? – spytał Mackenzie.

– Możliwe – odparłem. – Wygląda na śmiertelny, chyba że cios zadano po śmierci. Za wcześnie, by to stwierdzić.

– I co jeszcze? – powiedział rozczarowanym tonem.

– To mężczyzna. Prawdopodobnie rasy kaukaskiej, około dwudziestoletni.

Mackenzie zerknął do grobu.

– Poważnie?

– Niech pan spojrzy na czaszkę. Kobiety i mężczyźni różnią się kształtem żuchwy. U mężczyzn jest bardziej wydatna. Widzi pan ten wystający kawałek kości w miejscu, gdzie było ucho? To łuk jarzmowy, u mężczyzn jest zawsze większy niż u kobiet. Jeśli chodzi o rasę, to kość nosowa sugeruje europejskie pochodzenie mężczyzny. Być może też azjatyckie, ale czaszka jest zbyt rombowa, więc raczej nie. Jeśli zaś chodzi o wiek... – Wzruszyłem ramionami. – Na tym etapie możemy tylko zgadywać. Z tego jednak, co widzę, kręgi w kręgosłupie nie są starte. I widzi pan żebra? – Wskazałem miejsce, gdzie tępe końce kości wystawały spod koszulki. – Z wiekiem zakończenia kości robią się coraz bardziej nierówne i guzowate. Te mają jeszcze dość ostre krawędzie, więc denat musiał być na progu dorosłości.

Mackenzie przymknął powieki i potarł grzbiet nosa.

– Wspaniale. Niepowiązane morderstwo. Tylko tego nam brakowało. – Nagle podniósł wzrok. – Nie wygląda, żeby mu podcięto gardło, prawda?

– Nie widzę śladów. – Zdążyłem już sprawdzić, czy na kręgach szyjnych nie ma jakichś znaków. – Tak długo leżał w ziemi, że bez profesjonalnych badań trudno będzie stwierdzić, jakich konkretnie doznał urazów. Ale na pierwszy rzut oka nic nie widać.

– Chwała Bogu – odburknął Mackenzie.

Szczerze mu współczułem. Trudno powiedzieć, co w tej sytuacji było gorsze: konieczność otwarcia nowego śledztwa czy znalezienie dowodów, że ten sam morderca działa już od lat.

Na szczęście mnie to nie dotyczyło. Wstałem, otrzepując ręce.

– Jeśli już nie jestem potrzebny, to będę wracać.

– Mógłby pan wpaść jutro do laboratorium? To znaczy dzisiaj, jakoś później – spytał Mackenzie, od razu się poprawiając.

– W jakiej sprawie?

Wyglądał na zdziwionego moim pytaniem.

– Żeby sobie go pooglądać. Powinniśmy tu skończyć jakoś do dziewiątej, dziesiątej. Wtedy od południa pan by go przejął.

– Widzę, że dla pana to oczywiste, że się w to zaangażuję.

– A nie zamierza pan?

Teraz z kolei ja się zdziwiłem. Nie tyle jego pytaniem, ile tym, że najwyraźniej znał mnie lepiej niż ja sam.

– Wygląda na to, że zamierzam – odparłem, uznając, że nie ucieknę przed nieuchronnym. – Będę o dwunastej.

Obudziłem się w kuchni, wyziębiony i oszołomiony. Drzwi do ogrodu stały otworem, odsłaniając skrawek ledwo pojaśniałego nieba. Wspomnienie snu było jeszcze żywe, głosy Kary i Alice tak wyraźne, jakbym dopiero co z nimi rozmawiał. Sen był bardziej przerażający niż zazwyczaj. Kara próbowała mnie przed czymś ostrzec, ale nie chciałem wiedzieć przed czym. Za bardzo bałem się tego, co mógłbym usłyszeć.

Drżałem. Nie pamiętałem, jak zszedłem na dół ani dlaczego otworzyłem drzwi. Podszedłem, żeby je zamknąć, jednak nagle się zatrzymałem. Nad bladą taflą mgły zasnuwającej łąkę górowała niczym klif nieprzenikniona ściana ciemnego lasu. Gdy

na nią patrzyłem, ogarnęło mnie złe przeczucie.

*Drzewa przesłaniają las.* Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Przez chwilę wydawało mi się, że słowa te mają jakieś głębsze znaczenie, ale jeśli takowe było, to ulotniło się, zanim zdążyłem je uchwycić. Jeszcze się nad tym zastanawiałem, gdy nagle poczułem czyjś dotyk na karku.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem. Kuchnia była pusta. *To tylko powiew wiatru,* rzuciłem w myślach, choć poranek był spokojny i bezwietrzny. Zamknąłem drzwi, starając się ignorować niepokój, który mnie naszedł. Jednak wrażenie, że ktoś musnął mnie palcami po skórze, nie opuszczało mnie nawet wtedy, gdy wróciłem do łóżka i czekałem, aż przyjdzie świt.

W laboratorium miałem stawić się dopiero o dwunastej, więc dysponowałem prawie całym wolnym porankiem. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do Henry'ego na śniadanie, jak zazwyczaj w sobotę. Był już na nogach i w dobrej formie. Dziarsko smażąc jajka i grillując bekon, spytał, jak mi minął wieczór. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ma na myśli wizytę u Jenny, a nie znalezisko w lesie. Wieść o nim jeszcze się nie rozeszła i wołałem sobie nie wyobrażać, jak ludzie zareagują, gdy to się w końcu stanie – miasteczko przecież jeszcze nie zdążyło dojść do siebie po wiadomych wydarzeniach. Byłem jednak zbyt roztrzęsiony swoim snem, by chcieć się nad tym rozwodzić.

Tak więc nie wspominałem, że znaleziono drugie zwłoki. Dobry humor Henry'ego okazał się zaraźliwy i gdy od niego wychodziłem, byłem już w o wiele lepszym nastroju. Wracając do domu po samochód, już się całkiem rozchmurzyłem. Ranek był piękny, wolny od upału i duchoty, które miały nadejść dopiero potem. Jaskrawe żółcie, fiolety i czerwienie kwiatnych rabat na skwerku aż raziły oczy, a powietrze było przesycone ich słodką wonią. Iluzję sielskości zakłócał tylko radiowóz zaparkowany nieopodal.

Jego obecność była jak wyrzut sumienia, bo optymizm był teraz raczej nie na miejscu, ale ponieważ od tak dawna go nie czułem, postanowiłem nic sobie z tego nie robić. Wołałem się nie zastanawiać, jakie są jego źródła, a już na pewno nie łączyć go z osobą Jenny. Uznałem, że trzeba cieszyć się chwilą, dopóki trwa.

Jak się okazało, nie potrwała zbyt długo. Przechodząc obok kościoła, usłyszałem głos pastora.

– Panie doktorze, pan pozwoli na chwilę.

Scarsdale stał na cmentarzu, w towarzystwie Toma Masona, młodszego z dwóch ogrodników opiekujących się trawnikami i rabatkami w miasteczku. Podszedłem i zatrzymałem się przy niskim kamiennym murze otaczającym kościół.

– Dzień dobry, pastorze. Witaj, Tom.

Tom z nieśmiałym uśmiechem skinął głową, nie podnosząc jej znad różanego krzewu, który właśnie przycinał. Tak jak jego dziadek, był najszcześniejszy, gdy nie zwracało mu się głowy i zostawiało sam na sam z roślinami, którymi zajmował się z cielecym niemal spokojem. W przeciwieństwie do niego w wielebny Scarsdale’u nie było ani krztyny łagodności czy spokoju. Nie raczył odpowiedzieć na moje powitanie.

– Ciekaw jestem, co też pan myśli o obecnej sytuacji – zaczął bez zbędnych wstępów. Zdawało się, że jego czarny garnitur wchłonął całe światło, jakie prześwitywało między starymi i pokoślawionymi nagrobkami.

Dziwnie to zabrzmiało.

– Chyba nie rozumiem, o co wielebny pyta.

– Miasteczko stoi w obliczu trudnych wyzwań. Cały kraj będzie patrzył, czy uda nam się zrehabilitować. Nie sądzi pan?

Oby tylko nie powtarzał swojego kazania.

– Czego wielebny właściwie chce?

– Pokazać, że Manham nie toleruje tego, co się stało. Może to być dla nas szansa na zacieśnienie więzi w naszej społeczności. Zjednoczenie się w obliczu próby.

– Nie rozumiem, dlaczego mamy traktować jakiegoś szaleńca porywającego i zabijającego kobiety jako rodzaj próby.

– Pan akurat może tego nie rozumie. Ale ludzie są szczerze zmartwieni, że tak straszliwie nadszarpnięto reputację naszego miasteczka. I mają rację.

– Moim zdaniem bardziej powinni się martwić o to, by znaleziono Lyn Metcalf i złapano zabójcę Sally Palmer. To chyba ważniejsze niż reputacja?

– Niech pan nie mydli mi oczu, panie doktorze – warknął. – Gdyby więcej ludzi interesowało się tym, co się dzieje w tej społeczności, być może nie doszłoby do tego wszystkiego.

Nie powinienem był wdawać się z nim w spór.

– Nadal nie rozumiem, do czego wielebny zmierza.

Miałem świadomość, że ogrodnik nas słyszy, ale Scarsdale lubił mieć publiczność. Przeniósł ciężar ciała na pięty i spoglądał teraz na mnie znad czubka nosa.

– Zwróciło się do mnie wielu parafian, którzy czują, że trzeba utworzyć zwarty front. Zwłaszcza w kontaktach z prasą.

– Czyli co konkretnie? – spytałem, choć zaczynałem domyślać się jego intencji.

– Ludzie sądzą, że potrzebny im rzecznik. Ktoś, kto będzie reprezentował Manham.

– I jak rozumiem, to pan nim jest.

– Jeśli ktoś inny zechce wziąć na siebie tę odpowiedzialność, z radością usunę się na bok.

– Dlaczego pan sądzi, że w ogóle będzie to potrzebne?

– Bo Bóg nie zakończył jeszcze swojego dzieła na tym skrawku ziemi – oznajmił z irytującym mnie przekonaniem.

– A jaka miałyby być w tym moja rola?

– Jest pan tutejszym luminarzem. Pańskie poparcie byłoby pomocne.

Na myśl, że Scarsdale traktuje to wszystko jako okazję do zaistnienia w przestrzeni publicznej, aż zagotowało się we mnie z gniewu. Doskonale wiedziałem, że lęk i brak zaufania, jakie zagościły w Manham, stworzą mu podatny grunt. Była to przygnębiająca perspektywa.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z prasą, jeśli o to chodzi.

– Chodzi też o nastawienie. Nie chciałbym, by ktokolwiek podkopywał starania tych, którzy działają w najlepszym interesie naszego miasteczka,

– Wie pan co, pastarze? Róbmy to, co każdy z nas uważa za słuszne. Pan swoje, a ja swoje.

– Czy to przytyk?

– Powiedzmy, że mamy odmienne pojęcie o tym, co leży w najlepszym interesie miasteczka.

Przeszył mnie wzrokiem.

– Być może powinienem panu przypomnieć, że ludzie mają tutaj dobrą pamięć. W chwilach takich jak ta nie zapominają o żadnych przewinach. I – choć to nie po chrześcijańsku – ich nie wybaczą.

– W takim razie będę się starał w niczym nie zawinić.

– Bardzo pan wygadany, doktorze, tylko że na niewiele to się zda. Nie ja jeden kwestionowałem pańską lojalność. Ludzie mówią różne rzeczy, proszę pana. A to, co doszło do moich uszu, jest dość niepokojące.

– To może nie powinien pan słuchać plotek. Czy jako sługa boży nie jest pan

zobowiązany obdarzać bliźnich kredytem zaufania?

– Proszę mnie nie pouczać o moich obowiązkach.

– I wzajemnie.

Spiorunował mnie wzrokiem. Pewnie by coś jeszcze dodał, ale z tyłu rozległ się szcęk narzędzi, które Tom rzucił do taczki. Scarsdale wyprostował się i potoczył wzrokiem zimnym jak kamień nagrobków, wśród których stał.

– Nie będę pana dłużej zatrzymywał, doktorze. Miłego dnia – rzucił oschle i odmaszerował.

*Brawo, świetnie to rozegrałeś*, westchnąłem w duchu, przechodząc przez dziedziniec kościoła. Nie chciałem, by rozmowa przerodziła się w konfrontację, ale Scarsdale obudził we mnie najgorsze instynkty. Wciąż rozpamiętywałem jego słowa i aż do ostatniej chwili nie zauważyłem samochodu, który się obok mnie zatrzymał.

– Wyglądasz, jakby ktoś cię zjadł i wypluł.

Ben, w ciemnych okularach, wystawił muskularne ramię przez otwarte okno swojego nowego czarnego land rovera. Auto było zakurzone, ale i tak mój wóz wyglądał przy nim jak z muzeum.

– Przepraszam, zamyśliłem się.

– Widzę właśnie. Przypadkiem ma to coś wspólnego z tym tam Wielkim Inkwizytorem? – spytał i wskazał głową w stronę kościoła. – Widziałem, jak z nim rozmawiasz.

Nie potrafiłem powstrzymać śmiechu.

– Jakbyś zgadł.

Pokrótce opowiedziałem mu o rozmowie z pastorem. Pokręcił głową.

– Nie wiem, jakiego Boga on czci, ale jeśli jest na jego obraz i podobieństwo, to nie chciałbym go spotkać w ciemnej uliczce. Trzeba mu było powiedzieć, żeby spadał na bambus.

– Wtedy dopiero bym sobie u niego nagrabił.

– Wygląda na to, że i tak już zagiął na ciebie parol. Jesteś dla niego zagrożeniem.

– Ja? – spytałem ze zdziwieniem.

– Zastanów się tylko. Aż do teraz był zasuszonym klechą z mizerniejącym stadkiem. Teraz ma swój wielki dzień i martwi się, że podkopiesz jego autorytet. Jesteś lekarzem, wykształconym człowiekiem z dużego miasta. I osobą świecką, co też nie jest bez znaczenia.

– Nie mam zamiaru z nim rywalizować – rzuciłem rozdrażniony.

– Nieważne. Ten stary drań namaścił się na trybuna Manham. Jeśli nie jesteś z nim, to znaczy, że jesteś przeciw.

– Jakby mało było nieszczęść.

– Och, pamiętaj, że to ci cnotliwi brukują drogę do piekieł. Oczywiście wszystko w imię większego dobra.

Spojrzałem na niego. Jego typowy dobry nastrój gdzieś pierzchnął.

– Wszystko w porządku?

– Ech, wychodzi dzisiaj ze mnie cynik. Jak pewnie zdążyłeś zauważyć.

– Co ci się stało w głowę?

Przy oku miał otarcie i guza, częściowo ukrytego pod okularami. Pomacał go dłonią.

– Wczoraj w nocy goniłem kolejnego gnojka kłusującego w rezerwacie. Ktoś próbował dobrać się do gniazda błotniaka, nad którym mam pieczę. Pobiegnę za nim i wyłożyłem się jak długi na jednej ze ścieżek.

– Złapałeś go?

Gniewnie potrząsnął głową.

– Ale złapię. Dam głowę, że to ten pieprzony Brenner. Widziałem jego samochód zaparkowany nieopodal. Czekałem na niego, ale się nie zjawił. Pewnie czatował w ukryciu, aż sobie pójdę. – Uśmiechnął się drwiąco. – Mam nadzieję, że mnie widział, bo spuściłem mu powietrze z kół.

– Ryzykowne posunięcie.

– Co mi zrobi? Zawiadomi policję? – Prychnął. – Zajrzysz potem do Baranka?

– Niewykluczone.

– To może się tam spotkamy.

Odjechał, zostawiając za sobą chmurę spalin, które rozwiały się po chwili. Ruszyłem do domu, myśląc o tym, co mi powiedział. Zawsze był popyt na zagrożone gatunki zwierząt, zwłaszcza ptaków. Ale zważywszy na to, jaką rolę odegrały w morderstwie Sally i porwaniu Lyn, policja powinna o tym wiedzieć. Problem polegał na tym, że ten aspekt śledztwa nie został upubliczniony, więc nie mogłem zasugerować tego Benowi. Co z kolei oznaczało, że to mnie pozostanie powiadomić Mackenziego. Źle się czułem z myślą, że będę musiał to zrobić za plecami Bena, zwłaszcza że pewnie okaże się, że to nic ważnego. Jednak nie mogłem ryzykować. Doświadczenie nauczyło mnie, że najdrobniejsze szczegóły bywają kluczowe.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale prawda ta miała potwierdzić się także i tym

razem. I to w najmniej oczekiwany sposób.



T ej nocy pojawiła się kolejna ofiara. Jednak nie ucierpiała z rąk człowieka odpowiedzialnego za śmierć Sally Palmer i Lyn Metcalf. A przynajmniej nie bezpośrednio. Nie, pokrzywdzony padł ofiarą podejrzliwości i wrogości, jakie zaleęły się w miasteczku.

James Nolan mieszkał w małym domku przy ślepej uliczce za garażem i pracował w sklepie w pobliskim miasteczku. Był jednym z moich pacjentów, spokojnym człowiekiem, którego powściągliwy sposób bycia skrywał zarazem łagodny charakter, jak i głębokie nieszczęście. Pięćdziesięcioparoletni kawaler z nadwagą. Homoseksualista. To ostatnie rodziło w nim głęboki wstyd. W małej miejscowości jak Manham, gdzie takie skłonności uważa się za nienaturalne, miał niewielkie szanse na jakiegokolwiek życie seksualne. Jako młody człowiek jeździł więc do sąsiednich miast, by w parkach i publicznych toaletach znaleźć takie zaspokojenie, jakie oferowały. Pewnego razu pech chciał, że zaczepił policjanta po cywilnemu. Dostał wyrok w zawieszeniu, ale wstyd żył w nim jeszcze długo po odbyciu sądowej kary. Oczywiście w Manham o wszystkim się dowiedziano. Wcześniej wyśmiewany jako odmieniec, teraz stał się w ich oczach kimś o wiele bardziej niebezpiecznym. Choć nigdy nie wniano w charakter jego wykroczenia, mało kto pewnie wiedział, co w ogóle zrobił; plotka wystarczyła, by go napiętnowano. W małych społecznościach każdy musi mieć swoją rolę – jego okrzyknięto niedotykalnym, zbrojcem, postrachem dzieci. A Nolan przypieczętował swój wizerunek, jeszcze bardziej zamykając się przed światem. Przemykał przez miasteczko jak duch, rozmawiał tylko z kilkoma osobami, pragnąc jedynie pozostać niezauważonym. A Manham skwapliwie spełniało jego życzenie, nie tyle go tolerując, co ignorując.

Aż do teraz.

W pewnym sensie odczuł nawet ulgę. Odkąd znaleziono zwłoki Sally Palmer, żył w strachu. Wiedział, że kiedy trzeba wskazać kozła ofiarnego, racjonalność nie odgrywa żadnej roli. Wieczorem po pracy jak najszybciej wracał do domu, ryglował

drzwi i spuszczał żaluzje, licząc, że pancerz niewidzialności nadal będzie wystarczającym zabezpieczeniem. W tę sobotę jednak go zawiódł.

Po jedenastej wieczorem rozległo się walenie do drzwi. Wyłączył telewizor, zasunął zasłony i szykował się do spania. Przez chwilę siedział w fotelu, modląc się, by intruzi odeszli. Nie odeszli. Pijani, z prześmiewczym rechem wywoływali go po imieniu. Krzyki stawały się coraz bardziej gniewne, a walenie do drzwi przybierało na sile – drzwi omal nie wyskoczyły z futryny. Nolan spojrzął na telefon, zastanawiając się, czy się nie poddać i nie zadzwonić na policję. Ale ponieważ przez całe życie jak ognia unikał zwracania na siebie uwagi, nie chciał jej i teraz. Gdy więc goście zmienili taktykę i zagrozili wyłamaniem drzwi, postąpił jak zawsze.

Zrobił to, czego od niego oczekiwano.

Nie zdjął jednak łańcucha, licząc, że stalowe ogniwa zapewnią mu ochronę. Zawiodły go tak jak wszystko inne. Pod kolejnym szturmem drzwi wraz z framugą poszły w drzazgi, przewracając go na plecy. Napastnicy wparowali do domu. Potem twierdził, że nie rozpoznał żadnego z nich, że nie widział ich twarzy. Nie wiem, czy je widział, czy nie, ale trudno mi uwierzyć, że nie wiedział, kim byli. Musiał się kiedyś na nich chociaż natknąć, może nawet byli to synowie albo wnuczki jego kolegów z młodzieńczych lat. Bili go, kopali, a potem zaczęli demolować dom. Gdy roznieśli wszystko w pył, znowu go dopadli, tym razem nie odpuszczając, dopóki nie stracił przytomności. Możliwe, że jakiś przebłysk rozumu kazał im zostawić go przy życiu. Albo pomyśleli, że już jest martwy.

Odebrałem telefon jakiś czas po ich wyjściu. Na wpół przytomny znalazłem go po omacku. Ktoś szeptem powiedział, że pobito człowieka. Nie zdążyłem jeszcze dojść do siebie, gdy podał mi adres, pod który mam się udać, po czym się rozłączył. Przez chwilę tępo patrzyłem na słuchawkę, zanim zdołałem zebrać myśli na tyle, by zadzwonić po karetkę. Istniała oczywiście ewentualność, że to fałszywy alarm, ale głos brzmiał poważnie. W dodatku nie miałem złudzeń, że karetka dojedzie tam na czas.

Po drodze do Nolana zatrzymałem się przy radiowozie zaparkowanym na skwerku. Policja dyżurowała tam całą dobę, a mnie nie uśmiechała się myśl, by jechać tam samemu. Był to błąd. Pogotowie nie przekazało im mojego zgłoszenia i tylko zmarnowałem cenny czas na wyjaśnienia. Zanim jeden z policjantów zgodził się ze mną pojechać, zdążyłem pożałować, że nie udałem się tam sam.

W zaułku, w którym stał dom Nolana, zalegał mrok. Drzwi były otwarte na oścież.

Gdy podjeżdżaliśmy, rozejrzałem się po okolicznych domach. Nigdzie nie dostrzegłem znaku życia, ale miałem wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

Znaleźliśmy Nolana tam, gdzie zostawili go jego oprawcy. Wnętrze domu wyglądało jak pobojowisko. Jedyne, co mogłem zrobić, to ułożyć go w bezpiecznej pozycji i czekać na karetkę. Na przemian odzyskiwał i tracił świadomość, więc starałem się do niego mówić do czasu, aż przyjechali ratownicy. W pewnym momencie, gdy jako tako kontaktowałem, spytałem, co się stało. Ale tylko zamknął oczy, zbywając moje pytanie.

Gdy wnoszono go do karetki, jeden z policjantów, którzy z nią przyjechali, spytał, dlaczego zadzwoniono do mnie, a nie do służb ratowniczych. Odparłem, że nie wiem, ale to nie była prawda. Popatrzyłem na okna sąsiednich domów, w których odbijały się migające niebieskie światła. Choć na ulicy panował hałas i zamieszanie, nikt nie wyglądał, nikt nie wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje. Mimo to wiedziałem, że patrzą. Tak jak patrzyli – albo jak odwracali wzrok – gdy szturmowano drzwi Nolana, a potem się nad nim znęcano. Widocznie czyjeś sumienie się odezwało, ale nie na tyle wyraźnie, by powstrzymać atakujących albo zawołać na pomoc kogoś z zewnątrz. Co się dzieje w Manham, zostaje w Manham. Powiadomienie mnie, półobcego, było pójściem na kompromis. Nie znajdzie się żaden świadek, co do tego nie miałem wątpliwości, tak jak nikt nie przyzna się do anonimowego telefonu, który – jak się okazało – dla ostrożności wykonano z jedynej budki telefonicznej w miasteczku. Gdy karetka odjechała, popatrzyłem raz jeszcze na ciemne okna i zaryglowane drzwi. Miałem ochotę wrzasnąć na tych, którzy się za nimi pochowali. Lecz co konkretnie miałbym im wykrzyczeć i co dobrego by to przyniosło, nie miałem pojęcia.

Zamiast tego wróciłem do domu i spróbowałem zasnąć na te kilka godzin, które zostały do rana.

Nazajutrz obudziłem się osowiały i markotny. Przyniosłem gazetę i razem z kawą zabrałem ją do ogrodu. Głównym tematem weekendu była katastrofa kolejowa – odkrycie drugiego trupa w Manham doczekało się ledwie kilku akapitów gdzieś na środkowych stronach. To, że nie wiązało się ze „świeższym” trupem, nadawało mu co najwyżej status ciekawostki, intrygującego dzieła przypadku.

Poprzednie popołudnie i część wieczoru spędziłem, badając szczątki młodego mężczyzny. Musieliśmy czekać na wyniki testów na zawartość woskotłuszczu

w glebie, żeby dowiedzieć się, jak długo leżał w ziemi, ale nie spodziewałem się żadnych niespodzianek. Dobrą wiadomością – jeśli tak to można określić – było to, że poznanie jego nazwiska nie powinno nastęrczać problemów. Zęby zachowały się w nienaruszonym stanie, miały nawet plomby, więc przy odrobinie szczęścia można było porównać je z kartami dentystycznymi i ustalić tożsamość denata. Dostrzegłem też stare pęknięcie na lewej pieszczeli. Goleń była zagojona, ale był to kolejny szczegół, który mógł pomóc w identyfikacji.

Poza tym potwierdziło się tylko to, co wcześniej mówiłem Mackenziemu. W grobie leżały szczątki młodego białego mężczyzny, w wieku od osiemnastu do dwudziestu trzech lat, któremu rozłupano czaszkę tępym i ciężkim przedmiotem. Prawdopodobnie dużym młotkiem lub pobijakiem, który wybił w kości okrągłe, promieniste dziury. Kształt i liczba obrażeń sugerowały, że uderzono go kilkakrotnie od tyłu. Po tak długim czasie nie dało się powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że to właśnie było przyczyną zgonu, ale obstawiałbym, że tak. Tego rodzaju uraz oznacza niemal natychmiastową śmierć i choć nie dowiemy się, czy wcześniej coś mu jeszcze zrobiono, to jego kości nie nosiły innych śladów przemocy.

Nie było powodu sądzić, że ta śmierć miała cokolwiek wspólnego z tym, co teraz działo się w Manham. Celem naszego zabójcy były kobiety, nie mężczyźni, i choć będzie można to potwierdzić dopiero po ustaleniu tożsamości, wydawało się wątpliwe, że ofiara pochodziła stąd. Miasteczko było zbyt małe, by nikt przez tak długi okres nie zauważył zniknięcia człowieka. Samo morderstwo nie było podobne do morderstwa Sally Palmer. Sally porzucono na otwartej przestrzeni, a jego zakopano w grobie i podczas gdy jej twarz zmasakrowano – albo z wściekłości, albo po to, by uniemożliwić rozpoznanie – on kości miał nietknięte. Według najbardziej prawdopodobnego scenariusza zarówno ofiara, jak i zabójca byli spoza Manham, a zwłoki przywieziono tutaj po to, by je ukryć w dziczy.

Mimo to bardzo uważnie sprawdziłem, czy nie ma śladów na kręgach szyjnych. Być może tylko dlatego, że aż do minionego tygodnia jedyną cechą, jaka wyróżniała Manham, było jego położenie na uboczu. A teraz mieliśmy tu dwa morderstwa, jedno nowe, drugie stare, plus zaginioną kobietę. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest tu drugie dno. Jeśli miasteczko dopiero teraz zaczynało zdradzać swoje sekrety, ciężko stwierdzić, co jeszcze ukrywało w zanadrzu.

Nie była to pocieszająca myśl.

Przejrzałem gazetę do końca, ale nic nie przykuło mojej uwagi. Rzuciłem ją na stół

i dopiłem kawę. Prysznic, a potem niedzielny obiad u Henry'ego. Myśl, że potem spotkam się z Jenny, budziła we mnie zarazem nerwowość i podekscytowanie. I odrobinę poczucia winy, bo nie miałem okazji powiedzieć o tym Henry'emu. Nie będzie miał nic przeciwko, byśmy pożyczyli jego łódkę, ale wiem, że oczekiwał, że spędzę z nim całe popołudnie, a nie zawinę się tuż po posiłku. Może powinienem przełożyć jedno lub drugie. Nie lubiłem jednak go rozczarowywać i nie miałem pojęcia, kiedy znowu będę mógł popływać. Nie chciałem czekać.

*A czemuż to nie?* – w głowie odezwał mi się głos cynizmu. *Aż tak ci się pali do spotkania z Jenny?* Nie chciałem tego teraz rozważać. Wstałem i poszedłem pod prysznic, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

Zanim dotarłem do Henry'ego, dokuczliwie rozboliła mnie głowa. Nie na tyle jednak, bym nie docenił woni pieczeni wołowej, jaka przywitała mnie już na progu. Jak zwykle nie zapukałem, tylko zawołałem i wszedłem.

– Tutaj – dobiegł z kuchni głos Henry'ego.

Poszedłem do niego. W kuchni było gorąco, choć otworzył drzwi wychodzące na zaciszny ogród. Ubijał ciasto na Yorkshire pudding, obok stał pusty kieliszek. Nie była to może wymarzona potrawa na skwarne popołudnie, ale jeśli chodzi o niedzielne obiady, Henry był tradycjonalistą.

– Prawie gotowe – powiedział, nakładając łyżką ciasto na blachę do pieczenia. Rozgrzany tłuszcz syczał i skwierczał. – Jak się upieką, będzie można siadać do stołu.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nalej nam wina. Napocząłem już jakiegoś sikacza, ale mam coś przyzwoitszego. Otworzyłem, żeby nabrało powietrza. Powinno być już dobre. Chyba że wolisz piwo?

– Wino, jeśli można.

Podjechał wózkiem do piekarnika. Otworzył drzwiczki, cofając się od podmuchu gorąca, i wsunął blachę. Rzadko gotował, pozwalając, by to Janice przygotowywała posiłki, ale gdy już się zabrał do pichcenia, zawsze byłem pod wrażeniem jego zręczności. Zastanawiałem się, jak ja bym sobie poradził na jego miejscu. Z drugiej strony, czy miał jakiś wybór? Poza tym nie był osobą, która łatwo się poddaje.

– Gotowe – powiedział, z hukiem zamykając drzwiczki. – Jeszcze dwadzieścia minut i będzie można jeść. Boże, człowieku, nie nalałeś jeszcze?

– Już się robi. – Szperałem w szufladzie. – Masz jakąś aspirynę czy coś? Pęka mi głowa.

– Jeśli tu nic nie znajdziesz, to weź z szafki z lekami.

W szufladzie było tylko puste opakowanie po paracetamolu. Poszedłem korytarzem do gabinetu Henry'ego, który – od kiedy zająłem jego stary pokój – służył mu jako gabinet zabiegowy. Trzymaliśmy tam leki, a także część kłopotów Henry'ego. Miał naturę ciułacza i zachował różne rodzaje przeterminowanych specyfików, buteleczek i akcesoriów medycznych odziedziczonych po poprzednim lekarzu. Chomikowanie ich łamało pewnie wszystkie przepisy higieny pracy, ale Henry miał w poważaniu wymogi biurokracji.

Jego zasnuta kurzem kolekcja eksponowana w eleganckiej wiktoriańskiej przeszklonej biblioteczce kontrastowała ze szpetną stalową apteczką i małą lodówką, w której trzymaliśmy szczepionki. Te ostatnie zupełnie nie pasowały do reszty mebli ze szlachetnego drewna i skóry, mimo że Henry starał się je zamaskować oprawionymi w ramki fotografiami. Na jednej z nich, zrobionej przed rokiem, siedzieliśmy z Henrym w łódce, ale większość przedstawiała go razem z żoną Dianą. Na miejscu honorowym na szczycie szafki stało zdjęcie ślubne. Stanowili ładną parę, uśmiechnięci, młodzi i najwyraźniej bardzo szczęśliwi, nieświadomi losu, jaki ich czekał.

Spojrzałem na dwie laski stojące w kącie obok biurka i zbierające kurz. Gdy tu przyjechałem, Henry jeszcze starał się ich używać. Słyszałem jego postękiwania, gdy usiłował przejść kilka kroków. „Udowodnię tym konowałom, że nie mają racji” – powtarzał. Ale nigdy nie udowodnił, tylko stopniowo przestał próbować.

Odwrociłem się od tego memento kruchości ludzkiej kondycji i otworzyłem apteczkę. Przetraszałem pudełko za pudełkiem, aż znalazłem paracetamol, po czym wróciłem do kuchni.

– Nareszcie – burknął na mój widok. – Pospiesz się z tym cholernym winem. Pić się człowiekowi chce od tej roboty. – Powachlował się dłonią, zwracając się w stronę otwartych drzwi. – Wyjdźmy na dwór się ochłodzić.

– Zjemy na zewnątrz?

– Chcesz mi tu wprowadzać barbarzyńskie obyczaje? To nie Australia. I weź butelkę. Bordeaux, nie tego sikacza.

Popiłem tabletkę wodą, a potem zrobiłem, jak powiedział. Ogród był zadbane, ale bez przesadnej troski o szczegóły. Henry był zapalonym ogrodnikiem i to, że nie dawał rady samodzielnie go pielęgnować, tylko pogłębiało jego frustrację. Usiedliśmy przy starym stole z kutego żelaza i w cieniu złotokapu.

Widok połyskującej tafli jeziora za wyplatany z wierzby płotem przynosił

iluzoryczną ulgę w tym skwarze. Nalałem nam wina.

– Twoje zdrowie – powiedziałem.

– I twoje. – Zakręcił rubinowym płynem, a potem powąchał go badawczo.

W końcu upił łyk. – Hmm... niezłe.

– Z tutejszego supermarketu?

– Ignorant – obruszył się. Wziął jeszcze łyk, rozkoszując się smakiem. – No, to zaczynaj. Opowiadaj wszystko. Jak było na kolacji?

– Tak naprawdę to był grill. Na dworze. Czyli coś, co lubisz.

– Jedzenie na świeżym powietrzu jest dopuszczalne tylko w piątki wieczorem.

Niedzielne obiady wymagają odpowiedniej oprawy. Poza tym nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Było miło, dziękuję.

Uniósł brew.

– Miło i tyle?

– Co jeszcze mam powiedzieć? Dobrze się bawiłem.

– Coś podejrzana ta twoja powściągliwość. – Uśmiechnął się. – Widzę, że będę musiał to z ciebie wydusić. Mam taką propozycję. Popływajmy dzisiaj po południu i wszystko mi opowiesz. Nie ma wiatru, więc powiosłujemy trochę i spalimy część obiadu. – Czułem, jak z zażenowania płonie mi twarz. – Oczywiście nie ma przymusu... – dodał z przybladłym uśmiechem.

– Nie chodzi o to... Rzecz w tym... Wiesz, powiedziałem Jenny, że zabiorę ją na żagle.

– Ach... – Nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Przepraszam, powinienem był ci powiedzieć wcześniej.

Szybko ochłonął i zamaskował rozczarowanie uśmiechem.

– Nie przepraszaj! To wspaniała wiadomość!

– Zawsze mogę...

Machnął ręką, zanim zdążyłem skończyć.

– W słoneczne popołudnie jak dziś lepiej ci zrobi randka z ładną dziewczyną niż ze starym ramolem jak ja.

– Na pewno nie masz nic przeciwko?

– Nadrobimy to innym razem. Cieszę się, że w końcu ktoś ci się spodobał.

– To nic takiego, naprawdę.

– Och, daj spokój, David, najwyższy czas, byś zaczął mieć coś z życia! Nie musisz

się tłumaczyć.

– Nie tłumaczę się, tylko... – Głos mi zamarł, słowa gdzieś pierzchły.

Henry spowaźniał.

– Masz poczucie winy. Zgadłem?

Odpowiedziałem skinieniem głowy, nie do końca ufając, że zdołam mówić.

– Ile czasu to już minęło? Trzy lata?

– Prawie cztery.

– U mnie prawie pięć. I wiesz co? To wystarczająco długo. Zmarłych nie przywróci się do życia, więc chyba warto w miarę możliwości żyć dalej. Gdy zmarła Diana... Chyba nie muszę ci mówić. – Zaśmiał się gorzko. – Nie mogłem pogodzić się z tym, że to ona zginęła, a ja przeżyłem. – Jeszcze długo po wypadku... – Nie dokończył, tylko spojrział na jezioro. Cokolwiek chciał powiedzieć, zmienił zdanie. – Ale to już inna historia. – Sięgnął po kieliszek. – Zmieniając temat, podobno wczoraj było jakieś poruszenie?

Niewiele w Manham mogło się ukryć przed Henrym.

– Można tak powiedzieć. Kilkoro sąsiadów Jamesa Nolana postanowiło złożyć mu wizytę.

– Co z nim?

– Niedobrze. – Jakiś czas wcześniej zadzwoniłem do szpitala. – Nie patyczkowali się z nim. Wyjdzie ze szpitala dopiero za tydzień albo dwa.

– I pewnie nikt nic nie widział, nie myślę się?

– Na to wygląda.

Z obrzydzeniem ściągnął krzaczaste brwi.

– Bydlaki. Inaczej tego nazwać nie można. Cholerne bydlaki. Nie żeby mnie to dziwiło. Z tego, co słyszałem, ty też się naraziłeś tutejszym długim jeziorom, czyż nie?

Powinienem być się domyślić, że doszły go już plotki na mój temat.

– Mnie póki co nie pobito.

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Ostrzegałem cię. To, że jesteś lekarzem, nie daje ci żadnych forów.

Zauważyłem, że zaczyna popadać w swoje czarnowidztwo.

– Och, Henry...

– Uwierz mi, znam to miejsce lepiej niż ty. Jak przyjdzie co do czego, ludzie potraktują cię tak samo jak Nolana. Nie ma znaczenia, co dla nich zrobiłeś w przeszłości. Wdzięczność? Tutaj na nią nie licz! – Pociągnął łyk wina, ale był tak



rozzłoszczony, że zapomniał się w nim rozsmakować. – Czasami się zastanawiam, po co w ogóle nasz trud.

– Nie mówisz poważnie.

– Czyżby? – Wbił ponure spojrzenie w kieliszek. Zastanawiałem się, ile wypił, zanim przyjechałem. – Może i nie. Ale Bóg mi świadkiem, że nie raz i nie dwa myślałem o tym, co tutaj robimy, ty i ja. Ty nigdy się nie zastanawiasz, jaki to wszystko ma cel?

– Jesteśmy lekarzami. Jakiego innego celu potrzebujesz?

– Tak, tyle wiem – rzucił z irytacją. – Ale co dobrego tak naprawdę robimy? Czy możesz szczerze powiedzieć, że nigdy nie czułeś, że marnujesz czas? Trzymając przy życiu jakiegoś piernika tylko dla zasady? Tylko odsuwamy to, co nieuniknione.

Spojrzałem na niego z niepokojem. Był zmęczony. Po raz pierwszy dostrzegłem, że zaczyna być po nim widać jego lata.

– Wszystko w porządku?

Zachichotał cierpko.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem dziś wyjątkowo cyniczny. – Sięgnął po butelkę. – Widocznie to wszystko i mnie zaczyna psuć krew. Napijmy się jeszcze po kieliszku i opowiesz mi, czym takim tajemniczym zajmowałeś się przez cały tydzień.

Nie planowałem o tym rozmawiać, ale teraz cieszyłem się, że zmienimy temat. Opowiedziałem mu, co robiłem przed przyjazdem do Manham. Słuchał, z początku ze zdziwieniem, potem – gdy przeszedłem do tego, jak pomagam Mackenziemu – z niedowierzaniem.

Gdy skończyłem, powoli pokręcił głową.

– No cóż, „czarny koń” to chyba najwłaściwsze określenie.

– Przepraszam. Wiem, że powinienem był ci powiedzieć wcześniej, ale aż do teraz naprawdę myślałem, że to zamknięty rozdział mojego życia.

– Nie musisz przeproszać – powiedział.

Widziałem jednak, że posmutniał. Przyjął mnie, gdy byłem w dołku, a teraz okazało się, że – delikatnie mówiąc – nie byłem z nim szczerzy. Przez cały czas pozwalałem, by sądził, że moja praca antropologa miała wyłącznie akademicki charakter. Choć nie okłamałem go wprost, to nie tak powinienem mu się odwdzięczyć za zaufanie, jakim mnie obdarzył.

– Jeśli chcesz, żebym zrezygnował, to zrezygnuję – powiedział.

– Zrezygnować? Nie wygłupiaj się! – Spojrzał na mnie. – Chyba że masz

wątpliwości co do sensu dalszej pracy w Manham?

– Nie, oczywiście, że nie mam. Nie chciałem się w to w ogóle angażować. Nie ukrywałem tego przed tobą celowo. Po prostu sam nie chciałem o tym myśleć.

– Rozumiem. Jestem tylko trochę zaskoczony, to wszystko. Nie miałem pojęcia, że twoja kariera zawodowa była taka... elitarna. – W zadumie popatrzył na jezioro. – Zazdroszczę ci. Zawsze żałowałem, że nie poszedłem na psychologię. A kiedyś miałem taki pomysł, wiesz? Jak widać, nie wypalił. Za dużo szkoleń. Chciałem ożenić się z Dianą, a jako lekarz rodzinny mogłem szybciej zacząć zarabiać pieniądze. Poza tym w tamtych czasach wiązał się z tym prestiż.

– To, czym ja się zajmowałem, bynajmniej nie było prestiżowe.

– Ale fascynujące. – Posłał mi porozumiewawcze spojrzenie. – Nie zaprzeczaj. W ostatnim tygodniu bardzo się zmieniłeś. Jeszcze przed tym grillem. – Zaśmiał się powściągliwie, wyjmując z kieszonki fajkę. – Tak czy inaczej ten tydzień to był koszmar. Jakieś wieści na temat tego drugiego trupa? Wiadomo kto to?

– Jeszcze nie. Może karty dentystyczne pomogą ustalić tożsamość.

Henry pokręcił głową, nabił i zapalił fajkę.

– Pomyśleć, że człowiek mieszka gdzieś tyle lat i nagle... – Widać było, że próbuje otrząsnąć się z przygnębienia, jakie go ogarnęło. – No nic, pójdę sprawdzić, jak tam nasz obiad. Nie trzeba pogarszać sytuacji przypalonymi puddingami.

Od tego momentu nasza rozmowa miała już lżejszy ton. Pod koniec posiłku Henry wyglądał na zmęczonego. Przypomniałem sobie, że przez ostatnie kilka dni cała przychodnia była na jego głowie. Bezskutecznie nalegałem, by pozwolił mi pozmywać naczynia.

– Dam sobie radę, naprawdę. Większość i tak wrzucę do zmywarki. Wolałbym, żebyś poszedł na to spotkanie z przyjaciółką.

– Mam jeszcze mnóstwo czasu.

– Jeśli ty będziesz z uporem obstawał przy naczyniach, to ja też. I szczerze mówiąc, jedyne, na co mam teraz ochotę, to nalać sobie resztkę wina i uciąć drzemkę.

– Spojrzał na mnie z udawaną srogością. – Naprawdę chcesz mi zepsuć niedzielne popołudnie?

Umówiłem się z Jenny w Baranku. Było to neutralne terytorium, bo odebranie jej spod domu za bardzo przypominałoby randkę. Nadal powtarzałem sobie w myślach, że idziemy popływać i nic więcej. Przecież nie zabierałem jej na kolację, więc

odpadały całe te seksualne podchody. Nie będzie powodu, by martwić się o właściwe interpretowanie wszystkich tych sygnałów. Nic z tych rzeczy, naprawdę.

Tylko że moje rozemocjonowanie sugerowało co innego.

Uważałem, żeby nie przeholować z winem przy obiedzie, i choć miałem ochotę na coś mocniejszego, zamówiłem sok pomarańczowy. Gdy wszedłem do pubu, jak zwykle powitały mnie skinienia głowy. Nie potrafiłem nic z nich wyczytać, ale z ulgą stwierdziłem, że nie ma Carla Brennera.

Wyniosłem sok na zewnątrz i oparłem się o kamienny murek przed pubem. Z nerwów prawie od razu wypilem całą szklankę. Zdałem sobie sprawę, że co kilka minut zerkam na zegarek. Postanowiwszy, że więcej tego nie zrobię, podniosłem wzrok i zobaczyłem podjeżdżający samochód. Stary mini cooper. Chwilę później za kierownicą rozpoznałem Jenny. Zaparkowała i wysiadła. Nagle poczułem dziwną lekkość. *Co się ze mną dzieje*, spytałem w duchu, ale ponieważ właśnie podeszła, wszelkie pytania musiały zaczekać.

– Pozwoliłam sobie na odrobinę lenistwa – powiedziała, uśmiechając się i przesuwając okulary na czubek głowy.

Wiedziałem jednak, że zdecydowała się na samochód tylko dlatego, że mało która kobieta w Manham chciała teraz chodzić piechotą. Miała na sobie krótkie spodenki i niebieską koszulkę na ramiączkach. Ledwie wyczułem delikatny zapach perfum.

– Mam nadzieję, że nie czeka pan długo? – spytała.

– Dopiero przyszedłem. – Zerknęła na pustką szklankę. Stropiony, wzruszyłem ramionami. – Okropnie chciało mi się pić. Napijemy się czegoś?

– Jeśli o mnie chodzi, to niekoniecznie. Jak pan woli.

Czułem, że rodzi się między nami ten rodzaj napięcia, w którym każde wypowiedziane zdanie brzmi fałszywie. *Zdecyduj*, rzuciłem w myślach. *Teraz! To może nadać ton reszcie popołudnia.*

– To może weźmiemy coś na wynos? – spytałem, zadziwiając sam siebie. Od razu wiedziałem, że trafiłem w sedno.

Jenny uśmiechnęła się promiennie.

– Świetny pomysł.

Zaczekała na zewnątrz, a ja skoczyłem do baru po butelkę wina. Starłem się ignorować dziwne spojrzenia, gdy prosiłem o wypożyczenie kieliszków i korkociągu, strofując się w myślach, że nie zatroszczyłem się o to wcześniej. Wiedziałem jednak, skąd to zaniedbanie. Unikałem wszystkiego, co mogłoby sugerować, że nasze

spotkanie jest czymś więcej niż zwykłym wypadem. Wyglądało na to, że Jenny również.

– Chwileczkę – rzuciła, gdy wróciłem, i na chwilę sama weszła do środka. Pojawiła się po kilku minutach, niosąc kilka paczek czipsów i orzeszków. – W razie jakbyśmy zgłodnieli.

Uśmiechnęła się. Napięcie pierchło. Zostawiliśmy samochód na skwerku i poszliśmy nad jezioro. Mogliśmy przejść do przystani przez ogród Henry’ego, ale nie chcąc mu przeszkadzać, wybraliśmy mniej uczęszczaną ścieżkę biegnącą obok jego domu. Łódka stała bez ruchu na nieporuszonej tafli wody. Gdy weszliśmy na pokład, nie było nawet najmniejszego wietrzyku.

– Chyba dużo sobie dzisiaj nie pozęglujemy – skonstatowałem.

– Nie szkodzi. Miło będzie po prostu pobyc na wodzie.

Bez stawiania żagla chwyciłem za wiosła i wypłynęliśmy na jezioro. Jego tafla błyszczała jak szkło, w którym odbijają się promienie słońca, aż bolały oczy. Słysząc tylko melodyjne pluskanie wiosła. Jenny siedziała naprzeciw mnie. Nasze kolana się stykały, ale żadne z nas się nie cofnęło. Jenny wystawiła rękę za burtę i rysowała palcami na wodzie rozszerzający się szlak.

Im bliżej przeciwnego brzegu, tym robiło się płycej, a sam brzeg był miejscami niedostępny z powodu gęstwiny płowego sitowia. W jednym miejscu wystawał z niego niski cypelek, a z brzegów zwieszały się postrzępione gałęzie starych wierzb płaczących. Podpłynąłem pod jedną i przywiązałem łódź do pnia. Przez liście sączyły się promienie słońca, nadając zieleni świetlistość.

– Ależ tu ślicznie! – zawołała Jenny.

– Rozejrzemy się trochę?

Zawahała się.

– Nie chciałabym wyjść na tchórza, ale na pewno jest tu bezpiecznie? Wie pan, te wszystkie pułapki i tak dalej.

– Nie wydaje mi się, by ktoś zadał sobie tyle trudu. Nikt tu już nie bywa, więc po co.

Zostawiliśmy wino w wodzie, by się chłodziło, i poszliśmy pozwiedzać okolicę. Niewiele tam było poza stertą kamieni i drzewami połączonymi z brzegiem porośniętym sitowiem skrawkiem ziemi. Stał na nim rozpadający się budynek bez dachu i zarośnięty krzakami.

– Myśli pan, że ktoś tu kiedyś mieszkał? – spytała Jenny, nachylając się, by przejść

przez niskie kamienne wejście. Pod jej stopami zachrzęściły suche liście. Nawet w tym upale czuć było wilgoć i stęchliznę.

– Możliwe. Wszystko to należało kiedyś do ratusza. Może to dom jakiegoś dozorca.

– Nie wiedziałam, że tutaj był kiedyś ratusz.

– Bo już nie ma. Zburzono go po drugiej wojnie światowej.

Musnęła dłonią porośnięty mchem gzyms nad kominkiem.

– Nie zastanawia się pan czasami, widząc takie opuszczone domy, kto w nich kiedyś mieszkał? Jakim był człowiekiem? Jakie miał życie?

– Myślę, że w tym tutaj nielekkie.

– A może oni tak tego nie postrzegali? Może dla nich było normalne. Kto wie, może za kilkaset lat ktoś popatrzy na ruiny naszych domów i pomyśli: „Biedaczyska, jak oni to wytrzymywali?”.

– Bardzo możliwe. Tak to bywa.

– Zawsze chciałam zostać archeologiem. Zanim zostałam nauczycielką. Wszystkie te dawno minione ludzkie żywoty, o których nic nie wiemy. Wszyscy ci ludzie podobnie jak my myśleli, że ich życie jest najważniejsze. – Wzdrygnęła się i uśmiechnęła nieśmiało. – Od razu dostaję dreszczy. Ale nadal w pewnym sensie mnie to fascynuje.

Zastanawiałem się, czy doszły ją słuchy, jaki miałem w przeszłości związek z dawno minionymi ludzkimi żywotami. Ale mówiła w sposób naturalny, nie zaaranżowany.

– Więc co panią powstrzymało? Od zostania archeologiem?

– Widocznie nie dość mocno tego chciałam. Zamiast tego wylądowałam w szkole. Nie chodzi o to, że nie lubię uczyć, bo lubię... Ale czasami, wie pan, człowiek się zastanawia: co by było, gdyby...

– Jeszcze może pani pójść na studia.

– Nie – odparła, wciąż gładząc dłonią kamienny gzyms. – Tamtej mnie już nie ma. Dziwnie to zabrzmiało.

– Co pani ma na myśli?

– Och, no wie pan. Czasem szansę ma się tylko raz. Rozstaje dróg i tak dalej. Podejmuje się jakąś decyzję, wybiera jedną z dróg, a gdy podejmie się inną, ląduje się w zupełnie innym miejscu. – Wzruszyła ramionami. – Archeologia była jedną z tych, którą nie poszłam.

– Nie wierzy pani w drugą szansę?

– To nie są drugie szanse, tylko inne. Nasze życie nigdy nie będzie takie samo jak wtedy, gdybyśmy dokonali innego wyboru. – Posmutniała. Zabrała dłoń z kamienia, nagle się zawstydzwszy. – Rany, co ja wygaduję. Przepraszam. – Zaśmiała się.

– Nie ma za co – powiedziałem, ale wychodziła już za próg.

Poszedłem za nią, dając jej czas na pobycie sam na sam ze swoimi myślami. Blond włosy opadające na kark podkreślały złotą opalenizną jej skóry. Ścieżka delikatnych białych włosków biegła wzdłuż szyi i znikwała pod koszulką. Z trudem powstrzymałem ochotę, by ich dotknąć.

Gdy Jenny się odwróciła, znowu była pogodna.

– Myśli pan, że wino już się wystarczająco schłodziło?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Wróciliśmy do łodzi i wyjęliśmy butelkę z wody.

– Może pani pić alkohol? – spytałem. – Bo mam też wodę.

– Nie, wino będzie idealne, dziękuję. Zrobiłam sobie rano zastrzyk z insuliny. Kieliszek mi nie zaszkodzi. – Uśmiechnęła się. – A poza tym jest ze mną lekarz.

Usiedliśmy pod wierzbą i napiliśmy się. Od powrotu ze starego domku prawie nie rozmawialiśmy, ale cisza nie powodowała skrępowania.

– Brakuje panu czasami miasta? – spytała w końcu.

– Do niedawna nie. A pani?

– Nie wiem. Tęsknię za niektórymi rzeczami. Nawet nie za barami czy restauracjami. Raczej za gwarem, poczuciem, że coś się dzieje. Ale przyzwyczajam się do życia na prowincji. To kwestia zmiany tempa.

– Myśli pani, że tam kiedyś wróci?

Popatrzyła na mnie, a potem w dal, na wodę.

– Nie wiem. – Zerwała źdźbło trawy. – Tina dużo panu opowiadała?

– Niewiele. Tylko tyle, że miała pani przykre doświadczenia, ale nie wdawała się w szczegóły.

– Zawsze można na nią liczyć – skwitowała oschle, ale bez urazy. Czekałem, by sama zdecydowała, czy chce mi powiedzieć więcej. – Zaatakowano mnie – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad trawy. – Jakieś półtora roku temu. Byłam na mieście z grupą przyjaciół, wracałam do domu taksówką. Dla ostrożności. Na ulicach jest niebezpiecznie i tak dalej. To były urodziny i trochę wypiałam. Zasnęłam, a gdy się obudziłam, kierowca zaparkował i zaczął pakować się do mnie na tylne siedzenie.

Gdy zaczęłam się bronić, pobił mnie. Groził, że mnie zabije, i wtedy... – Głos zaczął jej się łamać. Zamilkła i po chwili się opanowała. – Nie zdążył mnie zgwałcić. Usłyszałam jakichś ludzi w pobliżu. Stał na pustym parkingu, a oni akurat tamtędy przechodzili. Zaczęłam krzyczeć i kopać w okno. Spanikował, wypchnął mnie z samochodu i odjechał. Policja powiedziała, że miałam szczęście. Mieli rację. Wyszłam z tego tylko z kilkoma siniakami i zadrapaniami, ale mogło być o wiele gorzej. Mimo to nie czułam się szczęściarą. Byłam przerażona.

– Złapali go?

Pokręciła głową.

– Nie potrafiłam podać dokładnego rysopisu, a odjechał, zanim ktokolwiek zdążył zapisać jego numer rejestracyjny. Nie znałam nawet nazwy firmy taksówkarskiej, bo zatrzymałam go na ulicy. Więc nadal chodzi sobie na wolności. – Rzuciła żdźbło do jeziora. Unosiło się na wodzie, prawie nie odciskając się na jej powierzchni. – Doszło do tego, że bałam się wychodzić z domu. Nie bałam się tego, że go znowu spotkam, tylko... wszystkiego. Chodziło o to, że skoro coś takiego zdarzyło się raz, zupełnie bez powodu, to równie dobrze może się powtórzyć. W każdej chwili. Dlatego postanowiłam wynieść się z miasta. Zobaczyłam ogłoszenie o pracę i... tak się tu znalazłam. – Uśmiechnęła się krzywo. – Dobre posunięcie, prawda?

– Najlepsze, jeśli chodzi o mnie.

Wypaliłem to, zanim się zorientowałem, co mówię. Szybko odwróciłem wzrok i wbiłem go w dal, gdziekolwiek, byle nie spotkać jej spojrzenia. *Kretyn! Musiałeś tak palnąć?*

Żadne z nas się nie odzywało. Gdy się odwróciłem, patrzyła na mnie. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Czipsa?

Skrępowanie minęło. Z ulgą sięgnąłem po wino.

W dniach, które miały nadejść, będę wspominał to popołudnie jako ostatni prześwit błękitnego nieba przed burzą.

Kolejny tydzień upłynął w stanie zawieszenia. Podskórne napięcie wypełniało powietrze jak ozon, niemrawe wyczekiwanie, aż cokolwiek się wydarzy.

Ale nic się nie wydarzyło.

Ogólnie panujący nastrój idealnie komponował się z krajobrazem – płaskim i zastygłym. Pogoda nadal była upalna, niebo przejrzyste, bez cienia chmurki. Śledztwo szło jak po grudzie, nie znaleziono ani podejrzanego, ani ofiary. Na ulicach zrobiło się gwarno, bo wszystkie dzieci w wieku szkolnym świętowały początek długich letnich wakacji. Wróciłem do normalnych godzin pracy w przychodni i jeśli teraz więcej pacjentów zapisywało się do Henry’ego, a wielu z tych, którzy do mnie przychodzili, zachowywało się z pewną rezerwą, starałem się tego nie zauważać. Tak wyglądało teraz moje życie, a Manham – na dobre czy na złe – było moim domem. Prędzej czy później wszystko się uspokoi i wróci normalność.

A przynajmniej tak sobie mówiłem.

Regularnie spotykałem się z Jenny. Pewnego razu pojechaliśmy na kolację do Horning, gdzie w restauracji mieli lniane obrusy i świece, a wybór win większy niż tylko między białym i czerwonym. Wydawało się, jakbyśmy znali się od lat. Być może było tak częściowo ze względu na to, co przeszliśmy. Oboje byliśmy po tej stronie życia, która dla większości ludzi pozostaje nieznanym lądem, oboje wiedzieliśmy, jak wątła linia oddziela codzienność od tragedii. Ta wiedza wiązała nas jak prywatny język, przez większość czasu niewypowiedziany, ale mimo to rozumiały. Zupełnie naturalne wydawało się to, że opowiem jej o moim dawnym życiu, o Karze i Alice, o pracy śledczej, jaką wykonywałem dla Mackenziego. Słuchała bez słowa, a gdy skończyłem, lekko dotknęła mojej dłoni.

– Myślę, że słusznie postępujesz – powiedziała, pozwalając, by nasze dłonie dotykały się jeszcze przez chwilę, po czym szybko cofnęła rękę. Bez poczucia skrępowania czy wstydu zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym. Tylko w drodze powrotnej pojawiło się napięcie, im bliżej Manham, tym bardziej Jenny zamykała się



w sobie. Rozmowa, która wcześniej toczyła się gładko, zrobiła się wymuszona, a potem całkiem ucichła.

– Wszystko w porządku? – spytałem, zatrzymując się pod jej domem.

Zbyt szybko potaknęła skinieniem głowy.

– No, to dobranoc – rzuciła, otwierając drzwi samochodu. Zanim wysiadła, zawahała się jeszcze. – Przepraszam, po prostu... nie chcę się spieszyć. – Mechanicznie pokiwałem głową. – Nie, nie chodziło mi o to, że... To nie tak, że nie chcę... – Wzięła głęboki oddech. – Tylko jeszcze nie teraz, dobrze? – Uśmiechnęła się niepewnie. – Jeszcze nie.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo nachyliła się, pocałowała mnie – przelotne muśnięcie ust – i pobiegła do domu. Z zaskoczenia nie mogłem złapać tchu. Czułem się jednocześnie szczęśliwy i winny.

Ale jej słowa chodziły mi po głowie z innego powodu. To samo powiedziała Linda Yates, gdy spytałem ją, czy przyśniła jej się Lyn. Spotkałem ją raz jeszcze pewnego popołudnia, w czasie tego zastoju, gdy całe miasteczko czekało, aż coś się wydarzy. W pośpiechu maszerowała główną ulicą, z zatroskaniem wymalowanym na twarzy. Zauważyła mnie dopiero, gdy byliśmy od siebie niemal na wyciągnięcie dłoni. Raptownie się zatrzymała.

– Dzień dobry, Lindo. Jak tam chłopcy?

– Dobrze.

Już ruszyłem dalej, gdy nagle mnie zawołała.

– Panie doktorze... – Zatrzymałem się. Rozejrzała się nerwowo wokół, upewniając się, że nikt nas nie słyszy. – Z tą policją... Nadal im pan pomaga? Jak pan mówił?

– Czasami.

– Znaleźli coś? – wypaliła.

– Lindo, przecież pani wie, że nie mogę o takich rzeczach mówić.

– Ale jeszcze jej nie znaleźli? Lyn?

Nie wiem, dlaczego o to pytała, ale na pewno nie z próżnej ciekawości. Sprawiała wrażenie niespokojnej.

– O ile mi wiadomo, nie.

Pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Dlaczego pani pyta? – spytałem, choć już zacząłem się domyślać.

– Bez powodu. Tak się tylko zastanawiałam – wymamrotała, odchodząc.

Zaniepokojony, patrzyłem, jak się oddala. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że nie

chodziło jej o wieści, ale o potwierdzenie. I dobrze wiedziałem czego. Jak wcześniej Sally Palmer, tak teraz Lyn Metcalf w końcu odwiedziła ją we śnie.

Szybko jednak porzuciłem ten tok myślenia. Widać zbyt długo mieszkałem w Manham, bo zaczynałem już wierzyć w przecucia i przywiązywać wagę do snów. Jej i swoich. Łatwo było popaść w samozadowolenie. Sypiałem ostatnio doskonale, a na jawie myślałem o Jenny i o przyszłości. Czułem się, jakbym znów wyłaniał się na powierzchnię i po długim czasie spędzonym pod ziemią mógł wreszcie zaczerpnąć świeżego powietrza. Choć to pewnie egoistyczne, to pomimo przykrych okoliczności nie potrafiłem powstrzymać wstępującego we mnie optymizmu.

I wtedy, w połowie następnego tygodnia, inercja się przełamała. Ustalono tożsamość zmarłego mężczyzny, porównując jego uzębienie z kartami badań stomatologicznych. Alan Radcliff, lat dwadzieścia dwa, doktorant biologii z Kentu, który zaginął pięć lat wcześniej. Przyjechał tu badać przyrodę okolic Manham. A skończył jako jej część. Gdy opublikowano jego fotografię, kilka osób nawet sobie go przypomniało: przystojny młody człowiek o czarującym uśmiechu. Przez kilka tygodni obozował na mokradłach i często bywał w miasteczku, umilając dni tutejszym dziewczętom. Potem ponoć wyjechał.

Tylko że nigdzie nie wyjechał.

W Manham niemal słowem nie skwitowano tych wieści. Teraz, gdy znana była tożsamość ofiary i jej związek z miasteczkiem, nie było potrzeby stwierdzać oczywistego: takie, a nie inne położenie grobu nie jest tylko zbiegiem okoliczności. Manham nie mogło już się dystansować od szkieletu, który znaleziono w jego szafie.

Tak oto spadł na miasteczko kolejny nieoczekiwany cios. Na domiar nieszczęścia, jeszcze nie zdążono z niego się otrząsnąć, gdy przyszedł kolejny, o wiele cięższy.

Miałem właśnie zacząć popołudniowy dyżur, gdy zadzwonił telefon. Rozmawiałem z Mackenzie zaledwie dzień wcześniej, po tym, jak zidentyfikowano szczątki studenta, więc sądziłem, że kontaktuje się ze mną w tej sprawie – co tylko pokazuje, jak bardzo straciłem czujność. Nie zorientowałem się nawet wtedy, gdy powiedział, że musimy natychmiast się spotkać.

– Zaraz przyjdą pacjenci – powiedziałem, przytrzymując słuchawkę ramieniem i wypisując receptę. – Nie może pan poczekać?

– Nie – odparł tak szorstko, że przestałem pisać. – Potrzebuję pana natychmiast. Proszę przyjechać najszybciej, jak się da – dodał, siląc się na odrobinę kurtuazji. Było jednak jasne, że grzeczność nie jest teraz dla niego priorytetem.

– Co się stało?

Milczenie. Pewnie zastanawiał się, ile może mi powiedzieć przez telefon.

– Znaleźliśmy ją – odezwał się w końcu.

Istnieje około stu tysięcy różnych gatunków much. Mają różne kształty, rozmiary, cykle rozwojowe. Muchy plujki, niebieskie i zielone – najpowszechniej znane – należą do rodziny *Calliphoridae*. Przechodzą cykl rozwojowy na gnijącej materii organicznej. Na zepsutym jedzeniu, odchodach, padlinie. Prawie na wszystkim. Większość ludzi nie uznaje ich za pożyteczne, widząc w nich roznoszących choroby natrętów, z równym zapalem pałaszujących świeże łajno, co wykwintne dania, uprzednio na jedno i drugie zwymiotowawszy, aby przygotować sobie konsystencję przyszłej stawy.

Jednak jak wszystko inne w przyrodzie mają określoną rolę. Przy całym swym odrażającym jestestwie są niezastąpione w procesach rozpadu materii organicznej, przyspieszają procesy gnilne i rozkładają martwe organizmy na składniki pierwsze. Są naturalnym mechanizmem recyklingu. Jeśli spojrzeć na nie od tej strony, w determinacji, z jaką wypełniają swoje zadanie, można dostrzec pewną elegancję. W ogólnym rozrachunku okazują się bardziej pożyteczne niż, dajmy na to, koliber czy jeleń, którym pewnego dnia się pożywią. A z punktu widzenia kryminalistyki są czymś dużo więcej niż nieuniknionym złem – są nieocenione.

Nienawidzę ich.

Nie dlatego, że są irytujące czy obrzydliwe, choć nie jestem na te ich przymioty bardziej odporny niż inni. Ani nawet dlatego, że stanowią przypomnienie nieuchronnego losu, jaki czeka naszą powłokę fizyczną. Nienawidzę ich, bo brzęczą.

Brzęczenie było słyhać już na bagnach. Z początku bardziej się je wyczuwało niż słyszało, buczące niskie tony, jakby dyskretny akompaniament dla upału. Gęstniało, im bardziej zbliżałem się do jego źródła, tępy pomruk, który zdawał się nieustannie zmieniać wysokość, choć tak naprawdę był jednostajny. Powietrze zaroilo się od rozpędzonych owadów. Odganiałem te, które lgnęły do mojej spoconej twarzy, ale teraz doszło coś jeszcze.

Odór. Znajomy i odpychający zarazem. Rozsmarowałem na górnej wardze mentol, ale na niewiele to się zdało. Gdzieś słyszałem, że przypomina woń przejrzałego sera zostawionego na słońcu. Nie do końca tak jest, ale chyba lepiej nie da się go opisać.

Mackenzie przywitał mnie skinieniem głowy. Technicy wykonywali swoje zadania

w posępnej ciszy, z twarzami czerwonymi i zlanymi potem od upału, który musieli znosić w grubych kombinezonach. Przeniosłem wzrok na dół, na obiekt, który sprowokował całą tę aktywność – rozszalały rój much.

– Jeszcze tego nie ruszaliśmy – powiedział Mackenzie. – Czekałem na pana.

– Patolog przyjechał?

– Przyjechał i pojechał. Powiedział, że nie może nic powiedzieć poza tym, że jest to coś martwego, bo rozkład poszedł za daleko.

Miał rację. Dawno już nie byłem na miejscu zbrodni i nie patrzyłem na coś, co jeszcze niedawno było żywą, oddychającą osobą. Zwłoki Sally zobaczyłem dopiero w sterylnych warunkach laboratorium, gdzie przypominały raczej obiekt badań klinicznych. Z kolei Alan Radcliff leżał w ziemi na tyle długo, że został z niego tylko kostny stelaż, z niewielkimi śladami człowieczeństwa. Teraz było jednak inaczej. Tym razem śmierć objawiła się w całej swej najbardziej zajadłej, najohydniejszej chwale.

– Jak je znaleźliście? – spytałem, wciągając lateksową rękawiczkę.

Kombinezon włożyłem już wcześniej, w zaparkowanej obok przyczepie. Byliśmy kilka kilometrów za Manham, na osuszonych bagnach, terenie będącym niemal zupełnym przeciwieństwem miejsca, w którym znaleziono pierwsze zwłoki. Kilkaset metrów dalej obojętnie połyskiwało jezioro. Tym razem przyszedłem przygotowany i pod kombinezon włożyłem tylko szorty, a i tak po przejściu zaledwie kilku metrów cały kleiłem się od potu.

– Zauważyli je z helikoptera. W sumie przez przypadek. Zawrócili, bo mieli jakąś usterkę w systemie. Normalnie poleciliby inną trasą. Ten teren już przeszukiwano.

– Kiedy ostatnio?

– Osiem dni temu.

Czyli wiedzieliśmy, ile dni maksymalnie zwłoki tu przeleżały. A być może także, ile upłynęło od śmierci, choć to było mniej pewne. Mordercy czasem przenoszą swoje trupy z miejsca na miejsce, niekiedy więcej niż raz. Wciągnąłem drugą rękawiczkę. Byłem gotowy, ale bynajmniej nie paliłem się do tego, co miałem zrobić.

– Myślicie, że to ona? – spytałem Mackenziego.

– Oficjalnie musimy poczekać na identyfikację. Ale raczej nie mam wątpliwości.

Ja też nie miałem. Los już raz był dla nas łaskawy, gdy okazało się, że w grobie leży dawno zmarły student, i nie spodziewałem się po nim większej szczodrości.

Lyn Metcalf była nie do rozpoznania. Leżała na brzuchu, do połowy ukryta pod

kępami bagiennej trawy. Była naga, nie licząc jednego sportowego buta, wyglądającego niestosownie, niemal groteskowo. Nie żyła od kilku dni, nie było co do tego wątpliwości. Śmierć, ta wywrócona na nice alchemia, przemieniająca złoto życia w cuchnący substrat materii, odcisnęła na niej swoje okrutne piętno. Tym razem przynajmniej zabójca nie poczynił żadnych swoich obscenicznych modyfikacji.

Nie było łabędzich skrzydeł.

Z trudem wyparłem ze świadomości wspomnienie młodej uśmiechniętej kobiety, którą widziałem zaledwie przed tygodniem, i podszedłem bliżej, by obejrzeć zwłoki. Na pociemniałej skórze widać było kilka szram, ale największa rana biegła przez gardło. Była tak szeroka, że rzucała się w oczy, mimo że ciało leżało na brzuchu.

– Może pan stwierdzić, od kiedy nie żyje? – spytał Mackenzie. – Tak mniej więcej – dodał, zanim zdążyłem się odezwać.

– Jest jeszcze trochę tkanki miękkiej, a ześlizg skóry dopiero się zaczyna. – Wskazałem na rany, z których wylewały się roje czerw. – Przy tym stadium rozwojowym i natężeniu aktywności larw powiedziałbym, że minęło od sześciu do ośmiu dni.

– Może pan to trochę zawęzić?

Już miałem mu wytknąć, że przed chwilą prosił tylko o przybliżone oszacowanie, ale się powstrzymałem. Dla niego także nie była to wymarzona sytuacja.

– Pogoda się nie zmieniała, cały czas był upał, więc zakładając, że zwłok nie przenoszono, to potrzeba sześciu, siedmiu dni, żeby znalazły się w takim stanie.

– Coś jeszcze?

– Takie same rany, jakie widzieliśmy u Sally Palmer, ale mniej liczne. Podcięte gardło, ciało też jest wysuszone. Nie tak bardzo, bo śmierć nastąpiła później. Przypuszczałbym, że na skutek wykrwawienia. – Dokładnie obejrzałem poczerniałą trawę dookoła zwłok, przepaloną zasadowymi związkami uwalnianymi przez tkanki. – Będziemy musieli zbadać zawartość żelaza, żeby mieć pewność, ale prawdopodobnie zabito ją w innym miejscu, a tutaj tylko porzucono. Jak ostatnim razem.

– Pana zdaniem to ten sam morderca?

– Wie pan przecież, że nie mogę tego stwierdzić – odparłem.

Mackenzie stęknął. Rozumiałem jego niezadowolenie. Pod pewnymi względami to morderstwo przypominało morderstwo Sally Palmer, ale było kilka różnic, budzących wątpliwości, że zrobił to ten sam człowiek. Z tego, co mogliśmy dojrzeć, nie było

obrażeń na twarzy. Co ważniejsze, brakowało zwierzęcego fetysza, który wcześniej aż nadto zwracał uwagę. Z punktu widzenia śledztwa stwarzało to poważne problemy. Albo wydarzyło się coś, co skłoniło zabójcę do zmiany strategii, albo był on nieobliczalny i nie trzymał się żadnego schematu. Trzecia ewentualność była taka, że morderstwa zostały popełnione przez dwie różne osoby.

Żadna z tych możliwości nie napawała optymizmem.

Przy akompaniamencie monotonnego brzęczenia much pobrałem niezbędne próbki. Od kucania zeszywniały mi ścięgna i mięśnie.

– Skończył pan?

– Raczej tak.

Zrobiłem krok w tył. Kolejny etap nie należał do przyjemnych. Wszystko, co można było zrobić bez ruszania zwłok, zostało zrobione; obfotografowano je i zdjęto pomiary. Teraz należało zobaczyć, co jest pod spodem. Technicy zaczęli ostrożnie obracać denatkę na plecy. W powietrze wzbił się kłęb rozjuszonych much.

– Chryste! – jęknął ktoś.

Nie byliśmy nowicjuszami, ale nie sądzę, by ktokolwiek z nas widział coś podobnego. Tym razem ofiara miała zmalretowany nie tył, lecz przód ciała. Brzuch został rozcięty, a podczas obracania zwłok z ziejącej rany coś się wysypało. Jeden z policjantów nie wytrzymał i odwrócił się, by zwymiotować. Na chwilę wszyscy zamarli. Potem górę wziął profesjonalizm.

– Co to, do cholery? – powiedział zszokowany Mackenzie stłumionym głosem.

Jego ogorzała od słońca twarz zrobiła się biała jak kreda. Spojrzałem, ale nic z tego nie rozumiałem. Wykraczało to poza ramy mojego doświadczenia.

Dopiero jeden z techników się połapał.

– Króliki – powiedział. – Małeńkie króliki.

Siedziałem na otwartym bagażniku land rovera, z butelką schłodzonej wody w ręku. Podszedł do mnie Mackenzie. Zrobiłem wszystko, co na tym etapie było do zrobienia. Z ulgą ściągnąłem w końcu kombinezon. Mimo że umyłem się w furgonetce policyjnej, nadal czułem się brudny i to nie tylko z powodu upału. Usiadł obok mnie bez słowa. Upiłem jeszcze łyk wody, a on otworzył paczkę miętówek.

– No cóż – odezwał się w końcu. – Przynajmniej wiemy, że to ten sam człowiek.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, co nie? – Mój głos zabrzmiał ostrzej, niż chciałem.

Mackenzie obrzucił mnie wzrokiem.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko trochę się od tego odzwyczailem.

Myślałem, że może przeprosi, że mnie w to wplątał. Ale nie przeprosił. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Lyn Metcalf zaginęła dziewięć dni temu. Jeśli nie żyje od sześciu, siedmiu, jak pan twierdzi, to znaczy, że morderca więził ją przynajmniej przez dwa dni. Tak samo jak Sally Palmer.

– Wiem.

Wbił spojrzenie w dal, gdzie stalowa tafla jeziora połyskiwała w słońcu.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego tak długo trzyma je przy życiu? Po co ryzykuje?

– Wiem, że dla pana to żadna nowina, ale nie mamy do czynienia z racjonalnie myślącym umysłem.

– Zgadza się, ale nie jest głupi. Więc dlaczego to robi? – Poirytowany przygryzł wargę. – Nic z tego nie rozumiem.

– W jakim sensie?

– Porwania i zabójstwa kobiet mają zwykle motyw seksualny. A to nie pasuje do schematu.

– Więc sądzi pan, że ich nie zgwałcono?

Stan drugiej ofiary oznaczał, że równie trudno będzie to stwierdzić jak w przypadku Sally Palmer. Byłoby to jakieś pocieszenie, gdyby chociaż tyle oszczędzono ofiarom.

– Tego nie powiedziałem. Jak się znajduje nagie kobiece zwłoki, to jest duże prawdopodobieństwo, że doszło do napaści seksualnej. Tylko że taki typowy seksualny zwyrodnialec zabija swoje ofiary od razu, jak tylko załatwi, co chciał. Od wielkiego dzwonu zdarzy się taki, co trzyma je przy życiu, dopóki nie znudzi mu się zabawa. Ale to, co robi ten tutaj, nie trzyma się kupy.

– Może to coś w rodzaju gry wstępnej.

Przez chwilę Mackenzie patrzył na mnie bez słowa. Potem wzruszył ramionami.

– Może. Ale mamy do czynienia z kimś, kto z jednej strony jest na tyle bystry, by porwać dwie kobiety i przeszkodzić nam w poszukiwaniach, rozstawiając sidła, a z drugiej nie zadaje sobie trudu, by porządnie ukryć zwłoki. A te okaleczenia? Po co

to wszystko?

– O to niech pan pyta psychologów, nie mnie.

– Sпытam, bez obawy. Ale nie sądzę, by mieli na to odpowiedź. Czy on specjalnie się popisuje, czy jest po prostu nieostrożny? Jakbyśmy mieli do czynienia z dwoma różnymi umysłowościami.

– Myśli pan, że to schizofrenik?

Zmarszczył brwi, myśląc intensywnie.

– Nie wydaje mi się. Ktoś chory psychicznie dawno by się czymś zdemaskował. Nie jestem też pewien, że byłby do tego zdolny.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Zabił dwie kobiety w ciągu jakiego czasu? Niecałych trzech tygodni? Drugi raz był zaledwie dziesięć, jedenaście dni po pierwszym. To nie jest... – Chciałem powiedzieć „normalne”, ale nie było to właściwe słowo. – Typowe, prawda? Nawet jak na seryjnego mordercę.

Mackenzie wygłądał na zmęczonego.

– Nie, nie jest.

– Więc skąd ten nagły pośpiech? Co go sprowokowało?

– Gdybym to wiedział, mielibyśmy go już prawie w garści. – Wstał i krzywiąc się, zaczął masować sobie kark. – Każę przewieźć zwłoki do laboratorium. Jutro już tam pewnie będą. Dobrze?

Przytaknąłem skinieniem głowy. Ale gdy odchodził, zawołałem go jeszcze.

– A co z martwymi zwierzętami? Ujawnicie to prasie?

– Nie możemy ujawniać takich szczegółów.

– Nawet jeśli w ten sposób oznakowuje swoje przyszłe ofiary?

– Nie mamy pewności, że tak właśnie robi.

– Powiedział mi pan, że Sally Palmer znalazła na progu domu gronostaja, Lyn Metcalf dzień przed zniknięciem mówiła mężowi, że widziała na ścieżce martwego zająca.

– Sam pan powiedział, że jesteśmy na wsi. Zwierzęta giną tu cały czas.

– Ale nie przywiązują się do kamieni ani nie wskakują do brzucha zamordowanej kobiety.

– Nadal nie mamy pewności, że w ten sposób naznacza swoje ofiary.

– Nie sądzi pan, że skoro jest taka możliwość, to powinniśmy ostrzec ludzi?

– I dać pretekst rzeszom dowcipnisiów i nawiedzeńców, żeby marnowali nam czas? Nic byśmy nie robili, tylko odbierali telefony, bo gdzieś na drodze przejechano



cholernego jeża.

– Jeśli tego nie zrobicie, może wytypować kolejną ofiarę, a ona nie będzie miała szansy się dowiedzieć. O ile już tego nie zrobił.

– Wiem, ale ludzie i tak są wystarczająco przerażeni. Nie zamierzam wszczynać jeszcze większej paniki.

W jego głosie była jednak nuta wątpliwości.

– Zrobi to jeszcze raz, prawda? – spytałem.

Przez chwilę miałem wrażenie, że chce coś odpowiedzieć. Potem, bez słowa, odwrócił się i odszedł.

W ieść, że znaleziono zwłoki Lyn Metcalf, poraziła Manham niczym bezgłośnie eksplodująca bomba. Zważywszy na to, co spotkało Sally Palmer, mało kto zareagował zaskoczeniem, ale to nie oznaczało, że szok był lżejszy. Poza tym Sally – choć lubiana – nie pochodziła z Manham, była przyjezdną, a Lyn się tu urodziła. Tutaj chodziła do szkoły, w tutejszym kościele brała ślub. Była częścią tego miasteczka w sposób nieosiągalny dla Sally. Jej śmierć – jej zabójstwo – było o wiele większym wstrząsem dla mieszkańców, którzy nie mogli już udawać, że ofiara pewnie przyniosła załówek swojego losu z zewnątrz. Teraz miasteczko opłakiwało jedną ze swoich sióstr.

I obawiało się o życie następnej.

Nikt już nie miał wątpliwości, że w Manham dzieje się coś strasznego. To, że spotkało to jedną kobietę, było wystarczającym nieszczęściem. To, że spotkało dwie, i to w tak krótkim odstępie czasu, było czymś niesłychanym. Nagle znowu mówiono o nas w wiadomościach.

Miasteczko po raz kolejny znalazło się w centrum uwagi, niczym zbiorowy wypadek drogowy, gratka dla gapiów. Tak jak wszystkie ofiary, najpierw zareagowało zdezorientowaniem i niedowierzaniem, potem irytacją.

W końcu gniewem.

Nie mając innego obiektu, na którym mogłoby go wyładować, skupiło go na przyjezdnym, znęconym tutaj jego tragedią. Nie na policji, choć jej bezradność zaczynała powodować frustrację. Prasa nie miała jednak takiego immunitetu. Podeksycytowanie polujących na newsy przedstawicieli mediów poczytywano już nawet nie za przejaw braku szacunku, ale pogardy. Wywoływało wrogość, z początku manifestującą się kamiennymi twarzami i zasznurowanymi ustami, a potem już bardziej otwarcie. W ciągu kilku następnych dni niepilnowany sprzęt ginął albo w tajemniczy sposób ulegał uszkodzeniu. Pocięte kable, przebite opony, baki na benzynę zasypane cukrem. Jedną wyjątkowo namolną dziennikarkę, o starannie

uszminkowanych ustach, niezmiennie wywiniętych w niestosownym uśmiešku, trzeba było pozszywać, bo dostała w głowę przelatującym kamieniem.

Nikt niczego nie widział.

Były to jednak tylko symptomy, uzewnętrznione objawy prawdziwej choroby toczącej Manham od środka. Po stuleciach samowystarczalności, poczucia, że niezależnie od wszystkiego zawsze można polegać na swoich, w Manham przestano sobie ufać. Jeśli wcześniej podejrzliwość była jak wirus, to teraz przerodziła się w epidemię. Dawne antagonizmy i waśnie nabrały nowego, bardziej złowrogięgo charakteru. Pewnej nocy wywiązała się bójka między trzema pokoleniami dwóch rodzin, tylko z tego powodu, że dym z grilla trafił do niewłaściwego ogrodu. Rozhisteryzowana kobieta zadzwoniła na policję, by zgłosić, że śledzi ją jakiś natręt, który okazał się sąsiadem wyprowadzającym psa. W dwóch domach wybito cegłami szyby w oknach; w pierwszym za jakiś rzekomy afront, w drugim z jakiegoś bliżej nieokreślonego – a przynajmniej niewyartykułowanego – powodu.

Na tle tego wszystkiego tylko jedna osoba rozwijała skrzydła. Wielebny Scarsdale został głosem Manham. Podczas gdy wszyscy inni trzymali się z dala od dziennikarzy, on bynajmniej nie przejawiał powściągliwości w produkowaniu się przed kamerami i mikrofonami. Nastawiał wszystkich przeciw wszystkim, pomstując na nieudolność policji, na moralne samozadowolenie, które w jego mniemaniu doprowadziło do tej sytuacji, a także – najwyraźniej nie dostrzegając ironii – na prasę, za to, że wykorzystuje ludzką tragedię. Gdyby był to ktokolwiek inny, już dawno zarzucono by mu gwiazdorzenie. Nasz wielebny jednak zyskiwał coraz większe uznanie i tylko nieliczni mamrotali pod nosem o zbytnej gorliwości, z jaką upublicznia swoje jadowite poglądy. Gromkim głosem dawał wyraz powszechnemu oburzeniu, a jeśli jego wywodom brakowało logiki, to z nawiązką nadrabiał zaciekłością i krzykliwością.

Mimo wszystko sądziłem w swej naiwności, że najbardziej zajadłe perory zachowa na ambonę. Nie doceniłem jednak jego zdolności do zaskakiwania oraz determinacji, z jaką zbijał kapitał na swojej nieoczekiwanej wywindowanej pozycji. Tak więc wiadomość, że organizuje w ratuszu publiczne zebranie, spadła na mnie – jak i na wszystkich innych – niczym grom z jasnego nieba.

Zwołał je na poniedziałek, zaraz po odnalezieniu zwłok Lyn Metcalf. Dzień wcześniej w kościele odbyło się nabożeństwo za jej duszę. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że tym razem Scarsdale nie zgodził się, by dziennikarze weszli do

środku. W swym cynizmie podejrzewałem, że zrobił to nie tyle z szacunku dla pogrążonej w żałobie rodziny, ile z chęci pokazania prasie, kto tu rządzi. O tym, że się nie pomyliłem, przekonałem się już przed ratuszem.

Ratusz mieścił się w niskim użytkowym budynku stojącym przy skwerze. Gdy rano jechałem do laboratorium, widziałem Scarsdale'a w ogrodzie, jak władczy tonem wydaje polecenia Tomowi Masonowi. Powietrze wypełniał zapach świeżo skoszonej trawy, a żywopłot z cisu został schludnie przystrzyżony. Stary George z wnukiem wykonali kawał roboty. Już wcześniej nieskazitelna trawa na skwerku została potraktowana kosiarką tak, że teren pod starym rozłożystym kasztanowcem i wokół Pomnika Męczennicy elegancją dorównywał ogrodom Wersalu.

Miałem jednak wątpliwości, czy to ze względu na nas. Dziennikarze, którym zabroniono wstępu na nabożeństwo, obścapił ratusz, żeby być chociaż na zebraniu. Bardziej niż zebranie była to jednak konferencja prasowa, o czym przekonałem się już po wejściu. Drzwi pilnował Rupert Sutton, spocony i dyszący przez nos. Przywitał mnie niemrawym skinieniem głowy, najwyraźniej poinformowany, że zasłużyłem sobie na nieprzychyłość Scarsdale'a.

W środku było ciasno i duszno. Z przodu mieściła się mała scena, na której stał stół i dwa krzesła. Tylko przed jednym ustawiono mikrofon. Od sceny biegły rzędy składanych drewnianych krzeseł, a po bokach i z tyłu zostawiono miejsce dla ekip telewizyjnych i dziennikarzy.

Wszystkie miejsca były już zajęte. W kącie sali dostrzegłem Bena. Było tam trochę wolnego miejsca, więc podszedłem do niego.

– Nie sądziłem, że cię tu spotkam – powiedziałem, omiatając spojrzeniem pełną salę. – Myślałem, że wolisz nie wiedzieć, jakie nowe bzdury wylęgły się w umyśle tego truciciela.

Był wyższy przynajmniej o głowę od większości zebranych. Zauważyłem, że kilka ekip telewizyjnych obrzuca go wzrokiem, ale jakoś żadna nie chciała się przełamać i poprosić go o wywiad. A może po prostu nie chcieli ryzykować utraty miejsc siedzących.

– Chyba nie ma tu nikogo z policji – zauważył Ben. – Mogliby w końcu się chociaż pokazać.

– Nie zostali zaproszeni – powiedziałem. Mackenzie mówił mi o tym już wcześniej. Nie był zadowolony, ale decyzja została podjęta na wyższym szczeblu i niewiele mógł zrobić. – Tylko mieszkańcy Manham.

– Ciekawe, bo nie rozpoznaję niektórych sąsiadów – skwitował, spoglądając na skupisko kamer i mikrofonów. Westchnął i odchylił kołnierzyk koszuli. – Ależ tu gorąco. Może po wszystkim walniemy piwo?

– Dzięki, ale nie mogę.

– Masz o tak późnej porze pacjentów?

– Niezupełnie... Umówiłem się z Jenny. Poznałeś ją w pubie.

– Tak, kojarzę. Ta nauczycielka. – Uśmiechnął się. – Czy mi się wydaje, czy ostatnio często się widujecie?

Miałem świadomość, że twarz mi poczerwieniała jak nastolatkowi.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Jasne.

Ucieszyłem się, kiedy zmienił temat. Spojrzał na zegarek.

– Mogłem się domyślić, że będzie kazał wszystkim czekać. Jak sądzisz, do czego zmierza?

– Zaraz się dowiemy – odparłem.

Otworzyły się drzwi na scenę. Ale nie wszedł na nią Scarsdale, tylko Marcus Metcalf.

Natychmiast zapadła cisza. Mąż Lyn Metcalf wyglądał strasznie. Ten potężnie zbudowany mężczyzna jakby skurczył się od smutku. Szedł w pogniecionym garniturze, wlokąc nogę za nogą, jakby dźwigał jakiś niebotyczny ciężar. Gdy odwiedziłem go niedługo po tym, jak policja ujawniła wiadomości o Lyn, ledwo zauważał moją obecność. Nie chciał leków uspokajających, za co nie można go winić. Są takie rany, których bólu nie da się uśmierzyć, a takie próby tylko pogarszają sprawę. Jednak teraz, widząc go w takim stanie, zastanawiałem się, czy mimo wszystko czegoś nie zażył. Wyglądał na oszołomionego i wstrząśniętego, jak człowiek wybudzony z koszmaru, tylko że ten koszmar rozgrywał się na jawie.

W ciszy za Marcusem na scenę wmaszerował Scarsdale. Ich kroki odbijały się echem na drewnianej podłodze. Gdy podeszli do stołu, wielebny w geście pokrzepienia – choć wyglądał on raczej na gest zawłaszczenia – położył dłoń na ramieniu mężczyzny. Przeszedł mnie dreszcz na myśl o tym, że obecność męża ofiary uwiarygodni pomysły wielebnego.

Scarsdale wskazał mu jedno z krzeseł. To, przed którym nie było mikrofonu. Zaczekał, aż Marcus usiądzie, a potem sam zajął miejsce. Uderzył palcem w mikrofon, upewniając się, że działa, potem nieśpiesznie potoczył wzrokiem po

zebranych.

– Dziękuję wam wszystkim za... – Mikrofon cicho zaskowyczał i pastor cofnął się, krzywiąc się z niezadowolenia. Odsunął go nieco dalej i podjął: – Dziękuję wam wszystkim za przybycie. Jesteśmy w żałobie i w normalnych okolicznościach bym to uszanował. Niestety, zaistniałe okoliczności nie mają nic wspólnego z normalnością.

Jego podbity elektronicznie głos brzmiał jeszcze donośniej niż zwykle. Mąż Lyn Metcalf siedział ze wzrokiem wbitym w stół, jakby nie był świadomy, że na sali jest ktokolwiek oprócz niego.

– Będę się streszczał, ale to, co mam do powiedzenia, dotyczy nas wszystkich. Dotyczy wszystkich w tym miasteczku. Proszę, żebyście wysłuchali mnie do końca, zanim zaczniecie zadawać pytania.

Mówiąc to, nie patrzył na dziennikarzy, ale było oczywiste, do kogo skierowane są te słowa.

– Zabito dwie kobiety, które wszyscy znaliśmy – kontynuował. – Choć trudno się z tym pogodzić, nie możemy dłużej przymykać oczu na to, że z całym prawdopodobieństwem uczynił to ktoś z Manham. Policja jest najwyraźniej albo niezdolna, albo niechętna do podjęcia niezbędnych kroków. Nie możemy dłużej siedzieć beczynnie, gdy porywane i mordowane są nasze siostry.

Z zamierzoną, niemal przesadną troską wskazał męża Lyn.

– Wszyscy wiecie, jaką stratę poniósł Marcus. Jaką stratę poniosła rodzina jego żony, której odebrano córkę, siostrę. Następnym razem to może być żona któregoś z was. Córka. Siostra. Jak długo jeszcze będziemy beczynnie patrzeć na te potworności? Ile kobiet musi jeszcze zginąć? Jedna? Dwie? Więcej?

Potoczył gniewnym spojrzeniem, jakby czekając na odpowiedź. Gdy żadna nie padła, odwrócił się i wyszeptał coś do Marcusa. Mężczyzna zamrugał oczami, jakby się obudził. Spojrzał niewidzącym wzrokiem na zatłoczoną salę.

– Chciałeś coś powiedzieć, Marcusie, prawda?

Pastor podsunął mu mikrofon. Marcus jakby oprzytomniał. Wyglądał na znękanego.

– Zabił Lyn. On zabił moją żonę. On... – Głos mu zadrżał. Po twarzy popłynęły łzy. – Trzeba go powstrzymać. Musimy go znaleźć i... i...

Scrasdale położył mu rękę na ramieniu, by go pocieszyć albo uciszyć. Na jego twarzy malowało się świętoszkowate zadowolenie. Podsunął mikrofon bliżej siebie.

– Miarka się przebrała – powiedział wyważonym miarowym tonem. – Miarka...

się... przebrała! – Powoli, rytmicznie uderzył kilka razy w stół. – Minął czas beczynności. Bóg wystawia nas na próbę. To nasza słabość, nasze samozadowolenie pozwoliły temu potworowi przebranemu za człowieka ukrywać się wśród nas. Atakować z poczuciem pychy i bezkarności. Dlaczego to robi? Bo wie, że mu wolno. Bo widzi naszą słabość. A słabych nie musi się bać. – Walnął pięścią w stół tak, że mikrofon aż podskoczył. – Nadszedł czas, żeby zaczął! Już czas, byśmy pokazali naszą siłę! Zbyt długo Manham było ofiarą. Jeśli policja nie potrafi nas obronić, obronimy się sami. Musimy wyrwać ten chwast. To nasz obowiązek!

Jego podniesiony głos złął się z wyciem i buczeniem, jakie rozległy się w odzwie. Gdy usiadł, na sali zrobił się straszny tumult. Ludzie wstali z krzesel, bili brawo i z wrzaskiem przytakiwali. Błysnęły flesze, dziennikarze zaczęli wykrzykiwać pytania, a Scarsdale siedział na środku sceny i obserwował swoje dzieło. Przez chwilę spojrzął prosto na mnie. Oczy płonęły mu z zapału. I poczucia triumfu.

Niezauważenie opuściłem salę.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę – powiedziałem ze złością. – Ten człowiek podjudza ludzi, zamiast próbować ich uspokoić. Oszalał?

Jenny rzuciła kawałek chleba kaczce, która podeszła do naszego stolika. Siedzieliśmy w pubie nad brzegiem Bure, jednej z sześciu rzek płynących przez Broads. Żadne z nas nie miało ochoty zostać w Manham i choć odjechaliśmy zaledwie kilka mil, czuliśmy się jak na innej planecie. Na rzece czekały zacumowane łódki, w pobliżu dokazywały dzieci, a ludzie przy stolikach śmiali się i rozmawiali. Angielski pub jak z widokówki, angielskie lato jak z widokówki. Tak odległe od przytłaczającej atmosfery, którą za sobą zostawiliśmy. Jenny dała kaczce ostatnie okruszki.

– Ma teraz słuchaczy. Może tego właśnie chce.

– Ale nie zdaje sobie sprawy, co robi? Już jeden człowiek wylądował w szpitalu, bo jakichś idiotów poniosło. I jakby tego było mało, on zwołuje samozwańczych stróżów prawa. Wykorzystując Marcusa Metcalfa!

Przypomniałem sobie, jak Scarsdale nie odstępował go na krok nawet podczas poszukiwań Lyn. Niewykluczone, że już wtedy go sobie urabiał, obmyślając, jak wykorzysta biedaka do własnych celów. Żałowałem, że nie porozmawiałem z Marcusem od razu, gdy tylko Lyn zaginęła. Nie chciałem mu się narzucać, ale kierowały mną też bardziej egoistyczne pobudki – jego widok przypominał mi

o mojej własnej stracie. Jednak nie angażując się, dałem tylko Scarsdale'owi pole do popisu. A on oczywiście nie przepuścił takiej okazji.

– Myślisz, że o to mu właśnie chodzi? Żeby dolać oliwy do ognia?

Jenny nie była na zebraniu; powiedziała, że czuje, że za krótko mieszka w miasteczku, że nie rości sobie prawa. Myślę jednak, że przede wszystkim odstraszył ją tłum.

– Tak to zabrzmiało. Nie wiem, dlaczego się dziwię. Ogień i siarka robią lepsze wrażenie niż nadstawianie drugiego policzka. Całymi latami w niedzielne poranki przemawiał do pustego kościoła. Nie przegapi teraz szansy, by ogłosić wszem wobec: „A nie mówiłem!”.

– Wygląda na to, że komuś tu się udzieliła biała gorączka.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Scarsdale mnie rozżłościł.

– Wybacz. Po prostu martwię się, że ktoś zrobi jakąś głupotę.

– I tak nic na to nie poradzisz. Nie jesteś przecież sumieniem Manham.

Miałem wrażenie, że Jenny jest myślami gdzie indziej. Dotarło do mnie, że cały wieczór była dziwnie milcząca. Spojrzałem na jej twarz z profilu, siateczkę piegów na policzkach i nosie, miękkie, opadające na ramiona włosy, pojaśniale od słońca i kontrastujące z opaloną skórą. Patrzyła w dal, zatopiona w jakiejś wewnętrznej rozmowie.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nie. Tak tylko sobie myślę.

– O czym?

– Ech... takie tam. – Uśmiechnęła się, ale była dziwnie spięta. – Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko, to już wracajmy, dobrze?

Próbowałem ukryć zdziwienie.

– Dobrze, skoro chcesz.

– Proszę.

Wracaliśmy samochodem w milczeniu. Czuję dziwną pustkę w dołku. Przeklinałem się w myślach, że zrobiłem taką aferę z tym całym Scarsdale'em. Nic dziwnego, że miała dość. *Brawo, stary durniu!* Gdy dojechaliśmy do Manham, słońce już zachodziło. Włączyłem kierunkowskaz, by skrócić w jej ulicę.

– Nie, nie skręcaj – powiedziała. – Pomyślałam, że... może pojedziemy do ciebie.

Dopiero po chwili to do mnie dotarło.

– Jasne.



Nie odpowiedziałem od razu. W oszołomieniu zaparkowałem samochód. Otworzyłem drzwi i cofnąłem się, by przepuścić Jenny. Gdy przechodziła, zakręciło mi się w głowie od jej delikatnych perfum. Weszła do małego saloniku. Była tak samo zdenerwowana jak ja.

– Napijesz się czegoś?

Odmownie pokręciła głową. Staliśmy w niezręcznej ciszy. *Zrób coś, idioto.* Ale nie potrafiłem nic zrobić. W półmroku nie widziałem jej wyraźnie. Tylko oczy, rozżarzone w ciemności. Patrzyliśmy na siebie, w bezruchu. W końcu odezwała się niepewnym głosem:

– Gdzie jest sypialnia?

Z początku była niezdecydowana i spięta, cała drżała. Stopniowo się odprężyła, a ja wraz z nią. Pamięć próbowała narzucić własną matrycę kształtu, faktury i zapachu. Ale potem terażniejszość wzięła górę, odsuwając wszystko inne. Po wszystkim leżała wtulona we mnie, jej miękki oddech na mojej piersi. Jej dłonie na mojej twarzy, tropiące wilgotny szlak na policzku.

– David?

– To nic, tylko...

– Wiem. Wszystko dobrze.

Tak, wszystko było dobrze. Zaśmiałem się i ją przytuliłem. Uniosłem jej podbródek i pocałowaliśmy się, długo i przeciągle, a potem, gdy znowu się w sobie zatopiliśmy, łzy niepostrzeżenie obeschły.

Tej samej nocy, gdy leżeliśmy razem w łóżku, na drugim końcu miasteczka Tina usłyszała w ogrodzie jakiś hałas. Podobnie jak Jenny nie poszła na zebranie w ratuszu. Została w domu, z butelką białego wina i tabliczką czekolady. Chciała zaczekać na powrót Jenny, aby dowiedzieć się, jak minęła randka, ale zanim obejrzała do końca wypożyczony film, zaczęła ziewać i zrobiła się śpiąca. Zgasiała telewizor i już miała się położyć, gdy usłyszała coś na zewnątrz.

Nie była głupia. Na wolności grasował morderca, który miał na koncie już dwie kobiety. Nie otworzyła drzwi. Zamiast tego chwyciła za telefon, zapaliła światło i podeszła do okna. Ze słuchawką w ręku, gotowa wybrać numer policji, ostrożnie wyjrzała na ogród.

Nic. Noc była jasna, w świetle pełnego księżyca wszystko było widać. Ogród, wybieg dla koni za ogrodem, nigdzie nie czaiło się zagrożenie. Popatrzyła jeszcze

przez chwilę, po czym uznała, że coś jej się przesłyszało.

Dopiero nazajutrz rano zobaczyła, co zostawiono na dworze. Na środku trawnika leżał martwy lis. Ułożony starannie, jak element scenografii. Gdyby Tina wiedziała o łabędzich skrzydłach albo o kaczce, albo o innych martwych zwierzętach, którymi morderca ozdabiał swoje dzieła, nie zrobiłaby tego, co zrobiła.

Lecz nie wiedziała. Jako dziewczyna pochodząca ze wsi po prostu podniosła truchło i wrzuciła do kosza na śmieci. Patrząc na jego rany, uznała, że lis został zaatakowany przez psa, przyczołgał się tutaj i zdechł. Albo potracił go samochód. Nadal mogłaby jeszcze wspomnieć o tym Jenny, choćby mimochodem. A Jenny powiedziałaaby mnie. Tylko że Jenny nie wróciła tej nocy do domu. Została u mnie, a gdy się spotkały, miały ciekawsze tematy do obgadania.

Tak więc Tina nikomu nie wspomniała o lisie. Przypomniała sobie o nim dopiero wiele dni później, gdy jego znaczenie było aż nazbyt oczywiste.

Ale wtedy było już za późno.

Wciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin wydarzyły się dwie rzeczy. Na języki wzięto przede wszystkim pierwszą z nich. W każdym innym momencie byłaby źródłem gorszących plotek, w nieskończoność przekazywanych z ust do ust, po czym stałaby się częścią miejscowego folkloru, rozdziałem w historii miasteczka, hecą, którą będzie się wspominać z półśmieszkami i pocmokiwaniami. Jednak w obecnych okolicznościach jej reperkusje były dużo poważniejsze niż obrażenia cielesne, które spowodowała.

Podczas konfrontacji między Benem Andersem a Carlem Brennerem, która zdaniem wielu odbyła się sporo lat za późno, doszło do rękoczynów.

Przyczyny należy upatrywać po części w alkoholu, po części w zadawnionej wrogości, a po części w napiętej atmosferze ostatnich dni.

Obaj mężczyźni nigdy nie udawali, że darzą się sympatią, a nienaturalnie napięte stosunki w miasteczku potrafiły rozjątrzyć do żywego dużo łagodniejsze zatargi niż ich. Baranka zaraz zamykano. Ben dopiero co zamówił pożegnalną whisky, a wcześniej zdążył już wypić – jak sam zresztą przyznał – o jedno czy dwa piwa więcej niż zwykle. Miał piekielnie ciężki dzień w rezerwacie, udzielał pierwszej pomocy ornitologowi amatorowi, który od upału dostał ataku serca, i zażegnywał typowe kryzysy sezonu turystycznego. Gdy wszedł Carl Brenner „zaczeplnie i arogancko”, jak Ben to potem opisywał, odwrócił się do niego plecami, żeby nie dać się sprowokować i nie zepsuć sobie doszczętnie humoru.

Ale sprawy potoczyły się inaczej.

Brenner nie przyszedł tylko po to, by się napić. Przyszedł z misją. Nabuzowany po tym, jak Scarsdale dzień wcześniej wezwał wszystkich do broni, zamierzał wygłosić oświadczenie woli i rekrutować ochotników do samowwającej gwardii obywatelskiej. Przyprowadził ze sobą Dale'a, smagłego kuzyna – z wyglądu byli do siebie niepodobni, ale pod względem upodobań i temperamentu jota w jotę. Stanowili część większej grupy, która z inspiracji wielebnego podjęła się patrolowania miasteczka,

w dzień i w noc. „Jak policja ma to wszystko w dupie, to sami dopadniemy tego sukinsyna” – oświadczył Brenner, własnymi słowami ujmując przesłanie pastora. Ośmielony alkoholem i poczuciem nowo odnalezionego sensu życia, popełnił błąd i zwrócił się do Bena wprost:

– A ty jak, Anders?

– Co ja?

– Jesteś z nami czy nie?

Ben powoli dopił whisky.

– Więc zamierzacie dopaść tego sukinsyna, tak?

– Dokładnie. Masz z tym jakiś problem?

– Tylko jeden, malutki. Skąd wiecie, że to nie któryś z was? – Brenner, który nigdy nie grzeszył bystrością, nigdy o tym nie pomyślał. – W sumie... skąd mamy mieć pewność, że to nie ty? – spytał Ben wyzywająco. – Kopiesz dziury, rozstawiasz sidła. Pasuje jak ulał.

Przyznał potem, że tylko go podpuszczał, nie zdając sobie sprawy z powagi tego oskarżenia. A to ono popchnęło Brennera dalej, niż normalnie by się posunął.

– Odwal się, Anders! Policja wie, że nie mam z tym nic wspólnego!

– Ta sama policja, o której przed chwilą mówiłeś, że ma wszystko w dupie? I ja mam się niby do was przyłączyć? Chryste... – Ben prychnął pogardliwie. – Wracaj lepiej do kłusowania. Tylko do tego się nadajesz.

– Ja przynajmniej mam alibi! A ty?

Ben wymierzył w niego palec.

– Nie przeginaj, Brenner.

– Bo co? To masz je czy nie masz?

– Ostrzegam cię...

Brenner pewnie by się wycofał, jak zwykle, gdyby nie obecność kuzyna.

– Wal się. Rządzisz się jak szara gęś. W dodatku spasiona. Cholernieś był skory bronić tego swojego doktora, co? A on gdzie był, jak zaginęła Lyn?

– Czyli twoim zdaniem zrobiliśmy to do spółki?

– To udowodnij, że nie!

– Niczego ci nie muszę udowadniać, Brenner – wypalił Ben, czując, że za chwilę straci cierpliwość. – Wiecie co, wy samozwańczy bohaterowie od siedmiu boleści? Wsadźcie sobie ten wasz zasrany patrol w dupę.

Przez chwilę świdrowali się wzrokiem. Brenner pękł pierwszy.

– Idziemy – rzucił do kuzyna.

Byłoby się na tym skończyło, gdyby nie to, że chcąc uratować twarz, w ostatniej chwili postanowił odgryźć się Benowi.

– Pieprzony tchórz – syknął i odwrócił się do wyjścia.

W tym momencie dobre chęci Bena wyfrunęły oknem. Tak jak po chwili nieomal Carl Brenner.

Bójka, która się wywiązała, nie trwała długo. Kilku mężczyzn doskoczyło i rozdzieliło walczących, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli, co pewnie wyszło Benowi na dobre. Sam Brenner nie stanowił dla niego zagrożenia, ale w pakiecie z kuzynem nawet dla faceta tej postury co Ben byłby wyzwaniem. Zdążył jednak ucierpieć stół i kilka krzeseł i potrzeba było kilku tygodni, by Brenner mógł znów spojrzeć na siebie w lusterku – a co dopiero ogolić – bez grymasu bólu. Ben też nie wyszedł bez szwanku – zadrapania, siniaki i wybity palec. Ale, jak stwierdził, było warto.

Jednak prawdziwe szkody ujawniły się dopiero po kilku dniach.

Nie widziałem tej bójki. Gotowałem kolację dla Jenny, która została u mnie na noc, i nie zaprzętałem sobie głowy sprawami Manham. Byłem prawdopodobnie jedną z ostatnich osób, która się o niej dowiedziała, gdy nazajutrz rano pojechałem kontynuować ponure zadanie czekające na mnie w kostnicy.

Od kiedy znaleziono zwłoki Lyn Metcalf, Henry zastępował mnie w przychodni, ilekroć jeździłem do laboratorium. Zawsze starałem się zdążyć na wieczorny dyżur, ale dodatkowa praca dawała mu się we znaki. Wyglądał na zmęczonego, choć ograniczył liczbę pacjentów do minimum.

Miałem wyrzuty sumienia, ale liczyłem, że nie potrwa to już długo. Potrzebowałem jeszcze z pół dnia w laboratorium, by skończyć swoją robotę. Nadal czekałem na wyniki testów, ale jak dotąd szczątki Lyn Metcalf sugerowały to samo, co zwłoki Sally Palmer. W zasadzie nie było niespodzianek, poza pytaniem, dlaczego twarz pierwszej ofiary tak z maltretowano, a drugiej pozostawiono nietkniętą. Oraz tym, że przy mniej zaawansowanym rozkładzie Lyn Metcalf miała jeszcze kilka paznokci. Były połamane i poszarpane, a technicy znaleźli przy nich kilka włókien konopnych. Ze sznura. Musiała być więc związana, gdy robiono jej to, co robiono.

Poza otwartą raną na gardle i makabrycznym okaleczeniem brzucha Lyn miała powierzchowne obrażenia. Tylko cięcie gardła zostawiło szramę na kości. Podobnie jak Sally, zabito ją dużym ostrym nożem. Prawdopodobnie myśliwskim, prawie na

pewno tym samym, choć na tym etapie nie można było tego dowieść. Nie był ząbkowany. Nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego obie kobiety zamordowano tym samym narzędziem, a psa innym.

Ciągle się nad tym głowiłem, gdy po przyjęciu ostatniego pacjenta wyszedłem z gabinetu do poczekalni. Dyżur minął spokojnie, przyszło o połowę mniej pacjentów niż zwykle. Albo w obliczu większej tragedii ludzie ignorowali trywialne dolegliwości albo było inne, jeszcze bardziej przykre wytłumaczenie, dlaczego unikają wizyty u lekarza. A przynajmniej u jednego z lekarzy. Do Henry'ego zapisywało się najwięcej pacjentów od lat i woleli czekać, niż przyjść do mnie.

Byłem jednak zbyt pochłonięty Jenny i pracą w laboratorium, by się tym przejmować.

Gdy wyszedłem, Janice sprzątała poczekalnię, ustawiając w rzędzie stare zdekompletowane krzesła i układając w schludny stosik sfatygowane czasopisma.

– Spokojny dziś wieczór – powiedziałem.

Podniosła z podłogi fragment dziecięcej układanki i włożyła go do drewnianego pudełka z zabawkami.

– Lepsze to niż tłum zasmarkańców i hipochondryków.

– Co prawda, to prawda.

Doceniałem jej takt. Wiedziała tak samo jak ja, że lista moich pacjentów się kurczy.

– Gdzie Henry?

– Uciał sobie drzemkę. Był wypompowany po porannym dyżurze. No, niech pan tak nie patrzy. To nie pana wina.

Wiedziała, że robię coś dla policji, choć nie znała szczegółów. Nie miałem jak tego przed nią ukryć, a poza tym nie widziałem powodu. Lubiała poplotkować, ale potrafiła wyznaczyć sobie granicę.

– Jak on się czuje? – spytałem zaniepokojony.

– Jest zmęczony. Zresztą nie chodzi tylko o pracę. – Rzuciła mi znaczące spojrzenie. – W tym tygodniu obchodziliby rocznicę.

Całkiem zapomniałem. Działo się zbyt dużo, bym śledził daty, ale zauważyłem, że o tej porze roku Henry zawsze popadał w przygnębienie. Nigdy o tym nie mówił, podobnie zresztą jak ja, gdy obchodziłem swoją. Mimo to obaj wiedzieliśmy, co nas gryzie.

– To byłaby trzydziesta – dodała cicho Janice. – Przez to jest mu pewnie jeszcze

ciężej. Więc może i dobrze, że ma teraz więcej pracy. Nie będzie tyle myślał. – Nagle spochmurniała. – Szkoda tylko...

– Janice – przerwałem jej upominającym tonem.

– Ale to prawda. Nie zasługiwała na niego. A on mógł trafić lepiej – wypaliła. Była na skraju płaczu.

– Wszystko dobrze? – spytałem.

Skinęła głową, układając drżące wargi w uśmiech.

– Przepraszam. Nie mogę patrzeć, jak tak przeżywa tę... – Nie dokończyła. – I cała ta reszta. Wszyscy mają już tego dosyć.

Znowu zaczęła poprawiać czasopisma. Podszedłem i odsunąłem je.

– Mam pomysł. Niech pani choć raz zrobi wyjątek i pójdzie do domu wcześniej?

– Ale miałam jeszcze poodkurzać...

– Gwarantuję, że dzień dłużej bez odkurzenia nie wywoła zagrożenia dla zdrowia.

Zaśmiała się, odzyskując animusz.

– Skoro pan tak mówi...

– Właśnie tak. Podrzucić panią?

– Nie! Za ładny dziś wieczór, by wozić się samochodem.

Nie nalegałem. Mieszkała zaledwie kilkaset metrów od przychodni i chodziła główną ulicą. Nie można przesadzać z ostrożnością, żeby nie przerodziła się w paranoję. Mimo to patrzyłem za nią przez okno, aż znikła mi z oczu.

Wróciłem do stolika z czasopismami i podjąłem żalostną próbę dokończenia jej dzieła. Znalazłem kilka starych numerów gazetki parafialnej, które pewnie przynieśli pacjenci. Wrzuciłem je do kosza, ale nagle jedna ze stron przykuła moją uwagę.

Wyjąłem ją. Z przedrukowanej fotografii uśmiechała się do mnie promiennie Sally Palmer. Pod zdjęciem widniało kilka zdań o „słynnej pisarce z Manham”, wydrukowanych kilka tygodni przed jej zabójstwem. Nie widziałem tego wcześniej, a teraz, po jej śmierci, dziwnie było trzymać to w rękach. Zacząłem czytać i nagle poczułem, jakby wypompowano ze mnie całe powietrze. Usiadłem i przeczytałem jeszcze raz.

A potem zadzwoniłem do Mackenziego.

Czytał artykuł w milczeniu. Był w mobilnym centrum koordynacyjnym, gdy odebrał telefon, i przyjechał natychmiast. Z rąk i karku schodziła mu poparzona słońcem skóra. Skończył i z kamienną twarzą złożył gazetkę.

– I co pan myśli? – spytałem.

Potań łuszczącą się i zaczerwienioną skórę na nosie.

– Może to przypadek.

Zachowywał się teraz jak na policjanta przystało, z profesjonalną mrukowatością. Niewykluczone, że miał rację. Choć w to wątpiłem. Wziąłem gazetkę i znowu przebiegłem wzrokiem tekst. Kilka zdań, ot, cokolwiek, by zapełnić pustą rubrykę, gdy akurat nic się nie dzieje. Nagłówek brzmiał: „Życie na prowincji dodaje pisarce skrzydeł”, a cytat, który go zainspirował, znajdował się na końcu.

*Sally Palmer twierdzi, że życie w Manham pomaga jej w pisaniu powieści. „Uwielbiam żyć blisko natury. Dzięki niej moja wyobraźnia może poszybować. Czuję się wtedy tak, jakbym miała skrzydła” – wyznaje uznana przez krytyków pisarka.*

Odłożyłem gazetkę.

– Twierdzi pan, że to, że ktoś wbił jej w plecy parę skrzydeł kilka tygodni po tym, jak to powiedziała, to zbieg okoliczności?

Mackenzie zaczynał się irytować.

– Nie twierdzą, tylko snują przypuszczenia. Może tak, może nie. Trudno cokolwiek twierdzić po przeczytaniu jakiejś wzmianki w piśmie.

– Więc jak inaczej wytłumaczyć te skrzydła przy zwłokach?

Sprawa miała wrażenie stropionego, jak człowiek zmuszony odczytać manifest partyjny, w który nie wierzy.

– Psychologowie sądzą, że to wyraz stłumionego pragnienia przemiany. To, że po śmierci przypisał jej skrzydła. Mówią, że może to jakiś religijny świr, który ma obsesję na punkcie duchowości.

– A co mają do powiedzenia o reszcie martwych zwierząt? I o tym, co zrobił Lyn Metcalf?

– Nic konkretnego. Ale nawet jeśli ma pan co do tego rację – wskazał gazetkę – to i tak nic nie wyjaśnia.

– Jest coś jeszcze, o czym chciałem z panem porozmawiać – mówiłem, starannie dobierając słowa.

Zlustrował mnie wzrokiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Po tym, jak do pana zadzwoniłem, przejrzałem kartę zdrowia Lyn. I jej męża.



Wiedział pan, że starali się o dziecko? Rozważali leczenie bezpłodności.

Załapał w lot.

– Króliczki, Jezu... – wyszeptał.

– Ale skąd zabójca mógł o tym wiedzieć?

Mackenzie spojrział na mnie, rozważając coś w myślach.

– W szufladzie w sypialni Metcalfów znaleźliśmy test ciążowy – powiedział powoli. – W torebce był paragon z dnia poprzedzającego jej zaginięcie.

Przypomniałem sobie, jak wpadłem na nią, gdy wychodziła z apteki. Cała rozpromieniona.

– Zdążyła go użyć?

– Nie. Mąż twierdzi, że o niczym nie miał pojęcia.

– Nie kupuje się takich rzeczy, jeśli nie zamierza się ich użyć. Więc pewnie przypuszczała, że jest w ciąży.

Mackenzie ponuro pokiwał głową.

– A co ciężarna kobieta powie swojemu porywaczowi? „Nie rób mi krzywdy. Jestem w ciąży”. – Przetarł twarz dłonią. – Chryste... Nie ma szans, żeby się dowiedzieć, czy była w ciąży, czy nie?

– Nie przy tak wczesnej i nie przy takim stanie zwłok.

Pokiwał głową.

– Jeśli była albo tylko myślała, że jest, to złapanie tego gnoja będzie jeszcze trudniejsze, niż sądziliśmy.

– Dlaczego?

– Bo to znaczy, że swoich okaleczeń nie planuje z wyprzedzeniem. Wymyśla je na poczekaniu. – Mackenzie wstał. Wyglądał na wykończonego. – A jeśli on sam nie wie, jaki będzie jego kolejny krok, to jakie my mamy szanse?

Gdy poszedł, pojechałem za miasto. Bez konkretnego celu, po prostu chciałem wyrwać się z Manham na godzinę lub dwie. Tego wieczora nie umówiłem się z Jenny. Oboje byliśmy zdziwieni, jak szybko potoczyły się sprawy między nami, i po pełnych wrażeń dwóch ostatnich dniach potrzebowaliśmy trochę czasu w samotności. Chyba chcieliśmy zrobić krok w tył i złapać oddech, przyjrzeć się tej nieoczekiwanej zmianie w naszym życiu i zastanowić, dokąd może nas zaprowadzić. Choć nie powiedzieliśmy tego na głos, żadne z nas nie chciało, by pośpiech wszystko zepsuł. Zresztą jeśli było to tym, czym nam się wydawało, to po co się spieszyć?

Powinienem był wiedzieć, że nie należy kusić losu.

Po chwili znalazłem się na szczycie niskiego wzgórza, z którego roztaczał się widok na całą okolicę. Zatrzymałem się i wysiadłem. Przycupnąłem na kępie trawy i patrzyłem, jak słońce zniża się ku bagnom. Z bajerek i strumyczków tworzących abstrakcyjny wzór na trzcinowisku biło złociste światło. Przez chwilę starałem się skupić na zabójstwach, ale wydawały się zbyt odległe. Minęło trochę czasu, barwy nieba i ziemi powoli ciemniały, a ja nie miałem ochoty nigdzie się ruszać.

Po raz pierwszy od wypadku poczułem, że mam przed sobą jakąś przyszłość. W końcu mogłem spojrzeć przed siebie, a nie tylko w przeszłość. Pomyślałem o Jenny, o Karze i Alice, szukając w sobie śladów poczucia winy, że dopuściłem się zdrady. Nic takiego jednak nie czułem. Było tylko niecierpliwe wyczekiwanie. Ból straty nie minął, pozostanie we mnie na zawsze. Lecz teraz pojawiło się coś w rodzaju zgody. Moja żona i córka nie żyły i nie mogłem ich wskrzesić. Przez długi czas ja też byłem martwy. Teraz, nieoczekiwanie, wróciłem do życia.

Patrzyłem na zachód słońca, aż jego okrąg zamienił się w jasną smużkę nad horyzontem, a bagienny krajobraz spowił zgęstniały mrok, wchłaniając całe światło. Gdy w końcu wstałem, zeszywniały i obolały od siedzenia w jednej pozycji, uświadomiłem sobie, że nie potrzebuję więcej czasu na myślenie. Nie chciałem czekać aż do jutra, żeby zobaczyć się z Jenny. Sięgnąłem po telefon, chcąc do niej zadzwonić, ale okazało się, że nie mam go w kieszeni. Nie było go też w samochodzie. Przypomniałem sobie, że położyłem go na biurku, gdy przyszedł Mackenzie, a potem, mając inne rzeczy na głowie, pewnie wyszedłem bez niego.

W ogóle bym po niego nie jechał, gdyby nie to, że nie chciałem zjawiać się u Jenny bez zapowiedzi. To, że ja już wiedziałem, na czym stoję, nie znaczyło, że ona też już się określiła. Poza tym nadal byłem lekarzem rodzinnym. Manham może mieć teraz co do mnie różne wątpliwości, ale to nie znaczy, że mogę tak po prostu nie odbierać telefonów. Pojechałem więc do przychodni.

Gdy przejeżdżałem główną ulicą, zapaliły się latarnie. Przy skwerku, nieopodal radiowozu, w poświacie jednej z nich zobaczyłem grupkę mężczyzn. Jeden z patroli Scarsdale'a, pomyślałem. Minąłem ich. Patrzyli na mnie podejrzliwie w upiornym bladożółtym świetle.

Skręciłem w długą alejkę prowadzącą do domu Henry'ego. Koła zachrzęściły na żwirze i po chwili zjechałem ze wzniesienia, a światło reflektorów oblało fasadę domu. W oknach było ciemno, ale nie zdziwiło mnie to, bo Henry zwykle wcześniej

kładł się spać. Nie chcąc go budzić, zamiast wejść frontowymi drzwiami, wszedłem od tyłu, prosto do przychodni.

Wyjąłem klucze do mojego gabinetu i już miałem otworzyć drzwi, gdy zauważyłem, że te do kuchni otwarte są na oścież. Nie zwróciłoby to mojej uwagi, gdyby w środku paliło się światło, lecz w kuchni było ciemno, a wiedziałem, że Henry zawsze zamykał ją na klucz, zanim się położył.

Zajrzałem do środka. Wszystko było na swoim miejscu. Zacząłem szukać dłonią włącznika i nagle zamarłem. Instynkt podpowiadał mi, że coś jest nie tak. Przyszło mi do głowy, by zadzwonić na policję, ale co miałbym im powiedzieć? Że Henry zapomniał zamknąć drzwi po powrocie z ogrodu? Zrobienie z siebie głupka bynajmniej nie poprawiłoby moich i tak już niskich notowań w miasteczku.

Poszedłem w głąb korytarza.

– Henry? – zawołałem na tyle głośno, by usłyszał, jeśli nie śpi, i na tyle cicho, by go nie obudzić.

Nie odpowiedział. Jego gabinet mieścił się na końcu korytarza, za rogiem. Nadal sądząc, że przesadzam, pomaszerowałem przed siebie. Drzwi były lekko uchylone, w środku paliło się światło. Przystanąłem, nasłuchując jakichś znaków życia, lecz serce tak mi waliło, że zagłuszało słabsze dźwięki. Położyłem dłoń na drzwiach i lekko je pchnąłem.

Nagle ktoś je szarpnął. Odrzuciło mnie na bok, a z pokoju wypadł zwałisty cień. Nie mogąc złapać tchu, rzuciłem się na niego i poczułem przy skórze lekki powiew powietrza. Złapałem ręką szorstki lepiaący się materiał, a potem coś walnęło mnie w twarz. Zatoczyłem się do tyłu, a postać czmychnęła do kuchni. Gdy do niej dobiegłem, zastałem już tylko rozbujaane drzwi do ogrodu. Bez namysłu rzuciłem się w pogoń. Ale potem przypomniałem sobie o Henrym.

Zamknąłem drzwi na zasuwkę i pędem ruszyłem z powrotem do jego gabinetu. W korytarzu zapaliło się światło.

– David? Co tam, u licha, się wyprawia?

Henry wyjeżdżał wózkem z sypialni na korytarz, rozczochrany i przestraszony.

– Ktoś był w domu. Wybiegł, gdy go nakryłem.

Dopiero teraz poczułem, jak jestem roztrzęsiony. Wszedłem do gabinetu Henry'ego. Z ulgą stwierdziłem, że nie włamano się do stalowej szafki. Ten, kto tu był, przynajmniej nie dobrał się do naszych leków. Potem zerknąłem na przeszkloną gablotkę, w której Henry trzymał swoje zabytkowe akcesoria medyczne. Drzwiczki

były otwarte, butelki i inne przedmioty poprzewracane. Henry przeklął i ruszył w jej stronę.

– Niczego nie dotykaj. Policja zbierze odciski – ostrzegłem go. – Czegoś brakuje? Spojrzał niepewnie na ten bałagan.

– Chyba nie...

Gdy to mówił, zauważyłem bijący w oczy brak pewnej rzeczy. Od kiedy tu pracowałem, na górnej półce stała zakurzona antykwaryczna butelka z zielonego szkła, z pionowymi żeberkami, w jakich dawniej przechowywano truciznę. Znikła. Do tej pory myślałem, że włamywacz szukał środków odurzających. Nawet w Manham było kilku narkomanów. Jednak nie chciało mi się wierzyć, by nawet najbardziej zdesperowany ćpun skusił się na butelkę chloroformu.

Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk Henry'ego.

– Boże drogi! David, nic ci nie jest?

Patrzył na moją pierś. Już miałem spytać, co ma na myśli, gdy sam się zorientowałem. Przypomniałem sobie ten powiew powietrza, który poczułem, chwytając wybiegającego włamywacza. Teraz zrozumiałem, co to było.

Miałem przeciętą koszulę.

Po wieczornym incydencie dzień zaczął się jak każdy inny. Nie mogłem się później temu nadziwić. Powinienem być wiedzieć z doświadczenia, że katastrofa przychodzi niezapowiedziana. A tak, gdy nadeszła, byłem zupełnie nieprzygotowany. Jak wszyscy inni. Dochodziła czwarta, gdy policja skończyła przeszukiwać przychodnię. Opadli ją jak stado furii, robili zdjęcia, zbierali odciski palców, zadawali pytania. Mackenzie przyjechał półprzytomny i wymęczony, jakby go przed chwilą wybudzono ze złego snu.

– Wróćmy do początku. Chce mi pan powiedzieć, że ktoś włamał się do domu, zaatakował pana nożem i uciekł, a przy tym nikt nie widział, jak wyglądał?

Ja też byłem zmęczony i podenerwowany.

– Było ciemno.

– Nic znajomego w nim pan nie rozpoznał?

– Nie, przykro mi.

– Czyli nie mógłby go pan zidentyfikować?

– Nie, niestety. Było za ciemno.

Henry też nie potrafił pomóc. Przez cały czas był w swojej sypialni, niczego nieświadomy. Wyszedł dopiero, jak usłyszał hałasy i zobaczył mnie, gdy już wracałem z zaniechanej pogoni. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, o poranku w Manham pewnie mówiliby się o kolejnym trupie. Albo dwóch.

Sądząc po nastawieniu, z jakim Mackenzie mnie przesłuchiwał, jego zdaniem sami sobie na to zasłużyliśmy.

– I nie wie pan, co jeszcze mógł zabrać?

Bezradnie pokręciłem głową. Szafka z lekami była nietknięta, z lodówki, w której przechowywaliśmy szczepionki i inne leki, nic nie zniknęło. Jednak tylko Henry wiedział, co jeszcze skrywała ta zagracona gablotka, a dopóki nie skończyli z nią technicy, nie mógł powiedzieć na pewno, czego brakuje, a czego nie.

Mackenzie ujął palcami grzbiet nosa. Był wściekły, a wokół oczu miał czerwone

obwódki.

– Chloroform – cmoknął z obrzydzeniem. – Nawet nie wiem, czy takie rzeczy wolno trzymać w domu. Myślałem, że lekarze już tego nie używają.

– Bo nie używają. Henry zachował to jako eksponat. Gdzieś tu trzyma też antyczny odsysacz treści żołądkowej.

– Mam gdzieś wasze odsysacze, ale ten drań jest wystarczająco niebezpieczny i bez całej butelki cholernego usypiacza! – Pohamował się. – Jak, u licha, w ogóle się tu dostał?

– Wpuściłem go.

Obaj się odwróciliśmy. Wjechał Henry. Byliśmy w moim gabinecie, jednym z kilku pomieszczeń na dole, co do których mieliśmy pewność, że nie zniszczymy w nich żadnego dowodu, bo zamykałem go na noc na klucz. Nalegałem, żeby pozwolono Henry'emu na przerwę w przesłuchaniu. Był roztrzęsiony po tym, co się stało, i prawie godzinna indagacja bynajmniej nie pomogła mu dojść do siebie. Wprawdzie wyglądał trochę lepiej, ale nadal był blady jak ściana.

– Wpuścił go pan – Mackenzie powtórzył bez emocji. – Wcześniej mówił pan, że nie wiedział, że ktoś jest w domu.

– Zgadza się. Ale to moja wina. Zastanawiałem się nad tym i... – Wziął głęboki oddech. – Chodzi o to, że nie pamiętam, bym zamknął kuchenne drzwi.

– Wydawało mi się, że mówił pan, że były zamknięte.

– Tak, bo tak zakładałem. To znaczy zawsze je zamykam na klucz.

– Ale nie dzisiaj.

– Nie jestem pewien. – Henry odchrząknął, widać było, że to dla niego udręka. – Wygląda na to, że nie.

– A gablotka? Też pozostała otwarta?

– Nie wiem. – Henry był wykończony. – Klucze trzymam w szufladzie biurka. Może je znalazł albo... – Urwał.

Mackenzie sprawiał wrażenie, jakby resztkami sił trzymał nerwy na wodzy.

– Ile osób wiedziało o chloroformie?

– Bóg jeden wie. Był tu dłużej niż ja. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

– Więc mógł go widzieć każdy, kto tu wchodził?

– Tak, raczej tak – przyznał niechętnie Henry.

– To przychodnia lekarska – zwróciłem się do Mackenziego. – Wszyscy wiedzą, że są tu niebezpieczne substancje. Środki uspokajające, usypiające i tak dalej.

– Które powinno się trzymać pod kluczem – dopowiedział Mackenzie. – A wyszło na to, że facet wchodzi sobie jak do baru samoobsługowego i bierze, co chce.

– Nie zapraszałem go tutaj, do cholery! – uniósł się Henry. – Myśli pan, że się z tego cieszę? Trzydzieści lat jestem lekarzem i nigdy nic podobnego nie miało miejsca!

– Oprócz dzisiejszej nocy – przypomniał mu Mackenzie. – Tej jednej nocy, gdy zapomniał pan zamknąć drzwi.

Henry spuścił wzrok.

– W zasadzie to... być może nie jest to pierwszy raz. Ostatnio zdarzyło się kilka razy, że... gdy wstałem rano, drzwi były otwarte. Raz czy dwa. Zwykle pamiętam o tym, by je zamknąć – dodał szybko. – Ale cóż... ostatnio zrobiłem się trochę... zapominalski.

– Zapominalski –powtórzył Mackenzie bezbarwnym głosem. – Ale pierwszy raz ktoś się włamał, tak?

Już miałem odpowiedzieć za Henry'ego, że oczywiście, że tak, gdy napotkałem jego udręczone spojrzenie.

– No cóż... – Zaplótł i rozplótł dłonie. – Nie jestem pewien. – Mackenzie nie spuszczał z niego wzroku. Henry, zagubiony, wzruszył ramionami. – Rzecz w tym... że kilka razy miałem wrażenie, że przedmioty w szafce poprzestawiano.

– Poprzestawiano? Czegoś brakowało?

– Nie wiem. Nigdy nie miałem pewności. Może pamięć płatała mi figle. – Posłał mi pełne zakłopotania spojrzenie. – Przepraszam, Davidzie. Powinienem być ci powiedzieć. Ale miałem nadzieję... Liczyłem, że jeśli bardziej się postaram... – Uniósł ręce, a potem opuścił je bezwładnie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję się okropnie z tym, że ostatnio prosiłem go o zastępstwa. Pomijając jego kalectwo, zawsze wydawało mi się, że fizycznie jest w dobrej formie. Teraz, wczesnym rankiem, spostrzegłem oznaki, których do tej pory nie zauważałem. Miał podkrążone oczy, obwisłą skórę na szyi i na pokrytym siwym zarostem podbródka. Nawet wzięwszy poprawkę na szok, jakiego doznał, wyglądał na chorego i postarzałego. Spojrzałem na Mackenziego porozumiewawczo, by go nie zamęczał. Zacisnął usta i wziął mnie na bok, zostawiając niepokieszonego Henry'ego nad filiżanką herbaty, którą przyniosła mu młoda policjantka.

– Wie pan, co to oznacza? – spytał Mackenzie.

– Wiem.

– Być może zdarzyło się to już wcześniej.

– Wiem.

– To świetnie, bo tak się składa, że pański przyjaciel może stracić prawo wykonywania zawodu. Sprawa byłaby poważna, nawet gdyby chodziło tylko o ćpunów, a mowa o seryjnym zabójcy. A teraz wygląda na to, że przychodził tu sobie i brał, co chciał, i to nie wiadomo od jak dawna!

Powstrzymałem się w porę, by znowu nie powiedzieć, że wiem.

– Musi trochę znać się na medycynie, skoro wiedział, co wziąć. I jak tego użyć.

– Litości. Mowa o mordercy! Myśli pan, że będzie się przejmował dawkowaniem? Nie trzeba być neurochirurgiem, żeby wiedzieć, do czego służy chloroform.

– Skoro był tu wcześniej, to dlaczego od razu nie wziął całej butelki? – spytałem.

– Może nie chciał, żeby zauważono jej brak. Gdyby nie został dziś nakryty, to pewnie w ogóle byśmy się nie dowiedzieli, że zniknęła.

Nie miałem żadnych argumentów. Czułem się winny, jakbym to ja dopuścił się tego zaniedbania, a nie Henry. Byłem jego współnikiem, powinienem być czujny na to, co się dzieje wokół. I na to, co się dzieje z nim.

W końcu policja zakończyła wszystkie czynności i mogłem pójść do domu. Ptaki zwiastowały już świt, gdy położyłem głowę na poduszce.

Obudziłem się chwilę później, tak mi się przynajmniej wydawało.

Pierwszy raz od wielu dni miałem ten sen. Sugestywny jak zwykle, ale tym razem nie przyniósł ze sobą rozjątrzonego poczucia straty. Jedynie smutek i spokój. Nie widziałem Alice, tylko Karę. Rozmawialiśmy o Jenny. „Wszystko dobrze”, powiedziała i uśmiechnęła się. „Właśnie tak powinno być”.

Zabrzmiało to prawie jak pożegnanie, od dawna odraczane, ale nieuchronne. Jednak ostatnie słowa Kary, wypowiedziane z zatroskaną miną, którą tak dobrze znałem, pozostawiły po sobie niepokój.

„Uważaj na siebie”.

Dlaczego miałbym na siebie uważać, nie wiadomo. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem uznałem, że analizuję własną podświadomość.

Przecież to tylko sen.

Wstałem i poszedłem pod prysznic. Choć spałem tylko kilka godzin, czułem się wypoczęty. Wyjechałem do laboratorium wcześniej, żeby po drodze zajrzeć do Henry’ego. Martwiłem się o niego po wydarzeniach ostatniej nocy. Wyglądał okropnie, a ja czułem się za to odpowiedzialny. Gdyby nie był tak przeciążony



dodatkową pracą, którą go obarczyłem, to może nie zapomnieliby zamknąć tych drzwi.

Wszedłem do domu i zawołałem go. Odpowiedziała mi cisza. Zajrzałem do kuchni, ale nie było go tam. Ignorując dreszcz niepokoju, powiedziałem sobie, że pewnie śpi. Wychodząc z kuchni, zerknąłem przez okno i zamarłem. Na starym drewnianym pomoście na końcu ogrodu stał jego wózek.

Pusty.

Wybiegłem z domu, wołając go. Wejście na pomost było zarośnięte krzakami i drzewami. Zobaczyłem je dopiero, gdy dopadłem do furtki. Zwolniłem i odetchnąłem z ulgą. Obok wózka na krawędzi moło siedział Henry, próbując przedostać się do żaglówki. Twarz miał purpurową z wysiłku, a nogi zwisały mu bezwładnie nad łódką.

– Na miłość boską, Henry, co ty wyprawiasz?

Spiorunował mnie wzrokiem, ale nie przestał.

– Idę popływać. A na co innego to wygląda?

Jęknął, przenosząc ciężar ciała na rękę. Wahalem się, bo chciałem mu pomóc, ale wiedziałem, że lepiej nawet nie próbować. Jeśli wpadnie do wody, to przynajmniej go wyciągnę.

– Henry, zlituj się, wiesz, że nie powinienes.

– Odchrzań się, psiakrew!

Patrzyłem na niego osłupiały. Zaciśnięte usta lekko mu drżały. Jeszcze przez chwilę się nie poddawał, po czym nagle opuściła go wola walki. Opadł na drewniany słup, zasłaniając oczy ręką.

– Przepraszam, Davidzie. Nie chciałem tego powiedzieć.

– Pomóc ci usiąść na wózku?

– Tak, odsapnę tylko chwilę.

Usiadłem obok niego na szorstkich deskach pomostu. Oblepiona przeupoconą koszulką klatka piersiowa wciąż mu falowała.

– Jak długo tu jesteś?

– Nie wiem. Chwilę. – Uśmiechnął się blado. – Na początku wydawało mi się, że to dobry pomysł.

– Henry... – Nie wiedziałem, co powiedzieć. – Co ty sobie wyobrażałeś? Wiesz, że nie możesz sam wsiadać do łodzi.

– Wiem, wiem, tylko.... – Spochmurniał. – Ten cholerny policjant. Patrzył na mnie w taki sposób. Mówił do mnie, jakbym był jakimś... zramolałym głupcem! Wiem, że

źle zrobiłem. Powinienem był sprawdzić zamki. Ale żeby traktować mnie tak protekcyjnie... – Spojrzał na swoje nogi i zacisnął usta. – Czasami można mieć tego dość. Tej bezradności. Czasami czuję, że po prostu muszę coś zrobić, rozumiesz?

Spojrzałem na gładką taflę jeziora. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

– A co, gdybyś wpadł do wody?

– To by wszystkim ulżyło, czyż nie? – Łypnął na mnie wzrokiem i uśmiechnął się sardonicznie, wreszcie przypominając dawnego siebie. – No, nie patrz tak na mnie. Jeszcze w najbliższym czasie nie planuję skończyć ze sobą. Już dość się wygłupiłem.

– Oparł się na rękach i podciągnął do góry, krzywiąc się z wysiłku. – Pomożesz mi usiąść na tym cholernym wózku?

Chwyciłem go pod ramiona i udało mu się dźwignąć na siedzenie. Był tak zmęczony, że nie sprzeciwiał się, gdy zawiozłem go z powrotem do domu. Byłem już spóźniony do laboratorium, ale zrobiłem mu herbaty i zostałem jeszcze chwilę, by upewnić się, że wszystko z nim w porządku.

Wstałem do wyjścia. Ziwnął i przetarł oczy.

– Powinienem się już szykować. Za pół godziny zaczną schodzić się pacjenci.

– Wykluczone. Nie możesz w takim stanie pracować. Musisz się przespać.

Uniósł brew.

– Zalecenie lekarskie?

– Jeśli tak wolisz.

– A co z chorymi?

– Janice odwoła poranne wizyty. Jeśli to coś pilnego, niech dzwonią na pogotowie.

Choć ten jeden raz się nie sprzeciwiał. Teraz, gdy frustracja minęła, wyglądał na całkiem wypompowanego.

– David, niech to zostanie między nami, dobrze?

– Oczywiście.

Z ulgą pokiwał głową.

– Już i tak czuję się jak ostatni bałwan.

– Niepotrzebnie.

Byłem już przy drzwiach, gdy jeszcze mnie zawołał.

– David... – Urwał, zawstydzony. – Dziękuję.

Jego wdzięczność nie poprawiła mi samopoczucia. Całą drogę do laboratorium męczyły mnie wyrzuty sumienia, że ostatnio obarczyłem go tak wielkim ciężarem. Zakładałem, że mogę na niego liczyć, że wszystkiemu podoła, nie tylko pod

względem zawodowym, ale i każdym innym. Żałowałem, że nie popływałem z nim po jeziorze, że nie spędzałem z nim więcej czasu. Tak bardzo byłem zaabsorbowany śledztwem, a jeszcze bardziej Jenny, że niewiele o nim myślałem. Postanowiłem, że to zmienię. W laboratorium w zasadzie zrobiłem wszystko, co mogłem. Przekażę Mackenziemu wyniki, a co zrobi z tym policja, to już nie moja działka. Będę miał wreszcie czas, by wynagrodzić Henry'emu moje zaniedbanie. Jeszcze tylko jeden dzień i moje życie wróci do normalności.

Myliłem się, i to bardzo.

Po zamęcie ostatnich dwunastu godzin wchodząc do laboratorium, tego sanktuarium sterylności, odczułem niemal ulgę. Tutaj przynajmniej stąpałem twardo po ziemi. Wróciły wyniki badań, które tylko potwierdziły moje domysły. Lyn Metcalf nie żyła od sześciu dni, co oznaczało, że morderca z jakiegoś chorego powodu przetrzymywał ją przez trzy dni i dopiero potem podciął jej gardło. Co ostatecznie ją zabiło. Tak jak Sally Palmer wykrwawiła się na śmierć, na co wskazywała suchość zwłok. A niska zawartość żelaza w ziemi sugerowała, że zgon nastąpił gdzie indziej, a na bagnach tylko porzucono zwłoki.

I tak samo jak w przypadku Sally, na miejscu zbrodni nie znaleziono nic, co wskazywałoby, kto to zrobił. Ziemia była zbyt spieczona, by zachować ślady stóp, a oprócz włókien liny za połamanymi paznokciami nie było żadnych dowodów rzeczowych, żadnych śladów pozwalających domniemywać tożsamość sprawcy.

Ale to już nie było moje zmartwienie. Zrobiłem, co mogłem. Zdjąłem ostatnie odlewy szram na kręgach szyjnych, upewniony, że obie kobiety zabito tym samym narzędziem. Teraz pozostało tylko posprzątać. Marina spytała, czy miałbym ochotę uczcić koniec pracy wspólnym lunchem, ale odmówiłem. Nie miałem jeszcze okazji porozmawiać z Jenny, a bardzo tego wyczekiwałem.

Zadzwoiłem do niej, jak tylko Marina wyszła. Nie odebrała od razu, a z każdym sygnałem moje podekscytowanie narastało aż do bólu.

– Przepraszam – powiedziała cała zadyszana. – Nie ma Tiny, a ja byłem w ogrodzie.

– Jak się masz? – spytałem, nagle stremowany.

Byłem tak pochłonięty sobą, że nawet przez chwilę nie pomyślałem, do jakich wniosków na temat naszego związku mogła dojść Jenny.

– U mnie dobrze, ale jak ty się trzymasz? Wszyscy mówią o włamaniu do

przychodni wczoraj w nocy. Nic ci się nie stało, prawda?

– Nie, wszystko w porządku. Henry to gorzej zniósł.

– Boże, jak się o tym dowiedziałam, myślałam... rany, okropnie się martwiłam.

Nie przyszło mi do głowy, że mogłaby się o mnie martwić. Nie byłem przyzwyczajony do tego, że inni ludzie się mną przejmują.

– Przepraszam, powinienem był zadzwonić wcześniej.

– Nie szkodzi. Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy. Zadzwoniłabym, ale... – Przerwała, a ja cały aż stężałem. Zaraz się dowiem najgorszego. – Słuchaj, wiem, że mówiliśmy, że damy sobie kilka dni na wstrzymanie, ale... bardzo bym chciała cię zobaczyć. To znaczy, jeśli ty też byś chciał.

W jednej chwili cały się rozpromieniłem.

– Chciałbym.

– Jesteś pewien?

– Jak mało czego.

Oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Rany, to śmieszne. Czuję się, jakbym miała naście lat – powiedziała.

– Ja też. – Zerknąłem na zegarek. Pierwsza dziesięć. W Manham byłbym o drugiej, a wieczorny dyżur zaczynałem o czwartej. – Mógłbym wpaść teraz, jeśli ci pasuje.

– Dobrze – odpowiedziała nieśmiało, ale wyczuwałem, że się uśmiecha. W tle dało się słyszeć dwutonowy dzwonek. – Zaczekaj, ktoś dzwoni do drzwi.

Położyła słuchawkę. Z głupkowatym uśmiechem przyklepionym do twarzy oparłem się o stół i czekałem, aż wróci. Chrzącić dawanie sobie przestrzeni. Liczyło się tylko to, by jak najszybciej być przy niej. W tle grało radio. Czekałem i czekałem. W końcu usłyszałem ruch przy słuchawce.

– Mleczarz? – zażartowałem.

Cisza. Ktoś ciężko sapał po drugiej stronie, jakby po wysiłku.

– Jenny? – spytałem niepewnie.

Znowu cisza. Jeszcze jeden oddech, drugi. A potem kliknięcie odkładanej słuchawki.

Przez chwilę gapiłem się tępo w telefon, po czym niezdarnie jeszcze raz wybrałem jej numer. *Odbierz. Proszę, odbierz.* Ale słychać było tylko sygnał za sygnałem.

Rozłączyłem się i pędem rzuciłem do samochodu, po drodze telefonując do Mackenziego.

Nietrudno było zgadnąć, co się stało. Stan, w jakim znajdował się dom, wszystko wyjaśniał. Na tym samym chybotliwym stoliku, przy którym wtedy jedliśmy, leżała napoczęta kanapka, już wyschnięta od gorąca. Obok obojętnie grało radio. Drzwi prowadzące z kuchni do ogrodu były otwarte na oścież, zasłona z koralików, przez którą dopiero co przeszli policjanci, jeszcze się kołysała. W środku wycieraczkę kopnięto pod szafki kuchenne, a słuchawkę telefonu odłożono na widelki.

Po Jenny nie było śladu.

Policja nie chciała mnie wpuścić. Odgradzili już dom. Grupa dzieci i sąsiadów posępnie wodziła wzrokiem za mundurowymi, którzy wchodzili i wychodzili. Młody posterunkowy, nerwowo strzelający oczami na boki, zatarasował mi drogę. Nie chciał słuchać, co było o tyle zrozumiałe, że stan psychiczny, w jakim się znajdowałem, nie przemawiał na moją korzyść.

Wpuszczono mnie, dopiero gdy przyjechał Mackenzie. Uniósł dłonie w uspokajającym geście.

– Niech pan niczego nie dotyka – poinstruował mnie, gdy przekroczyliśmy próg.

– Nie jestem jakimś cholernym amatorem!

– To niechże się pan zachowuje jak profesjonalista.

Już miałem warknąć coś w odpowiedzi, ale się powstrzymałem. Miał rację. Wziąłem kilka głębokich oddechów, próbując się opanować. Mackenzie przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Jak dobrze ją pan zna?

Nie twój interes, chciałem odparować, ale oczywiście się pohamowałem.

– Spotykamy się od niedawna. – Na widok dwóch techników zdejmujących odciski z telefonu zacisnąłem pięści.

– Na poważnie?

W odpowiedzi tylko na niego spojrzałem. Po chwili skinął głową.

– Przykro mi.

*Przykro ci? Zrób coś, człowieku!* – jęknąłem w myślach. Ale wszystko, co można było zrobić, właśnie robiono. Nad głowami huczał helikopter, a postaci w mundurach maszerowały już przez sąsiadujący z domem padok i łąki.

– Niech pan jeszcze raz opowie, co się stało – powiedział Mackenzie.

Opowiedziałem, choć nie docierało do mnie, że to się dzieje naprawdę.

– Jest pan pewien, że właśnie o tej godzinie powiedziała, że ktoś dzwoni do drzwi?

– Tak. Zerknąłem na zegarek, by sprawdzić, ile mam czasu.

– I niczego pan nie słyszał?

– Nie! Chryste, jest wczesne popołudnie. Jak to możliwe, że ktoś tak po prostu zapukał do drzwi i wyciągnął ją z domu? W miasteczku roi się od policji! Co, do cholery, wtedy robili?

– Proszę posłuchać, wiem, co pan przeżywa...

– Nie, nie wie pan! Ktoś musiał coś widzieć!

Westchnąłem, potem odezwał się z nietypową dla siebie cierpliwością, co uświadomiłem sobie dopiero później.

– Przesłuchujemy wszystkich sąsiadów. Ale ogrodu nie widać z okolicznych domów. Przez padok prowadzi polna droga na tył domu. Może podjechał tutaj autem czy furgonetką i tą samą drogą odjechał. Możliwe, że nikt z ulicy go nie widział.

Spojrzałem przez okno. W dali niewinnie rozpościerała się lustrzana tafla jeziora. Mackenzie jakby odgadł moje myśli.

– Nie ma śladu łodzi. Helikopter nadal szuka, ale...

Nie musiał tłumaczyć. Od momentu, gdy Jenny poszła otworzyć drzwi, do przyjazdu policji minęło niecałe dziesięć minut. Ale dla kogoś, kto zna okolicę, to wystarczająco dużo, by się ulotnić, wraz z tym, kogo porwał.

– Dlaczego nie wołała o pomoc? – spytałem już spokojniej. Choć raczej była to rozpacz, a nie spokój. – Nie poddałaby się bez walki.

Mackenzie nie zdążył odpowiedzieć, bo na zewnątrz powstało jakieś zamieszanie. Po chwili do domu wpadła Tina, blada, cała spanikowana.

– Co się stało? Gdzie Jenny?

Tylko pokręciłem głową. Patrzyła wokół dzikim wzrokiem.

– To on, prawda? Porwał ją. – Chciałem coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Tina zakryła dłońmi usta. – O nie! Boże, błagam, nie!

Wybuchła szlochem. Zawahałem się, a potem wyciągnąłem dłoń i położyłem jej na ramieniu. Osunęła się na mnie, łkając.

– Proszę pana? – Jeden z techników podszedł do Mackenziego. W ręku miał plastikową torebkę z kawałkiem zwiniętej szmaty w środku. – Leżało pod płotem na końcu działki – powiedział policjant. – Jest tam szpara, na tyle duża, że da się przecisnąć.

Mackenzie otworzył torebkę i ostrożnie powąchał. Podał mi bez słowa. Zapach był delikatny, ale nie pozostawiał wątpliwości.

Chloroform.

Nie brałem udziału w poszukiwaniach. Z jednego powodu: nie chciałem być odcięty od informacji. Manham było usiane martwymi strefami bez zasięgu, gdzie komórką można się było co najwyżej podetrzeć, a ja nie chciałem wylądować na jakimś kawałku bagniska czy lasu bez kontaktu ze światem. Poza tym wiedziałem, że poszukiwania to strata czasu. Nie znajdziemy Jenny, drepcząc na oślep po okolicy. No, chyba że ten, kto ją porwał, będzie sobie tego życzył.

Tina powiedziała nam o martwym lisie. Nawet teraz nie zdawała sobie sprawy z jego znaczenia. Wyglądała na zdziwioną, gdy Mackenzie spytał, czy ona albo Jenny znalazły ostatnio jakieś martwe ptaki czy inne zwierzęta. Najpierw powiedziała, że nie, i dopiero po namyśle przypomniała sobie o lisie. Zrobiło mi się słabo na myśl, że pojawiło się ostrzeżenie, a my je zignorowaliśmy.

– Nadal pan sądzi, że to był dobry pomysł, by nie ujawniać charakteru tych okaleczeń? – spytałem potem Mackenziego.

Poczerwieniał. Nie odpowiedział. Wiedziałem, że jestem dla niego niesprawiedliwy, bo decyzję podjęto pewnie wyżej. Ale chciałem na czymś wylądować wściekłość. Albo na kimś.

To Tina przypomniała sobie o insulinie Jenny. Gdy jeden z techników przeszukiwał jej torebkę, nagle zbladła.

– Boże, jej strzykawka!

Policjant trzymał w ręku wstrzykiwacz do insuliny. Wyglądał jak gruby długopis i zawierał odmierzone dawki hormonu, niezbędne do prawidłowego funkcjonowania organizmu diabetyka. Mackenzie spojrzął na mnie pytająco.

– Ma cukrzycę – powiedziałem łamiącym się głosem. – Musi codziennie wstrzykiwać sobie insulinę.

– A jak tego nie zrobi?

– Zapadnie w śpiączkę.

Nie dopowiedziałem, co stanie się później, ale sądząc po wyrazie twarzy Mackenziego, sam to wiedział.

Dość już miałem patrzenia. Mackenziemu wyraźnie ulżyło, gdy poszedłem; obiecał zadzwonić, jak czegokolwiek się dowiedzą. W drodze do domu nie mogłem przestać myśleć o tym, że Jenny przyjechała do Manham po tym, jak ją zaatakowano, tylko po to, by stać się ofiarą czegoś jeszcze straszniejszego. Wybrała to miejsce, myśląc, że będzie tu bezpieczniejsza niż w mieście. Była w tym jakaś fundamentalna niesprawiedliwość, jakby pogwałcono naturalny porządek rzeczy. Czułem się, jakby mnie rozłupano na pół, jakby przeszłość zawłaszczyła teraźniejszość, każąc mi na nowo przeżywać koszmar utraty Kary i Alice. Tylko że teraz wywoływało to zupełnie inne uczucie. Wtedy z rozpacz i poczucia straty byłem jak sparaliżowany. Teraz nie wiedziałem, czy Jenny żyje, czy nie, nie wiedziałem, co się z nią dzieje. Nie mogłem odpędzić od siebie wspomnienia ran i obrażeń, jakie widziałem na zwłokach obu poprzednich kobiet, włókien sznura za połamanymi paznokciami Lyn. Przed śmiercią wiązano je i poddawano Bóg jeden wie jakim torturom. A teraz to samo będzie przeżywać Jenny.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem.

Jak tylko przekroczyłem próg domu, wydało mi się, że ściany mnie przygniatają. Udręczony poszedłem do łazienki. Myślałem, że może w powietrzu unosi się jeszcze zapach jej perfum, bolesne przypomnienie jej nieobecności. Spojrzałem na łóżko, w którym leżeliśmy jeszcze dwa dni temu, i już wiedziałem, że nie wytrzymam tu dłużej. Zbiegłem na dół i wyszedłem na dwór.

Machinalnie wsiadłem do samochodu i pojechałem do przychodni. Wieczór rozbrzmiewał śpiewem ptaków, promienie słońca prześwitywały przez koronkę liści. Jego piękno zakrawało na pełne ironii okrucieństwo, jakby wszechświat ostentacyjnie demonstrował swoją obojętność. Ledwo zamknąłem za sobą drzwi wejściowe, Henry wytoczył się na wózku ze swojego gabinetu. Twarz miał ściągniętą i nadal wyglądał na chorego. Po jego minie zorientowałem się, że już wie o wszystkim.

– Davidzie... Przepraszam.

Skinąłem głową. Był bliski łez.

– To moja wina. Tamtej nocy...

– To nie twoja wina.

– Gdy usłyszałem... nie wiem, co powiedzieć.

– A co tu można powiedzieć?



Potał rękoma podłokietniki wózka.

– A policja? Muszą przecież mieć jakiś... trop, cokolwiek?

– Nie za bardzo.

Przetarł dłonią twarz, a potem się wyprostował.

– Zrobię ci drinka.

– Nie, dzięki.

– Napijesz się, czy tego chcesz, czy nie. – Spróbował się uśmiechnąć. – Zalecenie lekarskie.

Poddałem się, bo nie miałem siły się kłócić. Przenieśliśmy się do salonu. Nalał nam whisky i podał mi szklanę.

– Do dna.

– Ja nie...

– No już, pij.

Zrobiłem, co powiedział. Czułem, jak alkohol pali mi trzewia. Henry bez słowa wziął ode mnie szklanę i znowu napełnił.

– Jadłeś coś?

– Nie jestem głodny.

Już chciał się upierać, ale zrezygnował.

– Możesz zostać tutaj na noc. Wystarczy szybko ogarnąć twój stary pokój.

– Nie, dzięki.

Z braku lepszego zajęcia pociągnąłem jeszcze jeden łyk whisky.

– Nie mogę wyzbyć się myśli, że w pewnym sensie jestem za to odpowiedzialny.

– Daj spokój, Davidzie, nie opowiadaj bzdur.

– Powinienem był to przewidzieć.

I być może przewidziałem, dodałem w myślach, przypominając sobie słowa Kary, która nawiedziła mnie we śnie.

„Bądź ostrożny”. Lecz zignorowałem je.

– Co za nonsens – odburknął Henry. – Czasami nic nie da się zrobić. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Miał rację, ale ta świadomość nie pomagała. Zostałem u niego jeszcze z godzinę, z czego większość czasu przesiedzieliśmy w milczeniu. Dokończyłem swoją whisky, skutecznie odmawiając dolewki. Nie chciałem się upić. Choć odczuwałem taką pokusę, to wiedziałem, że alkoholowe zamroczenie nic nie rozwiąże. Gdy znowu poczułem się klaustrofobicznie, wyszedłem. Henry był tak przygnębiony, że nie może

pomóc, że aż zrobiło mi się go żal. Jednak myśli o Jenny zaprzętały teraz całą moją uwagę, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Jadąc przez miasteczko, widziałem, jak policja chodzi od drzwi do drzwi w kolejnym spektaklu pozorowanej aktywności. Wobec ich metodycznego marnotrawienia czasu wzbierał we mnie gniew. Pojechałem dalej w kierunku domu, wiedząc, że będzie mi tam równie paskudnie jak wcześniej. Na skraju miasteczka zobaczyłem grupkę mężczyzn blokujących drogę. Zwolniłem, rozpoznając większość twarzy. Był wśród nich nawet Rupert, który najwyraźniej wyrwał się spod fartucha matki.

Na przedzie stał Carl Brenner.

Wszyscy patrzyli na mój samochód, ale żaden się nie poruszył, gdy wyjrzałem przez okno.

– Co się dzieje?

Brenner splunął na ziemię. Na twarzy miał jeszcze siniaki po bójce z Benem.

– Nie słyszał pan? Jest następna.

Poczułem się, jakby ktoś zadał mi cios prosto w serce. Jeśli morderca uprowadził już czwartą kobietę, mogło to oznaczać tylko jedno: skończył z Jenny. Brenner kontynuował, nieświadomy:

– Nauczycielka z naszej szkoły. Porwał ją dziś po południu.

Powiedział coś jeszcze, ale nie dosłyszałem. Krew huczała mi w głowie, a więc przekazuje mi stare wieści, nie nowe.

– Dokąd pan jedzie? – spytał wyzywająco, nieświadomy efektu swoich słów.

Mogłem mu powiedzieć. Mogłem wytłumaczyć albo zmyślić jakiś powód. Ale gdy spojrzałem na niego, nabuzowanego nowo odnalezionym poczuciem ważności, poczułem, jak wzbiera we mnie gniew.

– Nie wasza sprawa.

Chyba zbiłem go z tropu.

– Z wizytą?

– Nie.

Brenner niepewnie napiął ramiona, jak bokser chcący dodać sobie animuszu.

– Nikt tu nie wjedzie i nikt stąd nie wyjedzie, jeśli nie powie nam, gdzie jedzie i po co.

– A co zrobicie? Wywleciecie mnie z samochodu?

Odezwał się jeden z pozostałych. Dan Marsden, parobek, któremu opatrywałem

ranę, gdy wpadł w jedną z pułapek rozstawionych przez zabójcę.

– Niech pan doktor nie bierze tego osobiście.

– A jak mam to brać? Moim zdaniem to cholernie osobiste.

Brenner odzyskał werwę.

– Co jest, doktorku? Masz coś do ukrycia?

Zabrzmiało to jak zniewaga. Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, Marsden złapał go za ramię.

– Zostaw go, Carl. Byli przyjaciółmi.

Byli. Chwyciłem za kierownicę. Gapili się z natrętną ciekawością.

– Z drogi – rzuciłem.

Brenner położył rękę na drzwiach mojego auta.

– Najpierw...

Nacisnąłem pedał gazu i wyprułem naprzód, odtrącając go gwałtownie. Mężczyźni stojący przede mną odskoczyli na bok. Mignęły mi ich osłupiałe twarze, coś jeszcze za mną krzyczeli, ale nie zwolniłem. Dopiero gdy zniknęli mi z oczu, odzyskałem klarowność myśli. Cholera, co mnie opętało? Przecież jestem lekarzem. Mogłem kogoś zranić. Albo jeszcze gorzej.

Jechałem bez celu, aż uświadomiłem sobie, że zbliżam się do pubu, w którym byliśmy z Jenny kilka dni wcześniej. Zahamowałem gwałtownie. Nie zniósłbym teraz jego widoku. Kierowca za mną zatrąbił, więc zjechałem na pobocze, zczekałem, aż przejedzie, i zawróciłem do Manham.

Starałem się zdystansować od tego, co się stało, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Wjeżdżając do Manham, czułem się wykończony. Po Brennerze i jego kolegach nie było śladu. Oparłem się pokusie i nie pojechałem do domu Jenny ani nie zatelefonowałem do Mackenziego. Nie było sensu. I tak się dowiem, jeśli coś się wydarzy.

Wszedłem do domu, nalałem sobie whisky, na którą wcale nie miałem ochoty, i usiadłem na zewnątrz. Słońce już zachodziło, a moja nadzieja gasła wraz z nim. Od porwania Jenny minęło pół dnia. Powtarzałem sobie, że jeszcze jest szansa, że ten, kto ją uprowadził, nie zabija swoich ofiar od razu. Ale kiepskie było to pocieszenie, nawet żadne.

Jeśli Jenny jeszcze żyła – na myśl, że mogłaby nie żyć, ogarniało mnie wrażenie, że spadam w czarną otchłań – na jej odnalezienie mieliśmy maksymalnie dwa dni. O ile do tej pory nie zapadnie w śpiączkę insulinową, to ten bezimienny bydlak ją

zamorduje, tak jak przedtem Sally Palmer i Lyn Metcalf.

A ja w żaden sposób nie mogłem go powstrzymać.

Po pewnym czasie ciemność przestała być absolutna. Pojawiły się punkciki światła, tak malutkie, że z początku sądziła, że wyobraźnia płata jej figle. Gdy starała się na nich skupić, znikwały. Uwidaczniały się dopiero przy spojrzeniu kątem oka – świetliste okruchy niczym pionowa siateczka gwiazd na skraju pola widzenia.

Potem oczy się przyzwyczyły i zobaczyła wyraźniej. Nie okruchy. Rysy. Świetliste szczeliny. Szybko zorientowała się, że nie są wszędzie wokół, że światło napływa z jednego kierunku. Nazwała go „Przód”.

Mając już punkt zaczepienia, Jenny stopniowo zaczęła w spowijającej ją ciemności wyodrębniać zarysy kształtów.

Budziła się długo. W głowie czuła tępe łupanie, potęgujące się przy najdrobniejszym ruchu. Nie była w stanie myśleć klarownie, ale skrajne przerażenie nie pozwalało jej znów osunąć się w omdlenie. Wydawało jej się, że jest z powrotem na tamtym parkingu, tylko że tym razem taksówkarz zamknął ją w bagażniku. Czuła się osaczona, nie mogła oddychać. Chciała wołać o pomoc, ale gardło, tak jak reszta ciała, odmawiało jej posłuszeństwa.

Powoli, powoli myśli stawały się spójniejsze. Uświadomiła sobie, że na pewno nie jest na parkingu. Tamta napaść należała do przeszłości. Świadomość ta nie przyniosła jednak ulgi. *Gdzie jest teraz?* Ciemność ją dezorientowała i przerażała. Gdy starała się usiąść, coś jakby pociągnęło ją za nogę. Spróbowała ją odsunąć, ale to coś się zacisnęło i napięło; palcami wymacała na kostce szorstkie włókna sznura. Z narastającym niedowierzaniem przesunęła po nim dłoń, aż natrafiła na ciężki żelazny pierścień zamocowany do podłogi.

Była związana. Nagle sznur, ciemność, twarda ziemia, na której leżała, wszystko splotło się w straszliwy obraz.

Przypomniała sobie.

Pamięć wracała fragmentarycznie; kolaż reminiscencji, które stopniowo łączyły się w logiczną całość. Rozmawiała z Davidem przez telefon. Ktoś zadzwonił do drzwi.

Poszła otworzyć, w wejściu zza koralikowej zasłony zamajaczyła postać mężczyzny i... i... Boże, nie, to nie może być prawda... Ale była. Krzyczała, wołała Davida, Tinę. Kogokolwiek. Nikt się nie zjawił. Siłą woli starała się opanować. *Oddychaj głęboko. Weź się w garść.* Cała rozedrgana zaczęła na trzeźwo analizować swoje położenie. W pomieszczeniu było chłodno, lecz nie zimno. Powietrze ohydnie cuchnęło, choć nie potrafiła powiedzieć czym. Miała na sobie ubranie, szorty i żakiet, co uznała za dobry znak. Ból w głowie nieco zelżał, przechodząc w stłumione pulsowanie; teraz najbardziej męczyło ją pragnienie. Gardło miała spuchnięte i wysuszone do tego stopnia, że przełykanie sprawiało jej ból. Czuła też głód, a za tą myślą przyszła inna, przyprawiająca o dreszcz.

Nie miała insuliny.

Nie wiedziała nawet, kiedy robiła ostatni zastrzyk. Nie miała pojęcia, jak długo tu jest. Rano jak zwykle wstrzyknęła sobie dawkę, ale ile upłynęło odtąd czasu? Jeśli jeszcze nie minęła pora kolejnej, to pewnie niedługo minie. Insulina była niezbędna, by regulować poziom cukru w jej organizmie i Jenny doskonale wiedziała, co się stanie, gdy jej zabraknie.

*Nie myśl o tym, powiedziała sobie, nie myśl. Myśl, jak się stąd wydostać. Gdziekolwiek jesteś.*

Wyprostowała ręce i zaczęła po omacku badać granice swojego więzienia, na tyle, na ile pozwalała jej lina. Z tyłu wyczuła chropowatą ścianę, ale z pozostałych trzech stron jej ręce napotkały tylko powietrze. Błądząc dłońmi w ciemności, zaczepiła o coś nogą. Krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Odczekała chwilę, ukucnęła i ostrożnie wymacała przedmiot. But, trampek, za mały, by należał do mężczyzny...

Osunęła się na ziemię, gdy zrozumiała. To nie trampek, tylko but do biegania. Damski.

But Lyn Metcalf.

Przez chwilę myślała, że strach ją sparaliżuje. Od chwili, gdy poczuła sznur na nodze, starała się nie dopuszczać do siebie myśli, że zabójca wybrał ją na trzecią ofiarę. Teraz przypuszczenie brutalnie się potwierdziło. Nie mogła sobie pozwolić na rozpacz. Nie, jeśli chciała wyjść stąd żywa.

Przysunęła się do ściany, aż sznur się poluzował, i palcami wymacała węzeł. Był tak zamotany, że równie dobrze mógł być zrobiony z tego samego żelaza co pierścień. Pętla nie sprawiała jej bólu, ale była zbyt ciasna, by uwolnić stopę. Spróbowała, ale tylko otarła sobie skórę do krwi.

Potem wolną stopą zaparła się o ścianę i pociągnęła najmocniej, jak się dało. Nie puściły ani lina, ani żelazny pierścień, ale ciągnęła dalej, aż w głowie zahuczała jej krew, a w oczach pokazały się gwiazdy.

Gdy zgasły i gdy leżała, ciężko dysząc, znowu zobaczyła szczeliny, przez które przesączało się światło. Światło oznaczało wyjście, a przynajmniej coś, co było poza ciemnicą jej więzienia. Lecz jego źródło pozostawało niedostępne. Przeczółgała się na tyle, na ile pozwolił sznur. Niepewnie wystawiła rękę. Napotkała opór, coś twardego, oddalonego o jakieś trzydzieści centymetrów. Powoli przesunęła po tym palcami, wyczuwając najeżoną drzazgami fakturę nieheblowanych desek.

Te skrawki jasności to szczeliny między deskami. Jedna z nich była tuż na wprost, nieco większa od reszty. Podsunęła się bliżej. Wzdrygnęła się, gdy rzesami otarła o szorstkie drewno, potem jeszcze raz ostrożnie przyłożyła oko do szpary.

Zobaczyła kawałek długiego, zatopionego w mroku pomieszczenia. Piwnica lub suterena, co by tłumaczyło stęchłe, zawilgotniałe powietrze. Kamienne, niepomalowane ściany, nadszarpnięte zębem czasu. Na ścianach półki pełne słoiki i puszek, wszystko zakurzone i stare. Naprzeciw drewniany stół warsztatowy z imadłem, zasłany różnego rodzaju narzędziami. Ale nie to sprawiło, że oddech uwiązał jej w gardle.

Z sufitu, niczym makabryczne żyrandole, zwisały okaleczone truchła zwierząt.

Dziesiątki martwych zwierząt. Lisów, ptaków, zajęcy, gronostajów, kretów, a nawet coś, co przypominało borsuka. Falowały w sposób przyprawiający o mdłości, poruszane jakimś delikatnym powiewem, niczym powierzchnia wywróconego do góry nogami morza. Niektóre przywiązane były za szyje, inne za tylne łapy, w miejscu łepków mając ślepe kikuty. Wiele małych truchełek przegniło do skóry i kości; pustymi oczodołami patrzyły na nią niewidzącym wzrokiem.

Tłumiąc krzyk, Jenny odepchnęła się od desek. Teraz już wiedziała, skąd ten wstrętny odór. A potem dotarło do niej coś jeszcze i aż zjeżyły jej się włosy na karku. Wstała i powoli sięgnęła rękoma nad głowę. Jej palce napotkały coś miękkiego. Futro. Cofnęła gwałtownie dłoń, ale potem zmusiła się, by jeszcze raz tego dotknąć. Tym razem poczuła miękkie muśnięcie piór, które lekko się zakołysały pod jej dotykiem.

Nad nią też wisały zwierzęta.

Wydała z siebie niekontrolowany jęk i znowu przywarła do ziemi. Przeczółgała się po niej, aż napotkała plecami opór ściany. Coś w niej pękło, objęła się rękami i wybuchła niepohamowanym szlochem. Jednak stopniowo łzy ustały. Otarła oczy

i nos. *Beksa. Płacz nic tu nie pomoże. Te biedne zwierzęta są martwe. I w żaden sposób ci nie zagrażają.*

Zbierając się w sobie, znowu przesunęła się do ściany i przyłożyła oko do szczeliny. W pomieszczeniu nic się nie zmieniło. Nikogo tam nie było. Tym razem dostrzegła jednak coś, co wcześniej w pierwszym szoku przeoczyła. Za stołem była nisza. To stamtąd sączyło się światło; przyćmione, sztuczne. W świetle zamajaczył fragment biegnących w górę schodów.

Wyjście.

Przez chwilę chciwie się w nie wpatrywała, potem cofnęła się i z całej siły pchnęła deski. Opadła na kolana i walnęła w nie obiema pięściami. Od uderzenia aż zaklekotały jej kości i wbiła sobie w dłonie kilka drzazg. Drewniana ściana ani drgnęła.

Ale samo to, że spróbowała, było jakimś pokrzepieniem. Grzmotnęła w nie jeszcze raz, i jeszcze, z każdym ciosem wyrzucając z siebie część strachu, który ją paraliżował. Dysząc, cofnęła się na tyle, by lina się poluzowała, i usiadła. W uwięzionej nodze złapał ją skurcz, a wysiłek spotęgował ból głowy i pragnienie, ale czuła ponurą satysfakcję. Uchwyciła się jej, nie zważając na to, jak niewiele udało jej się w istocie osiągnąć. *Deski są do sforsowania. Mając wystarczająco dużo czasu, dałabyś im radę. Tylko że nie wiesz, ile masz czasu, prawda?*

Odpędzając od siebie tę myśl, wymacała sznur i zaczęła walczyć z węzłem.



Nazajutrz rano włączyłem wiadomości i usłyszałem, że aresztowano podejrzanego.

Większość nocy przesiedziałem w fotelu, jednocześnie czekając na telefon od Mackenziego i obawiając się go. Ale nie zadzwonił.

O piątej wstałem i poszedłem pod prysznic. Potem usiadłem na dworze, patrząc w odrętwieniu, jak świat wokół mnie budzi się do życia. Po mniej więcej godzinie wróciłem do środka. Nie chciałem włączać radia, wiedząc, co będzie głównym tematem wiadomości. Jednak po jakimś czasie cisza panująca w domu stała się nie do zniesienia. Z wybiciem ósmej poddałem się i włączyłem odbiornik.

Nie spodziewałem się usłyszeć czegokolwiek, czego bym już nie wiedział. Zacząłem robić kawę i woda z kranu, którą nalewałem do perkolatora, zagłuszyła pierwsze sekundy informacji. Usłyszawszy słowa „areszt” i „podejrzany”, natychmiast zakręciłem kran.

„...Tożsamość aresztowanego nie została ujawniona, ale policja potwierdza, że wczoraj wieczorem aresztowano mieszkańca Manham w związku z porwaniem nauczycielki Jenny Hammond...”

Prezenter przeszedł do kolejnego tematu. A co z Jenny? Miałem ochotę wyć. Skoro kogoś aresztowali, to dlaczego jej nie znaleźli? Zdałem sobie sprawę, że wciąż kurczowo trzymam perkolator. Odstawiłem go z hukiem i chwyciłem za telefon. No, dalej, odbierz, zaklinałem w myślach, wystukując numer Mackenziego. Wybrzmiało kilka sygnałów i już byłem pewien, że włączy się poczta, gdy odebrał.

- Znaleźliście ją? – wypaliłem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.
- To pan, doktorze?
- Czy ją znaleźliście?
- Nie. Nie mogę teraz rozmawiać, oddzwonię do pana...
- Niech się pan nie rozłącza! Kogo macie?
- Nie mogę tego panu powiedzieć.

– Na miłość boską...

– Nie postawiono mu zarzutów i nie możemy ujawnić jego tożsamości. Przecież wie pan, jak to działa – powiedział niemal przeprasającym tonem.

– Powiedział wam coś?

– Nadal go przesłuchujemy.

Czyli nic nie powiedział.

– Dlaczego mnie pan nie powiadomił? Mówił pan, że zadzwoni, jeśli cokolwiek się wydarzy!

– Było późno. Zamierzałem skontaktować się z panem dziś rano.

– Poważnie? Myślał pan, że będzie mi przeszkadzał?

– Niech pan posłucha, wiem, że się pan zamartwia, ale to policja prowadzi śledztwo...

– Wiem, bo jej pomagałem, o ile pan pamięta.

– Gdy będę mógł coś panu przekazać, to to zrobię. Dopiero przesłuchujemy podejrzanego i to wszystko, co mogę na ten moment powiedzieć.

Z trudem się powstrzymałem, by na niego nie wrzasnąć, ale wiedziałem, że groźbami nic nie wskóram.

– W radiu mówili, że to ktoś z miejscowych – powiedziałem, starając się opanować. – A to oznacza, że za chwilę wszyscy będą wiedzieć kto to, czy wam się to podoba, czy nie. I tak się dowiem. Różnica będzie tylko taka, że kolejne kilka godzin spędzę na domysłach. Nagle poczułem, że nie mam siły się z nim wyklócać. – Proszę. Muszę wiedzieć.

Zawahał się. Milczałem, dając mu czas, by się utwierdził w decyzji.

– Proszę zaczekać.

W słuchawce rozległ się stłumiony szelest. Chyba próbował odejść na bok, gdzie nikt nie będzie go słyszał. Po chwili odezwał się szeptem:

– To jest ściśle poufne, rozumie pan?

Nawet nie musiałem odpowiadać.

– Ben Anders.

Spodziewałem się, że usłyszę znajome nazwisko. Ale nie to.

– Doktorze? Jest pan tam? – spytał Mackenzie.

– Ben Anders? – powtórzyłem w osłupieniu.

– Widziano jego samochód niedaleko jej domu, wcześniej rano tego dnia, gdy zniknęła.

– I to wszystko?

– Nie, nie wszystko – burknął. – W bagażniku znaleźliśmy sprzęt do zastawiania siodeł. Druk i nożyce do drutu. Drewno na siadła.

– Jest strażnikiem w rezerwacie. Pewnie używa tego w pracy.

– A dlaczego jego samochód stał przed domem Jenny Hammond?

Wciąż nie dowierzałem, że to się dzieje naprawdę. Ale mój umysł zaczynał pracować.

– Kto go tam widział?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dostaliście cynk, tak? Anonimowy?

– Dlaczego pan tak uważa? – W jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości.

– Bo wiem, kto wam go dał – powiedziałem z nagłą pewnością. – Carl Brenner. Pamięta pan, jak mówiłem, że Ben podejrzewał go o kłusownictwo? Kilka dni temu się pobili. Brenner przegrał.

– To nic nie znaczy – upierał się Mackenzie.

– Znaczy, że trzeba zapytać Brennera, co o tym wie. Nie wierzę, że Ben ma z tym cokolwiek wspólnego.

– Dlaczego nie? Bo jest pańskim kumplem? – Mackenzie wyraźnie się rozżłościł.

– Nie, bo myślę, że go wrobiono.

– Aha. I sądzi pan, że nam to nie przyszło do głowy? Zanim pan spyta, to tak się składa, że Brenner ma mocne alibi, czego nie można powiedzieć o pańskim znajomym. Wiedział pan, że on i Sally Palmer byli kiedyś parą?

Zaniemówiłem. Ta informacja kompletnie zbiła mnie z tropu.

– Kilka lat temu mieli romans – podjął Mackenzie. – Tuż przed pana przyjazdem do Manham.

– Nie wiedziałem – odparłem skołowany.

– Może zapomniał panu o tym wspomnieć. Założę się, że nie zwierzył się też z tego, że piętnaście lat temu był aresztowany za napaść na tle seksualnym. Mam rację?

Znowu odebrało mi mowę.

– Przyglądaliśmy mu się, jeszcze zanim dostaliśmy cynk. Dziw nad dziwy, ale nie jesteśmy kompletnymi idiotami – kontynuował bezlitośnie. – A teraz pan wybacz, jestem bardzo zajęty.

Rozłączył się. Odłożyłem słuchawkę. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

W normalnych okolicznościach dałbym się pokroić za to, że Ben jest niewinny. Nadal byłem pewien, że to Brenner dał im cynk. Facet był na tyle małostkowy, by chcieć za wszelką cenę wyrównać porachunki z Brennerem.

Mimo to słowa Makcenziego mną wstrząsnęły. Nie miałem pojęcia, że Ben romansował z Sally, a tym bardziej że miał na koncie brutalną napaść. Co prawda, nie było powodu, by mi o tym mówił, a wszystko przemawiało za tym, by w obecnej sytuacji zachował to dla siebie. Teraz jednak zacząłem się zastanawiać, jak dobrze go znam. Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy upieraliby się, że bliska im osoba nie może być mordercą. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mogę być jedną z nich.

O wiele bardziej niepokojąca była jednak ewentualność, że policja marnuje cenny czas na niewłaściwego człowieka. Nagle wiedziałem, co mam zrobić. Chwyciłem kluczyki od samochodu i wybiegłem z domu. Jeśli Brenner skłamał, by zrobić Bena, to musiał zdawać sobie sprawę, co to oznacza dla Jenny. Musiałem się dowiedzieć, jak jest, i w razie konieczności zmusić go do wyznania prawdy. Bo jeśli nie...

Nie chciałem myśleć, co się wtedy stanie.

Gdy jechałem przez miasteczko, słońce już przypiekało. Wydawało się, że na ulicach jest jeszcze więcej policji i prasy niż wcześniej. Dziennikarze, fotoreporterzy i dźwiękowcy kłębili się w grupkach, niezadowoleni, że miejscowi trzymają buzie na kłódkę. Nie mogłem znieść myśli, że są tutaj z powodu Jenny. Mijając kościół, zobaczyłem na dziedzińcu Scarsdale'a. Pod wpływem impulsu zatrzymałem się i wysiadłem. Rozmawiał z Tomem Masonem, wymachując kościstym palcem i wydając mu polecenia. Na mój widok przerwał i skrzywił się.

– Pan doktor – rzucił zimno zamiast „dzień dobry”.

– Chciałem prosić o przysługę – powiedziałem bez wstępów.

Nie potrafił ukryć satysfakcji.

– O przysługę? Co za odmiana.

Pozwoliłem mu ponapawać się tą chwilą. Były teraz ważniejsze sprawy niż duma, jego czy moja. Ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– Tak czy inaczej, będzie to musiało poczekać. Spodziewam się telefonu. Jestem umówiony na wywiad radiowy.

Kiedy indziej jego nadęty ton pewnie by mnie zirytował, ale teraz ledwo go zauważyłem.

– To ważne.

– Tym bardziej łaskawie zechce pan poczekać. – Przekrzywił głowę, słysząc

dźwięk telefonu dobiegający przez otwarte drzwi z boku kościoła. – Proszę wybaczyć.

Miałem ochotę złapać go za zakurzone kłapy marynarki i potrząsnąć nim. Najchętniej w ogóle bym stąd poszedł, ale obecność Scarsdale'a mogła pomóc, jeśli zamierzałem zaapelować do wyższych uczuć Brennera, o ile ten takie posiadał. Po tym, jak wczoraj wieczorem prawie go potrąciłem, była mała szansa, że mnie wysłucha, jeśli stawię się u niego sam. Więc zmilczałem i postanowiłem zaczekać, aż Scarsdale wróci.

Z zamyślenia wyrwał mnie szczęk sekatora. Spojrzałem na Toma Masona, który starannie przycinał trawę wokół rabatek, udając, że nie słyszał naszej rozmowy. Zdałem sobie sprawę, że nawet się z nim nie przywitałem.

– Dzień dobry, Tom – powiedziałem, starając się ukryć wzburzenie w głosie. Rozejrzałem się, szukając wzrokiem jego dziadka. – Gdzie George?

– W łóżku. Nie wstaje.

Nawet nie wiedziałem, że się rozchorował. Był to kolejny znak, jak bardzo zaniedbałem swoją pracę.

– Znowu kręgosłup?

Pokiwał głową.

– Jeszcze parę dni i dojdzie do siebie.

Poczułem się winny. Stary George i jego wnuk byli pacjentami Henry'ego, ale wizyty domowe należały do moich obowiązków. A stary ogrodnik był tak nieodłącznym elementem krajobrazu Manham, że powinienem był zauważyć jego zniknięcie. Ile osób ostatnio zawiodłem? I wciąż zawodzę, bo Henry znowu musi przejąć moich porannych pacjentów.

Jednak lęk o Jenny był silniejszy niż wszystko. Każdą komórką ciała czułem, że muszę działać, coś zrobić, cokolwiek. Przez otwarte drzwi słyszałem pompatyczny głos perorującego Scarsdale'a. Ze zniecierpliwienia zakręciło mi się w głowie. Słońce na dziedzińcu wydawało się zbyt jaskrawe, powietrze mdliło słodyczą. Coś podświadomie mnie męczyło, ale gdy Scarsdale odłożył słuchawkę, wrażenie to natychmiast się rozwiało. Chwilę później wyszedł z zakrystii, dumny z siebie jak paw.

– No więc, panie doktorze, co mogę dla pana uczynić?

– Jadę spotkać się z Carlem Brennerem. Proszę pojechać ze mną.

– A czemuż miałbym to zrobić?

– Bo jest szansa, że pana posłucha.

– W jakiej sprawie?

Spojrzałem na ogrodnika, ale stał już dalej, całkowicie pochłonięty pracą.

– Policja kogoś aresztowała. Sądzę, że się pomylili, bo Brenner celowo wprowadził ich w błąd.

– Czy ten niby błąd ma przypadkiem coś wspólnego z Benem Andersem?

Odpowiedź miałem wymalowaną na twarzy. Scarsdale wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Przykro mi, ale to żadna nowina. Widziano, jak zabiera go policja. Trudno coś takiego ukryć przed ludźmi.

– Nieważne, o kogo chodzi. Myślę, że Brenner podał policji nieprawdziwe informacje.

– Wolno mi wiedzieć dlaczego?

– Ma z Benem na pieńku. W ten sposób mógł się na nim odegrać.

– Ale nie wie pan tego na pewno, prawda? – Scarsdale krytycznie wydał wargi. – A o ile wiem, Anders to pański przyjaciel.

– Jeśli jest winny, zasługuje na wszystko, co go w tej sytuacji czeka. Ale jeśli nie jest, to policja marnuje czas.

– Sami o tym zdecydują. Nie potrzebują rady lekarza rodzinnego.

Starałem się nie unosić.

– Proszę.

– Przykro mi, panie doktorze, ale chyba nie zdaje pan sobie sprawy, o co proszę. Oczekuje pan, że zaburzę przebieg śledztwa policyjnego.

– Chodzi o uratowanie ludzkiego życia! – prawie wykrzyknąłem. – Błagam – dodałem już ciszej. – Nie proszę w swojej sprawie. Kilka dni temu Jenny Hammond siedziała w tym kościele, słuchając, jak pastor mówi, że trzeba coś zrobić. Być może jeszcze żyje, ale jej godziny są policzone. Nie ma... Nie mogę... – Głos uwiązł mi w gardle.

Scarsdale bacznie mi się przyglądał. Nie mogąc już nic więcej z siebie wydusić, pokręciłem głową i ruszyłem w swoją stronę.

– Skąd pewność, że Carl Brenner mnie posłucha?

Przez chwilę nie docierało do mnie, co mówi. Odwróciłem się.

– To pan wezwał ich do tych patroli. Bardziej się będzie liczył z panem niż ze mną.

– Ta trzecia kobieta... – zaczął ostrożnie. – Zna ją pan?

Skinąłem głową. Patrzył na mnie przez chwilę, coś rozważając. W jego oczach zamajaczyło coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Współczucie. Zaraz jednak

znikło, zastąpione typową dla niego protekcjonalnością.

– Dobrze.

Nigdy wcześniej nie byłem u Brennera, ale jego dom był tak charakterystyczny, że nie dawało się go nie zauważyć, położony niecałe dwa kilometry za miasteczkiem, przy polnej drodze latem usianej koleinami, a przez resztę roku kałużami. Okoliczne pola były kiedyś osuszone i uprawiane, ale teraz powoli dziczały. Pośrodku, otoczony rupieciami i śmieciami, stał dom. Wysoki, rozpadający się budynek, w którym trudno było dopatrzeć się choćby jednej prostej linii czy kąta. Na przestrzeni lat obrósł przybudówkami, prowizorycznymi konstrukcjami, które oblepiały ściany jak pijawki. Dach załatano kawałkiem blachy falistej, nad którą wznosił się olbrzymi, absurdalnie nowoczesny talerz anteny satelitarnej.

Scarsdale przez całą drogę nie odezwał się słowem. W zamkniętej przestrzeni samochodu jego stęchła, lekko kwaśna woń była jeszcze bardziej wyczuwalna. Auto, podskakując na koleinach, skręciło w stronę domu. Przywitał nas wściekle rozszczekany pies, ale gdy wysiedliśmy, nie podbiegł, tylko trzymał się na odległość. Kiedy załomotałem do drzwi, na ziemię osypały się płatki łuszczącej się farby. Otworzyły się niemal natychmiast i stanęła w nich wynędzniała kobieta, w której rozpoznałem matkę Carla Brennera.

Nieludzko chuda, blada, z prostymi strąkami włosów wyglądała, jakby wyszano z niej całe życie. Była wdową, a zważywszy na to, jaką rodzinę musiała sama wykarmić, pewnie tak właśnie było. Pomimo upału na spłowiałą sukienkę miała narzucony wełniany kardigan, którego skraj teraz nerwowo skubała. Zamrugła pytająco.

– David Hunter, tutejszy lekarz – powiedziałem. Scarsdale’a nie musiałem przedstawiać. – Jest Carl?

Moje pytanie nie wywołało żadnej reakcji. Już miałem powtórzyć, gdy odezwała się, splatając ręce na piersiach.

– Śpi.

Mówiła szybko, z agresją i niepokojem w głosie.

– Musimy z nim porozmawiać. W ważnej sprawie.

– Nie lubi, jak go budzić.

Scarsdale wystąpił naprzód.

– Zajmiemy tylko chwilę, pani Brenner. Ale naprawdę musimy zamienić z nim

parę słów.

Poirytowało mnie to, jak chce przejąć pałeczkę, ale szybko o tym zapomniałem. Liczyło się tylko to, by dostać się do środka. Kobieta cofnęła się niechętnie.

– Zaczekajcie w kuchni. Pójdę po niego.

Scarsdale wszedł pierwszy. Ja za nim. W zagraconym korytarzu czuć było starymi meblami i smażonym jedzeniem. W kuchni woń przypalonego tłuszczu przybrała na sile. W kącie grał mały telewizor. Przy stole nad pustymi talerzami sprzeczali się nastoletni chłopak i dziewczyna. Obok siedział Scott Brenner, z zabandażowaną stopą opartą o niski stół. Oglądał telewizję, popijając herbatę. Gdy weszliśmy, wszyscy zamilkli i wbili w nas wzrok.

– Dzień dobry, Scott – powiedziałem niepewnie.

Nie mogłem sobie przypomnieć imion młodszego rodzeństwa. Po raz pierwszy ogarnęły mnie wątpliwości, czy na pewno postępuję słusznie, wchodząc do czyjegoś domu z zamiarem oskarżenia jego właściciela o kłamstwo. Ale odpędziłem je od siebie. Słusznie czy nie, nie miałem wyboru. Zapadła cisza. Scarsdale stał na środku, niewzruszony niczym posąg. Chłopak i dziewczyna wciąż wlepiali w nas oczy. Scott spuścił wzrok.

– Jak noga? – spytałem, by przerwać milczenie.

– W porządku. – Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. – Trochę ćmi.

Zauważyłem, że bandaż jest brudny.

– Kiedy ostatni raz zmieniałeś opatrunek?

Poczerwieniał.

– Nie wiem.

– Ale zmieniałeś go, prawda?

Nie odpowiedział.

– To głęboka rana, nie można jej tak po prostu zostawić.

– A jak niby mam z tym gdzieś łązić? – rzucił zdenerwowany.

– Przysłałibyśmy pielęgniarkę. Carl nie mógł cię przywieźć do przychodni?

Twarz mu skamieniała.

– Ma ważniejsze sprawy.

*W to nie wątpię*, pomyślałem. Ale nie miałem powodów do moralnej wyższości. Był to kolejny dowód na to, jak bardzo oddaliłem się od swoich pacjentów. Dały się słyszeć kroki na schodach i do kuchni weszła matka.

– Melissa, Sean, na zewnątrz – zwróciła się do nastolatków.



– Dlaczego?

– Bo tak mówię! No już!

Wyszli opieszale, nadąsani. Kobieta podeszła do zlewu i odkręciła wodę.

– Syn zejdzie? – spytałem.

– Jak będzie gotowy.

Wyglądało na to, że więcej już dla nas nie zrobi. Ciszę zakłócał tylko szum wody i brzęk talerzy i sztućców, gdy zaczęła nerwowo zmywać stos naczyń. Nasłuchiwałem jakiegokolwiek ruchu na górze, ale nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki.

– To co mam zrobić? – spytał Scott, z z troskaniem spoglądając na swoją nogę.

Z trudem wróciłem do niego myślami. Czuję, że Scarsdale mnie obserwuje. Przez chwilę niecierpliwość walczyła we mnie z poczuciem obowiązku, po czym się poddałem.

– Daj, obejrzę ją.

Mimo brudnego bandaża rana nie wyglądała źle. Goiła się i była duża szansa, że Scott odzyska pełną władzę w stopie. Szwy zakładała mu chyba mało sprawna studentka pierwszego roku pielęgniarstwa, ale brzegi rany ładnie się zrastały. Przyniosłem z samochodu apteczkę i zacząłem zmieniać opatrunek. Już kończyłem, gdy ciężkie dudnienie stóp oznajmiło nadejście Brennera.

Wstałem. Brenner opieszale wszedł do kuchni. Miał na sobie brudne dżinsy i obcisły podkoszulek. Był blady, ale silny, na torsie, brzuchu i ramionach odznaczały się pręgi mięśni. Przeszył mnie kąśliwym spojrzeniem, po czym skinął głową w kierunku Scarsdale'a, wyrażając coś w rodzaju wymuszonego szacunku. Przypomni mi nadąsanego uczniaka, który trafił na dywanik do dyrektora.

– Witaj, Carl – powiedział Scarsdale, przejmując inicjatywę. – Przykro nam, że musimy cię niepokoić.

W jego głosie pobrzmiwała dezaprobata. Brenner nagle zdał sobie sprawę, jak wygląda.

– Dopiero co wstałem – wymamrotał zaspany. – Późno się wczoraj położyłem.

Mina Scarsdale'a mówiła, że jakoś to przeboleje. Ten jeden raz.

– Pan doktor chciał cię o coś spytać.

Brenner patrzył na mnie z ostantacyjną wrogością.

– Czego on chciał, to mnie chu... – Zreflektował się. – Czego on chciał, to mnie mało obchodzi.

Scarsdale uniósł ręce, wchodząc w rolę cierpliwego rozjemcy.

– Wiem, że naszliśmy was bez zaproszenia, ale doktor uważa, że to ważne. Chciałbym, żebyś go wysłuchał.

Zwrócił się w moją stronę, dając znak, że zrobił już wszystko co w jego mocy.

– Wiesz, że aresztowano Bena Andersa, prawda? – zacząłem, świadomy, że Scott i jego matka na mnie patrzą.

Brenner zwlekał z odpowiedzią. Oparł się o stół, splatając ręce na piersi.

– No i?

– Coś ci o tym wiadomo?

– A powinno?

– Policja dostała cynk. Od ciebie?

Agresja emanowała z każdego pora jego skóry.

– A co to pana obchodzi?

– Obchodzi mnie o tyle, że jeśli ty im go dałeś, to chcę wiedzieć, czy naprawdę go widziałeś, czy nie.

Zmrużył oczy.

– Oskarża mnie pan?

– Słuchaj, nie chcę tylko, żeby policja marnowała czas.

– A skąd pomyśł, że marnuje? Czas, by ludzie przejeździ na oczy i zobaczyli, jakim sukinsynem jest Anders.

Scott niespokojnie poruszył się na krześle.

– No, nie wiem, Carl, może nie jest...

– Kto cię, kurwa, pytał o zdanie? Stul pysk – Brenner naskoczył na brata.

– Tu nie chodzi tylko o Bena Andersa! – powiedziałem, gdy Scott wzdrygnął się i schował głowę w ramionach. – Naprawdę nic nie rozumiesz?

Brenner odepchnął się od stołu i zacisnął pięści.

– Myślisz, że kim ty, kurwa, jesteś, panie doktoru? Wczoraj w nocy nie raczyłeś nam odpowiedzieć na proste pytanie, a teraz przychodzisz tu mówić mi, co mam robić?

– Chcę tylko, żebyś powiedział prawdę.

– Więc teraz nazywasz mnie pieprzonym kłamcą?

– Igrasz z czyimś życiem!

Uśmiechnął się bezczelnie.

– No i dobrze. Jak dla mnie mogą powiesić gnoja.

– Nie mówię o nim! – krzyknąłem. – A co z dziewczyną? Co będzie z nią?

Sposepniał. Wyglądał, jakby wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Wzruszył ramionami, ale przeszedł już do defensywy.

– I tak już pewnie nie żyje.

Ruszyłem w stronę Brennera, ale Scarsdale położył mi rękę na ramieniu.

– Trzyma je przez trzy dni i dopiero potem je zabija – powiedziałem, próbując opanować głos. – Trzyma je przy życiu, by robić im Bóg jeden wie co. To jest drugi dzień, a policja zajmuje się Benem Andersem. Bo ktoś powiedział, że widział go przed jej domem. – Musiałem przerwać. – Proszę – podjąłem po chwili. – Proszę, jeśli to ty, powiedz im.

Wszyscy patrzyli na mnie oniemiaли. Nikt poza śledczymi nie miał pojęcia, że ofiary są przed śmiercią przetrzymywane. Mackenzie wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, że się z tym zdradziłem. Miałem to gdzieś. Interesował mnie tylko Brenner.

– Nie wiem, o czym mowa – burknął, ale na jego twarzy pojawiła się niepewność. Nie chciał nikomu spojrzeć w oczy.

– Carl? – spytała matka z wahaniem w głosie.

– Mówiłem już, że nie wiem – warknął, nagle znowu rozjuszony. Zwrócił się do mnie. – Było pytanie, była odpowiedź, a teraz wypierdalaj pan!

Nie wiem, co by się stało, gdyby nie Scarsdale. Szybko stanął między nami.

– Dość tego! – Odwrócił się do Brennera. – Carl, rozumiem twoje nerwy, ale byłbym wdzięczny, gdybyś w mojej obecności nie posługiwał się takim językiem. Ani w obecności swojej matki.

Brenner bynajmniej nie był zadowolony z nagany, ale Scarsdale nie wątpił w swój autorytet. Zwrócił się teraz do mnie:

– Panie doktorze, otrzymał pan odpowiedź. Nie widzę powodu, byśmy przedłużali naszą wizytę.

Ani drgnąłem. Patrzyłem na Brennera, bardziej pewny niż kiedykolwiek, że wrobił Bena z chęci odwetu. Widząc jego kwaśną minę, nabrałem ochoty, by wytluc z niego prawdę.

– Jeśli coś jej się stanie – powiedziałem jakby obcym głosem – jeśli zginie dlatego, że skłamałeś, przysięgam, że własnoręcznie cię ukatrupię.

Zdawało się, że moja groźba zassała całe powietrze z kuchni. Poczułem, jak Scarsdale bierze mnie za ramię i prowadzi do drzwi.

– Idziemy, panie doktorze.

Przystanąłem przy Scotcie. Blady jak ściana patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami. Scarsdale wypchnął mnie na korytarz. W milczeniu wsiedliśmy do auta. Dopiero na szosie do Manham odzyskałem mowę.

– Kłamie.

– Gdybym wiedział, że nie potrafi pan nad sobą panować, nigdy bym się nie zgodził z panem jechać – odpowiedział. – Zachował się pan haniebnie.

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Haniebnie? Wrobił niewinnego człowieka, nie zastanawiając się nad konsekwencjami!

– Nie ma pan na to dowodów.

– Och, litości! Był tam pastor i sam słyszał!

– Słyszałem, jak dwóch mężczyzn straciło panowanie nad sobą, to wszystko.

– Żartuje pan? Chce mi pan powiedzieć, że nie wierzy, że Brenner dał cynk policji?

– Nie mnie to osądzać.

– Nie proszę, by pastor to osądzał. Tylko żeby pojechał ze mną i powiedział im, że muszą z nim porozmawiać!

Milczał przez chwilę, a gdy się odezwał, zmienił temat.

– Mówił pan, że morderca nie zabija ofiar od razu. Skąd pan to wie?

Odruchowo się zawahałem, ale teraz było mi wszystko jedno, kto pozna moją przeszłość. Nie miało to już znaczenia.

– Badałem zwłoki.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Pan?

– Kiedyś byłem specjalistą w tej dziedzinie. Zanim tu przyjechałem.

Chwilę zajęło, zanim Scarsdale to przetrawił.

– Chce pan powiedzieć, że brał pan udział w śledztwie?

– Tak, prosili mnie o pomoc.

– Rozumiem. – Ton jego głosu wskazywał, że nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– I postanowił pan utrzymać to w tajemnicy.

– To poufna praca. Niespecjalnie chce się o tym rozpowiadać.

– Naturalnie. Zwłaszcza takim kmiotkom jak my. Założę się, że świetnie pan się bawił, obserwując naszą ignorancję.

Na policzkach wykwitły mu rumieńce. Powiedzieć, że był niezadowolony, to mało, był wściekły. Przez chwilę nie pojmowałem, dlaczego zareagował tak emocjonalnie,

ale potem to do mnie dotarło. W roli przywódcy miasteczka czuł się jak ryba w wodzie. Teraz dowiedział się, że przez cały ten czas ktoś inny grał pierwsze skrzypce, mając dostęp do informacji, których jemu odmówiono. Był to wielki cios dla jego dumy. Co gorsza, ucierpiało też jego poczucie własnej wartości.

– To nie tak – powiedziałem.

– Czyżby? Dziwne, że mówi pan mi o tym dopiero teraz, gdy czegoś ode mnie potrzebuje. No cóż, widzę, że byłem naiwny. Zapewniam, że drugi raz nie dam z siebie zrobić głupca.

– Nikt nie zrobił z pana głupca, pastorze. Jeśli pana uraziłem, bardzo przepraszam, ale tu chodzi o coś więcej niż o pana czy o mnie.

– W rzeczy samej. Może być pan pewien, że od teraz pozostawię to w rękach „specjalistów”. – W jego głosie pobrzmiwała gorzka ironia. – W końcu jestem tylko pokornym sługą bożym.

– Potrzebuję pańskiej pomocy. Nie mogę...

– Nie sądzę, byśmy mieli sobie coś jeszcze do powiedzenia – przerwał mi.

Reszta podróży upłynęła w ciszy.

Obudził ją hałas. Z początku ciemność pozbawiła ją orientacji. Nie pamiętała, gdzie jest, dlaczego nic nie widać. Nigdy nie zasłaniała okien na noc, żeby do sypialni wpadała choć odrobina światła. Potem poczuła twardą podłogę i ten zapach i nagle świadomość własnego położenia uderzyła w nią boleśnie.

Znowu pociągnęła za sznur. Zdążyła połamać sobie na nim paznokcie i gdy je posiadała, poczuła smak krwi. Mimo wysiłków węzeł nie poluzował się ani o milimetr. Osunęła się na plecy. Zaczynały dręczyć ją też inne uciążliwości. Głód, a przede wszystkim pragnienie. Zanim zasnęła, odkryła maleńką kałużę wody, która sączyła się przez ściany piwnicy. Udało jej się do niej sięgnąć. Była zbyt płytka, by się z niej napić, ale Jenny zdjęła koszulkę, namoczyła ją i wyssała całą wilgoć. Woda śmierdziała stęchlizną i miała słony smak, ale i tak była cudowna.

Od tamtej pory znalazła dwie inne szczeliny, przez które wydostawała się woda, i zrobiła to samo. Nie zaspokoiła tym jednak pragnienia. Śniła jej się woda. Obudziła się z jeszcze bardziej wyschniętym gardłem i nie mogła się otrząsnąć z letargu. Wiedziała, że jedno i drugie jest pierwszym znakiem braku insuliny, ale nie chciała o tym myśleć. Żeby się czymś zająć, zaczęła znowu obmacywać podłogę, licząc, że kałuże już się napełniły.

Nagle usłyszała hałas. Dochodził z pomieszczenia za przegrodą z desek.

Ktoś tam był.

Czekała, wstrzymując oddech. Ktokolwiek tam był, nie przyszedł jej na ratunek. Wciąż rozlegał się odgłos kroków, ale poza tym nic się nie działo. Zauważyła, że przez szpary dostaje się teraz więcej światła. Powoli się pod nie podczołgała. W uszach zaszumiła jej krew, zagłuszając wszystko inne. Najciszej, jak się dało, przywarła okiem do szczeliny jak poprzednio. Po mroku panującym w piwnicy światło poraziło jej siatkówkę aż do bólu. Zamrugała, wyciskając nagromadzone łzy, i po chwili wzrok się przyzwyczaił. Nad stołem paliła się naga żarówka na długim kablu. Sięgała tak nisko, że rzucała tylko płamę światła, oświetlając niewielki skrawek

pomieszczenia, a cała jego reszta, łącznie z martwymi zwierzętami u sufitu, ledwo majaczyła w mętным mroku.

Znowu ten hałas. Z ciemności wyłonił się mężczyzna. W świetle mignęły dzinsy i kawałek wojskowej parki. Jego sylwetka, nachylona nad stołem, wyglądała na wysoką i masywną. Ruszył w jej stronę.

Szybko odsunęła się od ścianki. Nagle kroki ustały. Patrzyła w ciemność jak sparaliżowana. Rozległ się głośny zgrzyt metalu i rozbłysła pionowa smuga światła. Chwilę potem rozlało się po jej celi, a deski odskoczyły w tył. Jenny, oślepią, zakryła oczy. Stała nad nią czyjaś ciemna postać.

– Wstań.

Głos był cichym szeptem. Zbyt była przerażona, by dociekać, czy brzmi znajomo, czy nie. Nie była w stanie się ruszyć.

Gwałtowny ruch, potem nagły, ostry ból. Krzyknęła, łapiąc się za ramię. Było mokre. Z niedowierzaniem spojrzała na zakrwawioną dłoń.

– Wstawaj!

Ścisnęła ranę na ramieniu i z trudem podniosła się na nogi. Dygocząc, przywarła plecami do ściany. Oczy zaczynały jej się przyzwyczajać do światła, ale nie podnosiła głowy. *Nie patrz na niego. Jeśli będzie wiedział, że go rozpoznałaś, nie wypuści cię.* Lecz wzrok odmówił posłuszeństwa. Nie powędrował na jego twarz, ale na nóż myśliwski, zakrzywionym ostrzem skierowany w jej stronę. *Boże, nie, błagam...*

– Rozbieraj się.

Jakby znów była w tamtej taksówce. Tylko że tym razem było gorzej, bo nie mogła liczyć, że ktoś ją uratuje.

– Dlaczego? – Nie chciała tego, ale jej głos zabrzmiał histerycznie.

Nie zdążyła zareagować, gdy ostrze znowu świsnęło w powietrzu. Poczła piekące zimno na policzku. Osłupiała przyłożyła do niego dłoń i po palcach spłynęło jej coś mokrego. Spojrzała na rękę połyskującą od krwi i dopiero wtedy poczuła ból, żywe pieczenie, które odebrało jej oddech.

– Ściągaj ubranie.

Tym razem dotarło do niej, że już kiedyś słyszała ten głos. Próbowała go do kogoś przypisać, ale docierał do niej jak echo ze studni. *Nie mdlej. Nie mdlej.* Ból rozciętego policzka pomagał jej utrzymać przytomność. Zachwiała się, ale nie upadła. Nie słyszała chrapliwego oddechu mężczyzny, gdy ten nieśpiesznie wysunął ku niej nóż. Czubkiem dotknął jej nagiego ramienia, potem obrócił go horyzontalnie, tak że płaz

lekką spoczął na jej skórze. Zamknęła oczy, gdy przesunął się jak piórko, kreśląc zarys jej mostka, po czym spoczął na jej gardle. Ostrze powoli poderwało się i dotknęło miękkiej skóry pod brodą. Jego nacisk bezlitośnie przybierał na sile, zmuszając ją do uniesienia głowy. Gdy nie mogła już odchylić się dalej, znieruchomiała, trzymając ją opartą na ostrym jak igła koniuszku, z całkowicie odkrytą szyją. Starła się nie ruszać, łapiąc powietrze rwanymi haustami. Nagle nóż zniknął.

– Ściągaj je.

Otworzyła oczy, nadal nie patrząc na mężczyznę. Ołowianymi rękami chwyciła za koszulkę, moką i brudną, i zsunęła ją przez głowę. Na krótką chwilę, gdy materiał przykrył jej twarz, otuliła ją błoga ciemność, ale potem znów pojawiła się ta zaśmiardła piwnica.

Po raz pierwszy ogarnęła ją wzrokiem. Jej cela była wydzieloną częścią jakiejś sutereny, odgradzoną ścianką z nieheblowanych desek. W cieniu poza plamą światła z żarówki wały się rupiecie, stare meble i narzędzia. W głębi pięły się w górę schody, które widziała już wcześniej, słabo oświetlone światłem z niewidocznego źródła.

U góry nad tym wszystkim wisały okaleczone trupy zwierząt.

Były wszędzie, zasuszone wiechcie futra, kości i piór, falujące w przeciągu niewiadomego pochodzenia. Potem mężczyzna podszedł i zagroził dopływ światła. Nie potrafiła odwrócić wzroku od noża w jego ręku. W popłochu zaczęła się rozbierać, za wszelką cenę chcąc uniknąć kolejnego ciosu. Gdy przyszła kolej na szorty, zamarła na chwilę, potem je zsunęła, pozwalając, by opadły na przywiązaną stopę. Została tylko w majtkach. Stała ze spuszczoną głową, bojąc się spojrzeć mu w oczy, jak bałaby się spojrzeć w ślepią wściekłego psa.

– Wszystko. – Głos mężczyzny stężał.

– Co chcesz mi zrobić? – wyszeptała Jenny, ganiąc się w myślach za to, że zadrżał jej głos.

– No, już!

Sparaliżowana strachem zrobiła, co kazał. Nachylił się, szybkim ruchem przeciął szorty i majtki, ściągnął z jej przywiązanej stopy i ze zniecierpliwieniem odrzucił na bok. Zdławiła krzyk, gdy powoli wyciągnął rękę i niepewnie, niemal z wahaniem, dotknął jej piersi. Przygryzła wargi i odwróciła głowę, powstrzymując łzy. Spojrzała na ciała zwierząt wiszące u sufitu.



Nie zastanowiwszy się, odepchnęła jego dłoń.

Wciąż czuła na skórze żywe wspomnienie tego dotyku, szorstkość włosów, twardość kości. Czas jakby na chwilę stanął i nic się nie działo. Potem mężczyzna wziął zamach i otwartą dłonią wymierzył jej policzek. Gruchnęła o ścianę i osunęła się na podłogę.

Stanął nad nią, głośno dysząc. Skuliła się, czekając na kolejny cios, ale nie nadszedł. Z ulgą usłyszała, że mężczyzna odchodzi. Bolał ją policzek, ale przynajmniej ten drugi, nie ten rozcięty. *Miałaś szczęście*, pomyślała w otępieniu. *Miałaś szczęście, idiotko*.

Rozległo się pstryknięcie i znowu oślepił ją jaskrawy blask. Przesłaniając oczy, zobaczyła, że włączył lampkę stojącą na stole. Zamknięta w kręgu jej światła, usłyszała dobiegające z cienia szuranie krzesła o podłogę, a potem skrzywienie, gdy na nim usiadł.

– Wstań.

Z bólem wykonała polecenie. Jej zryw buntu przyniósł jednak subtelną zmianę. Wciąż czuła strach, ale teraz dołączył do niego także gniew. Czerpała z niego siłę, na tyle przynajmniej, by wyprostować się hardo. *Cokolwiek się stanie*, powiedziała sobie, *zachowam chociaż pozory godności*. Nagle stało się to dla niej bardzo ważne.

*No dobra. Rób, co masz robić. Byle szybko.*

Naga, drżąca, czekała na to, co miało nastąpić. Lecz nic się nie działo. Z ciemności dobiegały jakieś dźwięki. Co on tam robił? Odważyła się zerknąć na tyle, by dostrzec zarys siedzącej postaci. Szeroko rozłożone nogi, rytmiczne zdławione dyszenie, w końcu zrozumiała.

Masturbował się.

Odgłosy dochodzące spoza kręgu światła stawały się coraz bardziej natrętne. Stłumiony jęk. Szuranie butów, potem cisza. Jenny stała nieruchomo, ledwo oddychając i nasłuchując. Urywane sapanie zamierało.

Po chwili wstał. Coś zaszeleściło. Podeszedł do niej. Wbiła wzrok w swoje stopy, gdy stanął nad nią tak blisko, że czuła jego zapach. Podsunął jej coś.

– Włóż to.

Wyciągnęła dłoń, ale jej wzrok napotkał nóż. *Odlóż go*, rzuciła w duchu. *Odlóż go chociaż na chwilę. Wtedy zobaczymy, jaki z ciebie chojrak*. Ale nie zrobił tego. Trzymał nóż w ręku, gdy wzięła od niego zawiniątko. Zobaczyła, że to sukienka, i poczuła iskierkę nadziei, myśląc, że zamierza ją wypuścić. Ale nadzieja zgasła, gdy

zorientowała się, co ma w rękach.

Suknię ślubną.

Satynową, z koronką, poóółkłą od starości. Brudną, usianą zaskorupiałymi plamami. Zebrało jej się na mdłości, gdy zdała sobie sprawę co to.

Zaschnięta krew.

Wypuściła suknię z rąk. Błysnął nóż, pozostawiając na jej ramieniu karmazynową szramę, która natychmiast wypełniła się i wezbrała.

– Podnieś!

Nachyliła się, czując, jakby jej kończyny należały do kogoś innego. Włożyła w nią jedną nogę, ale druga była przywiązana za kostkę. Poczła przebłysk nadziei, ale coś nie pozwoliło jej poprosić, by rozwiązał sznur. *Tego właśnie chce*, podpowiedziała jej intuicja. *Chce, żebym dała mu pretekst.*

Cela zawirowała jej przed oczami, jednak świadomość, że czyta w jego myślach, dodała jej sił. Niezdarnie wsunęła sukienkę przez głowę. Tkanina odrażająco cuchnęła zakrzepłym odorem naftaliny, zjełczalym potem i odrobiną perfum. Gdy ciężkie fałdy opadły jej na twarz, poczuła się klaustrofobicznie, jak zakleszczona w pułapce, bała się, że znów chlaśnie ją nóż. Szybko uwolniła głowę i haustem zaczerpnęła powietrza.

Mężczyzny nie było w pobliżu. Stał w mroku, robiąc coś przy stole. Jenny spojrzała na siebie. Suknia była pognieciona i sztywna, obok zaschniętych miała świeże plamy krwi, jej krwi. Ale była starannie uszyta, z grubego ciężkiego atłasu, z misternie wyhaftowanymi lilijkami na przodzie. *Kiedyś miała ją na sobie panna młoda*, pomyślała. *W najszcześniejszym dniu swojego życia.*

Rozległ się terkot, jakby nakręcanego zegara. Wciąż spowity cieniem mężczyzna postawił obok lampy małą drewnianą skrzynkę. Dopiero gdy uniósł jej wieko, zdała sobie sprawę co to.

Pozytywka. W środku na kolumience stała małeńka baletnica. Jenny patrzyła, jak figurka zaczyna się obracać. Przez cuchnące powietrze popłynęły słodkie, łamiące się dźwięki kuranta. Mechanizm był zepsuty, ale dawało się rozpoznać melodię. *Clair de Lune.*

– Tańcz.

Komenda wyrwała Jenny ze stuporu.

– Słucham?

– Tańcz.

Polecenie było tak surrealistyczne, że równie dobrze mogło paść w obcym języku.

Dopiero uniesiony nóż ją oprzytomnił i zmusił do ruchu. Zaczęła kołysać się z nogi na nogę w delirycznej parodii tańca na uwięzi. *Nie płacz, nie pozwól, by zobaczył twoje łzy*, powtarzała w duchu. Ale te niekontrolowanie popłynęły jej po policzku.

Wiedziała, że mężczyzna na nią patrzy, na w pół ukryty w mroku. Nagle ruszył w stronę schodów. Jenny, zdziwiona, przestała tańczyć, gdy zniknął na stopniach. Przez chwilę myślała, że wyjdzie, nie zamykając jej za drewnianą przegrodą. Jednak po kilku sekundach rozległy się kroki w dół. Powolne i miarowe, stawiane bardziej ociężale, niż gdy wchodził na górę. W ich nieśpiesznym rytmie było coś przerażająco złowieszczego. *Chce cię wystraszyć*, powiedziała sobie. *To jego kolejna gierka, jak z tą sukienką.*

Odwróciła wzrok, gdy zjawił się u dołu schodów, i znowu zaczęła bujać się w takt muzyki. Nie podnosząc głowy, słyszała, jak mężczyzna powoli porusza się po piwnicy. Znowu chrobot drewna i skrzypienie krzesła. Czuła, że ją obserwuje, pod presją jego wzroku jej ruchy stały się sztywne i niezborne. *Dobrze się bawisz?*, rzuciła w myślach z wściekłością, starając się podsyć w sobie złość. Tylko w ten sposób mogła zapanować nad strachem.

Mechanizm tracił napęd i melodia zwalniała, stając się coraz bardziej niespójna. Gdy całkiem ucichła, zapałka potarła o draskę i rozbłysła. Na chwilę w jej żółtym płomieniu cienie się rozpierzchnęły, ale po chwili znowu wszystko zalała ciemność. Jenny zdążyła jednak dostrzec pochyloną nad ogniem twarz.

Nagle wszystko zrozumiała.

Nie zauważyła, jak muzyka ustała. Nakręcany mechanizm znowu zaterkotał, a do jej nozdrzy dotarła woń siarki i tytoniu. Popłynęły nuty melodii, a Jenny, zdruzgotana nowym szokującym rozpoznaniem, podjęła swój koślawy płas.

Policja wypuściła Bena Andersa później tego samego dnia. Mackenzie powiadomił mnie o tym telefonicznie.

– Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć – powiedział.

Głos miał zmęczony i bezbarwny, jakby przez większość nocy był na nogach. Pewnie tak właśnie było.

Siedziałem w swoim gabinecie w przychodni, dokąd uciekłem przed pustką czterech ścian domu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Owszem, cieszyłem się, że dali Benowi spokój. Jednak niespodziewanie poczułem coś w rodzaju zawodu. Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że Ben mógłby być mordercą, ale widocznie gdzieś w środku musiałem mieć wątpliwości. A może chodziło o to, że skoro policja tak długo przesłuchiwała podejrzanego, niezależnie od tego, kto nim był, to liczyłem, że jest nadzieja na znalezienie Jenny. Teraz nawet ona zgaśła.

– Co się stało? – spytałem.

– Nic. Upewniliśmy się, że nie mógł u niej być tego popołudnia, gdy zaginęła. To wszystko.

– Wcześniej twierdziliście co innego.

– Wcześniej nie wiedzieliśmy – skwitował. – Na początku nie chciał nam zdradzić, gdzie wtedy był. A teraz powiedział i to się zgadza.

– Nie rozumiem – odparłem. – Skoro miał alibi, to dlaczego nie powiedział wam od razu?

– Sam niech go pan zapyta – rzucił z irytacją. – Jak będzie chciał, to panu powie. Jeśli o nas chodzi, jest czysty.

Potarłem oczy.

– Czyli na czym stoimy?

– Będziemy badać kolejne tropy, oczywiście. Wciąż analizujemy dowody rzeczowe z jej domu i...

– Niech pan nie wciska mi kitu, tylko powie wprost!

Zapadła cisza. Wziąłem głęboki oddech.

– Przykro mi – westchnął Mackenzie. – Robimy wszystko, co w naszej mocy. Nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

– Macie innych podejrzanych?

– Jeszcze nie.

– A Brenner? – Już miałem się wygadać, że byłem u niego rano, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. – Nadal jestem pewien, że to on zrobił Andersa. Może warto z nim jeszcze raz porozmawiać?

Mackenzie nie krył zniecierpliwienia.

– Już panu mówiłem, że Carl Brenner ma alibi. Jeśli celowo zmylił policję, pociągniemy go do odpowiedzialności, ale to potem. Teraz mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Czułem, że jeszcze chwila, a zaleje mnie fala rozpacz, którą z całej siły powstrzymywałem.

– Mogę jakoś pomóc? – spytałem, choć wiedziałem, co odpowie.

– Nie teraz. – Zawahał się. – Proszę pana, jeszcze jest czas. Poprzednie kobiety trzymał przy życiu przez trzy dni. Najprawdopodobniej teraz też zadziała według tego samego schematu.

I to miało być pocieszeniem? Chciało mi się krzyczeć. Nawet jeśli Jenny jeszcze żyła, to obaj wiedzieliśmy, że nie zostało jej dużo czasu. A myśl o tym, przez co teraz przechodzi, była nie do zniesienia.

Gdy Mackenzie się rozłączył, długo siedziałem z głową schowaną w ramionach. Z odrętwienia wyrwało mnie pukanie do drzwi. Wyprostowałem się. Henry wjechał na wózek.

– Jakież wieści? – spytał.

Pokręciłem głową. Od razu rzuciło mi się w oczy, że jest bardzo zmęczony. Akurat mnie nie powinno to dziwić. Od kiedy zniknęła Jenny, nawet nie próbowałem przyjmować pacjentów.

– A jak ty się masz?

– Świetnie! – Jednak próba zademonstrowania, jak to rozpiera go energia, się nie powiodła. Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami. – Nie martw się o mnie. Radzę sobie, naprawdę.

Nie przekonał mnie. Był wymizerowany i nie dało się tego ukryć. Choć miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem wszystko na jego głowie, to w tej chwili mogłem

myśleć tylko o Jenny i o tym, co się z nią stanie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Wszystko inne wydawało się zbyt odległe, by się nad tym zastanawiać.

Widząc, że nie jestem w nastroju do rozmowy, zostawił mnie samego. Próbowałem przejrzeć raporty śledcze dotyczące Sally Palmer i Lyn Metcalf, z lichą nadzieją, że znajdę coś, co mi umknęło. Ale to tylko pokierowało moją wyobraźnię w rejony, których chciałem unikać. Sfrustrowany, wyłączyłem komputer. Wpatrując się w ciemny ekran, doznałem nagłego wrażenia, że przeoczyłem coś kluczowego. Coś, co leżało jak na tacy. Przez chwilę wydawało mi się, że już to mam, że zaraz to przyszpilę, ale wyślizgnęło mi się z rąk.

Zerwałem się na równe nogi, czując, że muszę działać. Chwyciłem komórkę i w pośpiechu wsiałem do samochodu. Mogłem jechać tylko w jedno miejsce.

Mimo to, nawet gdy ruszyłem, nie opuszczało mnie przekonanie, że przegapiłem coś oczywistego.

Ben Anders mieszkał w dużym domu z cegły na skraju miasteczka. Dawniej dom należał do jego rodziców, a po ich śmierci Ben mieszkał tam z siostrą do czasu, aż ta wyszła za mąż i się wyprowadziła. Często powtarzał, że jest dla niego za duży, że powinien go sprzedać i kupić coś mniejszego, ale nie podejmował w tym kierunku żadnych działań. W końcu był to jego dom rodzinny, za duży czy nie.

Odwiedziłem go dotąd zaledwie kilka razy – na rozchodniaczka po zamknięciu Baranka – i gdy zaparkowałem przed ciężką drewnianą bramą osadzoną w wysokim kamiennym murze, pomyślałem, że to, że nigdy wcześniej nie byłem tu za dnia, dużo mówi o naturze naszej przyjaźni.

Nawet nie wiedziałem, czy będzie w domu. Teraz, gdy dotarłem na miejsce, pomyślałem, że wolałbym go nie zastać. Przyjechałem tu, żeby usłyszeć bezpośrednio od niego, dlaczego został aresztowany, ale nie zaplanowałem, co konkretnie mu powiem.

Odpędziłem jednak wątpliwości i zastukałem do drzwi. Dom zbudowany był z bladej cegły, nie był wyjątkowo piękny, ale miał w sobie przyciągającą oko masywność. Duży ogród, zadbany, ale bez przesady. Białe okna, ciemnozielone drzwi. Odczekałem chwilę i zapukałem raz jeszcze. I jeszcze raz, i jeszcze. W końcu odwróciłem się, chcąc odejść. Ale nie odszedłem. Nie wiem, czy chodziło tylko o to, że nie chciałem wracać do domu, gdzie mógłbym tylko beczynn timer czekać, czy o coś

więcej, ale miałem dziwne wrażenie, że dom nie jest pusty.

Obok domu biegła ścieżka. Poszedłem nią. Kilka metrów dalej zobaczyłem ciemną plamę na ziemi. Krew. Zrobiłem nad nią krok. Ogród z tyłu domu przypominał pole uprawne. Na jego krańcu rosły drzewka owocowe. W ich cieniu siedziała postać.

Ben nie zdziwił się na mój widok. Na topornym stoliku z nieheblowanych desek stała butelka whisky, a na jego skraju dopalał się papieros. Sądząc po zawartości butelki i rumieńcu na twarzy Bena, siedział tak już od dłuższego czasu. Gdy podszedłem, właśnie nalewał sobie drinka.

– Przyniesi sobie szklankę z domu, jeśli chcesz się przyłączyć.

– Nie, dziękuję.

– Zaproponowałbym ci kawę, ale szczerze mówiąc, nie mam siły ruszyć tyłka. – Wziął niedopałek, spojrział na niego i zgasił. – Pierwszy od czterech lat. Smakuje jak gówno.

– Pukałem.

– Słyszałem. Myślałem, że to znowu ci cholerni dziennikarze. Było tu już dwóch. Pewnie jakiś glina z długim językiem dał im cynk. – Uśmiechnął się krzywo. – Musiałem się trochę postarać, by zrozumieli, że nie mam ochoty na towarzystwo, ale w końcu do nich dotarło.

– Stąd ta krew na ścieżce?

– Owszem, zanim przyjęli do wiadomości, że nie zamierzam niczego komentować, doszło do rozlewu krwi. – Poza zbyt staranną artykulacją nic nie wskazywało, by był pijany. – Gnojki. – Twarz mu pociemniała.

– Pobicie dziennikarzy to nie jest najlepszy pomysł.

– Kto powiedział, że ich pobiliśmy? Wyprowadziłem ich poza granice mojej posiadłości, to wszystko. – Spochmurniał. – Słuchaj, przykro mi z powodu Jenny. – Westchnął. – Cholera, przepraszam, głupio zabrzmiało, prawda?

Nie byłem gotów na przyjmowanie kondolencji.

– O której cię wypuścili?

– Jakies dwie, trzy godziny temu.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego cię puścili?

Spojrział na mnie znad krawędzi szklanki.

– Bo nie miałem z tym nic wspólnego.

– To dlaczego tu siedzisz i się upijasz?

– Przesłuchiwano cię kiedyś w sprawie o morderstwo? – Zaśmiał się. – Przesłuchanie! Wolne, kurwa, żarty. Oni nie słuchają, oni mówią za ciebie. „Wiemy, że tam byłeś. Widziano twój samochód. Gdzie ją zabrałeś? Co jej zrobiłeś?” Mało zabawne, uwierz mi. I nawet jak cię wypuszczają, to tak, jakby robili ci łaskę. –

Podniósł szklankę w udawanym toaście. – A potem znowu jesteś wolnym człowiekiem. Tylko że wiesz, że ludzie będą na ciebie patrzeć i myśleć: nie ma dymu bez ognia i że i tak nigdy ci nie ufali.

– Ale ty nie miałeś z tym nic wspólnego.

Widziałem, jak zaciska mu się szczęką, ale głos miał spokojny.

– Nie, nie miałem z tym nic wspólnego. Ani z tym, co spotkało te pozostałe kobiety.

Nie miałem zamiaru go wypytywać, ale teraz, gdy już tu byłem, nie potrafiłem się powstrzymać. Westchnął i wzruszył ramionami, trochę się odprężywszy.

– To była pomyłka. Ktoś powiedział policji, że widział mój samochód przed domem Jenny. Ale to niemożliwe.

– Skoro mogłeś dowieść, że cię tam nie było, to dlaczego nie zrobiłeś tego od razu? Dlaczego zachowywałeś się, jakbyś coś ukrywał?

Nalał sobie jeszcze jednego drinka.

– Bo ukrywałem. Tylko że nie to, co myśleli.

– Cokolwiek to było, mam nadzieję, że było ważne. – Nie potrafiłem zamaskować złości w głosie. – Cholera, Ben, policja zmarnowała kupę czasu!

Zacisnął usta, ale przyjął ten wyrzut.

– Spotykałem się z pewną kobietą. Nie znasz. Mieszka... no cóż... nie jest z Manham. Byłem z nią.

Reszty już się domyśliłem.

– Ma męża.

– Jeszcze tak. Choć właśnie odwiedziła ich policja, żeby zapytać, czy żona potwierdza, że była ze mną w łóżku. Więc nie wiem, jak długo jeszcze będzie mężatką.

Nie skomentowałem.

– Wiem, wiem. Powinienem był powiedzieć wcześniej – wybuchnął nagle. – Cholera, Bóg mi świadkiem, że żałuję. Mogłem sobie oszczędzić kilku godzin pieprzonej udręki i nie siedzieć teraz tutaj, hamletyzując. Ale jak człowieka



wywiekają z domu i ładują do radiowozu, to może zgłupieć, co nie? – Przetarł dłońmi twarz, wyglądając na zmęczonego. – Tylko dlatego, że coś się komuś przywidziało.

– Nic się nikomu nie przywidziało. To Carl Brenner.

Spiorunował mnie badawczym spojrzeniem.

– Chyba się starzeję – powiedział po chwili. – Cholera, nawet o nim nie pomyślałem.

Obaj spuściliśmy z tonu, milcząco uznając, że poniosły nas nerwy.

– Pojechałem do niego. Nie chciał się przyznać, ale dałbym się pokroić, że to on.

– To nie ten typ człowieka, żeby się do czegoś przyznawać. Ale doceniam twoje starania.

– Nie zrobiłem tego tylko ze względu na ciebie. Chciałem, żeby policja szukała Jenny, a nie ugrzęzła w ślepej uliczce.

– Jasne. – Spojrzał z wahaniem na szklanke, po czym ją odstawił. – Co jeszcze powiedział ci ten twój kumpel komisarz?

– Że miałaś romans z Sally Palmer. I że piętnaście lat temu molestowałaś jakąś kobietę.

Zaśmiał się gorzko.

– Przeszłość zawsze wraca jak bumerang, prawda? Taa... Sally i ja byliśmy razem jakiś czas temu. Nie robiliśmy z tego tajemnicy, ale i jakoś specjalnie się z tym nie obnosiliśmy. Nie w takim miejscu jak to. Ale to nie było nic poważnego. Przelotna miłośćka. Potem zostaliśmy przyjaciółmi. Koniec historii. A to drugie... powiedzmy, że to błąd młodości.

Musiał wyczytać to z mojej miny.

– Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego. Nikogo nie molestowałem. Miałem osiemnaście lat i zacząłem się spotykać z dojrzałą kobietą. Mężatką.

– Znowu to samo.

– Wiem, paskudny nawyk. Nie jestem z tego dumny. Ale wtedy myślałem, że jak dają, to trzeba brać. Byłem młody i sądziłem, że jestem dla kobiet darem niebios. Potem, gdy chciałem to skończyć, zrobiło się niemiło. Groziła mi, pokłóciliśmy się. Zanim się obejrzałem, oskarżyła mnie o próbę gwałtu. – Wzruszył ramionami. –

Ostatecznie wycofała oskarżenie. Ale gówno śmierdzi, co nie? A jeśli się zastanawiasz, dlaczego ci o tym nie mówiłem, to tak się składa, że nie afiszuję się z moim prywatnym życiem. I nie przepraszam za to.

– Nie oczekiwałem tego.

– I dobrze. – Wyprostował się i wylał resztę whisky na trawę. – To by było na tyle, jeśli chodzi o moje mroczne tajemnice. A teraz na spokojnie zastanowię się, co zrobię temu sukinsynowi Brennerowi.

– Nic nie zrobisz.

Na jego twarzy powoli wykwitł złowieszczy uśmiech, w którym znać było efekty działania whisky.

– Nie byłbym taki pewien.

– Jeśli będziesz się na nim odgrywał, tylko jeszcze bardziej zmącisz wodę. Tu chodzi o coś więcej niż o zemstę.

Poczerwieniał na twarzy.

– Mam o tym tak po prostu zapomnieć?

– Na chwilę obecną tak. Potem... – Na myśl o tym, co to „potem” może oznaczać, poczułem ucisk w trzewiach. – Jak złapią tego, kto porwał Jenny, możesz robić, co chcesz.

Spuścił z tonu.

– Masz rację. Nie pomyślałem. W takim razie będę niecierpliwie czekał. – Zasepił się. – Nie myśl, że przemawia przeze mnie uraza, ale zastanawiałeś się może, dlaczego Brenner skłamał policji?

– Poza tym, żeby cię zapuszkowali?

– Może miał więcej niż jeden powód. Na przykład chciał się zabezpieczyć?

– Tak, przeszło mi to przez myśl. Ale nie tylko ty masz alibi. Mackenzie już go sprawdził.

Ben wpatrywał się w pustą szklanę.

– Powiedział ci może, co to za alibi?

Próbowałem sobie przypomnieć.

– Nie.

– No cóż, dam głowę, że zaręczył za niego ktoś z rodziny. Stoją za sobą murem. Dlatego nigdy nie udało nam się wsadzić go za kłusownictwo. No i dlatego, że to przebiegły kawał drania.

Na te słowa serce mi przyspieszyło. Brenner był myśliwym, kłusownikiem, agresywnym i aspołecznym typem. Wziąwszy pod uwagę to, że morderca zastawiał pułapki i znęcał się nad złapanymi w nie zwierzętami i kobietami, Brenner jak ulał pasował do profilu. Mackenzie nie był idiotą, ale wobec braku dowodów i motywu nie miał powodu podejrzewać Brennera bardziej niż innych.

A przynajmniej dopóki ten miał alibi.

Ben coś jeszcze powiedział, ale nie zarejestrowałem co. Myślami wybiegałem już w przyszłość.

– O której Brenner może wyjść na polowanie? – spytałem.

Jenny całkiem straciła poczucie czasu. Prawie ustały gorączkowe dreszcze, które wstrząsały jej ciałem, od kiedy w końcu sobie poszedł. Bardziej niepokojące było to, że zaczynała czuć senność. Nie było to zwykłe zmęczenie. Nie miała pojęcia, jak długo tu siedzi, ale na pewno ominęła dwie lub trzy dawki insuliny. Poziom cukru w jej krwi niebezpiecznie wzrastał, a szok tylko pogarszał sytuację.

Szok i utrata krwi.

W ciemności nie była w stanie ocenić, ile tak naprawdę jej straciła. Większość ran się zasklepiła, z wyjątkiem tej ostatniej. Najgorszej. Zakrwawioną szmatą, która niedawno była jej koszulką, owinęła prawą stopę. Materiał zrobił się teraz lepki. *Dobry znak, pomyślała. Widocznie rana nie krwawi już tak obficie.* Ale wciąż bolała. Boże, jak bardzo.

Zadał ją, gdy zdjęła tę obrzydliwą suknię ślubną. Pozytywka umilkła po raz trzeci i Jenny przestała tańczyć. Zachwiała się oszołomiona, nie będąc w stanie już ustać na nogach, i osunęła się na ziemię, wciąż w tej zakrwawionej sukni. Starła się nie zasnąć, lecz ciemność powoli przesłoniła jej oczy. Niewyraźnie zdawała sobie sprawę, że ktoś wokół niej się porusza, ale wydawało jej się, że dzieje się to gdzieś hen daleko, coraz dalej. Upłynęło trochę czasu; potem poczuła, że ktoś ją gwałtownie szturcha.

Otworzyła oczy i pierwsze, co zobaczyła, to nóż.

Podniosła głowę, by spojrzeć na mężczyznę, który go trzymał. Nie było już powodu, by nie patrzeć. Wiedziała, że bez względu na to, czy go rozpozna, czy nie, i tak nie wyjdzie stąd żywa.

Mimo to trzewia wywróciły jej się na nice, gdy spojrzała w jego twarz i się upewniła. Znowu ją szturchnął.

– Zdejmuj.

Z trudem wstała, przytrzymując się ściany, i nieporadnie ściągnęła sukienkę przez głowę. Chwytał ją i stanął naprzeciw niej. Stała ze zwieszoną głową, czując, jak gapi

się na jej nagie ciało. Serce waliło jej boleśnie. Przybliżył się na tyle, że poczuła jego zapach, jego oddech na swojej skórze. *Boże, nie, co on chce zrobić?* Nie spuszczała wzroku z noża, który trzymał z boku. Modliła się, by go odłożył. Tylko na chwilę. *Błagam o tylko jedną szansę.* Ale zamiast odłożyć, podniósł go powoli tak, by zobaczyła ostrze, a potem wysunął w jej stronę. Drgnęła, gdy ukłuł ją w ramię.

– Nie ruszaj się.

Zmusiła się, żeby stać nieruchomo. Nóż przesunął się po jej skórze, nakłuwając ją czubkiem. Za każdym razem pojawiała się kropla krwi, ciemnoczerwony paciorek, który wzbierał i spływał strużką. Bolało, ale oczekiwanie było jeszcze gorsze. Czowała, jak oddech mu przyspiesza, jak niczym gorąco promieniuje z niego podniecenie. Przysunął się jeszcze bliżej. Gdy nastąpił jej butem na palec, bezwiednie stęknęła i cofnęła się, a wtedy puściła zaporę, powstrzymująca atak paniki.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła, rzucając się w bok na oślep, zapominając o sznurze na kostce. Naprężył się i szarpnął jej nogę tak, że Jenny runęła na ziemię. Stał nad nią. Gdy spojrzała mu w oczy, przeszedł ją dreszcz. Nie było w nich nic ludzkiego, nic racjonalnego.

– Mówiłem, żebyś się nie ruszała. – Jego głos miał w sobie coś przerażająco spokojnego. Wyciągnął rękę i chwycił ją za nieprzywiązaną stopę. – Nie trzeba było próbować ucieczki. Nie mogę ci na to pozwolić.

– Nie, wcale nie...

Nie słuchał. Muskał jej stopę nożem. Z rozkoszą wymalowaną na twarzy dotknął nożem dużego palca u jej nogi.

– Warzyła srocza kaszkę, warzyła... – zaczął cicho, melodyjnie – swoje dzieci karmiła. Temu dała w garnuszczyku... – Dotknął kolejnego palca. – Temu dała w rondelczyku... – Trzeciego i czwartego. – Temu dała na miseczce, temu dała na łyżeczce. A temu...

Jenny zdała sobie sprawę, co się stanie, na ułamek sekundy, zanim to zrobił. Nóż nagle się uniósł i piekący żar prześwidrował jej stopę. Krzyknęła, próbując ją wyrwać. Przytrzymał ją, patrzył, jak się rzuca i szarpie, potem puścił. Odcięty palec leżał na ziemi jak zakrwawiony kamyk.

– A temu łeb urwała i odleciała.

Gdy tak stał nad nią z nożem ociekającym jej krwią, była pewna, że doprowadzi to do końca. Chciała go błagać o litość, ale odezwała się w niej jakaś dziwna hardość. Przynajmniej na tyle mogła być z siebie dumna. Poza tym wiedziała, że i tak nic by to

nie dało. Tylko by się cieszył.

Wyszedł, zamknąwszy drewnianą przegrodę i znowu zostawiwszy Jenny w ciemności. Nie miała pojęcia, ile minęło czasu od tamtej pory. Może godziny, może minuty, a może dni. Przeszywający ból w stopie przeszedł w piekące, przenikające do kości rwanie, a w gardle miała tak sucho, że wydawało jej się, że utkwily w nim odłamki szkła. Mimo to coraz trudniej było jej powstrzymać senność. Znowu spróbowała sforsować węzeł na kostce, ale szybko osłabła. W ciemności nie potrafiła powiedzieć, czy ma mroczki przed oczami, ale wiedziała, że popada w hiperglikemię, że poziom cukru w jej krwi niebezpiecznie wzrósł. A bez insuliny będzie tylko gorzej.

Zakładając, że do tej pory jej nie zabije.

Zastanawiała się, dlaczego jej nie zgwałcił. Było aż nader oczywiste, że przepełniały go nienawiść i chuć, jednak z jakiegoś powodu jej nie zaatakował. Ale nie łudziła się. Pomyślała o twarzy, która mignęła w świetle zapalki. Nie dostrzegła w niej dla siebie krzty zlitowania czy nadziei. Doskonale wiedziała, że nie jest pierwszą kobietą, którą tu więzi. Okaleczenia, suknia, taniec – wszystko to przypominało jakiś niezrozumiały rytuał.

Tak czy inaczej, wiedziała, że tego nie przeżyje.

**D**otarłem do domu Brennera późnym popołudniem. Dzień był mglisty, nieskazitelnie błękitne do tej pory niebo zasnuwała teraz cienka powłoczka chmur. Zatrzymałem się na końcu drogi, by spojrzeć na walący się dom. Był w jeszcze gorszym stanie, niż go zapamiętałem. Nie dostrzegłem żadnych oznak życia. Patrzyłem jeszcze przez chwilę, aż zdałem sobie sprawę, że odkładam to, po co przyjechałem. Wrzuciłem bieg i samochód potoczył się pod górę po wyboistej drodze.

Gdy już postanowiłem, co zrobię, trudno mi było zdobyć się na cierpliwość. Wszystko we mnie wołało, żeby działać od razu, natychmiast jechać do jego domu. Wiedziałem jednak, że szanse na powodzenie mam tylko wtedy, gdy Brennera tam nie będzie. Ben zasugerował, żeby poczekać, aż ten pójdzie do Baranka albo do lasu.

– To kłusownik. Wychodzi albo wcześniej rano, albo późno wieczorem. Dlatego zastałeś go jeszcze w łóżku. Pewnie rozstawiał swoje sidła aż do świtu.

Ale czekanie było nie do zniesienia. Z każdą godziną malały szanse na to, że znajdziemy Jenny żywą. W końcu wpadłem na śmiesznie proste rozwiązanie: zadzwoniłem do Brennerów i nie przedstawiając się, spytałem, czy jest Carl. Odebrała jego matka. Gdy kazała mi czekać, rozłączyłem się.

– A co, jeśli zapisał im się twój numer telefonu i Carl oddzwoni? – spytał Ben.

– To bez znaczenia. Mogę powiedzieć, że chcę z nim porozmawiać. Wątpię, by się na to zgodził.

Jednak Brenner nie oddzwonił. Odczekałem trochę i spróbowałem jeszcze raz. Tym razem odebrał Scott. Nie, nie ma go, wyszedł, powiedział. Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

– Życz mi szczęścia – powiedziałem do Bena, wstając i zbierając się do odejścia.

Chciał jechać ze mną, ale nie zgodziłem się. Choć byłoby mi rażniej w jego towarzystwie, to zwiastowałyby to tylko kłopoty. On i Brennerowie stanowili mieszanekę wybuchową, a co dopiero wtedy, gdy Ben wypił butelkę whisky. Żeby móc zrealizować swój cel, trzeba było perswazji, a nie konfrontacji.

Zastanawiałem się, czy nie zawiadomić o swoich planach Mackenziego, ale szybko porzuciłem ten pomysł. Od naszej ostatniej rozmowy nie pojawiło się nic, co potwierdzałoby moje przypuszczenia, a Mackenzie dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie, bym się wtrącał. Bez dowodów nie zamierzał podejmować żadnych działań.

Dlatego to ja musiałem pojechać do Brennerów.

Teraz jednak nie byłem już tak przekonany. Moja wcześniejsza pewność siebie gdzieś się ulotniła z chwilą, gdy zaparkowałem przed domem. Zza rogu wybiegł ten sam ujadający pies. Duży kundel z naderwanym uchem. Tym razem zachowywał się śmieiej i może dlatego, że byłem w pojedynkę, nie wycofał się na mój widok. Cały się najeżył i zajął pozycję między mną a domem. Wziąłem z samochodu apteczkę, w razie gdyby zaatakował. Nasrożył się jeszcze bardziej, gdy ruszyłem w jego stronę. Zatrzymałem się, ale nie przestawał warczeć.

– Jed!

Psisko rzuciło mi ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i podreptało do drzwi, w których stała Brennerowa. Na jej wąskiej twarzy malowała się wrogość.

– Czego pan chce?

Miałem gotowy pretekst.

– Chciałbym obejrzeć nogę Scotta.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie. A może tak to tylko odebrałem, bo byłem zdenerwowany.

– Już ją pan oglądał.

– Nie miałem wtedy przy sobie niezbędnych opatrunków. Chcę mieć pewność, że nie wda się infekcja. Ale jeśli nie życzy sobie pani, żebym przeszkadzał...

Udałem, że zawracam do samochodu. Westchnęła.

– Niech pan wejdzie, skoro tak.

Starając się nie dać po sobie poznać, jak mi ulżyło – i jak jestem zdenerwowany – wszedłem za nią do środka. Scott siedział w salonie rozpostarty na brudnej kanapie i oglądał telewizję. Chorą nogę miał wyciągniętą na poduszkach.

– Znowu doktor do ciebie – oznajmiła matka, gdy weszliśmy.

Scott się wyprostował. Wyglądał na zdziwionego. I takiego, który coś przeszkrobał, pomyślałem. Ale znów mogło mi się tylko wydawać.

– Carl jeszcze nie wrócił – dodała.

– Nie szkodzi. Przejeżdżałem obok i pomyślałem, że zerknę na tę twoją nogę.



Przyniosłem opatrunek przeciwbakteryjny – robiłem, co mogłem, by mówić naturalnie, ale miałem wrażenie, że mój głos brzmi okropnie fałszywie.

– To pan dzwonił wcześniej do Carla? – spytała matka z wyraźną niechęcią.

– Tak, coś mnie rozłączyło. Dzwoniłem z komórki.

– Czego pan od niego chciał?

– Przeprosić. – Kłamstwo to przeszło mi przez gardło zadziwiająco gładko. – Ale teraz bardziej mnie interesuje twoja noga, Scott. Mogę ją jeszcze raz zbadać?

Chłopak spojrział na matkę, potem wzruszył ramionami.

– Tak.

Zacząłem odwijać bandaże. Matka stała w drzwiach i patrzyła.

– Pewnie nie mam co liczyć na herbatę, prawda? – spytałem, nie podnosząc wzroku.

Przez chwilę myślałem, że odmówi. Ale potem westchnęła i naburmuszona podreptała do kuchni. Gdy zniknęła, ciszę przerywała tylko paplanina dobiegająca z telewizora i szelest odwijanego bandaża. Zaszło mi w ustach. Zaryzykowałem i spojrzałem na Scotta. Patrzył na mnie z lekkim niepokojem.

– Opowiedz mi jeszcze raz, jak to się stało – poprosiłem.

– Wdepnąłem w sidła.

– Gdzie to było?

Spuścił wzrok.

– Nie pamiętam.

Zdjąłem opatrunek. Szwy pod spodem wyglądały paskudnie.

– Miałeś szczęście, że nie straciłeś stopy. Ale jeśli wda się gangrena, to wszystko przed tobą.

Nie było już zagrożenia, ale chciałem zbić go z tropu.

– To nie moja wina – powiedział z ponurą miną. – Przecież nie wlażłem w nie specjalnie.

– Pewnie nie. Ale jeśli został uszkodzony nerw, będziesz kulał do końca życia. Trzeba było to w międzyczasie komuś pokazać. – Spojrzałem mu w oczy. – A może Carl nie chciał, żebyś poszedł do lekarza?

Uciekł wzrokiem.

– Czemu miałby nie chcieć?

– Wszyscy wiedzą, że kłusuje. Było mu nie na rękę, żeby policja wzięła go na celownik, tylko dlatego, że jego młodszy brat wdepnął w pułapkę.

– Mówiłem panu, że to nie była nasza – wymamrotał.

– Już dobrze – rzuciłem, jakby mi było wszystko jedno. Z przesadnym namaszczeniem oglądałem ranę, wyginając stopę na wszystkie strony. – Ale nie zgłosiłeś tego na policję, prawda?

– Powiedziałem im, jak przyszli i pytali – odparł obronnym tonem.

Nie wspomniałem, że to ja dałem znać Mackenziemu.

– A co Carl na to?

– Jak to?

– Czy jak przyszła policja, to poinstruował cię, co masz im mówić?

Gwałtownie cofnął stopę.

– A co to, kurde, pana obchodzi?

Starałem się, żeby to zabrzmiało rozsądnie, choć czułem się idiotycznie.

– Carl skłamał policji, prawda?

Wbił we mnie wzrok. Wiedziałem, że posunąłem się za daleko, ale nie miałem pomysłu, jak inaczej to rozwiązać.

– Spieprzaj stąd, człowieku. W trymiga!

Wstałem.

– Okej. Ale zastanów się, bo może chronisz kogoś, kto wołał, żeby wdała ci się gangrena, niż zabrać cię do szpitala.

– Gówno prawda!

– Czyżby? To dlaczego nie zawiózł cię tam od razu? Dlaczego szukał mnie, żebym cię pozszywał, choć widział, że rana jest poważna?

– Bo pan był pod bokiem.

– Bo wiedział, że w szpitalu powiadomią policję. Nie chciał cię tam zabrać nawet wtedy, gdy powiedziałem, że konieczne jest szycie. – Coś w jego minie kazało mi przerwać. Spojrzałem na nieudolne szwy na jego stopie i nagle zrozumiałem. –

W ogóle cię tam nie zawiózł, prawda? Dlatego nosisz wciąż ten sam uświniony opatrunek. Bo wcale nie pojechałeś do szpitala.

Nagle cała złość Scotta się ulotniła. Nie miał odwagi na mnie spojrzeć.

– Powiedział, że będzie dobrze.

– To kto cię zszywał? On sam?

– Mój kuzyn Dale. – Wydawał się zażenowany, że to się wydało. – Był kiedyś w wojsku. Zna się na takich rzeczach.

To ten, który razem z Brennerem dzień wcześniej blokował drogę.

– I nawet nie chciał ich obejrzeć po założeniu?

Scott pokręcił głową. Zrobiło mi się go żal, ale nie na tyle, bym się wycofał.

– W innych sprawach też pomaga Carlowi? Na przykład w kłusowaniu?

Niechętnie skinął głową. Czułem, że jestem blisko czegoś istotnego. Dwóch mężczyzn. Dwóch myśliwych, w tym jeden z wojskową przeszłością. Dwa różne noże.

– I w czym jeszcze?

– W niczym. – Zapierał się, ale nie miał daru przekonywania.

– Wystawiają cię na ryzyko. Wiesz o tym, prawda? – powiedziałem. – Co było tak ważne, że warte poświęcenia twojej stopy?

Zaczął się wiercić. Z konsternacją zauważyłem, że jest bliski łez. Ale nie mogłem się tym teraz przejmować.

– Nie chcę, żeby mieli kłopoty – powiedział cicho, prawie szeptem.

– Już je mają. Oni nie przejmowali się twoim losem tak jak ty ich.

Już miałem go docisnąć, ale instynkt kazał mi przyhamować. Wolałem zaczekać, aż Scott sam się przełamie.

– Zastawiali sidła na ptaki – wydusił z siebie w końcu. – Rzadkie gatunki. Inne zwierzęta też, wydry i co się trafiło. Carl myślał, że będzie popyt na żywe okazy, no i jaja. Że kupią je jacyś kolekcjonerzy czy ktoś.

– Siedzą w tym razem?

– Raczej tak. Ale sidła zastawia głównie Carl. Trzyma je na mokradłach, w starym młynie.

Myśli gnały mi w głowie tak, że miałem wrażenie, że zaraz wpadną w poślizg. Młyn stał na pustkowiu, całkiem opuszczony. Albo nie całkiem, jak się okazuje.

Zacząłem bandażować mu stopę.

– I to tam wdepnąłeś w sidła? – spytałem, przypominając sobie, co mówili wtedy w Baranku. I jak Brenner powstrzymał go przed powiedzeniem za dużo.

Scott skinął głową.

– Gdy policja zaczęła szukać tych dwóch kobiet, Carl bał się, że tam zajrzą. Nie pozwalał mi już ze sobą chodzić. Mówił, żebym znalazł sobie własny sposób na życie i się nie wtrącał. Ale w tamtym tygodniu Dale'a nie było, więc pomagałem mu wszystko powynosić.

– Dokąd?

– W różne miejsca. Większość schowaliśmy tutaj, w przybudówkach. Mama się

krzywiła, ale powiedzieliśmy, że to tylko na kilka dni, aż policja skończy w młynie. Potem wdepnąłem w to cholerstwo i musiał to sam z powrotem targać. – Spuścił oczy. – Wściekł się. A przecież nie zrobiłem tego umyślnie.

– Więc ta pułapka była jego?

Pokręcił głową.

– Mówił, że to pewnie ten zwyroł, co zabija kobiety.

Nie podnosiłem wzroku, udając, że jestem zajęty opatrunkiem.

– A teraz? Trzyma tam coś?

– No tak. Nie ma gdzie ich zabrać. Dale nie zaryzykuje i ich nie przewiezie, gdy kręci się tu tyle glin.

– A Carl nadal tam chodzi?

– Codziennie. Musi je trzymać przy życiu, dopóki nie będzie mógł ich sprzedać. – Wzruszył ramionami. – Ale nie wiem, jak długo będzie się nimi przejmował. Póki co nie udało im się dużo tego opchnąć.

Z wielkim trudem przychodziło mi udawanie obojętności i mówienie beznamiętnym głosem.

– I kryłeś go przed policją?

Wyglądał na zakłopotanego.

– Że co?

Drżącymi dłońmi zamocowałem bandaż.

– Gdy pytali o te zaginione kobiety. Przecież nie mógł im powiedzieć, że wtedy kłusował, prawda?

Scott nieoczekiwanie się uśmiechnął.

– No gdzie! Po prostu potwierdziliśmy, że cały czas byliśmy tutaj. – Uśmiech znikł. – Ale nie powie pan Carlowi, że się wygadałem, dobrze?

– Nie. Nie powiem.

Już i tak za dużo mu powiedziałem. Że morderca trzyma je przy życiu przez trzy dni. Teraz wiedział, że policja zna schemat jego działania. Być może w ten sposób zniweczyłem tę minimalną szansę na przeżycie, jaką Jenny jeszcze miała.

*Boże, co ja narobiłem?*

Wstałem i zacząłem nieporadnie pakować swoje rzeczy. Pojawiła się Brennerowa z herbatą.

– Przepraszam, muszę już bieć.

Wydęła usta jak niepyszna.

– Podobno chciał pan herbaty?

– Przepraszam.

W pośpiechu wstałem do wyjścia. Scott patrzył na mnie niepewnie, jakby zaczynał żałować swoich słów. Nagle rozpaczliwie zapragnąłem jak najszybciej stamtąd wyjść, bojąc się, że w każdej chwili wpadnie Carl i mnie zatrzyma. Wrzuciłem apteczkę do auta i szybko uruchomiłem silnik, czując na sobie wzrok Brennerowej. Wciąż stała w drzwiach, gdy odjechałem, kolebiąc się na wybojach.

Gdy tylko znalazłem się poza zasięgiem jej wzroku, sięgnąłem po telefon. Ale ledwo wystukałem numer Mackenziego, sygnał zaczął słabnąć, aż w końcu całkiem znikł.

– Dawaj, cholera, dawaj!

Wystrzeliłem na szosę i skręciłem w stronę starego młyna, modląc się o zasięg. Jak tylko się pojawił, ponownie wybrałem numer. Odpowiedziała mi poczta głosowa. *Jasny gwint!*

– Brennerowie skłamali w sprawie jego alibi – zacząłem bez wstępów. – Był...

Mackenzie nagle podniósł słuchawkę.

– Błagam, niech pan powie, że u niego nie był.

– Nie u niego, tylko u jego brata, ale...

– Miał się pan trzymać od nich z daleka!

– Niech pan posłucha! – wykrzyknąłem. – Brenner łapie ptaki i zwierzęta, a potem sprzedaje razem z kuzynem. Kuzyn nazywa się Dale Brenner i jest byłym wojskowym. Trzymają je w starym młynie, jakieś półtora kilometra na południe od Manham. Tam, gdzie Scott Brenner wdepnął w sidła.

– Chwila. – Nagle zaczął okazywać zainteresowanie. Usłyszałem w tle stłumione głosy. – Dobra, rozumiem, do czego pan zmierza. Ale już tam sprawdzaliśmy. Czysto.

– Wszystko przenieśli na czas poszukiwań Lyn Metcalf, a potem z powrotem tam zawieźli. To wtedy Scott zranił się w nogę. Brenner tak bardzo nie chciał, by policja się dowiedziała, że nawet nie zabrał go do szpitala.

– Jest kłusownikiem. To żadna nowość – upierał się Mackenzie.

– Ale nie wiedzieliście, że jego rodzina skłamała, by go chronić. Ani że myśliwy i ekszołnierz polują na zwierzęta i trzymają je w opuszczonym budynku i że przynajmniej jeden z nich nie ma alibi. Trzeba to panu podpowiadać?

Przekleństwo, które rzucił pod nosem, oznaczało, że nie jest to konieczne.

– Gdzie pan teraz jest?

– Właśnie wyszedłem od Brennerów.

Nie dodałem, że jestem w drodze do młyna.

– Gdzie Brenner?

– Nie mam pojęcia.

– Okej, niech pan posłucha. Jestem w mobilnym centrum dowodzenia. Niech pan tu przyjedzie najszybciej, jak się da.

Było to w przeciwnym kierunku.

– Po co? Powiedziałem już wszystko, co powinniście wiedzieć.

– Chciałbym poznać szczegóły. Nie chcę żadnych pochopnych ruchów, rozumie pan?

Nie odpowiedziałem. Jechałem z telefonem przy uchu, pod kołami auta szumiała szosa, a ja czułem, że z każdą sekundą jestem bliżej miejsca, gdzie uwięziona jest Jenny.

– Słyszysz mnie pan, doktorze?

Teraz w głosie Mackenziego zabrzmiała nieustępliwość. Zdjąłem stopę z gazu. Była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu.

– Słyszałem – warknąłem.

I zawróciłem do miasteczka.

Niebo nabrało niezdrowego, woskowego połysku. Słońce przesłoniła cienka skrzeplina chmur, zaprawiając światło sinawym odcieniem żółci. Po raz pierwszy od tygodni powiew wiatru niósł ze sobą coś innego niż nagrzane powietrze. Gdzieś niedaleko zanosilo się na deszcz, ale na razie zwiększona wilgotność tylko potęgowała odczucie gorąca.

Nawet przy otwartych oknach zdążyłem się niemiłosiernie spocić, zanim dotarłem do policyjnego furgonu. Na miejscu było większe poruszenie niż zwykle. Gdy wszedłem do przyczepy, Mackenzie stał przy stole z grupką policjantów po cywilnemu, studiując jakąś mapę. Ci w mundurach mieli na sobie kamizelki kuloodporne. Przerwał na mój widok. Bynajmniej nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie będę udawał, że podobają mi się pańskie poczynania – powiedział, agresywnie wysuwając szczękę. – Doceniam wcześniejszą pomoc, ale to śledztwo policyjne. Nie ma tu miejsca na samowolkę cywilów.

– Próbowałem panu powiedzieć o Brennerze, ale nie chciał pan słuchać. Co miałem zrobić?

Widziałem, że ma ochotę na mnie huknąć, ale się powstrzymał.

– Nadinspektor chce z panem porozmawiać.

Poprowadził mnie do stołu i przedstawił policjantom. Wysoki, chudy mężczyzna, absurdalnie władczy w obyciu, podał mi dłoń.

– Nadinspektor Ryan. Jak rozumiem, ma pan dla nas jakieś informacje?

Powtórzyłem to, co usłyszałem od Scotta, starając się trzymać samych faktów. Gdy skończyłem, Ryan zwrócił się do Mackenziego.

– Zna pan tego Carla Brennera, tak?

– Tak. Już go przesłuchaliśmy. Pasuje do profilu, ale ma alibi zarówno na czas zniknięcia Lyn Metcalf, jak i Jenny Hammond. Potwierdziła je rodzina.

– Jest jeszcze jedno – przerwałem. Serce waliło mi jak oszalałe, ale musiałem im to powiedzieć. – Wczoraj wyjawilem Brennerowi, że wiecie o tym, że morderca więzi ofiary przez trzy dni, zanim je zabije.

– Chryste – wysapał Mackenzie.

– Chciałem, żeby zrozumiał, że stawką jest coś więcej niż jego porachunki z Benem Andersem.

Nawet w moich uszach takie usprawiedliwienie zabrzmiało żałośnie. Policjanci wpatrywali się we mnie po trosze z odrazą, po trosze z wrogością. Ryan oschle skinął głową.

– Dziękuję, że pan przyjechał, doktorze. A teraz proszę nam wybaczyć. Mamy dużo pracy – powiedział chłodno i się odwrócił.

Mackenzie wyprowadził mnie z furgonu. Trzymał nerwy na wodzy, dopóki nie znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Cholera jasna, co pana opętało? Jak pan mógł się wygadać Brennerowi?

– Bo przesłuchiwaliście nie tego, co trzeba! Proszę mi wierzyć, że i bez pańskich połajanek sam to sobie wyrzucam. Wystarczająco boleśnie.

Trochę ochłonał.

– Może nie zrobi to wielkiej różnicy – burknął. – O ile brat mu nic nie powie, to Brenner nadal nie wie, że jest podejrzanym.

Niespecjalnie mnie to pocieszyło.

– Przeszukacie teraz młyn?

– Najszybciej, jak się da. Nie możemy tak po prostu tam wparować. Potencjalnie to sytuacja zakładnicza.

– To tylko Brenner i jego kuzyn!

– Mogą być uzbrojeni, jeden przeszedł przeszkolenie wojskowe. Taki atak trzeba

najpierw zaplanować – westchnął. – Niech pan posłucha... wiem, że to dla pana trudne. Ale wiemy, co robimy. Niech pan nam zaufa.

– Pojadę z wami.

Mina mu stężała.

– Wykluczone.

– Zostanę z tyłu, przy samochodach. Nie będę wchodził wam w paradę.

– Nie ma mowy.

– Na litość boską, ona ma cukrzycę! – zawołałem tak głośno, że kilka osób odwróciło się w moją stronę. Ściszyłem głos. – Jestem lekarzem. Od razu trzeba będzie jej podać insulinę. Może mieć obrażenia albo być w śpiączce.

– Będziemy mieli na podorzędziu ratowników i karetkę.

Nie dawałem za wygraną.

– Muszę tam być. Proszę!

Ale Mackenzie odchodził już do auta. Jednak jakby po namyśle odwrócił się jeszcze.

– I żeby panu czasem nie przyszło do głowy jechać tam samemu. Dla dobra pańskiej przyjaciółki, niechże pan nam nie przeszkadza.

Nie musiał dodawać tego, co oboje pomyśleliśmy. Że dość już narobiłem zamętu.

– Dobrze.

– Daje pan słowo?

Wziąłem głęboki oddech.

– Tak.

Twarz jakby odrobinę mu się wypogodziła.

– Niech pan spróbuje zachować spokój. Zadzwonimy, jak tylko będą jakieś wieści. Zostawił mnie i wszedł do środka.



Gdy Jenny miała dziesięć lat, rodzice zabrali ją na wakacje do Kornwalii. Zatrzymali się na kempingu niedaleko Penzance i ostatniego dnia ojciec zawiózł ich nad małą zatoczkę. Jeśli jakoś się nazywała, to Jenny nie wiedziała jak, zapamiętała tylko drobniutki biały piasek i klify z ptasimi gniazdami. Dzień był upalny, a morze cudownie chłodne. Bawiła się na plaży i w płytkiej wodzie, a potem leżała na słońcu i czytała książkę, którą jej kupiono w prezencie. *Kroniki Narnii*, C.S. Lewisa. Jaka czuła się dorosła, że ma własną wakacyjną lekturę!

Spędzili tam cały dzień. W zatoczce było też kilka innych rodzin, ale jedna po drugiej odchodziły, aż została tylko Jenny z rodzicami. Słońce powoli zniżało się ku morzu, a cienie robiły się coraz dłuższe. Nie chcąc, by dzień się skończył, Jenny czekała, aż któreś z rodziców w końcu się przeciągnie i oznajmi, że czas się zbierać. Ale żadne tego nie zrobiło. Popołudnie przeszło w wieczór, a rodzice – tak samo jak ona – nadal nie chcieli zakończyć wakacji.

Gdy się ochłodziło, włożyli swetry, śmiejąc się z gęsiej skórki mamy, która uparła się na ostatnią kąpiel w morzu. Zatoczka wychodziła na zachód, oferując wspaniałe widoki na zachodzące słońce. A było cudowne, z rozmachem kreśliło smugi złota i purpury. We troje w milczeniu patrzyli, jak zapada zmrok. Ojciec poruszył się dopiero, gdy ostatnie promienie schowały się za horyzontem.

– Czas na nas – powiedział.

Wrócili plażą w gęstniejącym mroku, zabierając ze sobą wspomnienie najdoskonalszego dnia jej dzieciństwa. Pomyślała o nim teraz, wyobrażając sobie dotyk słońca na skórze i piasku przesypującego się przez palce. Czuła zapach kokosowego olejku do opalania swojej mamy, szczypanie morskiej soli na ustach. Ta zatoczka nadal tam była i Jenny niemal wierzyła, że gdzieś we wszechświecie, poza czasem, istnieje też tamta mała Jenny, która przez całą wieczność będzie mogła podziwiać zmierzch tamtego niekończącego się dnia.

Leżała na posadzce swojej celi, a ból odciętego palca połączył się z bólem

pozostałych ran w narastającą falę cierpienia, która jakby unosiła ją w dal. Teraz jednak nawet ono wydawało się odległe, tak jakby obserwowała je z daleka, a nie doświadczała go tu i teraz. Na przemian traciła i odzyskiwała świadomość, z coraz większym trudem odróżniając majaki od brutalnej rzeczywistości. Z jednej strony wiedziała, że to niedobry znak, że zaczyna zapadać w śpiączkę. Ale z drugiej może było to lepsze od świadomego przejścia przez to, co zaplanował dla niej oprawca. *Hej, patrz na pozytywy*. Wiedziała, że tak czy inaczej, przyjdzie jej tutaj umrzeć.

Wolałaby, żeby stało się to, zanim on wróci.

Pomyślała teraz o swoich rodzicach, o tym, co zrobią, jak się dowiedzą. Było jej ich żal, ale jakby przez mgłę. Myśl o Davidzie przynosiła głębszy smutek. Lecz na to też nie mogła nic poradzić. Nawet jej strach stał się jakby rozgęstniony i zmętniały, jak coś oglądanego przez lustro wody. Tym, co czuła teraz najwyraźniej, z gorączkową, rozognioną intensywnością, był gniew. Gniew na człowieka, dla którego przerwanie jej życia znaczyło tyle, co strzepnięcie drobin kurzu.

W przeblysku przytomności spróbowała jeszcze rozsypać węzeł przy kostce, ale szybko się poddała. Nie miała już siły w rękach i cała się trzęsała. Wyczerpana znowu osunęła się na ziemię i zatopiła w malignie. Przyśniło jej się, że ma jego nóż. Wielki i błyszczący niczym miecz. Z łatwością przecięła nim sznur i jakby w stanie nieważkości uniosła się w powietrze i odleciała ku wolności i słońcu.

A potem sen prysnął i znowu leżała na ziemi, brudna i zakrwawiona.

Zrazu myślała, że odgłos zgrzytania też pochodzi ze snu. Nawet światło, które na nią padło, zlało się płynnie z obrazami błękitnego nieba, drzew i trawy.

Dopiero ostre jak lód uderzenie w twarz, rozorywające ranę na jej policzku, uświadomiło jej, gdzie się znajduje. Poczwała, że ktoś unosi ją pod ramiona, gwałtownie nią potrząsa.

– David...? – powiedziała, starając się rozpoznać rozmywającą się postać, która się nad nią nachylała. A może tylko chciała to powiedzieć, bo dźwięk wydobywający się z jej gardła przypominał chrapliwy jęk. Kolejne uderzenie szorstkiej dłoni odrzuciło jej głowę na bok.

– Budź się! No już!

Pochylona nad nią twarz nabrała wyrazistości. *Nie, to nie David*. Twarz mężczyzny była wykrzywiona z niezadowolenia i złości. Miała ochotę się rozpłakać. *A więc nie zdążę umrzeć w porę*. Jakie to niesprawiedliwe, pomyślała, lecz znów zaczęła osuwać się w omdlenie. Ledwo zauważyła, że ją upuścił. Upadła bezwładnie, nawet

uderzenie głową o ziemię odczuła jak irytujący kuksaniec.

Nagły szok lodowatego zimna przywrócił jej świadomość. Miała wrażenie, że na chwilę serce jej stanęło. Nie mogła złapać tchu, przepona zamieniła się w kamień. Jeden spazmatyczny oddech, drugi... zamrugła, by osuszyć oczy z wody. Stał nad nią z pustym wiadrem, z którego jeszcze kapała woda.

– Jeszcze nie! Jeszcze nie umieraj!

Upuścił wiadro i brutalnie chwycił ją za stopę. Kilka szybkich ruchów i węzeł puścił. Jenny wciąż z trudem łapała powietrze. Mężczyzna podciągnął ją na nogi i na wpół zawlókł, na wpół zaniósł na drugi koniec celi, za ceglane przepierzenie. Rzucił ją na twardą posadzkę. Jak przez mgłę zobaczyła nad sobą zardzewiały kran wystający ze ściany. I coś jeszcze, coś, czego widok przebił się nawet przez insulinową malignę. Obok znajdowała się okrągła żelazna studzienka i w przeblysku nagłej intuicji Jenny uświadomiła sobie, co będzie nią sływać.

Przyniósł ją na miejsce kaźni.

Pojawił się znowu, z workiem w ręku. Rozwiązał go i wywrócił na nice, wysypując przy jej głowie stos piór. Spojrzała w przerażone żółte oczy sowy.

Uśmiechnął się.

– Mądre ptaszysko. Dla nauczycielki.

Z nożem w ręku pochylił się i złapał ptaka za łapy. Były związane, lecz gdy ją podniósł, sowa zaczęła gwałtownie się szamotać. Na chwilę wczepiła się w jego rękę i dziko zatrzepotała skrzydłami. O betonową posadzkę zadzwonił nóż i mężczyzna grzmotnął ptakiem o ścianę. Sowa upadła miękko w deszczu piór. Spojrzał bez słowa na poharataną dłoń, z rany po dziobie spływała krew. *Dobrze ci tak*, Jenny uśmiechnęła się w duchu. Obraz znowu zmętniał. Mężczyzna przyłożył ranę do ust i wtedy napotkała jego wzrok. Zrozumiała, że postanowił dopełnić swego dzieła. *Jeszcze nie, zaczekaj jeszcze trochę. Potem będzie mi wszystko jedno, co zrobisz*, błagała w duchu. Lecz już szedł w jej stronę.

– Trzymasz stronę sowy, co nie? Biedna mała sówka. Ojjoj.

Stał nad nią zamyślony. Nagle przechylił głowę, nasłuchując. Poprzez zasłone szarego tumanu przesłaniającego jej wzrok Jenny dostrzegła zaskoczenie wymalowane na jego twarzy. Po chwili, gdy dźwięki przesączyły się przez odgradzającą ją wacianą otulinę, i ona to usłyszała – głośny łomot dochodzący z góry.

Ktoś tam był.

Przed stu pięćdziesięciu laty stary młyn był chlubą Manham. Była to raczej napędzana wiatrem pompa niż młyn zbożowy, jedna z setek, jakie osuszały bagna w Broads. Teraz została z niego waląca się skorupa, w której trudno było dopatrzeć się śladów dawnej wspaniałości. W miejscu po okazałych skrzydłach ziała dziura w rozsypującym się murze, a otaczający go teren na powrót zaanektowała przyroda. Na przestrzeni lat podmokły grunt stopniowo porastał zaroślami, tak że ruiny młyna były dziś w zasadzie całkiem ukryte przed ludzkim wzrokiem.

Co nie znaczy, że nie czyniono z nich użytku.

Fragment po fragmencie udało mi się odtworzyć bieg wydarzeń na podstawie tego, co opowiedział mi później Mackenzie. Plan był taki, żeby w tym samym czasie zrobić nalot na młyn, na dom Brennerów i dom, w którym mieszkał Dale Brenner. Chodziło o to, żeby aresztować obu mężczyzn, zanim zdążyliby się wzajemnie ostrzec lub zanim zrobiłby to ktoś z ich rodziny. Choć zajęłoby to więcej czasu, uznano, że w ten sposób wzrosną szanse na uratowanie Jenny. O ile, ma się rozumieć, wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Mogłem im powiedzieć, że rzeczywistość nic sobie nie robi z naszych planów.

Mackenzie pojechał z taktyczną grupą operacyjną, która miała zaatakować młyn. Gdy auta i furgonetki policyjne wiozące policjantów w kamizelkach kuloodpornych zbliżyły się do celu, zapadał już zmierzch. Była z nimi uzbrojona jednostka reagowania kryzysowego, ratownicy i karetka, gotowa, by na sygnale zawieźć Jenny czy kogokolwiek innego do szpitala. Ponieważ do starego młyna można było dostać się tylko wąską, zarośniętą ścieżką, postanowiono zaparkować na skraju lasu i ostatni odcinek pokonać piechotą.

Na miejscu schowali się na granicy lasu, a grupy operacyjne obstawiły drzwi i okna na tyłach młynu. Czekając, aż zajmą swoje pozycje, Mackenzie obserwował zrujnowany budynek. Wisiała nad nim aura zapomnienia, a w gasnącym świetle jego mury zdawały się zasysać zapadający mrok. Radio zaszumiało i głos oznajmił, że

wszyscy są już na posterunkach. Mackenzie spojrzął na policjanta dowodzącego jednostkami kryzysowymi. Tamten krótko kiwnął głową.

– Ruszajcie.

Wtedy jednak nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Czułem tylko udrękę beczynnego czekania. Wiedziałem, że Mackenzie ma rację. Widziałem już tyle spartolonych akcji policyjnych, że zdawałem sobie sprawę, jak perfekcyjnie trzeba wszystko zaplanować. Ale nie poprawiało mi to samopoczucia.

Było jasne, że w przyczepie policyjnej patrzono by na mnie krzywo, nawet gdybym zobowiązał się z niej nie wychodzić. Nie potrafiłem jednak znieść czekania i wrócenia z ich ponurych twarzy, co się dzieje. Wróciłem do swojego samochodu i zadzwoniłem do Bena. Czekał na jakiegokolwiek wieści. Drżącymi dłońmi wybrałem jego numer.

– Może wpadnij do mnie? – zaproponował. – Tu sobie zaczekasz i pomożesz mi z whisky. Pewnie wolałbyś nie być teraz sam.

Doceniałem jego troskę, ale odmówiłem. Alkohol był ostatnią rzeczą, której teraz było mi trzeba. Podobnie jak towarzystwo. Zakończyłem rozmowę i wbiłem wzrok w przednią szybę. Niebo nad Manham nabrało odcienia pociemniałej miedzi, a napływały jeszcze czarniejsze chmury. W powietrzu czuło się obietnicę deszczu. Przyroda jakby zareagowała z wyczuciem i fala upałów wreszcie się kończyła. Podobnie jak wiele innych rzeczy.

Wyskoczyłem z samochodu, chcąc raz jeszcze zaapelować do Mackenziego, by pozwolił mi wejść do młyna. Jednak zatrzymałem się w drodze do przyczepy. Wiedziałem, że się nie zgodzi, a zawracanie im teraz głowy nie przyniesie Jenny nic dobrego.

Wtem doznałem objawienia. Nie mogę z nimi wejść do młyna, dobrze, ale nie mogą mi zabronić czekać w jego pobliżu. Nie potrzebowałem na to niczyjej zgody. Mogłem wziąć ze sobą insulinę i być w pobliżu, gdy znajdą Jenny. Nie była to genialna strategia, ale lepsza niż żadna. Straciłem już Karę i Alice. Nie mogłem stać beczynnie teraz, gdy ważył się los Jenny.

Nie miałem w apteczce insuliny, ale trzymaliśmy zapas w lodówce w gabinecie. Popędziłem do samochodu i pojechałem do przychodni. Wparowałem do środka, nie wyłączając nawet silnika. Wieczorny dyżur już się skończył, ale Janice jeszcze się krzątała. Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Pan doktor? Nie spodziewałam się... Wiadomo coś nowego?

Pokręciłem tylko głową, nie mając czasu odpowiadać. Popędziłem do gabinetu i otworzyłem lodówkę. Nie odwróciłem się, gdy wjechał Henry.

– David, co ty wyprawiasz?

– Szukam insuliny. – Nerwowo przestawiałem buteleczki i pudełka. – Cholera, gdzie się podziała?

– Uspokój się i powiedz, co się stało.

– To Carl Brenner i jego kuzyn. Trzymają Jenny w starym młynie. Policja robi tam nalot.

– Carl Brenner? – Przetrawiał to przez dłuższą chwilę. – To po co ci insulina?

– Pojadę tam.

Insulina stała na widoku. Chwyciłem ją i otworzyłem stalową szafkę, w której trzymaliśmy strzykawki.

– Nie będą tam mieli karetki?

Nie odpowiedziałem, uparcie szukając wzrokiem na półkach jednorazowych strzykawek.

– Davidzie, zastanów się, proszę. Będą mieli w pełni wyposażone jednostki działania kryzysowego, z insuliną i wszystkim innym. Co chcesz osiągnąć, dokładając swoje trzy grosze?

Tym pytaniem sprowadził mnie na ziemię. Cała ta maniakalna energia, która mnie napędzała, gdzieś się ulotniła. Popatrzyłem na insulinę i strzykawki w swoich rękach i poczułem się jak głupek.

– Nie wiem. – Głos mi chrypiał.

Henry westchnął.

– Odłóż je, Davidzie – powiedział łagodnie.

Stałem tak jeszcze chwilę, po czym zrobiłem to, co powiedział. Wziął mnie za rękę.

– Chodź tu i usiądź. Wyglądasz okropnie.

Pozwoliłem mu się podprowadzić do fotela, ale nie usiadłem.

– Nie mogę siedzieć. Muszę działać.

Spojrzał na mnie z z troskaniem.

– Wiem, że jest ci ciężko, ale czasem nic nie można zrobić, bez względu na to, jak bardzo się chce.

Głos uwiązał mi w gardle, pod powiekami zaszczypały mnie łzy.

– Chcę tam być, gdy ją znajdą.

Henry milczał przez chwilę.

– Davidzie... – odezwał się w końcu z powściągliwością w głosie. – Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale... nie sądzisz, że powinieneś się już przygotować? – Poczułem, jakbym otrzymał cios w brzuch. Nie mogłem złapać oddechu. – Wiem, jak ci na niej zależy, ale...

– Nie kończ.

Skinął głową, zmęczony.

– Dobra. Należę ci drinka.

– Nie chcę pić! – krzyknąłem, ale zaraz się pohamowałem. – Nie mogę siedzieć i czekać. Po prostu nie potrafię.

Henry miał bezradną minę.

– Chciałbym wiedzieć, co w takiej sytuacji można powiedzieć. Przykro mi.

– Daj mi jakieś zajęcie. Cokolwiek.

– Akurat nie ma nic do zrobienia. Zapisana jest tylko jedna wizyta domowa i...

– U kogo?

– U Irene Williams, ale to nic pilnego. Lepiej będzie, jak tu zostaniesz i...

Ale już ruszyłem do drzwi. Wypadłem, nie zabrawszy karty pacjentki, ledwo zauważając zatroskane spojrzenie, jakim odprowadziła mnie Janice. Musiałem być w ruchu, musiałem przestać myśleć o tym, że nie mogę pomóc Jenny. Starłem się wyprzeć to ze świadomości, jadąc do małego domku Irene Williams położonego na obrzeżach Manham. Pani Williams, gadatliwa kobieta po siedemdziesiątce, ze stoickim spokojem i z pogodą ducha czekała na operację biodra. Zwykle cieszyłbym się, że ją odwiedzę, ale dziś wieczorem jakakolwiek pogawędka była ponad moje siły.

– Strasznie pan dziś milkliwy. Cóż to, język przyrósł panu do podniebienia? – spytała, gdy wypisywałem receptę.

– To zmęczenie.

Zorientowałem się, że zamiast na leki przeciwbólowe wypisałem receptę na insulinę. Zmiałem ją i wystawiłem nową. Starsza pani zachichotała.

– Niech pan nie myśli, że nie wiem, co panu leży na wątrobie. – Wbiłem w nią wzrok. Uśmiechnęła się, eksponując sztuczne zęby, jedyny atrybut młodości na jej pomarszczonej twarzy. – Jakby pan poznał jakąś miłą panienkę, toby się pan trochę ożywił.

Wyszedłem stamtąd szybciej, niż wszedłem.

W bezpiecznej przestrzeni samochodu oparłem głowę o kierownicę. Zerknąłem na zegarek. Wskazówki zdawały się poruszać z szyderczą powolnością. Nadal było za wcześnie, by o cokolwiek pytać. Na tyle byłem obyty z pracą policji, by wiedzieć, że pewnie jeszcze rozmawiają, instruują jednostki taktyczne i dopracowują plany. Mimo to sprawdziłem komórkę.

Kreseczki zasięgu drgały niemrawo, ale nadal można się było do mnie dodzwonić lub napisać wiadomość. Ale nikt nie dzwonił i nie pisał. Przez przednią szybę popatrzyłem na Manham. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo go nienawidzę. Nienawidziłem tych domków z krzemienia, nienawidziłem płaskiego bagnistego krajobrazu. Nienawidziłem podejrzliwości i resentymentów hodowanych przez jego mieszkańców. Nienawidziłem tego, że ten zwyrodnialec mieszkał tutaj niezauważony, aż jego choroba dojrzała i ujawniła się w pełnej szkaradzie. Najbardziej jednak nienawidziłem tego, że los dał mi Jenny, a potem ją zabrał. *Widzisz? Mógłbyś mieć takie piękne życie, ale figa z makiem.*

Ta nagła fala emocji minęła równie szybko, jak przyszła, pozostawiając po sobie mdłości i rozgorączkowanie. Uruchomiłem silnik. Ciemne chmury zasnuwały niebo niczym rozlewający się siniak. Nie miałem teraz nic do roboty. Mogłem tylko wrócić, usiąść i czekać na telefon, którego bałem się odebrać. Na samą myśl o tym robiło mi się słabo.

Właśnie wtedy coś sobie przypominałem. Tego ranka, gdy rozmawiałem na dziedzińcu kościoła ze Scarsdale'em, Tom Mason wspomniał, że jego dziadkowi doskwiera ból kręgosłupa. Starszy pan często miał z nim problemy, była to cena, jaką płacił za życie spędzone na pielenu rabatek. Mogłem go odwiedzić, zabić trochę czasu i zająć czymś myśli do chwili, aż zadzwoni Mackenzie. Z ulgą podszytą rozpaczą zawróciłem samochód i pojechałem do Masonów.

Stary George i jego wnuk mieszkali nad jeziorem, na skraju lasu, w dawnej stróżówce ratusza. Masonowie od pokoleń byli ogrodnikami, a George jako młody mężczyzna pracował w ratuszu do czasu, aż po wojnie budynek zburzono. Teraz została tylko stróżówka i kilkuakrowy starannie utrzymany zagon, pod które coraz bliżej podchodził las.

Między drzewami połyskiwała metaliczna tafla jeziora. Zaparkowałem na podwórku i zapukałem do drzwi. Zaszczękała osadzona w nich szybka z matowego szkła, ale nikt nie odpowiedział. Zapukałem jeszcze raz. Gdy czekałem, rozległ się grzmot, od którego powietrze aż zawibrowało. Spojrzałem na niebo i zdziwiłem się,



jak szybko pociemniało. Kłębiące się chmury burzowe przyniosły przedwczesny koniec dnia. Niedługo miało zrobić się całkiem ciemno.

Zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. W domu nie paliło się światło, a gdyby ktoś tam był, w którymś z okien powinno być jasno. Mieszkali tylko we dwóch, dziadek i wnuk, rodzice Toma zmarli, gdy był jeszcze dzieckiem. Może George wyzdrowiał na tyle, by pójść do pracy, pomyślałem. Ruszyłem z powrotem do samochodu, ale po kilku krokach się zatrzymałem. Naszło mnie dziwne przeczucie, jakbym coś przeoczył. Powietrze zastygło w upiornej przedburzowej ciszy. Rozejrzałem się po podwórku, ogarnięty nieprzyjemnym wrażeniem, że na coś się zanosi, na coś złego. Ale nie zauważyłem niczego szczególnego.

Nagle podskoczyłem, gdy coś spadło na moje nagie ramię. Rozbiła się o nie dorodna kropla deszczu. Chwilę potem niebo przecięła błyskawica. Na moment wszystko spowiała oślepiająca biel. W brzemiennej ciszy, jaka zapadła, usłyszałem jakiś dźwięk, a raczej go wyczułem. Po chwili zagłuszył go wściekły grzmot, lecz byłem pewien, że mi się nie zdawało. Ciche, niemal podprogowe brzęczenie, aż nazbyt dobrze mi znane.

Muchy.

I podczas gdy zaczynało do mnie docierać, co to może oznaczać, kilka kilometrów dalej Mackenzie stał z ponurą miną pośród klatek z wystraszonymi ptakami i zwierzętami, a zadyszany policjant potwierdził to, co już było wiadome.

– Sprawdziliśmy wszędzie. Nikogo tu nie ma.

Trudno było odgadnąć, skąd dochodzi brzęczenie. Z wnętrza domu, to na pewno. Ciemne okna, które wytrzeszczały się na mnie ślepo, na niewiele się zdały. Podszedłem do najbliższego i zajrzałem do środka. Zobaczyłem niewyraźny zarys kuchni i nic ponadto. Podszedłem do drugiego. Pokój, zgaszony telewizor, a naprzeciw niego dwa sfatygowane fotele.

Wróciłem do drzwi, już miałem zapukać, ale opuściłem rękę. Gdyby ktoś chciał mi otworzyć, już by to zrobił. Przystanąłem na stopniach, nie mając pojęcia, co zrobić.

Nie miałem wątpliwości, co słyszałem. I że nie mogę tego zignorować. Położyłem dłoń na klamce. Jeśli drzwi są zamknięte na klucz, to nic nie poradzę, pomyślałem. Nacisnąłem.

Ustały.

Zawahałem się, świadomy, że nie powinienem nawet o tym myśleć. Ale potem wyczułem zapach. Mdlawo słodki fetor, który rozpoznawałem bezbłędnie.

Pchnąłem drzwi. Otworzyły się na oścież na ciemny korytarz. Smród nie pozostawiał złudzeń. Drapało mnie w gardle. Wyjąłem telefon, żeby zadzwonić na policję. Miałem w nosie to, że znów pomyślą, że coś sobie uroiłem. Bo nie uroiłem. Coś – może ktoś – tu umarł. Już zacząłem wybierać numer, gdy zorientowałem się, że nie mam zasięgu. Dom Masonów był w martwej strefie. Zakląłem, zastanawiając się, od jak dawna nie można się do mnie dodzwonić.

Miałem więc kolejny powód, by wejść do środka. Nawet gdybym nie potrzebował skorzystać z telefonu stacjonarnego, to nie miałem już wyboru. Nie mogłem tak po prostu odejść.

Poraził mnie jeszcze silniejszy smród. Stałem w korytarzu, próbując się zorientować w układzie domu. Na pierwszy rzut oka wydawał się schludny, ale wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

– Dzień dobry! – zawołałem.

Cisza.

Po prawej stronie były drzwi. Otworzyłem je i znalazłem się w kuchni, którą widziałem przez okno. W zlewie leżał stos naczyń, a na talerzach pleśniało jedzenie. Kilka tłustych much zerwało się do lotu, ale to nie one tak brzęczały.

W salonie też nikogo nie zastałem. Te same przykurzone fotele, które widziałem przez okno, i martwy telewizor. Nie znalazłem telefonu. Wyszedłem na korytarz. Schody, wyściełane starym, przetartym chodnikiem, niknęły w mroku na górze. Stałem u ich podstawy i położyłem rękę na poręczy.

Nie chciałem wchodzić na górę. Lecz skoro już tu byłem, nie mogłem się wycofać. Wymacałem włącznik światła i go przekręciłem. Aż podskoczyłem, gdy żarówka zapaliła się i natychmiast zgasła. Powoli wszedłem na górę. Z każdym krokiem fetor przybierał na sile. Dołączyła do niego też inna woń, słodkawa i smolista, coś mi przypominała, ale nie miałem czasu się zastanawiać co takiego. Na szczycie schodów był korytarz. W niemal całkowitej ciemności dostrzegłem zarys pustej brudnej łazienki i dwojga innych drzwi. Podszedłem do pierwszych i je otworzyłem. Podłoga z surowych desek, na środku rozbebeszone łóżko. Ruszyłem do drugich. Położyłem rękę na gałce, zapach smoły był coraz ostrzejszy. Przekręciłem gałkę, ale drzwi nie ustępowały. Przez chwilę myślałem, że są zamknięte na klucz, ale gdy je pchnąłem, nie stawiały oporu.

W twarz uderzyła mnie chmara much. Odgoniłem je, niemal dławiąc się ciepłym odorem dobiegającym ze środka. Sądziłem, że jestem przyzwyczajony do tego rodzaju woni, ale ta była nie do zniesienia. Muchy przestały już latać tak histerycznie i na powrót obsiadały łóżko. Podszedłem do niego, zakrywając usta i wciągając powietrze urywanymi haustami.

Pierwsze, co poczułem, to ulgę. Zwłoki były w stanie zaawansowanego rozkładu i choć na pierwszy rzut oka nie dało się powiedzieć, czy był to mężczyzna, czy kobieta, to na pewno leżały tu od dawna. Dłużej niż dwa dni. *Dzięki ci, Boże*, powiedziałem w duchu.

Gdy podszedłem bliżej, rozdrażnione muchy zaczęły się kręcić. Było za ciemno, żeby poczynały sobie jak za dnia. Gdybym przyjechał tu trochę później albo gdyby nie wybudziła ich błyskawica, pewnie w ogóle nie usłyszałbym ich złowieszczonego brzęczenia. Zauważyłem, że okno jest lekko uchylone. Nie na tyle, by do pokoju wpadało powietrze, ale wystarczająco szeroko, by zwabione odorem rozkładu owady wleciały i złożyły jaja.

Zwłoki leżały uniesione na poduszkach, ramiona trupa bezwładnie zwisały w dół.

Przy łóżku stała stara drewniana szafka, a na niej pusta szklanka i znieruchomiły budzik. Obok męski zegarek i fiolka z pigułkami. Było za ciemno, by odczytać wypisaną przez aptekarza etykietkę, gdyby nie to, że nagle pokój rozjaśniła błyskawica. Jak w powidoku bezgłósnego flesza dostrzegłem spłowiałą kwiecistą tapetę, obrazek w ramce nad łóżkiem i napis: *Coproxamol tabletki przeciwbólowe, dla George'a Masona*.

To prawda, że stary ogrodnik miał problemy z kręgosłupem, ale nie to było powodem, że nie widziano go ostatnio w miasteczku. Pamiętam, co Tom Mason powiedział, gdy wtedy przed kościołem spytałem go, gdzie jest dziadek. *W łóżku. Nie wstaje*. Zastanawiałem się, od jak dawna staruszek nie żyje. To, że nie zauważono jego zniknięcia, mówi o Manham samo za siebie.

Skierowałem się do drzwi, uważając, by niczego nie dotknąć. Choć bardziej przypominało to rodzinną tragedię niż miejsce zbrodni, nie chciałem zostawiać jeszcze więcej śladów. Ktoś będzie musiał ustalić, na co zmarł Mason i dlaczego wnuk tego nie zgłosił. Wprawdzie nie było to typowe zachowanie, ale z drugiej strony smutek czasem dziwnie na nas wpływa. Jeśli to wyparcie, to nie on pierwszy tak zareagował.

W korytarzu znowu uderzył mnie zapach smoły. Teraz, gdy drzwi były otwarte i wpadało dość światła, zauważyłem na futrynie grube czarne smugi. Kawałek zmiętej gazety, uwalany tą samą substancją, wciąż trzymał się spodu drzwi. Przypomniałem sobie, jaki stawiały opór, gdy próbowałem je otworzyć. Lekko dotknąłem czarnej mazi. Kleiła się.

Bitumin.

Nagle dotarło do mnie, co podświadomie męczyło mnie od rana. Wtedy na kościelnym cmentarzu pośród woni kwiatów i ściętej trawy wyczułem delikatny zapach jeszcze czegoś. Byłem zbyt zaabsorbowany, by się nad tym zastanawiać, ale teraz nie miałem wątpliwości. Bitumin. Musiał pozostać na ubraniu albo narzędziach Masona, po tym jak próbował zakleić drzwi do sypialni dziadka.

Ten sam, który znalazłem w pęknięciach na kręgach szyjnych Sally Palmer.

Próbowałem się uspokoić i jakoś ułożyć to sobie w głowie. Wydawało się niepojęte, by Tom Mason mógł być zabójcą. Jak ktoś tak spokojny, tak prostoduszny mógłby uknuć te wszystkie potworności, a co dopiero wprowadzić swój plan w życie? Z drugiej jednak strony cały czas było wiadomo, że morderca ukrywa się na widoku. Masonowi udawałoby się to doskonale; cierpliwie pracując na cmentarzu albo na

skwerku, wtapiał się w tło tak skutecznie, że stawał się prawie niezauważalny. Zawsze w cieniu dziadka, cichy, nienarzucający się ze swoją osobą.

Aż do teraz.

Zastanawiałem się, czy nie wysnuwam pochopnych wniosków. Jeszcze kilka minut temu byłem pewien, że zabójcą jest Carl Brenner. Jednak Mason też pasował do profilu. A Brenner, jaki był, taki był, ale nie trzymał w domu trupa dziadka. Ani nie próbował zamaskować ich smrodu tą samą substancją, którą znaleziono w szyi ofiary.

Drżącymi rękoma wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do Mackenziego, ale przypomniałem sobie, że nie ma zasięgu. Zakląłem i zbiegłem na dół. Musiałem go jak najszybciej powiadomić, ale nie mogłem stąd wyjść, nie sprawdzwszy, czy nie ma tu Jenny. Gnałem przez ciemny dom, zaglądając do każdego pomieszczenia. W żadnym z pokoi nie było śladów życia ani telefonu, z którego mógłbym skorzystać.

Wybiegłem do samochodu, jeszcze raz sprawdzając komórkę w nadziei, że jakimś szczęśliwym trafem pojawił się zasięg. Nadal nic. Gdy włączyłem silnik, po niebie przetoczył się grzmot. Było już całkiem ciemno, a na przednią szybę spadły krople deszczu. Podwórko było za małe, by zawrócić, więc zacząłem się cofać. Gdy snop światła z reflektorów omiótł rosnące naprzeciw drzewa, w odpowiedzi coś jakby błysnęło.

Nacisnąłem hamulec i gdyby samochód nie miał automatycznej skrzyni biegów, zatarłbym silnik. Wbiłem wzrok w gąszcz drzew, między którymi mignęło światełko. Cokolwiek to było, już się nie pokazało. Zaschło mi w ustach. Powoli ruszyłem do przodu, lekko skręcając w lewo. Gdy reflektor przesunął się po drzewach, coś w głębi znowu zabłyszczało.

Jasny żółty prostokąt tablicy rejestracyjnej.

Zobaczyłem teraz, że droga, którą tu przyjechałem, nie kończyła się na podwórku, ale biegła dalej w las. Choć była zarośnięta, to wyglądała na uczęszczaną. Nie widziałem jednak samochodu. Gdyby nie ten krótki błysk, nie przyszłoby mi do głowy, że coś tam w ogóle jest.

Potrzebowałem skontaktować się z Mackenzie, ale ciekawiło mnie, dokąd prowadzi ścieżka. Był to prywatny teren, daleko od miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Nie przeszukiwano go. I skąd ten samochód? Zawahałem się, nie wiedząc, co zrobić. W końcu nacisnąłem gaz i ruszyłem drogą.

Niemal natychmiast zamknęły się nade mną gałęzie i musiałem zwolnić. Wyłączyłem reflektory, nie chcąc robić jeszcze więcej zamieszania, ale bez nich nic

nie było widać. Po chwili włączyłem je znowu, ale ścieżka jakby zniknęła za ich smugą. Deszcz bębnił o dach. Uruchomiłem wycieraczki i spojrzałem przez szybę, po której spływały strumienie wody. Samochód podskakiwał na wyboistej drodze. W świetle reflektorów znowu ukazała się tablica rejestracyjna, boja świetlna w mroku. Wreszcie zobaczyłem cały samochód. Furgonetkę.

Stała obok niskiego, zarośniętego drzewami budynku.

Zatrzymałem się. Gdy zgasilem światła, zapadła całkowita ciemność. Wygrzebałem ze schowka latarkę, modląc się, by baterie działały. Włączyłem ją i popłynęła strużka żółtego światła. Krew pulsowała mi w uszach. Otworzyłem drzwi i szybkim ruchem zatoczyłem łuk latarką. Nikogo, tylko drzewa, a między nimi skrawki stalowoczarnej tafli jeziora. Deszcz zagłuszał wszystkie inne odgłosy i zanim wyjąłem z bagażnika klucz nasadowy, byłem już cały mokry. Klucz był ciężki, ale nie na tyle, żebym poczuł się z nim bezpiecznie. Ruszyłem w stronę budynku.

Furgonetka była stara i zardzewiała. Tylne drzwi zawiązano na sznurek. Odwiązałem go i z jękiem otworzyły się na oścież. W środku leżała sarta narzędzi ogrodniczych: łopaty, widły, nawet taczka. Spojrzałem na szpulę drutu. Jednak Carl Brenner powiedział prawdę. Sidła, w które wpadł Scott, nie były jego.

Ani żadne inne.

Już się odwracałem, gdy snop światła padł na coś jeszcze. Na szczycie sterty leżał składany nóż. Był otwarty, a ząbkowane ostrze jak w miniaturowej pile pokrywała czarna skorupa.

Domyśliłem się, że to nim zaszlachtowano psa Sally.

Nagle błysnęło, że aż podskoczyłem. Niemal od razu rozległ się grzmot, wściekły huk rozorał powietrze. Jeszcze raz zerknąłem na telefon, choć nie spodziewałem się, że pojawił się zasięg. I słusznie. Odszedłem od furgonetki i ruszyłem w stronę niskiego budynku. Nagle coś szarpnęło mnie za udo. Spojrzałem w dół i między krzakami zobaczyłem zardzewiały drut kolczasty. Zwisły z niego dziesiątki ciemnych wiechci. Z początku nie potrafiłem ich rozpoznać, potem poświeciłem na ten najbliższy i przed oczami błysnęła mi kość. Na drucie wisiały gnijące szczątki małych ptaków i innych zwierząt.

Dziesiątki zwierzęcych mumii.

W strugach deszczu szedłem wzdłuż drucianego ogrodzenia. Po kilku metrach drut się skończył; w trawie leżały jego pourywane i poskręcane kawałki. Przystąpiłem nad nimi i szedłem dalej wokół domu. Był to niski klocek, bez okien i drzwi. Miejscami

betonowe ściany się kruszyły, ukazując szkielet z prętów zbrojeniowych. Jednak dopiero, gdy znalazłem się po jego drugiej stronie i zobaczyłem głęboko osadzone drzwi i wąskie okienko, zrozumiałem, co to za budynek. Stary bunkier lotniczy. Wiedziałem, że całkiem sporo wiejskich domów je miało, budowane w popłochu na początku drugiej wojny światowej i w większości nigdy nieużywane.

Ale z tego ktoś zrobił użytek.

Najciszej, jak się dało, podszedłem do stalowych drzwi, poczerwieniałych od rdzy. Myślałem, że będą zamknięte na klucz, ale pchnąłem je i się otworzyły.

Powitał mnie powiew stęchłego powietrza. Z walącym sercem wszedłem do środka. Latarka oświetliła puste pomieszczenie. Podłoga zasłana była zeschniętymi liśćmi. Snopem światła omiotłem nagie ściany i dostrzegłem jeszcze jedne drzwi, ukryte w rogu, niemal niewidoczne.

Usłyszałem zgrzyt zamykających się drzwi. Odwróciłem się, by je przytrzymać, ale nie zdążyłem i zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Jeśli ktoś tu był, to echo, jeszcze długo odbijające się od ścian, obwieściło mu moje przybycie.

Nie miałem wyjścia, szedłem dalej. Nie martwiąc się już o zachowanie ciszy, otworzyłem drugie drzwi. Znalazłem się na szczycie wąskich schodów, słabo oświetlonych zawieszoną u góry żarówką.

Wyłączyłem latarkę i zbiegłem na dół.

Powietrze było cuchnące i stęchłe. Wyczułem w nim wyziewy śmierci, starałem się nie myśleć, co to może znaczyć. Kręte schody prowadziły do długiej i niskiej piwnicy. Wydawała się dużo większa niż nadziemna część budynku, jakby zbudowano go na starszych fundamentach. Drugi jej koniec ginął w ciemnościach. Nisko nad stołem warsztatowym wisiała żarówka. W jej wątym świetle dostrzegłem zdumiewającą mnogość kształtów i cieni.

Stałem jak osłupiały.

Cała piwnica była obwieszona ciałami martwych ptaków i zwierząt. Lisy, króliki, kaczki dyndały z sufitu jak eksponaty na jakiejś makabrycznej wystawie. Wiele z nich zamieniło się już w suchary ze skóry i kości, inne były na wcześniejszych etapach rozkładu. Wszystkie były okaleczone. Bez głów lub łap, z hipnotyzującą powolnością falowały w lekkim przeciągu.

Odwróciłem oczy i rozejrzałem się wokół. Na stole warsztatowym stała lampka, skierowana w pusty kąt piwnicy. W jej ostrym świetle dostrzegłem sznur przywiązany do metalowego pierścienia. Na stole leżały stare imadła i narzędzia, w tej scenerii

epatujące jakąś ohydą. A potem zauważyłem przedmiot, którego obecność w tym miejscu zakrawała na obsceniczny żart.

Na oparciu krzesła wisiała bogato zdobiona suknia ślubna z koronkowym karczkiem w lilijki, uwalana we krwi.

Jej widok wyrwał mnie ze stuporu.

– Jenny! – zawołałem.

W mroku na drugim końcu piwnicy ktoś się poruszył. Powoli wyłoniła się jakaś postać i podeszła do światła. Wnuk George’a Masona.

Miał tę samą niewinną minę co zawsze. Tylko że niewinność to ostatnia rzecz, o jaką można by go teraz posądzić. Był postawnym mężczyzną, wyższym ode mnie i szerszym w barach. Na dzinsach i kurtce miał plamy krwi. Nie patrzył mi w oczy, tylko przebiegał wzrokiem między moją klatką piersiową a ramionami. Ręce miał puste, ale spod kurtki wystawała pochwa noża.

Zacisnąłem rękę na kluczu.

– Gdzie ona jest? – wycedziłem łamiącym się głosem.

– Nie powinien pan tu schodzić, panie doktorze – powiedział przeproszającym tonem.

Powoli sięgał do pochwy. Był tak samo zaskoczony jak ja, gdy okazało się, że jest pusta.

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Co z nią zrobiłeś?!

Rozglądał się po podłodze za zgubionym nożem.

– Z kim?

Przekręciłem klosz lampki w jego stronę. Porażony światłem, zasłonił oczy dłonią. W kącie piwnicy, za ścianką leżała na wpół ukryta naga sylwetka.

Oddech uwiązał mi w gardle.

– Niech pan nie... – rzucił Mason, mrużąc oczy.

Skoczyłem ku niemu. Zamachnąłem się kluczem, chcąc z całej siły wbić go w tę jego potulną facjatę, ale zaczepiłem o zwierzęta zawieszane pod niskim sufitem. Spadła na mnie cuchnąca lawina piór i sierści. Dławiąc się, zdążyłem je odsunąć, zanim Mason przypuścił atak. Próbowałem zrobić unik, ale chwycił za klucz. W drugiej ręce trzymałem latarkę. Cisnąłem ją w niego, trafiając prosto w głowę. Wrzasnął i rzucił się na mnie. Zatoczyłem się do tyłu, a klucz i latarka ze szczękiem upadły na ziemię. Zatrzymałem się na stole, plecami nadziewając się na kant imadła,



i poczułem przeszywający ból.

Mason przywalił mi ramieniem w brzuch, aż straciłem oddech. Przydusił mnie i odchylił, wbijając imadło jeszcze głębiej. Spojrzałem mu w oczy. Łagodne błękitne oczy, a w nich stoicki spokój. Przesunął mi łokieć pod gardło i zaczął naciskać. Udało mi się oswobodzić jedną rękę i spróbowałem odepchnąć jego ramię. Przesząpił z nogi na nogę, napierając jeszcze bardziej, i sięgnął po coś ze stołu. Metal zazgrzytał o drewno, gdy Mason próbował wyjąć dłuto z drewnianego bloku. Chwyciłem go za ramię, ale tym samym odsłoniłem sobie szyję. Patrzył na mnie, pchając z coraz większą siłą, cały czas sięgając po dłuto. W oczach zobaczyłem gwiazdy. Zerknął na dłuto i wtedy dostrzegłem za jego plecami jakiś ruch.

Jenny. Z bolesną powolnością czołgała się w stronę czegoś, co wyglądało jak sterta piór. Próbowwała wyciągnąć coś spod spodu, ale starałem się nie spuszczać wzroku z niewzruszonej twarzy Masona i nie patrzeć na nią. Chciałem wbić mu kolano w krocze, ale stał za blisko, więc z impetem kopnąłem go w piszczel. Jęknął i odrobinę poluzował łokieć na moim gardle, lecz nagle blok z dłutami przewrócił się z hukiem. Patrzyłem, jak palce Masona niczym tłuste nogi pająka wędrują po dłuto, i choć cały czas go odciągałem, dosięgnął go i już centymetr po centymetrze wysuwał z drewna. W tle znowu zamajaczył ruch. Kątem oka zobaczyłem, że Jenny próbuje wstać. Klęczała, opierając się o ścianę i ściskając coś w rękach.

Masonowi udało się wyciągnąć dłuto. Teraz zamiast ciągnąć go za ramię, zacząłem je odpychać. Spanikowałem, gdy zdałem sobie sprawę, jaki jest silny. Ręka zaczęła mi drżeć, a on przysuwał dłuto coraz bliżej. Z twarzy kapał mu pot, prosto na moją twarz, ale poza tym nie znać było na niej żadnego napięcia, żadnego wysiłku. Malowało się na niej to samo pełne łagodności skupienie, z jakim wcześniej pielili rabatki.

Raptownie szarpnął się w drugą stronę, uwalniając rękę. Chwyciłem za nią, gdy się zamachnął, lecz wiedziałem, że nie zdołam go powstrzymać. Nagle wrzasnął i wygiął się do tyłu. Ręka, która mnie przyduszała, zniknęła. Podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą za nim Jenny, słaniającą się na nogach, nagą, całą we krwi. Trzymała wielki nóż, ale w chwili, gdy spojrzałem, wypadł jej z rąk i brzęknął o posadzkę. Mason ryknął i grzmotnął ją na odlew.

Upadła bezwładnie na ziemię. Rzuciłem się na niego. Wylądowaliśmy jeden na drugim i znowu wydał ryk. Zepchnął mnie i próbował odepchnąć. Na plecach miał powiększającą się plamę krwi. Sięgał po nóż. Czołgając się za nim, potraściłem nogą

coś twardego. Spojrzałem w dół i zobaczyłem klucz. Gdy Mason chwycił nóż, złapałem klucz, zamachnąłem się i zadałem mu cios w plecy, prosto w ranę po nożu. Zawył, odwrócił się w moją stronę, a wtedy grzmotnąłem go nim w twarz. Tak mocno, że aż łupnęło mi w rękę. Mason opadł na ziemię, nie wydawszy dźwięku. Zamachnąłem się, by jeszcze raz go uderzyć, ale nie było już takiej potrzeby. Dysząc, odczekałem chwilę, chcąc się upewnić, że się nie rusza, i rzuciłem się ku Jenny. Leżała tam, gdzie upadła. Delikatnie przewróciłem ją na plecy i na widok jej zakrwawionych ran nieomal pękło mi serce. Na całym ciele miała cięte rany, jedne małe, inne głębokie. Ta na policzku była prawie do kości, a gdy zobaczyłem, co Mason zrobił z jej stopą, miałem ochotę zmiażdżyć mu czaszkę. O mało nie krzyknąłem z radości, gdy wyczułem u Jenny puls. Słaby i nieregularny, ale żyła.

– Jenny, Jenny, to ja, David.

Otworzyła oczy.

– David – wyszeptała ledwo słyszalnie.

Wyczułem słodko-owocowy zapach jej oddechu i nagle radość przeszła w zimną trwożę. Kwasica ketonowa. Jej organizm zaczął rozkładać własne tłuszcze, uwalniając do krwi toksyczne ilości ciał ketonowych. Potrzebowała insuliny, natychmiast.

A ja nie miałem jej przy sobie.

– Nic nie mów – powiedziałem, bez sensu, bo jej oczy znowu się zamknęły.

To cud, że znalazła w sobie siłę, by dźgnąć Masona. Całkiem ją to wyczerpało. Puls słabł. *Boże, nie teraz, błagam.*

Podniosłem ją, nie zważając na piekący ból pleców i szyi. Nie mogłem się nadziwić, jaka jest lekka. Ważyła tyle, co ptaszyna. Mason się nie ruszał, ale niosąc ją po schodach, słyszałem jego chrapliwy oddech. Kopnięciem otworzyłem drzwi na górze i chwiejąc się na nogach, wyszedłem między drzewa. Deszcz lał strumieniami, ale i tak przynosił oczyszczającą ulgę po piwnicznym koszmarze. Gdy posadziłem Jenny na przednim siedzeniu, głowa opadła jej bezwładnie. Musiałem przypiąć ją pasem, żeby się nie osunęła, potem sięgnąłem po koc, który wozilem w apteczce, i okryłem ją. Odpaliłem silnik, zawróciłem, rysując bok furgonetki i łamiąc gałęzie. Wyrwałem przed siebie.

Jechałem tak szybko, na ile pozwalał mi rozum. Jenny od dwóch dni nie przyjmowała insuliny, znosiła Bóg jeden wie jakie udręki i straciła dużo krwi. Potrzebowała intensywnej opieki medycznej, ale najbliższy szpital był kilometry stąd, za daleko, by wieźć ją tam w takim stanie. Nie mogąc sobie darować, że nie wziąłem

insuliny z przychodni, rozpaczliwie rozważałem dostępne możliwości. Nie było ich wiele. Być może Jenny zapadała już w śpiączkę. Jeśli szybko się jej nie ustabilizuje, nie przeżyje.

Nagle przypomniałem sobie, że Mackenzie wezwał do starego młyna karetkę i ratowników. Być może jeszcze tam byli. Sięgnąłem po telefon, żeby do niego zadzwonić, jak tylko pojawi się zasięg. Nie miałem go w kieszeni. Gorączkowo zacząłem przeszukiwać pozostałe. Na próżno. Z przerażeniem stwierdziłem, że pewnie wypadł mi podczas walki. Przez chwilę nie potrafiłem podjąć decyzji. Wracać czy jechać? *Cholera, postanów coś!* Gwałtownie wcisnąłem gaz. Zawracając, zmarnowałbym zbyt dużo czasu.

Którego Jenny nie miała.

Dotarłem do końca leśnej drogi i z impetem wjechałem na szosę. Mieliliśmy insulinę w przychodni. Tam w oczekiwaniu na karetkę mógłbym zacząć leczenie. Z nogą na gazie spojrzałem przez przednią szybę, przesłoniętą ścianą wody, której wycieraczki nie nadążały usuwać. Padał tak ulewny deszcz, że nawet z włączonymi reflektorami widziałem tylko na kilka metrów. Zerknąłem na Jenny. To, co zobaczyłem, sprawiło, że zacisnąłem ręce na kierownicy i przyspieszyłem jeszcze bardziej.

Wydawało się, że jedziemy całe wieki. A potem nagle Manham wyrosło przede mną bez zapowiedzi, jakby nagle wyłaniając się z deszczu. Ulice były opustoszałe, burza przegoniła nawet dziennikarzy, którzy wcześniej je korkowali. Przeszło mi przez głowę, żeby zatrzymać się przy radiowozie obok skwerku, ale zaraz porzuciłem ten pomysł. Nie było czasu na tłumaczenia, teraz najważniejsza była insulina.

Z rykiem silnika zatrzymałem się na podjeździe. W domu było ciemno. Wykazałem na tyle przytomności umysłu, by zaparkować z boku, zostawiając przed wejściem miejsce dla karetki. Wyskoczyłem z samochodu i dopadłem drzwi od strony pasażera. Jenny miała płytki, urywany oddech, ale gdy ją wydobyłem z samochodu i niosłem przez deszcz, zaczęła się budzić.

– David...? – Nadal mówiła słabym szeptem.

– Wszystko dobrze. Jesteśmy w przychodni. Wytrzymaj.

Chyba mnie nie słyszała. Próbowała się wyrwać, wzrok miała wystraszonego i rozbieganego.

– Nie! Nie!

– Jenny, to ja. Jesteś bezpieczna.

– Ratuj mnie przed nim!

– Nic ci już nie grozi, obiecuję.

Odpływała w śpiączkę. Zaczęłam walić w drzwi, z Jenny na rękach nie byłem w stanie otworzyć ich kluczem. Minęła cała wieczność, zanim w holu zapaliło się światło. Jak tylko Henry uchylił drzwi, wparowałem do środka.

– Wezwij karetkę!

Zaskoczony, pośpiesznie zjechał wózkiem z drogi.

– David, co...?

Biegłem już przez hol.

– Zapada w śpiączkę cukrzycową, karetkę, natychmiast! Powiedz im, że policja może mieć jedną na podorędziu!

Kopnięciem otworzyłem drzwi do gabinetu Henry’ego, a on został w korytarzu, żeby zadzwonić. Położyłem ją na kanapie. Nie ruszała się. Pod zaschniętą krwią twarz miała białą jak prześcieradło. Tętno było ledwo wyczuwalne. *Proszę. Proszę, wytrzymaj*, zaklinałem ją rozpaczliwie. Może miała uszkodzone nerki lub wątrobę i w każdej chwili mogło stanąć jej serce. Musiała jak najszybciej trafić do szpitala. Oprócz insuliny potrzebowała kroplówek z płynami fizjologicznymi, żeby wypłukać zatruwające ją toksyny. Nie mogłem tego zrobić tutaj, w przychodni. Miałem nadzieję, że insulina utrzyma ją przy życiu do czasu, aż zawiozą ją do szpitala.

Szarpnąłem drzwiczki od lodówki i w amoku zacząłem ją przetrząsać.

Do pokoju wjechał Henry.

– Znajdę ją – powiedział. – Ty przynieś strzykawkę.

Tak gwałtownie otworzyłem stalową szafkę z lekami, gdzie leżały strzykawki, że aż zaklekotały stojące na niej ramki ze zdjęciami.

– Co z karetką?

– Jedzie. Daj, ja to zrobię. W tym stanie nie dasz rady – powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem. Nie oponowałem. – Co tu się dzieje, na litość boską? – spytał, przebijając igłą zapieczętowaną ampułkę.

– To był Tom Mason. Trzymał ją w starym bunkrze obok swojego domu. – Ścisnęło mnie w dołku na widok znieruchomiałej sylwetki Jenny. – To on zabił Sally Palmer i Lyn Metcalf.

– Wnuk George’a Masona? – spytał Henry z niedowierzaniem. – Żartujesz!

– Mnie też próbował zabić.

– Chryste! Gdzie teraz jest?

– Jenny pchnęła go nożem.

– Nie żyje?

– Nie wiem. Może.

Wtedy było mi wszystko jedno. Ze zniecierpliwieniem patrzyłem, jak Henry marszczy brwi nad strzykawką.

– Szlag! Igła się zatkała. Dawaj drugą, szybko.

Miałem ochotę się na niego wydrzeć. Odwróciłem się do szafki. Drzwiczki już się zatrzasnęły i szarpnąłem nimi tak mocno, że jedna ze stojących na niej fotografii się przewróciła. Ledwo na nią spojrzałem, ale gdy chwyciłem strzykawkę, z opóźnieniem zarejestrowałem pewien szczegół.

Zerknąłem raz jeszcze, nie na leżące zdjęcie, lecz na to obok. Na ślubną fotografię Henry’ego i jego żony. Widziałem ją mnóstwo razy, wzruszałem się tą uwiecznioną chwilą szczęścia. Ale co innego przykuło teraz moją uwagę.

Żona Henry’ego miała na sobie taką samą suknię, jaką widziałem w piwnicy Masona. Pomyślałem, że tylko mi się wydaje, ale ten krój, haftowana w lilijki wstawka na przodzie, były zbyt charakterystyczne, bym mógł się mylić. Była identyczna. Nie, nie identyczna, uświadomiłem sobie po chwili. To była ta sama suknia.

– Henry... – zacząłem i nagle poczułem ból w nodze.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak Henry oddala się ode mnie na wózku, z pustą strzykawką w ręku.

– Przykro mi, Davidzie. Naprawdę mi przykro – powiedział, spoglądając na mnie z dziwnym smutkiem i rezygnacją.

– Co... – Chciałem coś powiedzieć, ale usta odmówiły posłuszeństwa. Wszystko zaczynało się oddalać, pokój rozmazywał mi się przed oczami. Osunąłem się na podłogę. Czułem, jakbym lewitował w stanie nieważkości. Ostatnie, co zobaczyłem, zanim utraciłem kontakt z rzeczywistością, nie mieściło mi się w głowie: Henry wstał z wózka i szedł w moją stronę.

A potem on i wszystko inne zniknęło w ciemności.

**P**okój wypełniało tykanie zegara powolne niczym drobinki kurzu opadające w promieniach słońca. Każde nieśpieszne cyknięcie zdawało się wisieć w powietrzu całe wieki, zanim dało się słyszeć kolejne. Nie widziałem zegara, ale go sobie wyobrażałem, stary i ciężki, wypolerowane drewno pachnące woskiem pszczelim i dawnymi czasami. Czułem, że znam go na wskroś, moje palce pamiętały krzywiznę mosiężnego klucza, którym go nakręcałem.

*Bez końca mógłbym słuchać jego nobliwego tykania.*

*W kominku paliło się drewno, roztaczając słodką sosnową woń. Przy jednej ze ścian stał wysoki regał z książkami, a kąty pokoju powlekało ciepłe światło lamp. Pośrodku stołu z czereśniowego drewna stała biała misa z pomarańczami. W pokoju panowała znajoma przytulna atmosfera, podobnie jak w całym domu, choć na jawie nigdy w nim nie byłem. Tutaj mieszkały Kara i Alice w moich snach. To był nasz dom.*

*Przepęłniała mnie tak wielka radość, że myślałem, że moje serce jej nie pomieści. Kara siedziała naprzeciw mnie na kanapie.*

*Alice leżała na jej kolanach, zwinięta jak mały kotek. Patrzyły na mnie smutno. Chciałem im powiedzieć, że nie ma powodu się martwić. Że już wszystko jest dobrze. Że znowu przy nich jestem.*

*Że będę już zawsze.*

*– Idź pobawić się na dworze, kochanie.*

*– Mogę zostać z tatusiem?*

*– Nie teraz. Tata i ja musimy porozmawiać.*

*Alice wydeła usta z niezadowoleniem. Podeszła i przytuliła się. Gdy do mnie przywarła, poczułem ciepło i namacalną cielesność jej drobnej osobki.*

*– Idź, aniołku, o nic się nie martw. – Ucałowałem ją w główkę. – Będę tu, jak wrócisz.*

*Spojrzała na mnie z poważną miną.*

*– Pa, tatusiu.*

*Patrzyłem, jak wychodzi z pokoju. Przy drzwiach odwróciła się na chwilę i pomachała mi krótko, a potem zniknęła. Serce przepętniało mi takie wzruszenie, że przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie słowa. Kara obserwowała mnie z drugiej strony stołu.*

*– Co się stało? – spytałem. – Nie cieszysz się?*

*– Tak nie powinno być, Davidzie.*

*Zaśmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać.*

*– Ależ powinno. Właśnie tak. Nie czujesz tego?*

*Byłem taki szczęśliwy, ale w jej głosie pobrzmiwał smutek.*

*– To przez ten narkotyk. To przez niego tak się czujesz. Ale to złuda. Musisz się z niej otrząsnąć.*

*Nie rozumiałem, co ją tak martwi.*

*– Znowu jesteśmy razem. Czy nie tego chciałaś?*

*– Nie w ten sposób.*

*– Dlaczego nie? Jestem tu z tobą. Tylko to się liczy.*

*– Nie chodzi tylko o nas. Ani o ciebie. Już nie.*

*Moją euforię przestudził pierwszy powiew chłodu.*

*– Co masz na myśli?*

*– Ona cię potrzebuje.*

*– Kto? Alice? Oczywiście, że tak.*

*Wiedziałem jednak, że nie mówi o naszej córce. Szczęście, które czułem jeszcze przed chwilą, zaczęło mi się wymykać. Za wszelką cenę chciałem je zatrzymać. Podeszedłem do stołu i wziąłem pomarańczę z miski.*

*– Chcesz jedną?*

*Kara pokręciła głową, patrząc na mnie w milczeniu. Trzymałem owoc w ręku. Czułem jego ciężar, przyglądałem się dołeczkom na jego skórce. Już widziałem, jak tryśnie z niej sok, gdy zacznę ją obierać, już czułem jej intensywny zapach. Wiedziałem, że będzie słodka. Wiedziałem, że zjedzenie jej będzie wyrazem zgody, poddania się. I że nie będzie powrotu.*

*Niechętnie odłożyłem pomarańczę do miski. Z ciężkim sercem wróciłem na miejsce i usiadłem. Kara uśmiechnęła się z oczami szklistymi od łez.*

*– Czy właśnie to miałaś wtedy na myśli? Gdy powiedziałaś, że bym był ostrożny? – spytałem.*

*Nie odpowiedziała.*

– *Nie jest za późno?*

*Sposepniła.*

– *Być może. Zostało mało czasu.*

*Ścisnęło mnie w gardle.*

– *A ty i Alice?*

*Twarz rozpromienił jej ciepły uśmiech.*

– *O nas się nie martw. Jesteśmy bezpieczne.*

– *Już was więcej nie zobaczę, prawda?*

*Kara cicho płakała, nie przestając się uśmiechać.*

– *Nie potrzebujesz nas. Już nie.*

*Łzy spływały jej po policzkach.*

– *Kocham cię – powiedziałem.*

– *Wiem.*

*Podeszła i mnie przytuliła.*

*Po raz ostatni schowałem twarz w jej włosach, wdychając jej zapach, nie chcąc się z nią rozstawać, lecz wiedząc, że muszę.*

– *Uważaj na siebie, Davidzie – powiedziała.*

*Gdy poczułem na ustach słony smak łez, uświadomiłem sobie, że już nie słyszę zegara... tylko leżę sparalizowany w ciemności, nie mogąc złapać tchu. Spróbowałem zaczerpnąć powietrza, ale nie mogłem, jakby pierś ścisnęła mi żelazne obręcze.*

*Bliski paniki, podjąłem jeszcze jedną próbę. Tym razem udało mi się zrobić jeden świszczący wdech, potem drugi. Czułem się jak w wacianym kokonie, odcięty od całego świata. Tak łatwo byłoby się teraz poddać i zatopić w nim na zawsze...*

*Otrząśnij się z niej. Słowa Kary mnie oprzytomniły. Euforia, którą czułem wcześniej, prysła jak bańka mydlana. Zaciśnięta przepona blokowała oddech, jednak z każdym płytkim łykiem powietrza oddychałem coraz płynniej.*

*Otworzyłem oczy.*

*Obraz był przechylony pod dziwnym kątem. Starłem się skupić, ale wszystko wokół falowało. Gdzieś znad mojej głowy dobiegał głos Henry'ego.*

– *...nie chciałem, żeby tak wyszło, Davidzie. Uwierz mi, proszę. Ale gdy ją porwał, nie miałem już na to wpływu. Co mogłem zrobić?*

*Zorientowałem się, że się przemieszczam. Ściana obok przesuwiała się. Dotarło do mnie, że siedzę w wózku Henry'ego, że ktoś pcha mnie korytarzem. Próbowałem się podnieść do pionu, ale opadłem bezwładnie. Obraz wciąż wirował mi przed oczami,*



ale zaczynałem sobie wszystko przypominać.

Henry. Igła.

Jenny.

Chciałem wykrzyczeć jej imię, ale z moich ust dobył się tylko jęk.

– Cicho, Davidzie.

Obróciłem się, chcąc spojrzeć na Henry'ego, i znowu gwałtownie zakręciło mi się w głowie. Ciężko oparty o krzesło pchał wózek po korytarzu.

Szedł.

To wszystko nie miało sensu. Spróbowałem się dźwignąć, ale nie starczyło mi siły w rękach. Opadłem na siedzenie.

– Jenny... karetka – wybełkotałem.

– Nie będzie żadnej karetki, Davidzie.

– Nie... nie rozumiem.

Ale rozumiałem. A przynajmniej zaczynałem rozumieć. Przypomniało mi się, jak Jenny ocknęła się, gdy ją tu przyniosłem, jaka była przestraszona. „Ratuj mnie przed nim!” Myślałem, że majaczy, że ma na myśli Masona.

Lecz to nie o nim mówiła. Znowu spróbowałem się podnieść. Kończyny miałem ciężkie i niemrawe, jakbym był zatopiony w galarecie.

– Davidzie, dajże spokój – rzucił Henry z irytacją.

Osunąłem się bezradnie, ale gdy mijaliśmy schody, uchwyciłem się poręczy. Wózek obrócił się gwałtownie i prawie z niego wypadłem. Henry zachwiał się i zacisnął na nim dłonie, żeby utrzymać równowagę

– Na miłość boską! David!

Wózek stał bokiem, a ja kurczowo trzymałem się poręczy. Zamknąłem oczy, bo wszystko zaczęło wirować. Głos Henry'ego był zadyszany i wzburzony.

– Puść. Dobrze wiesz, że to nic nie da – wysapał Henry. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że opiera się o ścianę naprzeciw mnie, spocony i rozczochrany. – Davidzie, proszę – mówił z wysiłkiem. – Tylko utrudniasz to nam obu.

Wczepiłem się w poręcz z jeszcze większą determinacją. Westchnął, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej strzykawkę. Podniósł ją przed moimi oczami, żebym miał świadomość, że jest pełna.

– Taka ilość diamorfiny powaliłaby konia. Naprawdę nie chcę już ci jej wstrzykiwać. Sam wiesz, co się wtedy stanie. Ale zrobię to, jeśli mnie do tego zmusisz.

Mój umysł ociężałe przetrwał informacje. Diamorfina to środek przeciwbólowy, pochodna heroiny, wywołujący halucynacje i śpiączkę, ulubiona trucizna seryjnego mordercy Harolda Shipmana, który za jej pomocą wykończył setki swoich pacjentów.

Henry wpompował we mnie całą strzykawkę.

Z przerażającą klarownością ujrzałem, jak fragmenty układanki wskakują na swoje miejsce.

– Ty i on... To byłeś... ty i Mason...

Nawet teraz część mnie chciała, by zaprzeczył, by podał jakieś racjonalne wytłumaczenie. Ale on tylko patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a potem opuścił strzykawkę.

– Przykro mi, Davidzie. Nie sądziłem, że do tego dojdzie.

Nie mieściło mi się to w głowie.

– Dlaczego, Henry...?

Uśmiechnął się ironicznie.

– Obawiam się, że nie znasz mnie tak dobrze, jak myślisz. Powinieneś zajmować się trupami i tylko nimi. Są dużo mniej skomplikowane niż żywi ludzie.

– Co ty... co ty wygadujesz?

Na twarz wypełził mu pogardliwy grymas.

– Myślisz, że podobało mi się być kaleką? Siedzieć w tej zapadłej dziurze? Być traktowanym protekcyjnie przez to... bydło? Trzydzieści lat zgrywania zacnego doktorunia i co z tego mam? Wdzięczność? Nie znają takiego słowa!

Skrzywił się z bólu. Przytrzymując się ściany, przeszedł sztywno do starego wiklinowego fotela przy stoliku z telefonem. Widział, jak patrzę, gdy opadł na niego z ulgą.

– Chyba nie sądziłeś, że się poddam, co? Zawsze ci powtarzałem, że udowodnię specjalistom, że nie mają racji. – Zasapany otarł pot z czoła. – Uwierz mi, to nic przyjemnego robić za bezradnego niezgułę. Obnosić publicznie swoją niemoc. Masz pojęcie, jakie to poniżające? Jak przytłaczające? Wyobraź sobie, że do końca życia czułbyś się tak jak teraz... I nagle stajesz przed możliwością, by najdosłowniej mieć władzę nad życiem i śmiercią! Odkrywasz, że możesz zabawić się w Boga! – Uśmiechnął się bałamutnie. – No, sam przyznaj. Jesteś lekarzem, ty też na pewno kiedyś to czułeś. Ten cichy podszept pokusy.

– Ty... je zabiłeś...!

Wyglądał na zde gustowanego.

– Nie tknąłem ich nawet palcem. Zrobił to Mason, nie ja. Ja tylko spuściłem go ze smyczy.

Miałem ochotę zamknąć oczy i odciąć się od tego wszystkiego. Powstrzymywała mnie tylko myśl o Jenny, o tym, co mógł jej zrobić. Jednak w tej chwili nie mogłem pomóc ani jej, ani sobie. Im dłużej zaś mówił, tym większą miałem szansę, że narkotyk przestanie działać.

– Od... kiedy?

– Od kiedy o nim wiem? O to ci chodzi? – Wzruszył ramionami. – Jego dziadek przyprowadził go do mnie, gdy Tom był jeszcze chłopcem. Lubił zadawać ból. Przy zabijaniu wymyślał swoje małe rytuały. Oczywiście wtedy były to tylko zwierzęta. Nie rozumiał, że robi coś złego, ni w ząb. Fascynujący przypadek, naprawdę. Zaproponowałem, że utrzymam to w tajemnicy i podam chłopcu leki uspokajające, by wyciszyć jego... skłonności, pod warunkiem że będę mógł monitorować jego rozwój. Można powiedzieć, że to taki mój nieoficjalny projekt badawczy. – Uniósł ręce w udawanym geście poddania. – Wiem, wiem, można mieć zastrzeżenia natury etycznej. Ale mówiłem ci, że zawsze chciałem być psychologiem. Byłbym w tym cholernie dobry, ale przyjazd do Manham wszystko przekreślił. Mason przynajmniej był bardziej interesujący niż artretyzm czy zastrzał. I tak się składa, że odwaliłem kawał dobrej roboty. Gdyby nie ja, już dawno całkiem by mu odwaliło.

Dręczył mnie strach o Jenny, ale nawet lekkie drgnięcie na fotelu przyprawiało mnie o zawroty głowy i mdłości. Zacząłem napinać mięśnie rąk i nóg, chcąc przywrócić w nich władzę.

– Czy... swojego dziadka też zabił...?

Henry wyglądał na szczerze oburzonego.

– Skądże! Broń Boże! Uwielbiał starszka ponad wszystko! Nie, stary George zmarł z przyczyn naturalnych. Pewnie zawał. Ale po jego śmierci nikt nie pilnował, by Mason brał leki. W celach zawodowych przestałem go widywać lata temu. Wierz lub nie, ale niekończące się sprawozdania z torturowania zwierząt po jakimś czasie zaczęły mnie nudzić. Dawałem George'owi leki uspokajające dla Toma, ale poza tym straciłem zainteresowanie Masonem. Do czasu, aż stanął w moich drzwiach i oznajmił, że w starym warsztacie ojca trzyma Sally Palmer. – Zachichotał. – Okazało się, że wpadła mu w oko, gdy rok czy dwa lata temu najęła go razem z dziadkiem do prac ogrodowych. Póki działały leki, nie był to problem. Ale bez nich zaczął dokazywać. Śledził ją. Prawdopodobnie sam nawet nie wiedział, co mu chodzi po

głowie, aż jednej nocy zobaczył go jej pies i narobił rabanu. Więc Mason poderżnął mu gardło, związał, żeby nie piszczał, a potem wywiózł.

Niemal z podziwem pokręcił głową. Nie mogłem uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego znałem od lat, którego uważałem za swojego przyjaciela. Przepaść między tym, za kogo go miałem, a obłąkanym maniakiem, który siedział przede mną, była niewyobrażalna.

– Na miłość boską, Henry...!

– Och, nie patrz tak na mnie. Ta nadęta gęś dostała za swoje! Nasza celebrytka od siedmiu boleści! Jak akurat nie szlajała się po Londynie czy gdzie tam jeszcze, to gziła się z miejscowymi kmiotkami. Arogancka suka! Chryste, ilekroć na nią spojrziałem, widziałem Dianę!

Drgnąłem na wspomnienie jego zmarłej żony. Zauważył moją reakcję.

– Nie chodzi mi o wygląd – dodał z irytacją. – Diana miała klasę, trzeba jej to przyznać. Ale pod innymi względami były jak siostry. Obie aroganckie, obie zadzierały nosa. Zwykle suki! Wszystkie takie same! Wycisną cię jak gąbkę, a na koniec parskną śmiechem!

– Przecież kochałeś Dianę...

– Diana była dziwką! – wrzasnął. – Pieprzoną dziwką!

Twarz wykrzywiła mu się nie do poznania. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że przez cały ten czas nie zauważyłem w nim tak zapiekłej goryczy. Janice nieraz czyniła aluzje, że jego małżeństwo z Dianą nie było najszcześniejsze, ale sądziłem, że przemawia przez nią zazdrość.

Myliłem się.

– Zrezygnowałem dla niej ze wszystkiego! – wypalił. – Chcesz wiedzieć, dlaczego zostałem lekarzem rodzinnym, a nie psychologiem? Bo zaszła w ciążę i musiałem iść do pracy. I wiesz, co jest najzabawniejsze? Tak się spieszyłem, że nie ukończyłem nawet studiów. – Miałem wrażenie, że czerpie z tego wyznania perwersyjną przyjemność. – Dokładnie tak. Nie mam nawet prawa wykonywania zawodu. Myślisz, że zostałem na tym zadupiu z wyboru? Przyjechałem tu tylko dlatego, że stary ochlej, który prowadził przychodnię, był zbyt otumaniały, by sprawdzić moje kwalifikacje. –

Zaśmiał się gorzko. – Cóż za ironia losu, gdy odkryłem, że ty też nie byłeś ze mną szczery. Ale różnica między tobą a mną jest taka, że ja utknąłem tu jak w pułapce. Nie mogłem wyjechać, nie mogłem odejść do innej pracy, boby mnie zdemaskowano. Dziwisz się, że nienawidzę tego miejsca? Manham to pieprzone więzienie! – Uniósł

brew, wykrzywiając twarz w parodię Henry'ego, którego myślałem, że znam. – I jeśli myślisz, że Diana stała po mojej stronie, to grubo się mylisz! O nie, nie! To wszystko była moja wina! Moja wina, że poroniła! Moja wina, że nie mogła mieć więcej dzieci! Moja wina, że zaczęła się puszczać!

Być może narkotyk wyostrzył mi zmysły, bo nagle zrozumiałem, do czego zmierza.

– Ten grób w lesie... Zabity student...

Dotknąłem czulej struny. Nagle wydał się zmęczony.

– Chryste, kiedy go znaleźli, po tych wszystkich latach... – Jakby chciał strząsnąć z siebie to wspomnienie. – Tak, był jednym z gachów Diany. Sądziłem, że na tyle mnie już przećwiczyła, że nic mnie nie ruszy. Ale ten był inny od tych wszystkich nieudaczników, z którymi się zadawała. Inteligentny, przystojny. I kurewsko młody. Miał przed sobą całe życie, karierę. A mnie co zostało?

– I dlatego go zabiłeś...?

– Nie planowałem tego. Poszedłem do jego obozowiska, zaproponowałem pieniądze, żeby wyjechał. Nie chciał ich. Gówniarz myślał, że to prawdziwa miłość. Chciałem, żeby przejrzał na oczy, powiedziałem mu, jaka z Diany bezwstydną dzidra. Pokłóciliśmy się. Jedno doprowadziło do drugiego.

Wzruszył ramionami, jakby zwolniony z całej odpowiedzialności.

– Wszyscy zakładali, że zwinął namiot i wyjechał. Nawet Diana. Tam, skąd przyjechał, ma kobiet w bród, tak sobie to tłumaczyła. Nic się nie zmieniło. Nadal byłem rogiaczem, pośmiewiskiem całego miasteczka. W końcu, pewnego wieczoru, gdy wracaliśmy z przyjęcia, poczułem, że mam dość. Trzeba było przejechać przez kamienny most, a ja zamiast na niego skręcić, nacisnąłem gaz.

Nagle jakby uszło z niego całe życie. Osunął się na fotel, wyglądając jak starzec.

– Tylko że stchórzyłem. W ostatniej chwili próbowałem skręcić. No więc, tak wyglądał ten osławiony wypadek. Jeszcze jedna kłapa, jeszcze jedna kompromitacja. Diana pewnie by się ze mnie śmiała. Ona przynajmniej zginęła na miejscu, a ja zostałem tu sam jak frajer!

Klepnął dłońmi o uda.

– Bezżyteczny frajer! Życie w Manham już wcześniej było wystarczającą udręką, ale teraz patrzyłem na ludzi wokół, na to moje stadko, na ich żalosne życie, które wiedli cali i zdrowi, na to, jak drwią za moimi plecami, i czułem taką nienawiść! Mówię ci, były chwile, że chciałem ich wszystkich ukatrupić! Wszystkich, co do

jednego. Ale nie miałem odwagi. Na to, żeby się zabić, też mi jej zbrakło, skoro już o tym mowa. A potem pojawił się Mason, przyszedł pod moje drzwi niczym kot przynoszący swojemu panu złowionego ptaszka. Mój własny golem!

Na jego twarzy malował się niemal zachwyty. Spojrzał na mnie z ożywieniem.

– Glina, Davidzie, był jak glina. Ani krzty sumienia, zero troski o konsekwencje. Czekał, aż go ukształtuję, aż powiem, co ma zrobić. Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie? Jaka ekscytacja? Gdy stałem w tej piwnicy i patrzyłem na Sally Palmer, czułem, że mam władzę, że mam moc! Po raz pierwszy od lat nie byłem tylko żalonym kaleką. Patrzyłem na tę arogancką snobkę umorusaną w krwi i smarkach i czułem się silny!

Oczy błyszczały mu złowrogo. Była w nich jakaś straszliwa przytomność, mimo że dopuścił się tych wszystkich makabrycznych czynów.

– Wiedziałem, że to moja szansa. Nie tylko, żeby się odegrać na Manham, ale żeby uwolnić się od wspomnienia Diany! Od jej władzy nade mną... Zawsze była dumna z tego, że świetnie tańczy, więc dałem Masonowi jej suknię ślubną i pozytywkę, pamiątkę z naszego miesiąca miodowego. Boże, ależ nie znosiłem tego gówna! Słuchałem tego zasranego *Clair de Lune* na okrągło za każdym razem, jak się szykowała na spotkanie z tym, z kim akurat się tego dnia zamierzała puścić. No więc powiedziałem Masonowi, żeby kazał tej Palmer włożyć suknię, a potem zaczekał na zewnątrz. Zszedłem tam i patrzyłem, jak tańczy, ze strachu ledwo się ruszała. Patrzyłem na jej upokorzenie! Tylko patrzyłem. Ale to było jak prawdziwe katharsis! Prawie nie miało znaczenia, że to nie Diana.

– Jesteś chory, Henry... Potrzebujesz pomocy...

– Och, nie udawaj takiego świętoszka! – warknął. – Mason i tak by ją zabił. Myślisz, że jak zwąchał krew, toby przestał? Jeśli to jakieś pocieszenie, to ich nie gwałcił. Lubił patrzeć, ale sam nie śmiał tknąć. Nie twierdzą, że w końcu by się do tego nie posunął, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu kobiety budziły w nim lęk. – Jakby go to rozbawiło. – Co za ironia...

– Torturował je! – wykrzyknąłem.

Henry wzruszył ramionami, uciekając wzrokiem.

– Najgorsze robił, jak już były martwe. Łabędzie skrzydła, małe króliczki... – Skrzywił się z niesmakiem. – Te jego rytualne fiksacje. Nawet z sukni ślubnej uczynił fetysz. Jak zrobił coś raz, wiadomo było, że będzie to powtarzał już zawsze. Wiesz, dlaczego zabijał je dopiero po trzech dniach? Bo po takim czasie zabił

pierwszą. Wkurzył się, gdy próbowała uciec. Gdyby nie to, mogłaby tam siedzieć cztery lub pięć.

A więc to dlatego Sally Palmer była pobita, a Lyn Metcalf nie. Nie dlatego, że nie chciał, by ją rozpoznano. Po prostu wpadł w szal. Kurczowo zacisnąłem dłonie na poręczy wózka, gdy przypomniałem sobie, jaką radę dał mi Henry przed nalotem policji na młyn. *Nie sądzisz, że powinienes się przygotować?* Wiedział, że jadą nie tam, gdzie trzeba, wiedział, co się stanie z Jenny. Gdybym mógł, zabiłbym go tu i teraz.

– Dlaczego Jenny? – zachrypiałem. – Dlaczego akurat ona?

– Z tego samego powodu co Lyn Metcalf. Wpadła Masonowi w oko i tyle – odparł z udawaną niefrasobliwością.

– Kłamiesz!

– No dobrze, poczułem się zdradzony! – wrzasnął. – Traktowałem cię jak syna! Byłeś jedynym wartościowym człowiekiem w całej tej zatęchłej norze! A potem zadałeś się z nią! Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim odejdziesz, by zacząć nowe życie. Poczułem się jak cholerny starzec! A potem, gdy powiedziałaś, że pomagasz policji, węszyć za moim plecami, po prostu... po prostu...

Nie dokończył. Powoli, żeby nie budzić podejrzeń, próbowałem zmienić pozycję na wózku. Korytarz znowu zakołysał mi się przed oczami.

– Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, Davidzie – rzucił stanowczo. – Ta nocy, gdy Mason przyszedł po chloroform, to niby włamanie... Byłem wtedy w gabinecie, gdy próbowałaś wejść, ale przysięgam, że nie wiedziałem, że chciał cię pociąć nożem. Zorientowałem się dopiero potem, gdy spotkaliśmy się na korytarzu. A tego ranka, kiedy znalazłeś mnie niby wsiadającego do łódki?

Spojrzał na mnie przepaszająco, ale widać było, że jest z siebie zadowolony.

– Nie próbowałem wsiąść. Tylko wysiadałem.

Teraz, gdy o tym pomyślałem, wydało się to oczywiste. Zarówno dom Henry'ego, jak i Masona stał nad brzegiem jeziora i o ile ktoś tego specjalnie nie wypatrywał, szansa, że ktokolwiek zauważy w nocy małą łódkę cicho sunącą po wodzie, była niewielka.

– Popłynąłem do niego, żeby wszystko odwołać – podjął Henry. – Powiedzieć, że zmieniłem zdanie. Zajęło mi to kilka godzin, ale ponieważ nie miał telefonu, nie było innego sposobu. Ale tylko zmarnowałem czas. Gdy Mason się na czymś zafiksował, nie dało się go od tego odwieść. Jak wtedy, gdy porzucił zwłoki na bagnach.

Próbowałem go przekonać, żeby zrobił to jak trzeba, ale nie chciał słuchać. Patrzył tym swoim pustym wzrokiem, a potem i tak zrobił swoje.

– Więc pozwoliłeś mu porwać Jenny... A potem poszedłeś tam... i patrzyłeś...

Uniósł ręce i opuścił je w geście bezradności.

– Nie spodziewałem się, że sprawy przybiorą taki obrót. Uwierz, Davidzie. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić!

Szukał wzrokiem zrozumienia w mojej twarzy, ale go nie znalazł. Uśmiechnął się krzywo.

– No cóż, tak już jest, że życie układa się inaczej, niż byśmy chcieli, zgodzisz się?

Nagle huknął dłońmi w stół.

– Szlag by to, Davidzie! Dlaczego nie mogłeś chociaż sprawdzić, czy Mason nie żyje? Mógłbym wtedy zaryzykować z tą dziewczyną! A tak nie mam wyboru!

Jego pełen frustracji krzyk rozbrzmiewał w korytarzu echem. Otarł dłonią twarz, potem przez chwilę siedział nieruchomo, patrząc w przestrzeń. W końcu jakby się ocknął.

– Dobra, miejmy to za sobą – powiedział bezbarwnym głosem.

Gdy zaczął się podnosić z fotela, zebrałem w sobie wszystkie siły i rzuciłem się na niego z wózka.



**P**róba wypadła żałośnie. Nogi się pode mną ugięły, runąłem na ziemię, a wózek z hukiem przewrócił się na bok. Od gwałtownego ruchu znowu wszystko zawirowało mi przed oczami. Zacisnąłem powieki, gdy ściany przechyliły się pod absurdalnym kątem, straciłem nadzieję, że cokolwiek zdziałam.

– Oj, David, David – powiedział Henry smutno.

Leżałem, czując, jak kołysze się pode mną podłoga. Czekałem na ukłucie igły i na ostateczną ciemność, która po nim zapadnie. Ale nic się nie działo. Otworzyłem oczy i mimo zawrotów głowy spróbowałem skupić na nim wzrok. Patrzył na mnie z góry z czymś na kształt troski wymalowanej na twarzy, niepewnie trzymając strzykawkę w ręku.

– Tylko pogarszasz sprawę. Jeśli ci to podam, nie przeżyjesz. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

– I tak... to zrobisz... – wybełkotałem.

Próbowałem się dźwignąć, ale ręce miałem za słabe, a nagły wysiłek przyprawił mnie o łupanie w głowie. Opadłem z powrotem na podłogę, widząc wszystko jak przez mgłę. Henry ujął mnie za nadgarstek. Nie miałem siły się wyrwać, mogłem tylko patrzeć, jak do przedramienia przystawia mi igłę. Starąłem się zebrać w sobie i oprzeć się działaniu narkotyku, choć wiedziałem, że mi się nie uda.

Jednak Henry nie pchnął tłoka strzykawki. Zamiast tego powoli cofnął rękę.

– Nie mogę, nie w ten sposób – wymamrotał.

Wsunął strzykawkę z powrotem do kieszeni. Obraz przed oczami zasnuwała mi mgła, a korytarz tonął w ciemności. Czuję, że popadam w omdlenie. *Nie!* Całym sobą starałem się nie tracić przytomności umysłu, ale wymykała mi się przez palce. Świat wokół przestał istnieć, zostało tylko głośne rytmiczne pulsowanie. Niejasno uświadamiałem sobie, że to bicie mojego serca.

Jakby z oddali poczułem, że ktoś mnie podnosi, że gdzieś się przemieszczam. Otworzyłem oczy, ale zaraz ponownie je zamknąłem, bo wirujący kalejdoskop barw

i kształtów przyprawiał mnie o falę mdłości. Zwalczyłem je, nie chcąc jeszcze raz zemdleć. Lekkie uderzenie o ziemię, potem powiew chłodnego powietrza na twarzy. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą granatowe niebo. Za poszarpanymi chmurami, gnany niewidocznym wiatrem, to pojawiały się, to znikwały gwiazdy i konstelacje świecące z krystaliczną jasnością.

Wziąłem głęboki oddech, chcąc odzyskać poczucie rzeczywistości. Przedemną na podjeździe stał mój land rover. Wózek zbliżał się do niego, podskakując i chrzęszcząc na żwirze. Miałem wrażenie, że moje zmysły działają teraz ze zdumiewającą klarownością. Słyszałem skrzypienie gałęzi na wietrze, czułem gliniasty zapach mokrej ziemi. Zdrapania i plamy błota na samochodzie zdawały się wielkie jak kontynenty.

Podjazd był spadzisty, Henry dyszał, pchając mnie pod górę. Zatrzymał się z tyłu samochodu, z trudem łapiąc oddech. Wiedziałem, że powinienem się ruszyć, ale moje kończyny nie chciały słuchać. Gdy odsapnął, obszedł wózek, przytrzymując się go, póki nie dosięgnął samochodu. Poruszał się niezdarnie, nogi miał jak z drewna. Otworzył tylne drzwi land rovera i usiadł na progu. Był zlany potem, pierś mu falowała i z wyczerpania całkiem pobladł. Podniósł wzrok i nieznacznie się uśmiechnął.

– Jak tam? Wróciłeś już z zaświatów? – Nie wstając z krawędzi samochodu, pochylił się w moją stronę i wsunął mi ręce pod pachy. – Ostatnia prosta, Davidzie. No, dalej, wstajemy.

Przez lata jeżdżenia na wózku wyrobił sobie mięśnie górnej części ciała i teraz znowu z łatwością mnie dźwignął. Szarpnąłem się niemrawo. Stęknął i uchwycił mnie mocniej. Gdy wciągał mnie do samochodu, zdołałem złapać przednie drzwi; wczepiłem się w nie, zaczęły się zamykać.

– Davidzie, nie bądź głupi – wysapał Henry, próbując rozewrzeć moje zaciśnięte dłonie. Nie puszczałem. – Cholera jasna, puszczej!

W końcu szarpnął tak gwałtownie, że walnąłem głową o krawędź drzwi. Wstrząs mnie obezwładnił, Henry wciągnął mnie do środka i położył na metalowej podłodze samochodu.

– Boże drogi, Davidzie, nie chciałem – powiedział.

Wyjął chusteczkę i przyłożył mi do czoła. Gdy ją podniósł, miała ciemne plamy. Spojrzał na nią, oparł się o drzwi i zasłonił dłonią oczy.

– Chryste, co za koszmar.

Czułem w głowie przeszywający ból, ale po narkotycznej malignie było w nim coś czystego, niemal odświeżającego.

– Henry... nie rób tego...

– Myślisz, że tego chcę? Teraz marzę tylko o jednym: żeby to się skończyło. To tak wiele? – Zachwiał się ze zmęczenia. – Boże, jestem wykończony. Miałem cię zawieźć nad jezioro i tam doprowadzić to do końca. Popłynąć łódką na drugi brzeg i zająć się Masonem. Ale coś mi się wydaje, że nie dam rady.

Sięgnął na tył samochodu. Gdy się wyprostował, zobaczyłem, że trzyma gumowy szlauch.

– Wziąłem go z ogrodu, gdy byłeś nieprzytomny. Mason chyba nie będzie go już potrzebował. – Ponury dowcip spalił na panewce. Henry był wypompowany. – Będzie trochę bałaganu, gdy cię tu znajdą, ale nie ma innego wyjścia. Przy odrobinie szczęścia wszyscy pomyślą, że to samobójstwo. Nie jest to majstersztyk, ale nic lepszego teraz nie wymyślę.

Trzasnął drzwiami i zapadła ciemność. Usłyszałem, jak zamyka samochód na klucz, a potem robi coś na zewnątrz. Spróbowałem usiąść, ale zakręciło mi się w głowie i opadłem na ziemię. Wyciągnąłem rękę, by się na czymś wesprzeć, i nagle dotknąłem czegoś szorstkiego. Koc. Pod spodem coś leżało. Nie coś, ale ktoś, stwierdziłem z przerażeniem.

Jenny.

Leżała skulona na podłodze za siedzeniem pasażera. W niemal całkowitej ciemności widać było tylko jej jasne włosy. Poczerniałe i zmierzwiłone. Nie ruszała się.

– Jenny! Jenny!

Nie poruszyła się, gdy ściągnąłem jej z głowy koc. Skórę miała lodowatą. *Boże, nie, błagam.* Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Henry, stękając, wgramolił się na siedzenie.

– Henry... proszę, pomóż mi.

Odpalił silnik, zagłuszając mój głos. Uchylił lekko szybę od strony kierowcy i obejrzał się na mnie. W ciemności widziałem tylko zarys jego twarzy.

– Przykro mi, Davidzie. Naprawdę. Ale nie widzę innego wyjścia.

– Na miłość boską!

– Żegnaj, Davidzie!

Podniósł się niezdarnie, wysiadł i trzasnął drzwiami. Chwilę później coś wsunęło

się przez szparę w oknie.

Gumowy szlauch. Teraz zrozumiałem, dlaczego zostawił włączony silnik.

– Henry! – zawołałem, nagle ze strachu znajdując siłę w gardle.

Mignął mi jeszcze w przedniej szybie, wracając w stronę domu. Zacząłem się szamotać, próbując otworzyć tylne drzwi, choć wiedziałem, że są zamknięte na klucz. Ani drgnęły. Wydawało mi się, że już czuję spaliny. *Cholera! Myśl! Myśl!* Podczołgałem się do szoferki, do okna, w którym zatknięty był gumowy wąż. Wyrosła przede mną barykada foteli. Próbowałem się na nich wesprzeć, lecz poczułem, że zewsząd otacza mnie mgła. Bez sił opadłem na plecy. *Nie! Nie wolno ci stracić przytomności!* Odwróciłem głowę i na widok znieruchomiałej Jenny odgoniłem gęstniejącą ciemność.

Spróbowałem jeszcze raz. Między siedzeniami była wąska szczelina. Wsunąłem w nią rękę i częściowo udało mi się podciągnąć. Czułem, że w mojej głowie czai się otchłań nieświadomości, grożąc, że znów mnie pochłonie. Z boleśnie walącym sercem zaczekałem, aż się rozproszy. Dźwignąłem się jeszcze wyżej, zaciskając zęby, gdy samochód się zakołysał. *Dawaj!* Zdołałem jakoś wbić się między fotele, opierając pierś na skrytce między nimi. W stacyjce tkwiły kluczyki, ale równie dobrze mogły znajdować się całą milę dalej. Po omacku szukałem przycisku otwierania okna, wiedząc, że też do niego nie sięgnę. Zawirowało mi w głowie, spojrzałem na ziejącą na mnie czarną czeluść węża. Nie miałem pojęcia, jak go dosięgnąć, zanim uduszą mnie spaliny. Nawet jeśli bym zdołał, to co dalej? Henry po prostu wetknie szlauch z powrotem, o ile wcześniej nie straci cierpliwości i nie wstrzyknie mi reszty diamorfiny.

Nie miałem jednak pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Chwyciłem za hamulec ręczny i podciągnąłem się jeszcze odrobinę między siedzeniami. Przez przednią szybę zobaczyłem Henry'ego. Wyczerpany, ciężko opierając się o wózek, powoli pchał go w stronę domu.

Wciąż zaciskałem dłoń na hamulcu. Niewiele myśląc, zwolniłem go.

Samochód drgnął, lecz nie ruszył z miejsca, mimo że podjazd opadał w stronę domu. Całym ciężarem rzuciłem się do przodu, chcąc nadać mu pęd, ale bez skutku. Mój wzrok padł na automatyczną skrzynię biegów. Ustawiona była na parkowanie.

Wyciągnąłem się w przód jak struna i pchnąłem dźwignię.

Samochód lekko potoczył się w dół. Spomiędzy foteli zobaczyłem, że Henry go usłyszał. Obejrzał się, z ustami rozdziawionymi ze zdziwienia. Choć auto nabierało

prędkości, wciąż miał czas, żeby zejść z drogi. Być może jednak zabrakło mu sił, a może zmęczone nogi nie zareagowały wystarczająco szybko. Na chwilę spotkaliśmy się wzrokiem, a potem samochód go uderzył.

Głuchy odgłos i Henry zniknął z pola widzenia. Samochód podskoczył raz, potem drugi, przyprawiając mnie o mdłości. Nagle za przednią szybą wyrósł dom. Nie mogąc złapać równowagi, złapałem za ręczny hamulec, lecz nie zdążyłem go zaciągnąć. Samochód zatrzymał się z głośnym hukiem. Rzuciło mnie do przodu i oszołomiony poleciałem w poprzek siedzenia. Silnik nie przestawał buczeć. Sięgnąłem ręką i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Potem wyjąłem go i po krótkiej szarpaninie udało mi się otworzyć drzwi.

Do środka wpadło chłodne, świeże powietrze. Wciągając je łapczywie, wyczołgałem się na podjazd. Przez chwilę leżałem na ostrym żwirze, głośno dysząc i zbierając siły. Potem przetoczyłem się, stając na czworakach, i oparłszy się o maskę, wstałem. Przytrzymując się karoserii, jak wcześniej Henry, obszedłem samochód i stanąłem z tyłu.

Henry leżał kilka metrów dalej, ciemny nieruchomy kształt obok roztrzaskanego wózka inwalidzkiego. Nie miałem czasu się nim zajmować. Wsadziłem kluczyk do zamka, otworzyłem tylne drzwi i dopadłem do Jenny.

Nie ruszała się. Roztrzęsionymi dłońmi zerwałem z niej koc. *Proszę, daj znak życia, proszę.* Skórę miała bladą i zimną, ale oddychała. Z jej ust wydobywała się zwodniczo słodka woń acetonu. *Boże, dziękuję ci.* Chciałem ją wziąć w ramiona, ogrzać ciepłem swojego ciała, ale było coś, czego potrzebowała dużo pilniej.

Wynurzyłem się z samochodu i stanąłem na nogach. Tym razem poszło łatwiej, adrenalina i desperacja wzięły górę nad narkotykiem. Drzwi domu nadal były otwarte i ze środka padał na ziemię prostokąt światła. Chwiejnym krokiem wszedłem na korytarz. Przytrzymując się ściany, dokuśtykałem do stolika z telefonem. O mały włos nie osunąłem się na stojące obok krzesło, ale udało mi się utrzymać w pionie. Wiedziałem, że jeśli usiądę, to mogę się już nie podnieść, więc na stojąco sięgnąłem po słuchawkę. Ponieważ nie mogłem sobie przypomnieć numeru Mackenziego, zdrtwiałymi palcami nieporadnie wybrałem 999.

W chwili, gdy dyspozytor odebrał, ściany gwałtownie zatańczyły mi przed oczami. Zamknąłem powieki i zacząłem mówić, starając się maksymalnie skoncentrować. Wiedziałem, że życie Jenny zależy od tego, czy to, co powiem, zabrzmii w miarę logicznie. Jak najwyraźniej wymawiałem słowa „nagły wypadek” i „śpiączka

insulinowa”, lecz nagle mój głos przeszedł w bełkot. Gdy dyspozytor zaczął dopytywać o szczegóły, słuchawka wypadła mi z rąk na widełki. Chciałem pójść do lodówki po insulinę, ale miałem mroczki przed oczami i żeby nie upaść, przytrzymałem się kredensu. Wiedziałem, że nie dam rady jej przynieść. A nawet gdyby mi się udało, w tym stanie nie odważyłbym się zrobić Jenny zastrzyku.

Zataczając się jak pijany, z powrotem wyszedłem na dwór. Gdy na nogach jak z waty doczłapałem do samochodu, zmęczenie prawie mnie obezwładniło. Jenny leżała na boku, tak jak ją zostawiłem, z twarzą zastygłą i białą jak kreda. Nawet z odległości słyszałem, że jej oddech się pogorszył. Był świszczący, nierówny i o wiele za szybki.

– David... – Henry wyszeptał ledwo słyszalnie.

Odwróciłem się. Nie zmienił pozycji ciała, ale zwrócił głowę w moją stronę. Jego ubranie połyskiwało od ciemnej krwi. Zabarwiła też żwir na podjeździe. W półmroku widziałem, że ma otwarte oczy.

– A nie mówiłem... Jesteś czarnym koniem...

Odwróciłem się do Jenny.

– Proszę... David...

Nie chciałem więcej na niego patrzeć. Nienawidziłem go. Nie tylko za to, co zrobił i jakim okazał się człowiekiem, lecz także za to, kim – jak się przekonałem – nie był. Mimo to się zawahałem. Nawet teraz, patrząc wstecz, nie wiem, co bym wtedy zrobił, gdybym miał wybór.

Ale go nie miałem, bo nagle Jenny przestała oddychać.

Świst powietrza po prostu ucichł. Przez chwilę tylko się na nią patrzyłem, czekając, aż weźmie kolejny oddech. Nie wzięła. Wdrapałem się na tył samochodu.

– Jenny? Jenny!

Gdy ją obróciłem, głowa opadła jej bezwładnie. Oczy miała przymknięte, spod przejmująco pięknych rzęs wyzierały białe półksiężyce. Histerycznie badałem puls. Nie wyczułem go.

– Nie! Błagam, nie!

Nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę, nie teraz. Z przerażenia byłem jak sparaliżowany. *Myśl, człowieku, myśl!* Adrenalina przywróciła mi klarowność myśli. Przetoczyłem Jenny na plecy, chwyciłem koc i ułożyłem jej pod karkiem. Na studiach uczyłem się reanimacji, ale nigdy nie miałem okazji zastosować tej wiedzy w życiu. *Szybciej!* Przeklinając w duchu swoją niezdarność, odchyliłem Jenny głowę,

zaciśnięciem skrzydełka nosa i niezdarnie włożyłem jej palce do ust, by odpowiednio ułożyć język. Wirowało mi w głowie, gdy nachyliłem się nad jej twarzą, wdmuchiwałem do ust powietrze – jeden haust, drugi – a potem złożyłem dłonie na mostku i zacząłem rytmicznie uciskać.

*Wróć, wróć!* – zanosilem milczące błagania. Znów haust powietrza i znów seria ucisków klatki piersiowej. I znów. Leżała bezwładnie i nie reagowała. Nie potrafiłem powstrzymać szlochu i łzy zacierały mi obraz, gdy z uporem próbowałem zmusić jej serce do pracy. Jej ciało pozostało wiotkie, nie wróciło w nie życie.

*Bez sensu. Bez sensu.*

Przegnałem tę myśl z głowy i jeszcze raz wpompowałem w usta Jenny powietrze, odliczałem i uciskałem. I jeszcze raz. I jeszcze.

*Umarła.*

*Nie! Nie pozwolę!* Oślepiiony przez łzy nie przestawałem jej reanimować. Cały świat zredukował się do mechanicznej sekwencji ruchów. Wdech, ucisk, odliczanie. Wdech, ucisk, odliczanie.

Straciłem poczucie czasu. Nie zauważyłem nawet wycia syren i światła reflektorów, które oblało samochód. Było tylko zimne, nieruchome ciało Jenny i rozpaczliwy rytm moich ruchów. Nie chciałem przestać nawet wtedy, gdy poczułem na sobie czyjeś dłonie.

– Nie! Puśćcie mnie!

Próbowałem się im wyrwać, ale wyciągnęli mnie z samochodu. Na podjeździe panował chaos – galimatias samochodów, pajęczyna przecinających się smug reflektorów. Gdy ratownicy odprowadzali mnie do karetki, uszły ze mnie resztki sił. Osunąłem się na ziemię. Pochyliła się nade mną twarz Mackenziego. Bezgłośnie poruszał ustami, ale nie zwracałem na niego uwagi. Wokół land rovera roiło się od ludzi.

Potem, pośród całego tego zamętu, usłyszałem słowa, od których nieomal stanęło mi serce:

– Niestety. Przyjechaliśmy za późno.

## Epilog

Trawa chrzęściła pod stopami jak pokruszone szkło. Poranny przymrozek wysał z krajobrazu wszystkie pigmenty, zamieniając go w monochromatyczne pustkowie. Na białym nieboskłonie krążyła samotna wrona, tnąc zimne powietrze nieruchomymi skrzydłami. Uderzyła nimi raz i drugi, po czym zniknęła w szkielecie drzewa, stając się jeszcze jednym czarnym kształtem w gąszczu nagich powykręcanych gałęzi.

Mimo rękawiczek wsunąłem ręce głębiej do kieszeni i zatupałem zmarzniętymi stopami. W oddali, w stronę horyzontu, jechał samochód – ruchoma plamka koloru na wijącej się jak cieniutka wstążka drodze. Patrzyłem, jak się oddala, zazdroszcząc kierowcy podróży ku gościnnemu ciepłu pełnych życia domów.

Potarłem białą szramę na czole. Na mrozie zawsze bolała. Pamiątka po tamtej nocy, gdy uderzyłem głową w drzwiczki land rovera. Zagoiła się po kilku miesiącach, zostawiając jedynie niewielką bliznę. Ale były też inne blizny, choć mniej widoczne, to dotkliwiej odczuwane. Wiedziałem jednak, że i one się w końcu zasklepią.

W swoim czasie.

Nawet teraz, gdy myślałem o tym, co wydarzyło się w Manham, trudno mi było zdobyć się na obiektywizm. Wspomnienia tamtej burzowej nocy, piwnicy, drogi z Jenny przez deszcz i tego, co było potem, nachodziły mnie coraz rzadziej. Lecz gdy już się pojawiły, to nadal wysysały ze mnie całe powietrze i zostawiały bez tchu.

Mason jeszcze żył, gdy znalazła go policja. Umarł trzy dni później, w międzyczasie odzyskując przytomność tylko na tyle, żeby zdążyć uśmiechnąć się do pilnującej go policjantki. Przez jakiś czas obawiałem się, że postawią mi zarzuty, bo angielskie prawo jest, jakie jest. Ale okoliczność, że działałem w samoobronie, oraz upiorne dowody rzeczowe znalezione w piwnicy przeważały moc argumentacyjną niektórych mętnych zapisów prawnych.

Jeśli mimo to pozostały jeszcze jakieś wątpliwości, to ostatecznie rozwiewał je dziennik, który policja znalazła na dnie szuflady w biurku Henry'ego. Było to szczegółowe sprawozdanie z kurateli, jaką sprawował nad naszym ogrodnikiem,



wielopoziomowe studium przypadku autorstwa domorosłego psychologa, zwieńczone pośmiertnym przyznaniem się do winy. Badał swój obiekt z nieskrywaną fascynacją, od najwcześniejszych przejawów sadyzmu – jako nastolatek Mason torturował i zabijał koty – po finalne, wynaturzone przymierze, jakie z nim zawarł.

Nie czytałem tego, nawet bym nie chciał, ale rozmawiałem z jednym z psychologów policyjnych, który pokusił się o lekturę. Bardzo się ekscytował, że miał tę rzadką okazję wejrzeć nie w jedną, lecz w dwie zepsute dusze. Jego zdaniem można by z tego napisać habilitację.

Pomyślałem, że Henry jako niespełniony psycholog doceniłby tę ironię.

Jeśli chodzi o mój osobisty stosunek do jego osoby, to wciąż budził we mnie niejednoznaczne uczucia. Czułem gniew, to na pewno, ale i smutek. Nie tyle z powodu jego śmierci, ile z powodu jego zmarnowanego życia i wszystkich innych ludzkich losów, które zaprzepaścił. Wciąż trudno było mi pogodzić obraz człowieka, którego uważałem za swojego przyjaciela, ze zgorzkniałą kreaturą, jaką się ostatecznie okazał. Nie potrafiłem rozstrzygnąć, który z nich był tym prawdziwym Henrym.

Niepodważalnym faktem było to, że mój przyjaciel próbował mnie zabić, ale czasem się zastanawiałem, czy prawda nie była bardziej złożona. Sekcja zwłok wykazała, że nie umarł z powodu obrażeń, choć te ostatecznie pewnie okazałyby się śmiertelne. Umarł z powodu przyjęcia zabójczej dawki diamorfiny. Strzykawka, którą znaleziono w jego kieszeni, była pusta, a igła utkwiona w jego ciele. Mógł to być przypadek, być może igła wbiła się sama, gdy przejechał go land rover. Lub wstrzyknął ją sobie potem sam, żeby skrócić agonię.

To jednak nie tłumaczyło, dlaczego mnie oszczędził śmiertelnej dawki. Byłby to o wiele prostszy sposób na upozorowanie mojego samobójstwa, a na pewno bardziej skuteczny.

Dopiero podczas śledztwa dowiedziałem się czegoś, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać, jakie były jego prawdziwe intencje. Gdy policja przebadła samochód, okazało się, że jeden koniec gumowego szlauchu nadal tkwił w szparze okna. Jednak drugi, zamiast łączyć się z rurą wydechową, leżał po prostu na ziemi.

Być może wysunął się, gdy samochód ruszył. Może zaczepił o ciało Henry'ego, gdy ten wpadł pod koła. Mimo wszystko zastanawiałem się jednak, czy Henry w ogóle go do niej przymocował.

Sądzić, że Henry zaplanował wszystko właśnie tak, jak się potoczyło, byłoby

przesadą, ale chciałem wierzyć, że nie zabił nas, bo w ostatniej chwili naszyły go wątpliwości. Gdyby naprawdę chciał mnie zamordować, miał do tego mnóstwo okazji. Ciągle myślałem też o tym, że nawet nie próbował zejść z drogi, gdy samochód jechał prosto na niego. Może to z wyczerpania, może osłabione nogi nie zareagowały na czas. A może w chwili, gdy go zobaczył, w końcu podjął decyzję. Sam kiedyś powiedział, że nie ma na tyle odwagi, by odebrać sobie życie. Może poszedł na łatwiznę i pozwolił, bym zrobił to za niego.

A może ponosi mnie wyobraźnia i obdarowuję go niezasłużonym przywilejem wątpliwości na korzyść oskarżonego. W przeciwieństwie do niego nie twierdzę, że rozumiem naturę ludzkiej psychiki. Psychologia to dziedzina jeszcze bardziej tajemnicza i mroczna niż ta, w której się specjalizuję, i choć bardzo chciałbym wierzyć, że gdzieś w środku tliła się w nim iskra człowieczeństwa, odczuwająca skruchę z powodu wyrządzonego zła, to nigdy się tego nie dowiem.

Podobnie jak wielu innych rzeczy.

Po tym, jak wypuszczono mnie ze szpitala, odwiedzało mnie wielu gości, niektórzy z obowiązku, inni z ciekawości, a jeszcze inni ze szczerzej troski. Ben Anders wpadł jako jeden z pierwszych, ze swoją wierną towarzyszką, starą dobrą whisky.

– Wiem, że przynosi się kwiaty, ale pomyślałem, że bukiet zbożowych aromatów bardziej cię ucieszy – powiedział, otwierając butelkę.

Nalał nam po szklaneczce. Gdy uniosłem swoją w milczącym toaście, na usta cisnęło mi się pytanie, czy ta starsza kobieta, z którą miał romans, nie była przypadkiem żoną lekarza. Ale go nie zadałem. To nie była moja sprawa. Zresztą tak naprawdę wolałem tego nie wiedzieć.

Prawdziwą niespodzianką była jednak wizyta wielebnego Scarsdale'a. Przebiegła dość niezręcznie. Wcześniejsze niesnaski nie poszły jeszcze w niepamięć i nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Mimo to wzruszyłem się, że zadał sobie trud i przyszedł. Wstając do wyjścia, spojrzął na mnie z poważną miną. Myślałem, że chce coś powiedzieć, kilka ciepłych słów, które przełamałyby zadawniony antagonizm. Ale tylko skinął głową, życzył mi zdrowia i wyszedł.

Regularnie odwiedzała mnie tylko Janice. Teraz, gdy już nie mogła troszczyć się o Henry'ego, całą swoją fraszobliwą uwagę skupiła na mnie. Gdybym zjadał wszystko, co mi przynosiła, już przez pierwsze dwa tygodnie przytyłbym ze trzy kilo, ale apetyt mi nie dopisywał. Zawsze serdecznie jej dziękowałem, potem przez grzeczność trochę gmerałem widelcem w pożywnych daniach angielskiej kuchni, a gdy znikwała za

drzwiami, wyrzucałem wszystko do kosza.

Nie od razu odważyłem się ją spytać o życie miłosne Diany Maitland. Nigdy nie ukrywała, że ma nie najlepsze zdanie o zmarłej żonie Henry'ego. Po jego śmierci go nie zmieniła, ale gdy spytałem, czy z tego powodu Henry – jak sam twierdził – stał się pośmiewiskiem, zareagowała oburzeniem.

– Wszyscy wiedzieli, ale przymykali na to oko – powiedziała z dezaprobatą. – Ze względu na Henry'ego, nie na nią. Szanowano go tutaj.

Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było tragiczne.

Nie wróciłem już do pracy w przychodni. Nawet po tym, jak z Bank House wyszła już policja, nie wyobrażałem sobie powrotu. Byłoby to zbyt bolesne. Znalazłem na swoje miejsce zastępcę do czasu, aż miasto zatrudni kogoś na stałe albo ludzie przepiszą się do innych przychodni w rejonie. Tak czy inaczej, wiedziałem, że moja lekarska kariera w Manham dobiegła końca. Poza tym moi dawni pacjenci odnosili się do mnie z zauważalną rezerwą. W oczach wielu nadal byłem kimś z zewnątrz, kto w dodatku przez jakiś czas był podejrzanym w sprawie o morderstwo. Nawet teraz mój związek z całą tą tragedią budził podejrzliwość. Zrozumiałem, że Henry miał rację. Nie byłem jednym z nich.

I nigdy bym nie został.

Pewnego ranka obudziłem się z przeświadczeniem, że pora odejść. Wystawiłem dom na sprzedaż i zacząłem załatwiać formalności. Wieczorem, dzień przed przeprowadzką, ktoś zapukał do drzwi. Ku mojemu zdumieniu w progu stał Mackenzie.

– Można na chwilę?

Wpuściłem go, zaprowadziłem do kuchni i wstawiłem wodę na herbatę. Spytał, jak się miewam.

– Dobrze, dziękuję.

– Ten narkotyk nie odbił się źle na pańskim zdrowiu?

– Chyba nie.

– Dobrze pan sypia?

Uśmiechnąłem się.

– Czasami tak.

Nalałem herbaty i podałem mu kubek. Podmuchał na nią, unikając mojego wzroku.

– Wiem, że nie chciał się pan w to angażować. – Wzruszył ramionami. Chyba czuł się niezręcznie. – Trochę mi głupio, że pana w to wciągnąłem.

– Niepotrzebnie. I tak mnie to dotyczyło. Tylko o tym nie wiedziałem.

– Nawet jeśli... to sprawy przybrały taki obrót, że... sam pan wie.

– To nie pańska wina.

Bez przekonania pokiwał głową, jakby wyrzucał sobie, że mógł zrobić więcej. Nie on jeden tak się czuł. – I co pan teraz zamierza? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Poszukam jakiegoś lokum w Londynie. A poza tym to nie wiem.

– Myśli pan, że będzie jeszcze pracował przy śledztwach?

Nieomal parsknąłem śmiechem.

– Wątpię.

Mackenzie podrapał się po szyi.

– Chyba się panu nie dziwię. – Przeszył mnie spojrzeniem. – Pewnie jestem ostatnią osobą, od której chciałby pan to usłyszeć, ale niech pan jeszcze nie podejmuje ostatecznej decyzji. Inni też mogą potrzebować tego rodzaju pomocy.

Odwrociłem wzrok.

– No to będą musieli szukać jej u kogoś innego.

– Niech pan to jeszcze przemyśli – powiedział, wstając do wyjścia.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Gdy się odwrócił, ruchem głowy wskazałem brodawkę na jego szyi.

– Na pana miejscu nie lekceważyłbym tego.

Nazajutrz opuściłem Manham na dobre.

Ale przedtem pożegnałem się z kimś jeszcze. Poprzedniej nocy miałem ten sen. Wiedziałem, że śni mi się ostatni raz. Dom wyglądał znajomo i przytulnie jak zawsze. Była jednak jedna istotna różnica.

Nie było Kary i Alice.

Przechadzałem się po opustoszałych pokojach, wiedząc, że już do nich nie wrócę. I że to właściwa kolej rzeczy. Linda Yates mówiła, że sny nie śnią się bez powodu, choć słowo „sen” nie wydaje się właściwym określeniem dla tego, czego doświadczałem. Jakikolwiek był powód moich snów, to stracił swoją władzę nade mną. Obudziłem się z policzkami mokrymi od łez, ale nie było w tym nic złego.

Zupełnie nic.

Dzwonek telefonu przywołał mnie do rzeczywistości. Wydechając obłoczki skraplającej się na chłodzie pary, sięgnąłem do kieszeni po telefon. Uśmiechnąłem się, widząc, kto dzwoni.

– Cześć – powiedziałem. – Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. Nie przeszkadzam?

Na dźwięk głosu Jenny poczułem w ciele falę znajomego ciepła.

– Oczywiście, że nie.

– Dostałam twoją wiadomość. Czyli już jesteś na miejscu. Jak podróż?

– W porządku. Ciepło. Milutko. A potem wysiadłem z samochodu.

Zaśmiała się.

– Jak długo cię nie będzie? – spytała.

– Jeszcze nie wiem. Wrócę, jak tylko będę mógł.

– To dobrze. Bo pusto tu bez ciebie.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Jeszcze czasami nie dowierzałem, że dostaliśmy drugą szansę. Ale najczęściej po prostu byłem wdzięczny losowi.

Jenny omal nie umarła. W zasadzie to umarła, choć słowa, które tak mnie przeraziły, dotyczyły Henry'ego, a nie jej. Jeszcze kilka minut i dla niej też byłoby za późno. To był czysty przypadek, że w zamieszaniu, jakie zapanowało po nieudanym nalocie policji na młyn, nikt nie pomyślał o tym, by odesłać karetki i ratowników. Kiedy zadzwoniłem na pogotowie, dopiero co odjechały spod Manham, więc natychmiast je zawrócono. Gdyby nie to, chybotliwe życie, które jakimś cudem udało mi się tchnąć w Jenny, ulotniłoby się przed ich przyjazdem. Potem, jak tylko dotarli do szpitala, jej serce ponownie stanęło i kolejny raz, godzinę później. Jednak za każdym razem udawało się wprowadzić je w ruch. Po trzech dniach odzyskała przytomność, a po tygodniu opuściła oddział intensywnej terapii.

Czarne scenariusze, w których groziły jej uszkodzenie mózgu, obrażenia organów wewnętrznych i ślepotą, nigdy się nie zrealizowały, chociaż lekarze uważali je za bardzo prawdopodobne. Jej organizm wracał do zdrowia, ale ja jeszcze przez jakiś czas martwiłem się, że te mniej fizyczne – głębsze – okaleczenia pozostawią trwałe piętno na jej życiu. Jednak stopniowo przekonywałem się, że moje obawy były nieuzasadnione. Jenny uciekła do Manham, bo się bała. Teraz strach zniknął. Ziścił się jej najgorszy koszmar, a ona go przetrwała. Ja również, choć w inny sposób.

Tak czy inaczej, oboje byliśmy na progu śmierci i oboje nas przywrócono do życia.

Niechętnie schowałem telefon. W tej samej chwili siedząca na gałęzi wrona w popłochu wzbijała się w powietrze. Krystaliczną ciszę przeciął głośny trzepot skrzydeł. Patrzyłem, jak leci ponad zamarznętym szkockim wrzosowiskiem. Choć krajobraz był ponury i przygnębiający, ze skutej mrozem ziemi zaczynały wybijać

zielone pędy, zwiastuny nadchodzącej wiosny.

Odwróciłem się na odgłos chrzęszczących na oszronionej ziemi kroków. W moim kierunku szła młoda policjantka. Miała ciemną kurtkę i pobladłą z szoku twarz.

– Doktor Hunter? Przepraszam, że musiał pan czekać. To tam.

Zaprowadziła mnie do grupy policjantów. Przedstawiliśmy się i wymieniliśmy uściski dłoni. Odsunęli się na bok, by pozwolić mi obejrzeć to, co wszystkich nas tu sprowadziło.

Zwłoki leżały w płytkim dole. Z nabytym dystansem, na chłodno rejestrowałem w pamięci wszystkie detale: pozycję ciała, fakturę skóry, ułożenie potarganych i zlepionych włosów.

Podszedłem bliżej i przystąpiłem do pracy.

KONIEC

## Podziękowania

Książka ta wzięła swój początek z artykułu, który w 2002 roku napisałem dla „Daily Telegraph Magazine”, poświęconego National Forensic Academy w Tennessee, instytucji, która oferuje intensywne i wyjątkowo realistyczne szkolenia w dziedzinie technik śledczych. Część zajęć odbywa się poza gmachem uniwersytetu, na zalesionej działce zwanej Trupią Farmą. Placówka ta, założona przez antropologa doktora Billa Bassa, to jedyne miejsce na świecie, gdzie prowadzi się nieocenione z punktu widzenia kryminalistyki badania na prawdziwych ludzkich zwłokach, dzięki którym można określić, jak długo w określonych warunkach przebiega ich rozkład.

Moja wizyta w tym przybytku była porażającym, lecz fascynującym doświadczeniem, bez którego postać doktora Huntera być może nigdy by się nie narodziła. Pragnę zatem podziękować National Forensic Academy, a także University of Tennessee's Anthropology Research Facility za współpracę, bez której wspomniany artykuł by nie powstał.

Wiele osób służyło mi nieocenioną pomocą w kwerendzie poprzedzającej napisanie tej powieści. Doktor Arpad Vass z Oak Ridge National Laboratory w Tennessee odpowiadał na niekończące się zapytania dotyczące zawilosci antropologii sądowej, a w swym napiętym grafiku znalazł czas, by przeczytać maszynopis. Profesor Sue Black z brytyjskiego University of Dundee w swej życzliwości żadnego mojego telefonu nie pozostawiła bez odpowiedzi. Podziękowania kieruję także do biura prasowego Norfolk Constabulary, the Broads Authority i Norfolk Wildlife Trust Hickling Broad za to, że chętnie udzielały wyjaśnień na wszystkie moje osobliwe brzmiące zapytania. Nie trzeba chyba dodawać, że za wszelkie nieścisłości czy błędy merytoryczne wyłączną odpowiedzialność ponoszę ja sam.

Dziękuję również mojej żonie Hilary, Benowi Steinerowi i SCF za ich wkład i uwagi, moim agentom, Micowi Cheethamowi oraz Simonowi Kavanaghowi, i to nie tylko za ich ciężką pracę, ale też za wiarę, jaką we mnie pokładali, Paulowi Marshowi,

Camilli Ferrier i całej Marsh Agency za rzetelną pracę oraz mojemu wydawcy Simonowi Taylorowi i zespołowi Transworld za entuzjazm.

Wreszcie chciałbym podziękować moim rodzicom, Sheili i Frankowi, za ich niezawodne wsparcie. Mam nadzieję, że było warto.

*Simon Beckett*